



David Nicholls

SZANSA NA SUKCES

Tytuł oryginału STARTER FOR TEN



Dla Ann i Alana Nichollsów.
I Hannah, oczywiście.

RS

Runda pierwsza

Doskonale znała ten typ — niejasne ambicje, wewnętrzne zakłamanie, powierzchowna znajomość oglądanych z zewnątrz książek...^{*1}

E.M. Forster, *Howards End*

RS

¹ * Fragment zapożyczony z polskiego tłumaczenia Ewy Krasieńskiej: *Domostwo Pani Wilcox*, Czytelnik, Warszawa 1977. Książka ukazała się później również pod tytułem *Howards End*. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

1

PYTANIE: Pasierb Roberta Dudleya i w swoim czasie faworyt Elżbiety I, który arystokrata poprowadził źle zaplanowaną i zakończoną fiaskiem rewoltę przeciwko królowej i został w konsekwencji stracony w 1601 roku?

ODPOWIEDŹ: Hrabia Essex.

Wszyscy młodzi ludzie martwią się różnymi rzeczami, jest to naturalny i nieunikniony element procesu dorastania, dlatego w wieku szesnastu lat najbardziej martwiłem się tym, że już nigdy w życiu nie uda mi się osiągnąć niczego tak dobrego, czystego, szlachetnego czy też prawdziwego, jak moje wyniki z egzaminów pierwszego poziomu w szkole średniej.

Nie robiłem oczywiście z ich powodu wielkiej afery w tamtym czasie; nie oparowałem świadectwa w ramki ani nie wyczyniałem żadnych innych dziwnych rzeczy, i nie zamierzam omawiać teraz szczegółowo ocen, ale zdecydowanie byłem zadowolony z ich uzyskania; kwalifikacje. Szesnaście lat i po raz pierwszy udało mi się zdobyć jakiegokolwiek kwalifikacje.

Oczywiście, wszystko to działo się bardzo, bardzo dawno temu. Skończyłem osiemnaście lat i lubię myśleć, że mam dużo rozsądniejszy i wyważony stosunek do tych spraw. Tak więc wyniki z egzaminu drugiego poziomu są — stosunkowo — nieistotne. Poza tym przekonanie, że można

zmierzyć inteligencję poprzez jakiś śmieszny, przestarzały system egzaminów pisemnych, jest oczywiście bardzo osobliwe. Co stwierdziwszy, chciałbym zaznaczyć, że mówimy o najlepszych wynikach szkoły średniej na Langley Street w 1985 roku, prawdę powiedziawszy, najlepszych od piętnastu lat, trzech ocenach bardzo dobrych i jednej dobrej, co daje razem 19 punktów — no tak, a więc jednak się wygadałem — ale naprawdę, szczerze, nie uważam, że jest to szczególnie istotne, wspominam o tym mimochodem. I w każdym razie, w porównaniu z innymi cechami, takimi jak odwaga, powodzenie, atrakcyjny wygląd, idealna cera czy też aktywne życie seksualne, zwykła znajomość całej kupy faktów nie jest wcale taka ważna.

Ale jak zwykł mawiać mój tato, najważniejsze w wykształceniu są możliwości, które stwarza, drzwi, które otwiera, ponieważ w przeciwnym razie wiedza, "sama w sobie, jest ślepą uliczką, szczególnie z perspektywy miejsca, w którym się w tej chwili znajduję — w to późne wrześnie, środowe popołudnie — a mianowicie, fabryki produkującej tostery.

Spędziłem wakacje, pracując w dziale wysyłek Ashworth Electricals, co oznacza, że jestem odpowiedzialny za wkładanie tosterów do pudełek, zanim zostaną wysłane do detalistów. Oczywiście, istnieje ograniczona liczba sposobów, na jakie można włożyć toster do pudełka, tak więc ogólnie rzecz biorąc, były to dość nudne miesiące, ale na plus można zaliczyć, że zarabiam 1,85 funta na godzinę, czyli całkiem nieźle, a na dodatek mogę zjeść tyle tostów, na ile tylko mam ochotę. Ponieważ to mój ostatni dzień w pracy, miałem nadzieję, że zauważę dyskretne podawanie z rąk do rąk pożegnalnej kartki i zbiórkę na pożegnalny prezent, czekałem też, żeby się dowiedzieć, do którego pubu się wybieramy na pożegnalnego drinka, ale jest już szósta piętnaście, więc wydaje mi się, że wszyscy poszli już po prostu do domu.

Prawdę powiedziawszy, nie ma to większego znaczenia, ponieważ i tak miałem inne plany, tak więc biorę swoje rzeczy, po drodze zabieram z szafki z materiałami biurowymi garść długopisów i rolkę taśmy klejącej i idę na molo, gdzie jestem umówiony ze Spencerem i Tone'em.

*

Molo w Southend o długości 2360 jardów lub 2158 kilometrów jest oficjalnie najdłuższym mołem na świecie. Jest prawdopodobnie odrobinę za długie, szczerze mówiąc, szczególnie jeśli się niesie ze sobą dużo piwa. Oprócz piwa marki Lager mamy dwanaście dużych puszek skola, do tego pulpeciki w sosie słodko-kwaśnym, specjalnie przysmażany ryż i zestawy frytek z sosem curry — kuchnia całego świata — ale gdy dochodzimy do końca mola, piwo jest ciepłe, a kupione na wynos jedzenie zimne. Ponieważ to szczególna okazja, Tone musiał też przytaszczyć swój przenośny radiomagnetofon wielkości małej szafy. Mimo to jego dźwięk z pewnością nie rozsadzi żadnego miasta, chyba żeby liczyć Shoeburyness^{*2}. Odtwarza nagraną osobiście przez Tone'a składankę największych przebojów Led Zeppelin, podczas gdy my siadamy na ławce na końcu mola i przyglądamy się słońcu, zachodzącemu majestatycznie nad rafinerią ropy.

—Mam nadzieję, że nie zrobi się z ciebie palant — rzuca Tone, otwierając puszkę piwa.

—Co masz na myśli?

—Chodzi mu o to, żebyś nie zaczął się zgrywać na wielkiego studenta — tłumaczy Spencer.

—No cóż, jestem studentem. To znaczy będę, więc...

—Nie, ale chodzi mi o to, żebyś nie stał się zarozumiałym dupkiem i nie przyjeżdżał na Boże Narodzenie w todze, mówiąc po łacinie i używając zwrotów „w przeważającej większości” lub „powszechnie uważa się” i tak-dalej...

—No tak, Tone, dokładnie to będę robił.

—Lepiej nie. Bo już i tak jesteś wystarczającym dupkiem, bez konieczności stawania się jeszcze większym.

Tone często nazywa mnie dupkiem, albo ciotą. Cała sztuczka polega jednak na tym, żeby zastosować pewną językową asymilację i próbować potraktować to w kategoriach czułego zdrobnienia, dokładnie tak, jak niektóre pary mówiące do siebie „skarbie” albo „kochanie”. Tone zaczął wła-

² * Shoeburyness — przylądek, fragment lądu wysunięty na południowy wschód od Southend-on-Sea.

śnie pracę w magazynie Currys i zaczyna rozwijać całkiem przyjemny nieduży interes na boku, którego źródłem jest podprowadzony sprzęt grający, dokładnie taki jak ten, który dziś przyniósł. To jego kasetka z Led Zeppelin numer dwa. Tone lubi się nazywać „metalowcem”, co brzmi bardziej profesjonalnie niż „rockowiec” albo „fan heavy metalu”. Ubiera się też jak metalowiec: dużo ja-snobłękitnego dżinsu i długie, odrzucone do tyłu, lśniące blond włosy, niczym zniewieściały wiking. Włosy Tone'a są, prawdę powiedziawszy, jedynym kobiecym akcentem w jego osobowości. Jest to bowiem mężczyzna przesiąknięty brutalną przemocą. Oznaką udanego wieczoru z Tone'em jest fakt, że wracasz do domu, a przedtem nikt nie próbował wsadzić ci głowy do muszli klozetowej i spuścić wody. A teraz *Stairway to Heaven*.

— Czy musimy słuchać tych cholernych hippisowskich bzdetów, Tone? — upewnia się Spencer.

— To są Zeppelsi, Spence.

— Wiem, że to są Zeppelsi, Tone, właśnie dlatego chcę, żebyś wyłączył to cholerstwo.

—Ale Zeppelsi są królami.

—Dlaczego? Dlatego, że ty tak twierdzisz?

— Nie, dlatego że byli niezmiernie wpływowym i ważnym zespołem...

—Śpiewają o skrzatach, Tony. To żenujące...

—Nie o skrzatach...

—No to o wrózkach — prostuję.

— To nie chodzi tylko o skrzaty i elfy, to Tolkien, to literatura...

Tone kocha te rzeczy — książki z mapami z przodu i ilustracjami na okładkach przedstawiającymi duże, przerażające kobiety w bieliźnie z kolczugi, trzymające w dłoniach szerokie miecze. Typ kobiety, którą — w idealnym świecie — by poślubił. Co, w Southend, jest prawdę powiedziawszy, dużo bardziej realne, niżbyście przypuszczali.

—A tak w ogóle, na czym polega różnica pomiędzy skrzatem i elfem?

—Nie wiem. Zapytaj Jacksona, to on jest dupkiem z kwalifikacjami.

— Nie wiem, Tone — odpowiadam.

Zaczęło się solo na gitarze i na twarzy Spencera pojawił się grymas.

— Czy to się w ogóle kiedyś kończy, czy tak się ciągnie i ciągnie, i ciągnie...

— To siedem minut trzydzieści dwie sekundy czystego geniuszu.

— Czystej tortury — mówię. — A tak na marginesie, dlaczego zawsze musimy słuchać tego, co ty chcesz?

— Bo to mój magnetofon...

— Który zwędziłeś. Formalnie rzecz biorąc, nadal należy do Curry s.

— Tak, ale ja kupuję baterie...

— Nie, podwędzasz baterie... — Nie te, te kupiłem.

— Ile kosztowały?

— Funt dziewięćdziesiąt osiem.

— Więc jeśli dam ci sześćdziesiąt sześć pensów, to możemy posłuchać czegoś przyzwoitego?

— Czego, na przykład Kate Bush? W porządku, Jackson, posłuchajmy wobec tego Kate Bush, wszyscy naprawdę bardzo dobrze się bawią, słuchając Kate Bush, wszystkim naprawdę świetnie się tańczy przy Kate Bush...

I w czasie gdy ja i Tone się sprzeczamy, Spencer pochyła się nad radiomagnetofonem, wyjmując z niego nonszalancko kasetę ze składanką największych przebojów Led Zeppelin i ciska ją płaskim ruchem daleko w morze.

Tone krzyczy:

— Oj!

Następnie rzuca za nim puszką piwa i obydwaj zaczynają gonić się po molo. Lepiej nie angażować się za bardzo w te bójki.

Tone'a zazwyczaj trochę ponosi, jakby opętał go duch Odyna, czy coś takiego, więc jeśli się wtrączę, to zaprowadzi to nieuchronnie do takiego finału, że Spencer siedzi na moich rękach, a Tone pierdzi mi w twarz. Siedzę więc spokojnie, piję swoje piwo i obserwuję, jak Tone usiłuje przerzucić nogi Spencera przez balustradę mola.

Mimo że jest wrzesień, w wieczornym powietrzu daje się już wyczuć wilgotny chłód, zwiastun zbliżającego się końca lata, i jestem zadowolony, że nałożyłem swój odkupiony z wojskowych zapasów szynel. Nigdy nie lubiłem lata, tego, jak słońce odbija się popołudniami od ekranu telewizora, i ciągłej presji, aby nosić T-shirty i szorty. Gdybym stanął w T-shircie i szortach przed apteką, jestem pewny, że jakaś miła staruszka próbowałaby mi wrzucić do głowy monetę.

Nie, tak naprawdę nie mogę się doczekać jesieni, kopania w sterty liści w drodze na wykład, ożywionych rozmów o poetach metafizycznych z dziewczyną o imieniu Emily, Katherine albo Francois, która nosi czarne kryjące wełniane rajstopy i ma równo obcięte włosy w stylu Louise Brooks, a potem wizyty w jej malutkim pokoju na poddaszu i kochania się z nią przed elektrycznym grzejnikiem. Potem będziemy czytać na głos T.S. Eliota i pić wykwinne porto z dobrego rocznika z malutkich szklaneczek, słuchając przy tym Milesa Davisa. W każdym razie tak to sobie wyobrażam. Doświadczenie życia studenckiego. Podoba mi się słowo „doświadczenie”. Sprawia, że wszystko wydaje się jak przejażdżka w parku rozrywki Alton Towers.

Bójka zakończona i Tone wyładowuje nadmiar agresji ciskając pulpetami w mewy. Spencer wraca, wsuwając do środka koszulę, siada obok mnie i otwiera kolejną puszkę piwa. Ma styl, obserwując go, można by pomyśleć, że pije martini z kieliszka.

Za Spencerem będę tęsknił najbardziej. Nie wybiera się na uniwersytet, chociaż jest zapewne najbardziej inteligentną osobą, jaką kiedykolwiek miałem okazję poznać. Nie mówiąc o tym, że jest też najprzystojniejszy, najtwardszy i cool. Nie powiedziałbym mu o tym oczywiście, bo zabrzmiałoby to trochę dziwnie, nie ma jednak takiej potrzeby, bo najwyraźniej i tak dobrze o tym wie. Mógłby pójść na uniwersytet, gdyby tylko chciał, ale zawałił egzaminy; nie celowo, w dosłownym sensie, ale wszyscy to widzieli. Na egzaminie z literatury został posadzony przy stoliku obok mnie i widziałem po ruchach jego długopisu, że nie pisze, tylko rysuje. Odpowiadając na pytanie z Szekspira, narysował *Wesołe kumoszki z Windsoru*.

soru, a przy poezji naszkicował rysunek zatytułowany „Wilfred Owen*³ doświadcza na własnej skórze horroru okopów”. Usiłowałem złapać jego wzrok, żeby powiedzieć mu spojrzeniem coś w rodzaju „ej, stary, przestań”, ale on trzymał głowę cały czas spuszczoną, rysując, a potem po godzinie wstał i wyszedł, mrugając do mnie po drodze. Nie było to zawiadanie mrugnięcie, ale lekko płaczące mrugnięcie zaczerwienionych oczu, niczym dzielnego szeregowca w drodze na spotkanie z plutonem egzekucyjnym.

Potem po prostu przestał przychodzić na egzaminy. Słyszałem, jak ktoś kilka razy wspominał o „załamaniu nerwowym”, ale Spencer nie jest gościem, któremu przytrafia się załamanie nerwowe. A nawet gdyby się tak stało, to przechodziłby je z prawdziwym stylem. Osobiście wydaje mi się, że cała ta poza egzystencjalnych tortur w stylu Jacka Kerouaca*⁴ jest całkiem niezła, do pewnego momentu, ale nie gdy zaczyna wpływać negatywnie na stopnie.

—Więc co zamierzasz robić, Spence? Mruży oczy i patrzy na mnie.

—Nie wiem, o co ci chodzi.

—No wiesz. Jeśli chodzi o pracę.

—Mam pracę.

Spencer zarejestrował się jako bezrobotny, ale pracuje również na czarno na całodobowej stacji benzynowej przy A127.

— Wiem, że masz pracę. Ale w przyszłości... Spencer spogląda w dal na ujście rzeki i zaczynam żałować, że poruszyłem ten temat.

— Twój problem, Brian, polega na tym, że nie doceniasz uroków życia, jakie oferuje całodobowa stacja benzynowa. Mogę jeść tyle słodczy,

³ * Wilfred Owen (1893-1918) —jeden z wielkich poetów angielskich czasu I wojny światowej.

⁴ * Jack Kerouac (1922-1969) — pisarz amerykański, który z parą przyjaciół zakwestionował status quo świata literackiego, pisząc szczerze o swoim życiu zdominowanym przez alkohol i swobodne obyczaje.

na ile mam ochotę. Mogę studiować atlasy. Mogę wdychać interesujące spaliny. Dostaję z promocji lampki na wino...

Bierze duży łyk piwa i postanawia zmienić temat. Sięgając do swojej kurtki typu Harrington*⁵, wyciąga kasetę z odręcznie podpisaną wkładką.

— Nagrałem ją dla ciebie. Żebyś mógł puszczać ją swoim nowym znajomym z uniwersytetu i nabrać ich, że masz dobry gust.

Biorę kasetę, która na grzbiecie ma wypisane starannymi trójwymiarowymi drukowanymi literami: „Składanka uniwersytecka Bri”. Spencer ma genialny zmysł artystyczny.

— To fantastyczne, Spencer, dzięki, stary...

— W porządku, Jackson, to tylko kupiona na targu kasetka za sześćdziesiąt dziewięć pensów, nie ma się nad czym rozwodzić.

Mówi tak, ale obydwaj wiemy, że dziewięćdziesięciominutowa składanka na taśmie to dobre trzy godziny pracy, i jeszcze więcej, jeśli chce się ładnie zaprojektować okładkę.

— Włącz ją dobrze? Zanim wróci ten muppet. Wkładam kasetę, wciśkam klawisz „start” i słyszymy Curtisa Mayfielda śpiewającego *Move on Up*. Spencer był fanem muzyki z lat sześćdziesiątych, ale zmienił zainteresowania na vintage soul: Al Green, Gil Scott-Heron, tego typu rzeczy. Spencer ma taką klasę, że nawet lubi jazz. Nie tylko Sade i The Style Council; właściwy jazz, te drażniące i nudne kawałki. Siedzimy i słuchamy przez chwilę. Tone usiłuje teraz wydobyć z teleskopów pieniądze za pomocą noża sprężynowego, który kupił na szkolnej wycieczce do Calais. Przyglądamy mu się ze Spencerem, jak wyrozumieli rodzice dziecka z poważnymi problemami wychowawczymi.

— Więc będziesz przyjeżdżał na weekendy? — chce wiedzieć Spencer.

— Nie wiem. Chyba tak. Nie na wszystkie.

— Od czasu do czasu mógłbyś jednak przyjechać. W przeciwnym razie nie pozostanie mi nic innego jak towarzystwo tego Conana Barbarzyńcy...

⁵ * Harrington — rodzaj lekkiej sportowej kurtki na ściągaczu, zasuwanej na zamek.

Spencer kiwa głową w kierunku Tone'a, który teraz atakuje z rozbiegu teleskopy, kopiąc je z kozła.

—Nie powinniśmy wznieść jakiegoś toastu? — proponuję. Spencer ściąga wargi.

—Toastu? Za co?

—No wiesz, za przyszłość czy coś takiego. Spencer wzdycha i stuka się ze mną puszką piwa.

—Za przyszłość. I żebyś w końcu miał czystą cerę.

—Spieprzaj, Spencer — odpowiadam.

— To ty spieprzaj, Brian — rzuca, ale ze śmiechem.

Gdy pijemy nasze ostatnie piwa, jesteśmy już nieźle wstawieni, leżymy więc na plecach, nic nie mówiąc, słuchając jedynie morza i Otisa Reddinga, śpiewającego *Try a Little Tenderness*. I w tę pogodną noc późnego lata, spoglądając na gwiazdy, z moimi najlepszymi kumplami leżącymi u mych boków, przepełnia mnie uczucie, że prawdziwe życie wreszcie się zaczyna i że absolutnie wszystko jest możliwe.

Chcę słuchać nagrań sonat fortepianowych i wiedzieć, kto je gra. Chcę chodzić na koncerty muzyki klasycznej i wiedzieć, kiedy należy bić brawo. Chcę umieć odbierać nowoczesny jazz' i żeby nie wydawał mi się jednym wielkim nieporozumieniem, i chcę wiedzieć, kim dokładnie są Velvet Underground^{6*}. Chcę być w pełni zaangażowany w świat idei, chcę rozumieć meandry ekonomii i co ludzie widzą w Bobie Dylanie. Chcę mieć radykalne, ale humanitarne i dobrze ugruntowane poglądy polityczne i chcę prowadzić ożywione, ale rozumowe debaty przy drewnianych kuchennych stołach, używając wyrażeń takich jak: „Sprecyzuj swoje tezy!” i „Twoje założenia są jawnie pokrętne!”, ażeby odkryć nagle, że wzeszło słońce i że rozmawialiśmy przez całą noc. Chcę używać takich słów jak „pierwszoplanowy”, „solipsystyczny” i „utilitarystyczny”. Chcę nauczyć się rozpoznawać wykwintne wina, egzotyczne likiery, rzadkie szlachetne whisky i nauczyć się je pić bez zamienienia się w kompletnego idiotę. Chcę też nauczyć się jeść rzadkie i egzotyczne dania, jajka siewki i homara

⁶ * Velvet Underground — amerykańska grupa muzyczna.

thermidor*⁷, rzeczy, których nazwa zdaje się nieomal sugerować, że są niejadalne, albo której nie jestem w stanie wymówić. Chcę kochać się z pięknymi, wyrafinowanymi i onieśmielającymi kobietami, w dzień albo nawet przy zaświeconym świetle, i na trzeźwo, i bez strachu, i chcę mówić biegle wieloma językami i może nawet jednym lub dwoma martwymi, i nosić mały notes oprawiony w skórę, w którym będę zapisywał błyskotliwe myśli i obserwacje oraz jakąś przypadkową linijkę wiersza. A najbardziej chcę czytać książki; książki grube jak cegła, książki oprawione w skórę, z niewiarygodnie cienkiego papieru i z tymi bordowymi tasiemkami do zaznaczania, gdzie się skończyło; tanie, zakurzone, używane antologie poezji, niewiarygodnie drogie importowane książki niezrozumiałych esejów z zagranicznych uniwersytetów.

W którymś momencie chciałbym, żeby przyszedł mi do głowy jakiś oryginalny pomysł. I chciałbym być popularny, może nawet uwielbiany, ale z tym można jeszcze poczekać. A jeśli chodzi o pracę, nie jestem jeszcze dokładnie pewien, co by mnie interesowało, ale na pewno coś, co nie napawa mnie odrazą i co nie przyprawia mnie o chorobę, i co sprawi, że nie będę się musiał cały czas martwić o pieniądze. I wszystko to właśnie da mi uniwersyteckie wykształcenie.

Kończymy piwo, a potem sytuacja wymyka się spod kontroli. Tone wrzuca mi buty do morza i muszę wracać do domu w skarpetkach.

⁷ * Homar thermidor — danie z homara nazwane tak przez Napoleona, który spróbował je po raz pierwszy w 11 miesiąc *thermidor* - kalendarza republikańskiego wprowadzonego krótko po rewolucji francuskiej

PYTANIE: W którym filmie Powella i Pressburgera z 1948 roku, nawiązującym do baśni Hansa Christiana Andersena, Moira Shearer tańczy i umiera przed parowozem?

ODPOWIEDŹ: *Czerwone trzewiczki.*

Numer szesnaście na Archer Road, jak wszystkie pozostałe domy na tej ulicy, to *maisonette*, będące zdrobnieniem od francuskiego rzeczownika rodzaju żeńskiego, *maison*, co znaczy dosłownie „mały domek”. Mieszkam tu z moją mamą i jeśli chcielibyście zobaczyć, jak niewygodnie może się mieszkać dwóm osobom, to myślę, że nie do pobicia jest rozwiązanie, w którym osiemnastoletni mężczyzna i czterdziestojednoletnia wdowa mieszkają w *maisonette*. Dzisiejszy ranek jest tego najlepszym przykładem. Leżę pod kołdrą o 8.30, słucham *The Breakfast Show* i przyglądam się wiszącym na suficie modelom samolotów. Powinienem był je ściągnąć, wiem o tym, ale w którymś momencie kilka lat temu z rozkosznie chłopięcych stały się zabawnie kiczowate, więc je tam zostawiłem.

Mama wchodzi do pokoju, potem puka.

—Dzień dobry, śpiochu. Dzisiaj wielki dzień!

—Czy ty nigdy nie pukasz, mamo?

—Ależ pukam!

—Nie, wchodzisz i wtedy pukasz. To nie jest pukanie...

—No i co? Przecież nie robisz tu nic takiego, prawda? Spogląda chytrze.

—Nie, ale...

—Nie mów, że masz u siebie dziewczynę. — Pociąga róg kołdry. — Hej, kochanie, nie wstydź się, porozmawiajmy. No wychodź, wychodź, kimkolwiek jesteś... Naciągam kołdrę z powrotem na głowę.

—Zejdę za chwilę...

—Ależ tu śmierdzi, naprawdę śmierdzi, czy wiesz o tym?

—Nie słyszę cię, mamoo...

—Zapach chłopców. Co wy robicie, żeby tak pachnieć?

—No to wobec tego dobrze, że wyjeżdżam, prawda?

—O której masz pociąg?

—Dwunasta piętnaście.

— Dlaczego w takim razie jeszcze jesteś w łóżku? Proszę, to prezent na pożegnanie...

Mówiąc to, rzuca na kołdrę plastikową torbę. Otwieram ją w środku znajduje się przezroczysta tuba, taka, w jakiej zazwyczaj kupuje się piłki do tenisa. Ta jednak zawiera trzy zwinięte w kulki pary męskich bawełnianych slipów. Są w białym, czarnym i czerwonym kolorze, jak nazistowska flaga.

—Mamo, nie powinnaś...

—Och, to taki drobiazg.

—Chciałem powiedzieć, że niepotrzebnie je kupowałaś.

— Nie bądź zbyt mądry, młody człowieku. No, wstawaj. Musisz się spakować. I otwórz, proszę, okno.

Gdy wychodzi, wytrzepuję z plastikowej tuby majtki na kołdrę, rozkoszując się jakże wymowną doniosłością tej chwili. Ponieważ naprawdę to są ostatnie majtki, jakie kupiła mi moja mama. Białe są w porządku, czarne wydają mi się trwałe, ale czerwone? Czy mają sugerować coś z pikanterii? Dla mnie czerwone majtki zdają się mówić: „stop” i „niebezpieczeństwo”.

Wiedziony jednak duchem przygody wstaję z łóżka i nakładam czerwone majtki. A co, jeśli są jak „czerwone trzewiczki” i nie będę mógł ich ściągnąć? Mam nadzieję, że nie, bo gdy oceniam efekt w lustrze w szafie, to wydaje mi się, że wyglądam, jakby ktoś postrzelił mnie w krocze. Naciągam wczorajsze spodnie i z nieumytymi zębami, słodko-kwaśnym oddechem i nadal lekko zamroczony po wczorajszym skoku schodzę na dół na śniadanie. Potem wykąpię się tylko, następnie spakuję i po prostu wyjdę.

Nie mogę uwierzyć, że naprawdę wyjeżdżam. Nie mogę uwierzyć, że mi wolno.

Ale oczywiście największym wyzwaniem dzisiejszego dnia jest spakowanie się, wyjście z domu i dostanie się do pociągu, uniknąwszy słów mamy: „Twój tato byłby z ciebie dumny”.

Jest wtorkowy wieczór, lipiec, na zewnątrz jest nadal jasno, a zasłony są zasunięte do połowy, żebyśmy dobrze widzieli telewizor. Jestem w piżamie i szlafroku po kąpieli, pachnę lekko Dettolem i jestem pochłonięty sklejeniem bombowca Lancaster, Airfix w skali 1:72, który stoi prz*edemną na tacy na herbatę. Tato wrócił właśnie z pracy, pije piwo z puszki, a dym z jego papierosa snuje się w wieczornych promieniach słońca.

—Pierwsze za dziesięć. Który z brytyjskich królów był ostatnim, któremu dane było oglądać czynne działania militarne?

—Jerzy V — mówi tato.

—Jerzy III — odpowiada Wheeler z Jesus College, z Cambridge.

—Zgadza się. Wasza runda premiowa zaczyna się od pytania z geologii.

—Znasz się na geologii, Bri?

—Trochę — odpowiadam odważnie.

—Krystaliczna bądź o szklistym wyglądzie, która z trzech podstawowych rodzajów skały powstaje wskutek schłodzenia i zestalenia stopionej magmy...?

Wiem, jestem pewien, że to wiem.

—Wulkaniczna! — rzucam.

—Magmowa — mówi Armstrong z Jesus, Cambridge.

—Zgadza się.

—Blisko — mówi tato.

—Jak określa się strukturę skał magmowych, które zawierają duże wyraźne kryształy zwane prakryształami?

No spróbuj.

— Ziarniste — mówię.

Johnson z Jesus, Cambridge, odpowiada:

—Porfirowe?

—Zgadza się.

—Blisko — mówi tato.

—*Porphyria's Lover*, w którym bohaterka dusi swojego ukochanego warkoczem... — chwileczkę, chyba wiem, o kogo chodzi — ...to poemat którego wiktoriańskiego poety?

Roberta Browninga. Przerabialiśmy to na angielskim tydzień temu. To Browning. Wiem.

—Robert Browning! — rzucam, starając się bardzo, żeby nie krzyknąć.

—Robert Browning? — odpowiada Armstrong z Jesus, Cambridge.

—Zgadza się!

Słysząc aplauz widowni w studio dla Armstronga z Jesus, Cambridge, ale obydwaj wiemy, że ten aplauz jest w rzeczywistości dla mnie.

—Do licha, Bri, skąd to wiedziałeś? — pyta tato.

—Po prostu wiedziałem — odpowiadam.

Chcę się oglądnać i zobaczyć jego twarz, żeby ujrzeć, czy się śmieje — nie śmieje się często, a na pewno nie po pracy — ale nie chcę wyglądać na zadowolonego z siebie, więc siedzę nieruchomo i przyglądam się jego odbiciu w słońcu na ekranie telewizora. Zaciąga się papierosem, potem kładzie mi lekko na głowie swoją papierosową dłoń, jak kardynał, gładzi mnie po włosach swoimi długimi, żółtymi na czubkach palcami i mówi:

— Znajdziesz się tam kiedyś, jeśli nie będziesz uważał.

I uśmiecham się do siebie, i czuję się mądry i sprytny, i że w końcu jest coś, co do czego mam rację.

Potem oczywiście robię się zbyt pewny siebie i próbuję odpowiedzieć na każde pytanie, i za każdym razem podaję złą odpowiedź, ale to nie ma znaczenia, ponieważ w końcu coś mi się udało i wiem, że pewnego dnia uda mi się znowu.



Myślę, że nie skłamię, jeśli powiem, że nigdy nie byłem niewolnikiem przelotnych kaprysów mody. Nie chodzi o to, że jestem jej przeciwnikiem, a raczej że żaden z głównych trendów młodzieżowych, które dane mi było do tej pory przeżyć, nie całkiem mi pasował. Koniec końców, brutalna prawda brzmi, że jeśli się jest fanem Kate Bush, Charlesa Dickensa, scrabble, Davida Attenborough i *University Challenge*, to niewiele człowiekowi pozostaje w kwestii tego, co majądo zaoferowania trendy młodzieżowe.

To nie znaczy, że nie próbowałem. Przez jakiś czas leżałem w nocy, nie śpiąc, i martwiłem się, że może jestem gotem*⁸, ale wydaje mi się, że to był tylko okres przejściowy. Poza tym bycie gotem płci męskiej oznacza zasadniczo ubieranie się jak arystokratyczny wampir, a jeśli jest na tym świecie jedna rzecz, do której się nigdy nie przekonam, to bycie arystokratycznym wampirem. Nie mam po prostu odpowiednich kości policzkowych. Bycie gotem oznacza również konieczność słuchania muzyki, która jest wręcz nie do opisanania.

Tak więc z grubsza biorąc, to był mój jedyny flirt z kulturą młodzieżową. Przypuszczam, że moje własne osobiste poczucie stylu można opisać jako nieformalne, ale klasyczne. Od dzinsu wolę swobodę bawełnianych spodni z zaszewkami, ale z kolei bardziej podoba mi się dzins ciemny niż jasny. Płaszcze powinny być ciężkie i długie, z postawionym kołnierzem, szaliki powinny mieć frędzle i być czarne albo w kolorze burgunda. Są też nieodzowne od września aż do późnego maja. Buty powinny mieć cienką podeszwę, nie mogą być zbyt spiczaste i — co bardzo ważne — do dzinsów pasują jedynie czarne lub brązowe.

Nie boję się jednak też eksperymentować, szczególnie teraz, gdy mam szansę stworzyć się na nowo. Tak więc ze starą walizką rodziców leżącą na łóżku przeglądam niektóre z moich nowych nabytków, które odłożyłem specjalnie na tę okazję. Pierwsza leży

⁸ * Got — fan rocka gotyckiego.

moja nowa kurtka. Jest z niesamowicie gęstej, czarnej i ciężkiej tkaniny. To kurtka, jaką nakłada się do prac drogowych. Wydaje się ciężka jak wyprawiona skóra zwierzęcia. Jestem z niej dość zadowolony, a jej styl zdaje się sugerować połączenie artyzmu i prostoty rękodziela — „dość tego Shelleya, spadam coś wysmołować”.

Następnie mam pięć koszul pradziadka, komplet w odcieniach bieli i błękitu, które kupiłem za funt dziewięćdziesiąt dziewięć sztuka, podczas jednodniowej wyprawy na Carnaby Street z Tone'em i Spencerem. Spencer ich nie cierpi, ale ja uważam, że są wspaniałe, szczególnie w połączeniu z czarną kamizelką którą kupiłem w sklepie charytatywnym z używaną odzieżą za trzy funty. Musiałem schować ją przed mamą, nie dlatego, że ma coś przeciwko sklepom charytatywnym, ale dlatego, że uważa, iż rzeczy używane są pospolite i że to prawie tak, jakby się jadło podniesione z podłogi jedzenie. Poprzez to połączenie kamizelki, koszuli pradziadka i okrągłych okularów zamierzam stworzyć wizerunek cierpiącego na nerwicę frontową oficera armii, który się jąka i nosi przy sobie notes pełen poezji. Został tu przysłany, aby znaleźć się daleko od brutalności frontu, ale spełnia swój patriotyczny obowiązek, pracując na farmie w odległej wiosce w Gloucestershire. Miejscowi traktują go z dużą podejrzliwością ale za to kocha się w nim skrycie i platonicznie piękna córka wikarego, sufrażystka i miłośniczka książek, która jest zwolenniczką pacyfizmu, wegetarianizmu i biseksualizmu. To jest naprawdę wspaniała kamizelka. A poza tym wcale nie jest *second-hand*, jest w stylu *vintage*.

Następnie mam brązową sztruksową marynarkę mojego taty. Kładę ją płasko na łóżku i składam ostrożnie w poprzek rękawy. Na przedzie jest ledwie widoczna plama z herbaty sprzed kilku lat, gdy popełniłem błąd polegający na nałożeniu jej, jak szedłem na szkolną dyskotekę. Wiem, że może się to wydawać trochę makabryczne, ale sądziłem, że to będzie ładny gest, coś w rodzaju hołdu. Powinienem był zapytać jednak najpierw mamę, ponieważ gdy zobaczyła, jak stoję przed lustrem w marynarce taty, krzyknęła i rzuciła we mnie kubek z herbatą. Gdy w końcu zdała sobie sprawę, że to tylko ja, wybuchnęła płaczem i leżała na łóżku, płacząc przez pół godziny, a muszę wam powiedzieć, że nic lepiej nie nastraja przed imprezą

jak coś takiego. Gdy się w końcu uspokoiła i gdy zmiłazłem się na dysko-
tece, przeprowadziłem następującą rozmowę z miłością mojego życia w
tym tygodniu, Janet Parks.

Ja: Wolny taniec, Janet?

Janet Parks: Ładna marynarka, Bri.

Ja: Dziękuję!

Janet Parks: Skąd ją masz?

Ja: To marynarka mojego taty!

Janet Parks: Ale twój tato... nie żyje, prawda?

Ja: Tak!

Janet Parks: Więc masz na sobie marynarkę twojego nieżyjącego taty?

Ja: Zgadza się, więc co z tym tańcem?

...i w tym momencie Janet zasłoniła ręką usta, oddaliła się i zaczęła wskazywać ręką i szeptać o czymś w kącie z Michelle Thomas i Sam Dobson, a potem poszła i poderwała Spencera I. cwisa. Nie, żebym miał żal czy coś takiego. Poza tym na uniwersytecie ta historia nie będzie miała żadnego znaczenia. Nikt nie będzie o tym wiedział, z wyjątkiem mnie. Na uniwersytecie to będzie po prostu ładna sztruksowa marynarka. Składam ją i wkładam do walizki.

Mama wchodzi, potem puka, a ja szybko zamykam walizkę. Mama wygląda dość płaczliwie, więc lepiej, żeby marynarka taty nic doprowadziła jej znowu do łez. Specjalnie wzięła wolne przedpołudnie i nie poszła do pracy, żeby móc spokojnie popłakać.

— Jesteś już zatem prawie spakowany?

—Prawie.

—Chcesz zabrać ze sobą frytkownicę?

—Nie, nie będzie mi potrzebna, mamo.

—Ale co będziesz jadł?

—Przecież wiesz, że oprócz frytek jadam też inne rzeczy!

—Nie jestem pewna.

— No to może zacznę. A poza tym są też przecież frytki do przyrządzania w piekarniku.

Oglądam się i widzę, że się prawie uśmiecha.

— Powinieneś się już zbierać, prawda?

Mam jeszcze mnóstwo czasu do odjazdu pociągu, ale mamie wydaje się, że jazda pociągiem to trochę jak lot międzynarodowy i że trzeba zgłosić się do odprawy na cztery godziny przed odlotem. Nie, żebyśmy kiedyś lecieli samolotem czy coś takiego, ale to cud, że nie kazała mi pójść i zrobić sobie szczepionek.

— Wyjdę za pół godziny — mówię i zapada cisza. Mama chce coś powiedzieć, ale nie może wydobyć z siebie

słów, co oznacza, że to pewnie coś w stylu, że tato byłby ze mnie dumny lub coś takiego. Mama postanawia jednak zostawić to na później, odwraca się i wychodzi. Siadam na walizce, żeby ją zamknąć, a potem kładę się na łóżku i po raz ostatni rozglądam się po moim pokoju — jest to ten moment, w którym, gdybym był palaczem, zapaliłbym.

Nie mogę uwierzyć, że to się naprawdę dzieje. To właśnie dorosła niezależność, to właśnie to uczucie. Czy nie powinien temu towarzyszyć jakiś rytuał? W odległych afrykańskich plemionach odbywałyby się zapewne jakaś niesamowita czterodniowa ceremonia i rytuały przejścia, włącznie z robieniem tatuaży i przyjmowaniem środków halucynogennych będących wyciągiem z rzekotek drzewnych, starszyzna plemienna nacierałaby moje ciało krwią małp, a tutaj cały rytuał przejścia to trzy nowe pary majtek i wepchnięcie kołdry do czarnego worka na śmieci.

Gdy schodzę na dół, odkrywam, że mama przygotowała dla mnie pakunek. Dwa duże pudła po chipsach, kryjące w sobie większość zawartości domu. Oczywiście jest tam frytkownica, sprytnie schowana pod pełnym serwisem obiadowym, toster, który zwędziłem z Ashworth Electricals, czajnik, egzemplarz *Cudowne dania z mięsa mielonego* i pojemnik na chleb włącznie z sześcioma posypanymi mąką miękkimi bułkami i bochenkiem białego chleba Mighty White. Jest tam nawet tarka do sera, a mama przecież wie, że nie jadam sera.

— Naprawdę nie mogę zabrać tego wszystkiego, mamo — mówię.

I tak symboliczne i wzruszające ostatnie chwile życia w domu mojego dzieciństwa upływają mi na sprzeczaniu się z mamą o to, czy będzie mi po-

trzebna trzepaczka do jajek — tak, będzie tam grill, na którym będę mógł robić tosty, tak, potrzebny mi jest walkman i słuchawki — a gdy nasze negocjacje dobiegają wreszcie końca, udaje nam się ograniczyć wszystko do jednej walizki, plecaka z moim stereo i książkami, dwoma workami na śmieci wypełnionymi kołdrą i poduszkami, i wobec nalegań mamy, dużą ilością ścierek do naczyń.

W końcu muszę już wyjść. Nalegam usilnie, żeby mama nie odprowadzała mnie na stację, ponieważ w ten sposób wydaje mi się to jakoś bardziej symboliczne i przełomowe. Stoję na progu, a ona idzie po portmonetkę i uroczyście wciska mi do ręki, niczym rubin, złożony banknot dziesięciofuntowy.

—Mamo...

—No proszę, weź.

—Poradzę sobie, naprawdę...

—No weź. Dbaj o siebie...

—Oczywiście...

—Postaraj się zjeść od czasu do czasu jakiś owoc...

—Postaram się...

—I...

W końcu nadchodzi ten moment. Przełyka głośno i mówi:

— ..wiesz, że tato byłby z ciebie bardzo dumny, prawda? Całuję ją szybko w jej suche i zaciśnięte usta, i najlepiej jak

potrafię, biegnąc, pokonuję drogę na stację, przystając kilka razy dla odpoczynku.

W pociągu nakładam słuchawki i słucham mojej własnej, specjalnie przygotowanej składanki z ulubionymi przebojami wszech czasów Kate Bush. To całkiem niezła składanka, ale nie mamy w domu zestawu stereo z prawdziwego zdarzenia i dlatego w połowie *The Man With The Child In His Eyes* słychać, jak mama krzyczy do mnie z dołu, że kotlety są już gotowe.

Z namaszczeniem otwieram moje nowiutkie wydanie *Królowej wieszczek*, którą przerabialiśmy w pierwszym półroczu. Lubię myśleć, że jestem całkiem niezłym czytelnikiem, z szerokimi horyzontami i tak dalej, ale to wszystko wydaje mi się jedną wielką bzdurą, odkładam więc *Królową wieszczek* po pierwszych osiemnastu wersach i w zamian skupiam się na Kate Bush i przesuwającym się za oknami angielskim krajobrazie, i na tym, żeby wyglądać na zamyślonego, skomplikowanego i interesującego. Mam duże okno, cztery miejsca i stolik do własnej dyspozycji, puszkę coca-coli i twixa i jedyne, co mogłoby mnie w tej chwili dodatkowo uszczęśliwić, to gdyby do przedziału weszła atrakcyjna kobieta i powiedziała coś w rodzaju:

„Przepraszam, ale widzę, że czytasz *Królową wieszczek*. Czy nie zamierzasz przypadkiem studiować literatury na uniwersytecie?”

„Ależ tak!” — odpowiedziałbym.

„To cudownie! Czy mogę się przysiąc? Przy okazji, mam na imię Emily. Powiedz mi, czy znasz muzyczne osiągnięcia Kate Bush...?”

I moje wypowiedzi są tak uczone, wytworne i dowcipne, a pomiędzy nami wyzwała się taki ogromny ładunek napięcia seksualnego, że w chwili gdy pociąg wjeżdża na stację, Emily pochyła się nad stolikiem i przygryzając kokieteryjnie górną pełną wargę, mówi:

„Słuchaj, Brian, prawie w ogóle cię nie znam, i nigdy wcześniej nie proponowałam tego żadnemu mężczyźnie, ale może moglibyśmy pójść... do hotelu czy coś w tym stylu? Chyba nie jestem w stanie dłużej tego opanowywać”.

Przystaję na propozycję ze znużonym uśmiechem, który zdaje się mówić „dlaczego zdarza się to za każdym razem, gdy wsiadam do pociągu”, biorę ją za rękę i prowadzę ją do najbliższego hotelu...

Ale chwileczkę. Po pierwsze, co zrobię z całym swoim bagażem? Nie mogę się przecież pokazać w hotelu z dwoma czarnymi workami na śmieci, prawda? I pozostaje też kwestia kosztów. Pieniądze, które zarobiłem, pracując tego lata, poszły już na mieszkanie, a mój czek ze stypendium przyjdzie dopiero w następnym tygodniu i chociaż nigdy wcześniej nie mieszkałem w hotelu, wiem, że nie będzie tani — czterdzieści, może pięćdziesiąt funtów — i spójrzmy prawdzie w oczy, to wszystko potrwa jakieś, no ile,

dziesięć minut, jeśli będę miał szczęście, góra piętnaście i nie chcę zbliżyć się do szczytowego momentu seksualnej przyjemności, martwiąc się o jakość za dobrą cenę. Przypuszczam, że Emily mogłaby zaproponować podzielenie się kosztami po połowie, ale będę musiał odmówić, bo w przeciwnym razie pomyśli, że jestem tani. A nawet jeśli będzie nalegać, a ja się zgodzę, będzie mi musiała dać gotówkę, i niezależnie od tego, czy zrobimy to przed czy po miłosnym akcie, z pewnością pozbawi to nasze spotkanie części melancholii i słodkiej, ale nie pozbawionej pewnej goryczy tęsknoty. Czy pomyśli, że jestem dziwny, jeśli potem zostanę, żeby wykorzystać w pełni pobyt w hotelu?

„Kochana Emily, to, jak się kochaliśmy, było zarówno piękne, jak i dziwnie bolesne. A teraz, czy mogłabyś pomóc mi wydostać ręczniki z mojego plecaka?”

A poza tym, czy to dobry pomysł, żeby od razu wskoczyć do łóżka z kimś, z kim będę studiował? A co, jeśli wzajemny seksualny pociąg stanie na przeszkodzie naszej pracy akademickiej? Prawdę powiedziawszy, może to wcale nie jest taki dobry pomysł. Może powinienem poczekać, aż poznam Emily trochę lepiej, zanim nasz związek stanie, się fizyczny?

I zanim pociąg zdąży wjechać na stację, zaczynam odczuwać ulgę, że Emily jest jedynie wytworem mojej wyobraźni.

Z wysiłkiem wynoszę swoje worki i walizkę ze stacji, znajdującej się na wzgórzu, z którego rozpościera się widok na miasto. Od czasu rozmowy kwalifikacyjnej jestem tu zaledwie drugi raz i wprawdzie nie jest to Oxford ani Cambridge, ale następny w kolejności. Ważne, że są tu iglice wież. Nostalgiczne.

PYTANIE: Jaka popularna powieść Francesa Hodgsona Burnetta, napisana w 1886 roku i od tego czasu wielokrotnie przedstawiana na deskach teatru, zapoczątkowała wśród młodych chłopców modę na długie kręcone włosy i aksamitne garnitury z koronkowymi kołnierzami?

ODPOWIEDŹ: *Maty Lord.*

Oto, co wpisałem w rubryce „Hobby i zainteresowania” w formularzu aplikacyjnym biura socjalnego: książki, kino, muzyka, teatr, pływanie, badminton, życie towarzyskie!

Lista ta oczywiście nie mówi zbyt wiele. Nie jest nawet do końca prawdziwa. „Książki” to prawda, ale wszyscy to wpisują. Podobnie „kino” i „muzyka”. „Teatr” to kłamstwo, nie cierpię teatru. Prawdę powiedziawszy, grałem w przedstawieniach, nie miałem jedynie okazji ich zbyt często oglądać, z wyjątkiem objazdowego pokazu edukacyjnego o bezpieczeństwie na drodze, który mimo iż został wykonany z rozmachem, werwą i polotem, to jednak pozostawił u mnie niedosyt pod względem doznań estetycznych. Trzeba jednak udawać, że się lubi teatr — to obowiązek. „Pływanie” też nie jest do końca prawdziwe. Potrafię pływać, ale tylko tak, jak każde tonące zwierzę. Wydawało mi się po prostu, że powinienem wpisać coś sportowego. Podobnie „badminton”. Kiedy mówię, że interesuję się badmintonem, to w rzeczywistości chcę powiedzieć, że gdyby ktoś przystawił mi do skroni pistolet i grożąc mi śmiercią, zmusił mnie do oddania się jednemu sportowemu zajęciu i nie zgodziłby się uznać scrabble za sport, to tym sportem byłby badminton. Jak trudne może

to być? „Życie towarzyskie!” to również eufemizm. „Samotny i seksualnie sfrustrowany” byłoby bardziej właściwym określeniem, ale również bardziej podejrzanym. Nawiasem mówiąc, wykrzyknik na końcu ma nadać mojej wypowiedzi beztroski i niefrasobliwy ton, w rodzaju „do licha z tym”.

Muszę więc przyznać, że nie dałem zbyt wielu wskazówek pracownikom biura socjalnego, ale to i tak nie tłumaczy, dlaczego ulokowali mnie w jednym mieszkaniu z Joshem i Marcusem.

Richmond House znajduje się w ciągu szeregowców z czerwonej cegły na szczycie bardzo stromego wzgórza nad miastem, dogodnie usytuowanym w odległości kilku kilometrów od najbliższego przystanku autobusowego, zanim więc udaje mi się tam dotrzeć, ociekam potem, a moja kurtka jest mokra. Drzwi wejściowe są już otwarte, a korytarz wypełniony jest pudłami, rowerami wyścigowymi i dwoma wiosłami, kijem do krykieta i ochraniaczami, sprzętem narciarskim, butlami tlenowymi i kombinezonem do nurkowania. Wygląda to tak, jakby ktoś zrobił skok na sklep ze sprzętem sportowym. Stawiam walizkę tuż za progiem i z rosnącym niepokojem przedostaję się przez stertę sprzętu sportowego, w poszukiwaniu swoich nowych współlokatorów.

Wspólną kuchnię oświetla świetlówka. Pachnie środkiem dezynfekującym i drożdżami. Przy zlewozmywaku dwóch chłopców, jeden potężny z blond włosami, a drugi ciemnowłosy i krępy ze szczurzą twarzą z licznymi wypryskami, napełniają przy użyciu gumowej rurki do pryszniczniczki pusty plastikowy kubek na śmieci. *She Sells Sanctuary* The Cult grzmi z radiomagnetofonu, a ja stoję przez dłuższą chwilę w progu, mówiąc: „Hej!” i „Cześć!”, wreszcie ten z blond włosami podnosi wzrok i zauważa mnie z moimi czarnymi workami na śmieci.

— Cześć! Jest śmieciarz!

Ścisza odrobinę muzykę, podbiega do mnie jak przyjazny labrador i potrząsa energicznie moją dłoń, a ja zdaję sobie sprawę, że po raz pierwszy uścisnąłem dłoń komuś w moim wieku.

— Ty musisz być Brian — wita mnie. — Ja jestem Josh, a to jest Marcus!

Marcus jest drobny i cierpi na trądzik. Wszystkie rysy zdają się zbiegać na środku jego twarzy, schowane za lotniczymi okularami, które nadają mu wygląd osoby niezdolnej do sterowania samolotem. Mierzy mnie od stóp do głów swoim szczurzym spojrzeniem, pociąga nosem i na powrót kieruje swoje zainteresowanie na plastikowy kubek. Josh jednak mówi nadal, nie czekając na odpowiedź, głosem jak z kroniki filmowej Pathe.

— Jak się tu dostałeś? Komunikacją miejską? Gdzie twoja rodzina? Czy wszystko w porządku? Dosłownie kapie z ciebie pot.

Josh ma na nogach ciżmy w kolorze burgunda, beżową aksamitną kamizelkę — prawdziwie aksamitną kamizelkę — fioletową koszulę z bufiastymi rękawami i czarne dżinsy, tak ciasne, że niemal można odgadnąć położenie każdego jądra. Ma fryzurę jak Tone, zniewieściały Wiking, oznakę zdeklarowanego metalowca, ale w tym przypadku uzupełnioną o delikatny meszek wąsa. Nadaje mu to z lekka fircykowaty, muszkieterski wygląd, jakby tylko zawieruszył gdzieś swój rapier.

— Co jest w tym kubku? — pytam.

— Piwo domowej roboty. Pomyśleliśmy, że im szybciej rozpoczniemy fermentację, tym lepiej. Oczywiście możesz się dołączyć, jeśli chcesz, podzielimy po prostu koszty na trzy...

— Rozumiem...

— Na dzisiaj to dziesięć funtów, za drożdże i koncentrat chmielu, i rurki, i beczkę, i tak dalej, ale za trzy tygodnie będziesz się delektował tradycyjnym Yorkshire Bitter w cenie sześć pensów za pół litra.

— To jak za darmo!

— Marcus i ja znamy się na pędzeniu bimbru, w internacie prowadziliśmy nielegalną destylarnię, z całkiem przyzwoitym zyskiem. Chociaż oślepiiliśmy przypadkowo kilku dochodzących łebków!

— Chodziliście do jednej szkoły?

— O tak. Jesteśmy jak bliźnięta syjamskie, prawda, Marcus? Marcus posapuje w odpowiedzi.

— Gdzie chodziłeś do szkoły?

— Na pewno nic ci to nie powie...

— Spróbuj.

—Langley Street? Nic.

—Szkoła średnia na Langley Street? Nic.

—Southend? — podpowiadam. — Essex?

— Nie! Miałeś absolutną rację, nic mi to nie mówi! Chcesz, żebym cię zaprowadził na twoje włości?

Idę za Joshem po schodach, a za nami wolno podąża Marcus. Ściany wzdłuż schodów są stalowego koloru i zdobią je jedynie instrukcje mówiące o tym, jak postępować w razie wybuchu pożaru. Mijamy ich nowe pokoje, pełne pudeł i walizek, ale nadal wyraźnie przestronne, i na końcu korytarza Josh otwiera pchnięciem drzwi do czegoś, co na pierwszy rzut oka wygląda jak cela więzienna.

— Proszę bardzo! Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko, ale rozdzieliliśmy pokoje, zanim przyjechałeś.

— Aha. Rozumiem...

— Rzucaliśmy monetą. Chcieliśmy zacząć się rozpakowywać, urządzić się, rozumiesz.

— Oczywiście! Rozumiem!

Wyczuwam, że ktoś tu wystychnął mnie na dudka, i postanawiam już nigdy nie ufać mężczyźnie w aksamitnej kamizelce. Cała sztuka polega teraz na tym, żeby zaznaczyć swoją pozycję, nie czyniąc tego w zbyt ostentacyjny sposób.

— Dość mały, prawda? — rzucam.

— No cóż, wszystkie są małe, Brian. A my naprawdę rzuciliśmy monetą szczerze.

— Jak rzuca się monetą pomiędzy trzema osobami? Cisza. Josh marszczy czoło, poruszając niemo wargami.

—Zawsze możemy rzucić jeszcze raz, jeśli nam nie wierzysz — sapie gniewnie Marcus.

—Nie, nie o to chodzi, tylko...

—No cóż, pozwolimy ci się w takim razie rozgościć. Witaj na pokładzie!

Biegną do swojego piwa domowej roboty, szepcząc coś do siebie.

Mój pokój wygląda tak, jakby właśnie przeprowadzono w nim rewizję. Panuje w nim ponura atmosfera i robi wrażenie sceny zbrodni; metalowe łóżko z materacem, szafa i biurko ze sklejki do kompletu i dwie małe drewnopodobne pułki z formiki. Wykładzina jest w kolorze brunatnobrązowym i wygląda, jakby została utkana ze zbitego owłosienia łonowego. Brudne okno nad biurkiem wychodzi na znajdujące się w dole kubły na śmieci, a oprawione w ramkę ogłoszenie informuje, że przyklejanie czegokolwiek do ścian taśmą klejącą podlega karze śmierci. No cóż, chciałem mansardę i dostałem mansardę. Lepiej zabrać się do roboty.

Najpierw rozkładam zestaw stereo i puszczam *Never for Ever*, triumfalny trzeci album Kate Bush. Pozostałe płyty ustawiam obok talerza i przez chwilę toczę ze sobą wewnętrzną walkę, który album powinien być pierwszy i widoczny po wejściu do pokoju. Eksperymentuję z *Revolver* Beatlesów, *Blue* Joni Mitchell, Dianą Ross, Supremes i Ellą Fitzgerald, zanim w końcu decyduję się na moje nowiutkie nagranie *Koncertów brandenburskich* Bacha z cyklu muzyka dla przyjemności, prawdziwie okazyjny zakup za jedyne 2,49 funta.

Następnie rozpakowuję swoje książki i eksperymentuję różne sposoby ich ułożenia na półkach z formiki; alfabetycznie według autorów, alfabetycznie według autorów, ale z podziałem tematycznym; według gatunków literackich; według narodowości; według wielkości; i w końcu i najbardziej efektywnie, według koloru — czarny klasyczny Penguin na jednym końcu, przechodzący w biały Picador na drugim, z kilkoma centymetrami zielonego Virago, którego jeszcze nie zdążyłem przeczytać, ale z pewnością to zrobię, pośrodku. Zajmuje mi to oczywiście trochę czasu i gdy kończę, jest już ciemno, ustawiam więc na biurku przegubową lampę.

Następnie postanawiam zmienić moje łóżko w futon*⁹. Chciałem zrobić coś takiego, prawdę powiedziawszy, już dość dawno, ale gdy próbowałem tego w domu, mama się ze mnie śmiała, zamierzam więc spróbować jeszcze raz, tutaj. Siłuję się z materacem, tajemniczo poplamionym i tak wilgotnym, że można na nim hodować rzeżuchę, układam go na podłodze,

⁹ * Futon — rodzaj materaca do spania, pochodzenia japońskiego.

unikając bezpośredniego kontaktu z twarzą, następnie nie bez pewnej trudności demontuję metalową ramę łóżka. Waży chyba tonę, ale w końcu udaje mi się ją schować bezpiecznie za szafę. Oczywiście oznacza to, że tracę kilka centymetrów kwadratowych jakże cennej powierzchni, ale efekt, końcowy jest tego wart — rodzaj minimalnej, kontemplacyjnej-atmosfery orientalnej, którą jedynie marginalnie zakłócają śmiałe, granatowe, czerwone i białe paski poszwy na kołdrę z British Home Stores.

Zgodnie z minimalizmem futonu w stylu zen, chcę ograniczyć dekoracje do montażu pocztówek ulubionych obrazów i zdjęć, rodzaju graficznego manifestu bohaterów i rzeczy, które lubię, na ścianie nad poduszką. Leżę na moim futonie i wyciągam taśmę klejącą; *The Death of Chatterton* Henry'ego Wallisa, *Ofelia* Mil-lais'a, *Madonna z dzieciątkiem* da Vinci, *Gwiazdzista noc* van Gogha, Edward Hopper, Marilyn Monroe w tutu spoglądająca posepnie w kamerę; James Dean w długim płaszczu w Nowym Jorku; Dustin Hoffman w *Maratończyku*; Woody Allen; zdjęcie mamy i taty śpiących na leżakach w Butlins, Charles Dickens, Karl Marx, Che Guevara, Laurence Olivier jako Hamlet, Samuel Beckett, Antoni Czechow, ja jako Jezus w przedstawieniu *God-spell* w szóstej klasie, Jack Kerouac, Burton i Taylor w *Kto się boi Virginii Woolf* i zdjęcie Spencera, Tone'a i moje na szkolnej wycieczce do Dover Castle. Spencer trochę pozuje, z głową pochyloną do przodu i na bok, wyglądając na gościa z klasą, znużonego i cholernie inteligentnego. Tone, jak zwykle, robi palcami znak V.

W końcu, tuż obok mojej poduszki, umieszczam zdjęcie taty, chudego jak szczapa i wyglądającego z lekka groźnie, niczym Pinky w *Brighton Rock*, ale na promenadzie w Southend z bu-telkapiwa i papierosem tłącym się w długich palcach jego dłoni.

Ma włosy zaczesane w czarny czub, mocno zarysowane kości policzkowe i długi cienki nos. Ubrany jest w elegancki garnitur z marynarką z niedużym kołnierzykiem, zapinaną trzy guziki. Mimo że na wpół uśmiecha się do obiektywu, nadal wygląda dość onieśmielająco. Zdjęcie zostało zrobione około 1962 roku, cztery lata przed moimi urodzinami, musiał więc być wtedy w tym samym wieku, co ja teraz. Uwielbiam tę fotografię, ale

cały czas nie mogę się pozbyć wrażenia, że gdyby mój dziewiętnastoletni tato spotkał dziewiętnastoletniego mnie na molo w Southend w tę sobotnią noc, istnieje duże prawdopodobieństwo, iż próbowałyby mnie pobić.

Ktoś puka do drzwi i odruchowo chowam taśmę za plecy. Przypuszczam, że to Josh, który przyszedł mnie poprosić o jakąś przysługę czy coś w tym stylu. Do pokoju wchodzi jednak ogromna blondynka z fryzurą wikinga i blond wąsami.

—Jak sobie radzisz? Wszystko w porządku? — pyta Josh w damskim przebraniu.

—W najlepszym.

—Dlaczego materac jest na podłodze?

—Ach, pomyślałem, że przez jakiś czas może mi służyć jako futon.

—Futon? Naprawdę? — upewnia się Josh, zasznurowując swoje pomalowane szminką wargi, jakby to był najbardziej egzotyczny pomysł, o jakim kiedykolwiek słyszał.

Uwaga brzmi całkiem komicznie, zważywszy na to, że pochodzi od mężczyzny przebranego za kobietę.

— Marcus, chodź i zobacz futon Jacksona!

Ubrany w sportową minispódniczkę i rajstopy z oczkami, ze sztuczną czarną peruką w loki na głowie, Marcus wsuwa nos do pokoju, prycha, a potem znika.

—Wychodzimy — idziesz z nami?

—Przepraszam, idę gdzie...?

—Na imprezę pod hasłem „Dziwki i klerycy”, w Kenwood Manor. Powinno być zabawnie.

—No tak, może rzeczywiście. Ale właśnie pomyślałem, żeby zostać i trochę poczytać...

—Och, nie bądź takim kujonem...

—Ale nie mam się w co ubrać...

—Masz czarną koszulę, prawda?

—Aha.

—No widzisz. Wsuń pod kołnierzyk kawałek białej tektury i jesteś gotowy. Do zobaczenia za pięć minut. Ach, i nie zapomnij o tej dziesiątce na

piwo domowej roboty, dobrze? Przy okazji, świetnie urządziłeś sobie pokój.

RS

PYTANIE: Energia wyzwalająca się pomiędzy dwoma protonami uzależniona jest od ich wzajemnego oddalenia. Jakie siły działają pomiędzy protonami, gdy odległość pomiędzy nimi jest odpowiednio: a) mała i b) średnia?

ODPOWIEDŹ: Odpychanie i przyciąganie.

Jako człowiek światowy i doświadczony wiem doskonale, że nie należy wychodzić z domu wieczorem z pustym żołądkiem. Kupuję więc na kolację torebkę frytek i niezbyt apetyczną parówkę i jem je po drodze na przyjęcie. Zaczyna coraz mocniej padać, ale staram się zjeść jak najwięcej frytek, zanim zrobią się zimne i mokre. Marcus i Josh kroczą dość pewnie przede mną w swoich szpilkach, najwyraźniej obojętni na bezlitosne spojżenia przechodniów. Przypuszczam, że widok chłopaków z dobrego domu w kobiecym przebraniu musi być jednym z nieuniknionych nieszczęść, gdy się mieszka w mieście uniwersyteckim. Bo już niedługo nadejdzie tydzień przebierańców, liście zżółkną, jaskółki polecą na południe, a pasaż wypełni się studentami medycyny przebranymi za seksowne pielęgniarce.

Po drodze Josh zarzuca mnie pytaniami.

—Co studiujesz, Brian?

—Literaturę angielską.

— Poezja, tak? Ja studiuję politykę i ekonomię, Marcus prawo. uprawiasz jakiś sport, Brian?

—Gram w scrabble — żartuję.

—Scrabble nie jest sportem — pociąga nosem Marcus.

—Nie widziałeś, jak gram — odparowuję błyskawicznie.

Jemu jednak najwyraźniej nie wydaje się to zabawne, ponieważ wykrzywia twarz w grymasie i stwierdza:

—Nieważne, jak grasz, i tak to nie jest sport.

—Oczywiście, wiem, ja tylko...

—Grasz w futbol, krykieta albo rugby? — rzuca Josh.

—Prawdę mówiąc, w nic...

—Nie jesteś więc raczej sportowcem?

—Zdecydowanie nie.

Nie mogę się oprzeć uczuciu, że jestem weryfikowany pod kątem przyjęcia do jakiegoś nienazwanego prywatnego klubu i że, niestety, nie zdaję egzaminu.

—Jak sobie radzisz ze squashem? Potrzebny j est mi partner.

—Nie gram w squasha. Czasami w badmintona.

— Badminton to gra dla dziewczyn — stwierdza Marcus, poprawiając paski w swoich butach bez pięty.

—Zrobiłeś sobie rok wolnego? — dopytuje się Josh.

—Nie...

—Byłeś gdzieś tego lata?

—Nie...

—Co robią twoi rodzice?

— Mama pracuje przy kasach w Woolworths. Tato sprzedawał podwójne okna, ale już nie żyje.

Josh ściska mi rękę i mówi: „Tak mi przykro”, chociaż nie wiadomo, czy chodzi mu o śmierć taty czy pracę mamy.

— A twoi?

— Ach, tato pracuje w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, a mama w Departamencie Transportu.

O mój Boże, jest torysem. Albo przynajmniej zakładam, że Josh jest torysem, skoro jego rodzice do nich należą to zazwyczaj dziedziczne. Jeśli chodzi o Marcusa, nie byłbym zdziwiony, gdyby się okazało, że należy do Hitlerjugend.

W końcu dochodzimy do Kenwood Manor. Unikałem akademików, ponieważ podczas dnia otwartego na uniwersytecie poinformowano mnie,

że są nieciekawe, zbiorowe i pełne chrześcijan. Rzeczywistość zdaje się je umieszczać gdzieś pomiędzy szpitalem dla umysłowo chorych a pomniejszą szkołą prywatną — długie akustyczne korytarze, podłogi z parkietu, zapach wilgotnej bielizny schnącej na letnich kaloryferach i poczucie, że coś strasznego dzieje się gdzieś w toalecie.

Odległe dudnienie Dexys Midnight Runners prowadzi nas wzdłuż korytarza do dużego, wyłożonego boazerią pomieszczenia z wysokimi oknami, gdzie już jest niewielka grupa studentów — z których jakąś jedną siódmą stanowią dziwki, a jedną trzecią klerycy, z dalszym podziałem na żeńskie i męskie dziwki, mniej więcej w stosunku jeden do jeden. Niezbyt przyjemny widok. Dobrze zbudowani mężczyźni i całkiem liczna grupa kobiet w zręcznie podartych rajstopach i wypchanych sportowymi skarpetami biustonoszach, opierający się o ściany niczym, no cóż, dziwki właśnie, podczas gdy dostojni edwardiańscy rektorzy spoglądają z rozpaczą w dół ze swoich portretów.

— Przy okazji, Bri, nie masz przypadkiem ze sobą tej dziesiątki. ..? — dopytuje Josh, marszcząc czoło. — Na piwo domowej roboty?

Nie bardzo mogę sobie na to pozwolić, oczywiście, i jest to ta dziesiątka, którą wcisnęła mi do ręki mama, ale w duchu nowej przyjaźni dają pieniądze, a Josh i Marcus uciekają ode mnie jak psy na plaży i zostawiają mnie, żebym zawarł jeszcze kilka przyjaźni na całe życie. Dochodzę do wniosku, że ogółem rzecz biorąc, na tym początkowym etapie wieczoru lepiej jest być klerykiem niż dziewczyną.

W drodze do prowizorycznego baru, stołu na kozłach, sprzedającego Red Stripe za bardzo rozsądną cenę 50 pensów za puszkę, przybieram swój mów-do-mnie-proszę wyraz twarzy, prostolinijny, niezbyt szeroki uśmiech, któremu towarzyszą delikatne skinienia głowy i pełne nadziei spojrzenia. Przy barze, czekając, aż zostanie obsłużony, stoi tyczkowaty hippis z identycznym jak mój uśmiechem wiejskiego półgłówka i co przedziwne, jeszcze gorszą cerą. Rozgląda się po sali i z piskliwym akcentem z okolic Birmingham mówi:

— Absolutne wariatkowo, prawda?

— Szaleństwo! — zgadzam się i obydwaj przewracamy oczami, jakbyśmy chcieli powiedzieć: „Ach, te dzisiejsze dzieciaki!”

Ma na imię Chris i wkrótce okazuje się, że również studiuje literaturę.

— Co za zbieżność! — wykrzykuje Chris.

Następnie zaczyna mi opisywać swój cały program egzaminów drugiego poziomu i szczegółową treść formularza UCCA*¹⁰, i wątek każdej książki, którą przeczytał w swoim życiu, polem przechodzi do opisu lata, które spędził, podróżując po Indiach, w rzeczywistym czasie i przeżywam z nim całe dnie i noce, kiwając głową i wypijając trzy puszki Red Stripe i zastanawiając się, czy jego cera rzeczywiście wygląda gorzej niż moja, gdy nagle zdaję sobie sprawę, że mój rozmówca stwierdza:

— ...i wiesz co? Przez cały ten czas ani razu nie użyłem papieru toaletowego.

— Naprawdę?

— Ależ tak. I nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek miał go jeszcze używać. Ten sposób pozostawia uczucie świeżości, a poza tym jest dużo bardziej ekologiczny.

— Więc co robisz...?

— Ach, używam po prostu ręki, a potem wiadra wody. Tej ręki!

Podsuwa mi ją pod nos.

— Możesz mi wierzyć, to dużo bardziej higieniczne.

— Ale wydawało mi się, że mówiłeś, że cały czas chorowałeś na czerwonkę.

—No tak, ale to co innego. Wszyscy chorują na czerwonkę. Postanawiam nie kontynuować tego tematu i rzucam:

—Wspaniale! No cóż, świetnie, naprawdę świetnie...

I znowu wyruszamy w podróż rozklekotanym autobusem, na nagich drewnianych ławkach, z Hajdarabadu do Bangaluru, aż gdzieś przy Erramala Hills, Red Stripe zaczyna działać i zdaję sobie z radością sprawę, że

¹⁰ * UCCA — Universities Central Council on Admissions — rada koordynująca przyjęcia na studia uniwersyteckie w Wielkiej Brytanii.

mój pęcherz jest pełen i że naprawdę mi przykro, ale muszę wyjść do toalety.

— Nigdzie nie idź, zaraz wracam, nie ruszaj się z miejsca. Gdy odchodzę, chwyta mnie za ramię, unosi na wysokość mojej twarzy swojalewudłoń i mówi ewangelicznym głosem:
— I nie zapominaj! Papier toaletowy wcale nie jest potrzebny!
Uśmiecham się i szybko odchodzę.

Gdy wracam, zdaję sobie z ulgą sprawę, że sobie poszedł, więc siadam na brzegu drewnianej sceny, obok niedużej, schludnej kobiety, nie przebranej ani za dziwkę, ani za kleryka, ale za członka młodzieżowej sekcji KGB — ciężki czarny płaszcz, czarne rajstopy, krótka dzinsowa spódnica i czarna czapka w sowieckim stylu, zsunięta do tyłu, odsłaniając czarną, postawioną na sztorc, błyszczącą od wazeliny grzywkę. Posyłam jej pytający uśmiech w rodzaju „pozwolisz, że usiądę?”, na co ona odpowiada uśmiechem zdającym się mówić „tak, proszę, zostaw mnie w spokoju”. Jest to wąski, mały grymas, odsłaniający przelotnie maluteńkie, ostre, białe ząbki, wszystkie tej samej wielkości, pod absurdalnym maź-nięciem purpurowej szminki. Powinienem prawdopodobnie po prostu sobie pójść, oczywiście, ale piwo sprawiło, że czuję się nieustraszony i jestem przesadnie towarzyski, siadam więc mimo wszystko obok niej. Nawet poprzez bulgoczące basy *Two Tribes* słysząc, jak ściągają się jej mięśnie twarzy.

Po chwili odwracam się i spoglądam na nią Pali skręta, wypuszczając nerwowo małe obłoczki dymu, i patrzy z uporem na parkiet. Mam dwie możliwości, odezwać się albo sobie pójść. Może spróbuję się odezwać.

— Cała ironia polega na tym, że naprawdę j jestem klerykiem! Brak odpowiedzi.

— Nie widziałem tylu prostytutek od czasu moich szesnastych urodzin. Brak odpowiedzi. Może mnie nie słyszała. Proponuję jej łyk mojego Red Stripe z puszki.

— Jesteś bardzo uprzejmy. Nie skorzystam jednak, bardzo dziękuję.

To mówiąc, podnosi stojącą z boku puszkę i macha nią w moim kierunku. Jej akcent idealnie pasuje do twarzy, twardy i ostry, wydaje mi się, że szkocki, z okolic Glasgow.

—Więc za kogo jesteś przebrana? pytam radośnie wskazując na jej strój.

—Za normalną osobę — odpowiada bez uśmiechu.

—Mogłaś się przynajmniej postarać, nałożyć koloratkę czy coś takiego!

—Może. Tyle że jestem żydówką. Wypija łyk ze swojej puszeki. — To śmieszne, ale bale przebierańców nigdy naprawdę nie zdobyły popularności wśród społeczności żydowskiej.

—Wiesz, czasami chciałbym być żydem — rzucam.

Jako taktyka konwersacyjna, zdaję sobie sprawę, to dość odważne zagranie i nie jestem do końca pewien, dlaczego to mówię. Częściowo dlatego, że uważam, iż należy rozmawiać otwarcie o kwestiach rasy, płci i tożsamości, a również dlatego, że na obecnym etapie jestem już dość wstawiony.

Mruży oczy i przygląda mi się przez chwilę spojrzeniem z włoskiego westernu, zaciągając się słym skrzem, zastanawiając się, czy ma się obrazić, czy nie, następnie mówi cicho:

— Doprawdy?

—Przepraszam, nie chciałem, żeby zabrzmiało to rasistowsko, chciałem tylko powiedzieć, że wielu moich bohaterów to żydzi, więc...

—Cóż, cieszę się, że moi ludzie zyskują twoją aprobatę. Jakich wobec tego bohaterów masz na myśli?

—Ach, no wiesz, Einstein, Freud, Marx...

—Karl czy Groucho?

— Jeden i drugi. Arthur Miller, Lenny Bruce, Woody Allen, Dustin Hoffman, Philip Roth...

—Jezus oczywiście...

—...Stanley Kubrick, Freud, J.D. Salinger...

—Ściśle mówiąc, Salinger nie jest żydem.

—Ależ jest.

—Możesz mi wierzyć, nie jest.

—Jesteś pewna?

—My wiemy — my to wyczuwamy.

—Ale to żydowskie nazwisko.

—Jego ojciec był żydem, jego matka była katoliczką, więc technicznie rzecz biorąc, nie jest żydem. Żydowskie pochodzenie przekazywane jest w linii żeńskiej.

—Nie wiedziałem.

—No widzisz, początki twojej uniwersyteckiej edukacji.

Wraca następnie do gniewnego spoglądania na parkiet, obecnie zatłoczonego dziwkami kuśtykającymi w takt muzyki. To dość posepny widok, niczym nowo odkryty krąg piekła i dziewczyna przygląda mu się z jawną pogardą jakby czekała na wybuch bomby, którą sama podłożyła.

— Chryste, czy ty widzisz tę zgraję — wzdycha przeciągle znudzonym głosem, podczas gdy *Two Tribes* przechodzi płynnie w *Relax*. — Frankie śpiewa: „Nie mam zasranego pojęcia...”

Stwierdzając, że znudzony światem cynizm jest w tym przypadku najlepszym rozwiązaniem, dokładam starań, aby zachichotać tak, żeby mnie usłyszała. W odpowiedzi zwraca się do mnie z półuśmiechem.

— Wiesz, jakie jest największe osiągnięcie angielskiej szkoły z internatem? Pokolenia chłopców z włosami w strąkach, którzy potrafią nałożyć pas do pończoch. Najbardziej zdumiewające jest to, ilu z was przyjeżdża na uniwersytet z damskimi strojami w walizce.

Z was?

—Prawdę powiedziawszy, chodziłem do powszechnej szkoły średniej — wyjaśniam.

—No cóż, prawdziwy z ciebie zuch. Wiesz, jesteś szóstą osobą od której to słyszę dzisiejszego wieczoru. Zastanawiam się, czy to jakiś dziwaczny lewicowy sposób na podryw? Czym mam być bardziej zachwycona? Naszym systemem szkolnictwa? Czy też twoimi heroicznymi osiągnięciami akademickimi?

Jeśli coś wiem, to to, kiedy zostałem pokonany, biorę więc swoją prawie pełną puszkę piwa i macham nią w powietrzu, jakby była pusta.

—Idę do baru, czy coś ci przynieść, hm...

—Rebecca.

—...Rebecca?

—Nie, dziękuję.

— W porządku. No cóż. Do zobaczenia. Przy okazji, jestem Brian.

—Do widzenia, Brian.

—Cześć, Rebecca.

Mam zamiar podejść do baru, ale zauważam Chrisa hippisa, który zdaje się czyhać na kolejną okazję, z ręką zanurzoną po łokieć w dużej torbie chipsów, wychodzę więc z sali i postanawiam się przejść.

Wędruję wzdłuż wyłożonego drewnianą boazerią korytarza, gdzie ostatnia partia studentów żegna się z rodzicami przy dźwiękach *Legend* Boba Marleya. Jedna dziewczyna szlocha w ramionach swojej szlochającej matki, podczas gdy jej zniecierpliwiony ojciec stoi sztywno obok, ściskając w dłoni mały zwitek banknotów. Tyczkowaty, zawstydzony i ubrany na czarno got z pokaźnych rozmiarów aparatem na zębach, niemal wypycha swoich rodziców z pokoju, żeby mógł się spokojnie zająć poważną sprawą przyzwolenia ludzkości na poznanie jego mrocznej i skomplikowanej natury, która tkwi za całym tym metalem i plastikiem. Inni nowo przybyli przedstawiają się najbliższym sąsiadom, wygłaszając swe skrócone życiorysy. Kierunek studiów, miejsce urodzin, oceny z egzaminów, ulubiony zespół, najstraszniejsze przeżycie z dzieciństwa. To rodzaj uprzejmej, zarezerwowanej dla klasy średniej wersji sceny z filmów wojennych, gdy nowi, młodzi rekruci przybywają do baraków i pokazują sobie wzajemnie zdjęcia swoich dziewczyn, które zostały w domu.

Zatrzymuję się przy tablicy ogłoszeń stowarzyszenia studentów, sączę swoje piwo i przyglądam się od niechcienia plakatom — perkusja do kupienia, wezwanie do bojkotowania Barclays, nieaktualne ogłoszenie o spotkaniu rewolucyjnej partii komunistycznej w celu poparcia górników, przesłuchania do *Pirates Of Penzance*. Odnotowuję, że Self Inflicted i Meet

Your Feet grają we Frog and Frigate w najbliższy wtorek. I właśnie wtedy go zauważam.

Na tablicy ogłoszeń jasnoczerwona kopia plakatu formatu A4 informuje:

Pierwsze za dziesięć, dla Ciebie!

Odróżniasz Sofoklesa od Sokratesa? *Ursa Minor* od Lee Majors*¹¹?
Carpe diem od *habeas corpus*?

Wydaje ci się, że jesteś gotowy rzucić wyzwanie wielkim tego świata?

W takim razie zapraszamy na przesłuchanie do *University Challenge* Kwalifikacja na podstawie krótkiego (i zabawnego!) egzaminu pisemnego Piątek, w porze lunchu, punktualnie o 13.00. Stowarzyszenie studentów, sala 6.

Wymagane zaangażowanie. Dziękujemy leniom i cwaniakom. *Oczekujemy zgłoszeń wyłącznie od nieprzeciętnych umysłów.*

A więc jest. To, na co czekałem. *Challenge.*

¹¹ * Lee Majors (ur. 1939) — współczesny amerykański reżyser i aktor.

PYTANIE: Który czarnoskóry amerykański artysta, który sam się ogłosił „najbardziej pracowitym człowiekiem show-biznesu” i pionier muzyki funk, znany jest powszechnie jako „ojciec chrzestny soulu”?

ODPOWIEDŹ: James Brown.

Najbardziej zawsze uderzały mnie ich fryzury; ogromne, nieprawdopodobne fale cienkich włosów, jak spalona słońcem pszenica; opadające zasłony jedwabistej grzywy; bokobrody jak z niedzielnych przedstawień kostiumowych w porze herbatki. Tato wpadał w furję, gdy widział w Top of the Pops coś innego niż krótko obcięte boki i tył, ale gdy ktoś się dostał do *University Challenge*, zyskiwał wtedy prawo do każdej cholernej fryzury, na jaką się miało ochotę. To było tak, jakby nie mogli na to nic poradzić, jakby te szalone włosy były zewnętrzną manifestacją całego tego niesamowitego, nie dającego się opanować nadmiaru intelektualnej energii. To tak jak z szalonym naukowcem — nie można być superinteligentnym i nadal oczekiwać, że będzie się miało ułożone włosy albo dobry wzrok, albo umiejętność dbania o higienę ciała i estetyczny ubiór.

I ubrania; nieprzenikniona staroangielska tradycja szkarłatnych tóg połączonych ze świadomie szalonymi krawatami w szerokie ukośne pasy, zdające się nie mieć końca ręcznie dziergane szale, kamizele z afganu. Oczywiście, gdy jest się dzieciakiem oglądającym telewizję, każdy wydaje się stary i z retrospekcji przypuszczam, że musieli być młodzi, technicznie, licząc w latach ziemskich, ale jeśli naprawdę mieli dwadzieścia lat, to w takim razie wyglądali na sześćdziesiąt dwa. Z pewnością nic w ich twarzach nie sugerowało młodości albo wigoru czy zdrowia. Byli natomiast zmęczeni, mieli ziemistą cerę i zatroskane twarze, jakby siłowanie się z całym tym bagażem wiadomości — okres połowicznego rozpadu trytu, pochodzenie terminu *emi-nence grise*, dwadzieścia pierwszych liczb doskonałych, układ rymów sonetu Petrarcki — zebrało straszne fizyczne żniwo.

Oczywiście razem z tatą rzadko udawało się nam podać właściwą odpowiedź, ale nie o to chodziło. Rzecz nie tkwiła w drobiazgach — nie w uczuciu samozadowolenia i przekonania o własnej nieomyślności, ale w uczuciu pokory wobec całego ogromnego wszechświata spraw, o których nie miało się najmniejszego pojęcia; istota polegała na oglądaniu z podziwem, ponieważ razem z tatą naprawdę wydawało się nam, że te dziwne osoby wiedzą wszystko. Zadaj jakiegokolwiek pytanie — ile waży słońce? Dlaczego tu jesteśmy? Czy wszechświat jest nieskończony? Na czym polega tajemnica prawdziwego szczęścia? — i nawet jeśli nie od razu znali odpowiedź, mogli się naradzać, szepcząc do siebie przyciszonym, lekko świszczącym głosem, i znaleźć coś, co nawet jeśli nie do końca było prawdziwe, to jednak wydawało się całkiem niezłą próbą podania właściwej odpowiedzi.

I nie miało znaczenia, że zawodnicy wyraźnie odstawali od społeczeństwa albo że byli trochę niechlujni czy poplamieni, albo że byli starzejącymi się dziewczycami, albo w niektórych przypadkach byli najnormalniej dziwni, chodziło o to, że istnieje gdzieś miejsce, gdzie ludzie naprawdę to wszystko wiedzą i kochają to wiedzieć, i że z pasją zdobywają tę wiedzę i uważają, że to ważne i warte zachodu, i że tato powiedział, że pewnego dnia, jeśli będę bardzo ciężko pracował, to naprawdę może mi się udać tam dostać...

— Zastanawiasz się, czy masz szanse? — pyta. Odwracam się i przysięgam, jest taka piękna, że nieomal upuszczam puszkę piwa.

— Zastanawiasz się, czy masz szanse?

Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek stał tak blisko czegoś tak pięknego. Jest oczywiście piękno w książkach albo w obrazach, albo w krajobrazie, tak jak na tej wycieczce z geografii na Isle of Purbeck, wydaje mi się jednak, że do tej chwili nigdy nie doświadczyłem prawdziwego piękna, nie w rzeczywistej, ciepłej, miękkiej istocie ludzkiej, której można dotknąć, przynajmniej leoretycznie. Jest taka doskonała, że na jej widok przechodzi mnie dreszcz. Mięśnie w piersi napinają się i muszę sobie przypomnieć, żeby oddychać. Wiem, że zabrzmiało to jak straszna hiperbola, ale naprawdę wygląda jak młoda Kate Bush, z blond włosami.

— Zastanawiasz się, czy masz szanse? — powtarza.

— Hmm? — ripostuję błyskotliwie.

— Wydaje ci się, że dałbyś radę? — mówi, wskazując ruchem głowy na plakat.

Szybko, powiedz coś dowcipnego.

— Ppprych — żartuję, a ona uśmiecha się do mnie ze współczuciem, jak miła siostra uśmiechająca się do człowieka słonia.

— W takim razie do zobaczenia jutro — rzuca na pożegnanie i odchodzi.

Jest w przebraniu, ale bardzo zręcznym. Z ogromnym sprytem, pewnością siebie i smakiem zdecydowała się na ekskluzywną wersję francuskiej dziwki — obcisły top w czarno-białe paski, szeroki, czarny, elastyczny pasek baletnicy, czarna wąska długa prosta spódnica i rajstopy kabaretki. A może pończochy? Pończochy czy rajstopy, pończochy czy rajstopy, pończochy czy rajstopy...

Idę za nią korytarzem, w przyzwoitej, bezpiecznej odległości i przysięgam, że wykonuje miarowy spacer, niczym Monroe wylaniająca się

z obłoków pary w *Pół żartem, pół serio*, pończochy czy rajstopy, pończochy czy rajstopy, i gdy tak mija kolejne drzwi do pokoi, wychylają się z nich mieszkańcy i mówią: hej i cześć, i co słysząc, i świetnie wyglądasz. Ale ona może tu być zaledwie jakieś osiem godzin, najwyżej jeden dzień, więc jak to możliwe, że zdaje się znać wszystkich?

Następnie wchodzi na salę, przechodzi przez tłum gapiących się na nią kleryków i kieruje się w stronę małej grupki dziewcząt na skraju parkietu. To rodzaj twardych, ładnych, modnych dziewcząt, które zawsze znajdują swoje towarzystwo, a potem trzymają się razem. DJ gra *Tainted Love* i wydaje się, że atmosfera na sali zrobiła się bardziej mroczna, drapieżna i dekadencja, i jeśli nawet nie jest to Republika Weimarska*¹², to co najmniej *Kabaret**¹³ w wykonaniu abiturientów z East Sussex. Stoję w mroku i obserwuję. Będę potrzebował całego swojego intelektu, jeśli mam to zrobić dobrze, i również trochę więcej piwa. Idę i kupuję puszkę numer sześć. A może to numer siedem? Nie jestem pewien. Ale to bez znaczenia.

Wracam pośpiesznie, bojąc się, że mogła gdzieś pójść, ale nadal stoi na skraju parkietu w towarzystwie swoich czterech koleżanek, śmiejąc się i żartując, jakby znała je przez całe życie, a nie całe popołudnie. Staram się nadać mojej twarzy wyraz lekko kpiarskiego, lekko rozbawionego znudzenia i robię kilka próbnymi wypadów, przechodząc blisko niej z nonszalancką miną, w nadziei że napotka mój wzrok, chwyci mnie za łokieć i poprosi: „Opowiedz mi o sobie wszystko, fascynująca istota”. Nic takiego nie robi, więc postanawiam przejść obok niej jeszcze raz. Powtarzam to czternaście albo piętnaście razy, ale mnie nie zauważa, postanawiam więc zastosować bardziej bezpośrednią metodę. Podchodzę i staję za nią.

Stoję za nią przez całą wydłużoną wersję *Blue Monday* New Order. W końcu jedna z jej koleżanek, dziewczyna z trójkątną twarzą, wąskimi ustami, kocimi oczami i krótkimi tlenionymi włosami zauważa moje spojrzenie

¹² * Republika Weimarska — Rzesza Niemiecka w latach 1919-1933, po zniesieniu monarchii i ustanowieniu republiki burżuazyjno- demokratycznej.

¹³ * *Kabaret* — sztuka teatralna w reżyserii Boba Fosse'a (1972), której akcja rozgrywa się w Berlinie w czasach Republiki Weimarskiej.

i instynktownie kładzie dłoń na torebce, jakby myślała, że przyszedłem tam z zamiarem skradzenia czyjejś portmonetki. Uśmiecham się więc uspokajająco, a ona zaczyna rozglądać się niespokojnie po swoich towarzyszkach i zapewne wydaje z siebie wysoki ostrzegawczy sygnał, czy coś w tym rodzaju, ponieważ w końcu cała grupa odwraca się i spogląda na mnie, i nagle Kate Bush z blond włosami jest tuż obok mnie, a jej piękna twarz odalona jest od mojej o zaledwie kilka centymetrów. Mój intelekt mnie nie zawodzi, więc, żałośnie, wołam:

— Cześć!

To intryguje ją znacznie mniej, niż oczekiwałem, ponieważ odpowiada jedynie:

— Hej.

Następnie zaczyna odwracać się do mnie plecami.

— Spotkaliśmy się? Przed chwilą? Na korytarzu? — bełkoczę. Patrzy na mnie całkowicie zaskoczona. Pomimo całej ilości płynów, które wypilem, czuję, że moje usta są suche i lepkie, jakby moja ślina została zagęszczona mąką kukurydzianą, oblizuję jednak usta i mówię:

— Pytałaś mnie, czy wydaje mi się, że dałbym radę? W *University Challenge!*

— O tak — odpowiada i odwraca się znowu.

Jej koleżanki jednak rozpierzchły się, wyczuwając napięcie, i zostaliśmy w końcu sami, jak chciał los.

— Najzabawniejsze, że ja naprawdę jestem klerykiem! — rzucam.

— Proszę?

Pochyla się w moją stronę, a ja korzystam z okazji, by przyłożyć dłoń do jej ucha, i pozwalam, aby otarła się o jej śliczną głowę.

—Prawdę powiedziawszy, jestem klerykiem! —krzyczę.

—Naprawdę?

—Co?

—Klerykiem?

—Nie, nie jestem klerykiem.

—Wydawało mi się, że mówiłeś, że jesteś klerykiem?

—Nie, nie jestem...

—To co w takim razie mówiłeś?

—No tak, to znaczy tak, mówiłem, że jestem, klerykiem, ale ja tylko żartowałem!

—Ach, przepraszam, nie rozum...

—Przy okazji, jestem Brian! Nie panikuj...

—Cześć, Brian...

I zaczyna się rozglądać za swoimi koleżankami. Mów dalej, mów dalej...

—Czy myślisz, że wyglądam jak kleryk?! — wołam.

—Nie wiem, być może, trochę...

— Ach! No tak! Cóż, dziękuję! Bardzo ci dziękuję!

Próbuję teraz udawanego oburzenia, z rękami skrzyżowanymi na piersi, usiłując sprawić, żeby się roześmiała, żeby wywiązała się pomiędzy nami jakaś beztroska, dowcipna rozmowa.

— Kleryk, tak! No cóż, bardzo ci dziękuję! W takim razie ty wyglądasz jak... jak prawdziwa... prawdziwa dziwka!

— Przepraszam?

Musiła mnie nie usłyszeć, ponieważ się nie śmieje, podnoszę więc głos.

— Dziwka! Wyglądasz jak prostytutka! Ale luksusowa prostytutka...

Uśmiecha się do mnie, jednym z tych bardzo nikłych, subtelnych uśmiechów, które przypominają pogardę, i mówi:

—Wybacz, Gary, muszę natychmiast skorzystać z toalety...

—OK, do zobaczenia!

Ale jej już nie ma, a mnie pozostaje niejasne uczucie, że sprawy mogły się potoczyć lepiej. Może się obraziła, chociaż najwyraźniej mówiłem żartobliwym tonem. Ale skąd ma wiedzieć, że to żartobliwy ton, jeśli nie zna mojego zwykłego głosu? Może teraz myśli po prostu, że mam zabawny głos? I kto to, u licha, jest Gary? Stoję i obserwuję ją, jak oddala się w stronę toalet, tyle że dochodzi jedynie do parkietu, gdzie się zatrzymuje i szepcze coś na ucho drugiej dziewczynie, po czym obydwie się śmieją. Nie musi więc skorzystać z toalety. Toaleta była jedynie wymówką.

Potem zaczyna tańczyć. GrajaXove *Cats The Cure*, a ona interpretując piosenkę w dowcipny i celny sposób, zaczyna tańczyć trochę jak kot, znużony, wyniosły i zwinny, wyrzucając od czasu do czasu jedną rękę nad głowę, jak, no cóż, jak koci ogon! Jest najbardziej zachwycającą tancerką na świecie! Teraz unosi dłonie tuż pod podbródek, jak kocie łapy, i jest tytułowym kotem, i jest tak cudownie, cudownie, cudownie, cudownie piękna, i do głowy przychodzi mi pomysł, plan tak doskonały w swojej prostocie, a jednocześnie tak genialny i niezawodny, że nie mogę uwierzyć, iż nie wpadłem na to wcześniej.

Taniec! Uwiodę ją za pośrednictwem tańca nowoczesnego.

Zmienia się płyta i słuchamy *Sex Machine* Jamesa Browna, co mi odpowiada, ponieważ mam ochotę ruszyć i stać się seks--maszyną, teraz, jeśli mam być całkiem szczery. Ostrożnie stawiam puszkę Red Stripe na podłodze, gdzie natychmiast ktoś ją przewraca, ale zupełnie mi to nie przeszkadza i nie ma żadnego znaczenia. Nie będzie mi potrzebna, tam gdzie się wybieram. Zaczynam wykonywać rozgrzewające ruchy na skraju parkietu, najpierw trochę nieśmiało, ale jestem zadowolony, że ubrałem swoje półbuty, nie Green Flash*¹⁴, ponieważ płaskie podeszwy ślizgają się przyjemnie na parkiecie, sprawiając, że moje nogi są giętkie i nieskrępowane. Potem, najpierw ostrożnie, jakbym był na tafli lodowiska, trzymając się blisko ścian, uważnie wchodzę na parkiet i powoli, powoli podchodzę do niej.

Tańczy ponownie w swojej małej pięcioosobowej grupce, w szczelnie zamkniętym kręgu, na podobieństwo tych niepokonanych formacji obronnych, jakich używała rzymska piechota, aby odeprzeć barbarzyńców. Dziewczyna z kocimi oczami zauważa mnie pierwsza, wydaje z siebie wysoki ostrzegawczy sygnał, i Kate Bush z blond włosami przerywa flanki, odwraca się i spostrzega mnie, i spogląda mi w oczy, i ja odbieram sygnał, i muzyka wypełnia moje ciało, i tańczę jak nigdy przedtem.

Tańczę, jakby to była sprawa życia i śmierci, przygryzając uwodzicielsko dolną wargę, zarówno w geście erotycznego symbolu, jak również

¹⁴ * Green Flash — rodzaj sportowego płóciennego obuwia na gumowej podeszwie.

by wspomóc koncentrację, i patrząc jej prosto w oczy, rzucając jej wyzwanie, rzucając jej po prostu wyzwanie, by odwróciła wzrok. Co czyni. Ruchem ślizgowym obracam się więc, z powrotem na linię jej wzroku, i idę na całość.

Tańczę, jakbym miał na stopach czerwone trzewiczki, a potem myślę, że może miałem rację, może to ze względu na te slipy, slipy, które dała mi mama, czerwone slipki, bez względu jednak na powód tańczę jak James Brown, mam funk i soul, i nowiuteńką torbę, jestem najciężej pracującym człowiekiem w show--biznesie, jestem maszyną stworzoną wyłącznie do uprawiania seksu, ślizgającą się i kręcącą się pod kątem 360, 720 stopni, a raz nawet 810 stopni, w efekcie czego j jestem zwrócony twarzą w złą stronę i chwilowo tracę orientację, ale to nie szkodzi, ponieważ James Brown mówi: „Wejdz na most”, więc to robię, wchodzę na most, gdziekolwiek to jest, i w drodze na most moja dłoń unosi się do szyi i zrywa koloratkę z białego kartonu, w geście słusznej pogardy dla zorganizowanej religii, i ciszam koloratkę z białego kartonu na podłogę, na środek grupki ludzi, którzy utworzyli teraz wokół mnie koło i klaszczą, i śmieją się, i wskazują na mnie z uznaniem i podziwem, jak kręcę się i schylam, i dotykam podłogi, a mój sweter fruwa za mną. Okulary zaparowały mi trochę, więc nie widzę pośród nich twarzy Kate Bush, jedynie przelotnie tę sarkastyczną ciemnowłosą żydówkę, Rebeccę jakąś tam, ale teraz jest już za późno, żebym mógł przestać tańczyć, ponieważ James Brown prosi mnie, żebym potrząsnął swoją maszynką do pieniędzy, swoją maszynką do pieniędzy, i muszę się przez chwilę zastanowić, ponieważ nie jestem pewien, co dokładnie jest moją maszynką do pieniędzy. Moja głowa? Nie, mój tyłek, oczywiście, więc potrząsam nim najlepiej jak umiem, namaszczając zgromadzony wokół mnie tłum potem, jak mokry pies, a potem nagle rozlega się ostry dźwięk Irąbki i piosenka się kończy, i ja też.

Jestem.

Wykończony.

Rozglądam się w poszukiwaniu jej twarzy w rozbawionym tłumie, ale z pewnością jej tam nie ma. Wszystko w porządku. Ważne, że udało mi się

zrobić wrażenie. Nasze drogi ponownie się skrzyżują, jutro, trzynasta zero zero, na przesłuchaniu do *Challenge*.

Zaczynają się teraz ironiczne, wolne kawałki, jakby z lekkim przy-mrużeniem oka, *Careless Whisper*, wszyscy są jednak albo zbyt oficjalni, albo zbyt pijani, żeby tańczyć, więc stwierdzam, że już czas wracać do domu. Wychodząc, skręcam na chwilę z korytarza do toalety i ścieram ręką swetra lepki pot z okularów, żeby lepiej przyglądać się mojej twarzy w lustrach nad pisuarami. Koszula przykleiła mi się do spoconego ciała i jest rozpięta aż po pępek, a włosy są zmierzwione i przylegają mi do czoła. Cała krew napłynęła mi do głowy, a szczególnie do moich wyprysków, ale mimo to uważam, że ogólnie rzecz biorąc, wyglądam całkiem nieźle. Pomieszczenie kręci się, więc opieram czoło o lustro przede mną żeby się nie ruszało, podczas gdy sikam. Wtedy rozlega się odgłos spuszczonej w toalecie wody i wychodzą z niej dwie „dziwki”, jedna kobieta z moką twarzą poprawiająca sportową minispódniczkę, a druga z szerokimi ramionami, w typie gracza w rugby. Obydwoje mają rozmazaną na twarzy szminkę. Spoglądają na mnie odważnie, w oczekiwaniu, że powiem coś krytycznego, ale mnie przepełnia euforia i pasja, i miłość do czystej, radosnej beztroski młodości, więc uśmiecham się do nich lekko zamroczony.

— Cała ironia polega na tym, że ja naprawdę jestem klerykiem! — rzucam.

— Ach, odpieprz się — odpowiada mężczyzna.

PYTANIE: Księga IX *Preludium* Wordswortha zawiera wezwanie: „Jakim błogosławieństwem żyć było o tym świecie...”?

ODPOWIEDŹ: „Być młodym jednak jeszcze bardziej niebiańskim przeżyciem”.

W zestawieniu z nowymi porankami, ten jeden jest przygnębiająco podobny do poprzednich.

To nie jest nawet poranek, jest 10.26. Myślałem, że w pierwszym dniu mojego pobytu tutaj obudzę się pełen energii, mądrości i akademickiego wigoru, w zamian jednak czuję to, co zwykle: wstyd, pogardę dla samego siebie i nudności, mam też niejasne uczucie, że przebudzenie nie musi zawsze tak właśnie wyglądać.

Jestem też niezadowolony, bo najwyraźniej w czasie gdy spałem, ktoś wszedł do mojego pokoju, położył mi na ustach filc i stanął mi kilka razy na głowie. Poruszanie się sprawia mi pewną trudność, leżę więc przez chwilę i liczę, ile razy szedłem spać pijany. W rezultacie otrzymuję przybliżoną liczbę 103. I byłaby większa, gdyby nie niedawne zapalenie migdałków. Rozważam przez chwilę myśl, że może jestem alkoholikiem. Przytrafia mi się to od czasu do czasu, potrzeba określenia się w jakiś sposób, i w różnych momentach życia zastanawiałem się, czy jestem gotem, homoseksualistą, żydem, katolikiem czy też cierpię na zespół mania-kalno-depresyjny, czy jestem adoptowany, czy też mam dziurę w sercu, czy posiadam umiejętność przenoszenia sprzętów siłą woli, i zawsze, ku ogromnemu rozczarowaniu, dochodziłem do wniosku, że nie. Sęk w tym, że w rzeczywistości nie jestem nikim szczególnym. Nie jestem nawet sierotą, nie w dosłownym znaczeniu, ale „alkoholik” jak do tej pory wydaje

się najbardziej sensowny. Jakiego innego określenia można użyć w stosunku do osoby, która każdej nocy kładzie się do łóżka pijana? Alkoholizm jednak nie jest chyba najgorszą rzeczą na świecie; co najmniej połowa ludzi na pocztówkach na ścianie nad moją głową to alkoholicy. Cała sztuka polega na tym, żeby być alkoholikiem, nie pozwalając na to, żeby wpłynęło to negatywnie na twoje zachowanie czy też osiągnięcia akademickie.

Albo może przeczytałem zbyt wiele powieści. W powieściach alkoholicy są zawsze atrakcyjni i zabawni, i czarujący, i skomplikowani, jak Sebastian Flyte i Abe North w *Czuła jest noc*, i piją z powodu głębokiego, nieutulonego smutku duszy i strasznej spuścizny drugiej wojny światowej, podczas gdy ja się upijam, ponieważ chce mi się pić i lubię smak piwa, i jestem takim idiotą że nie wiem, kiedy przestać. Nie mogę przecież powiedzieć, że to wszystko przez bitwę o Falklandy.

I z pewnością pachnę jak alkoholik. Po niecałych dwudziestu czterech godzinach nowy pokój zaczął śmierdzieć. To ten chłopięcy zapach, o którym mówiła mama — ciepły i słonawy, trochę jak nadgarstek pod paskiem zegarka po wewnętrznej stronie. Skąd się bierze? Czy mi po prostu towarzyszy? Siadając na materacu, znajduję na podłodze moją koszulę z poprzedniej nocy, nadal przesiąkniętą potem. Nawet sweter jest wilgotny. Wspomnienie ostatniego wieczoru, przelotny obraz, dociera do mojej świadomości... coś jakby... taniec? Kładę się z powrotem i naciągam na głowę kołdrę.

W końcu do wstania zmusza mnie futon. W czasie nocy najwyraźniej się skurczył i pod plecami czuję twardą zimną podłogę. Teraz jest to niczym leżenie na dużym wilgotnym ręczniku, który przez kilka tygodni tkwił zapomniany w plastikowej torbie. Siadam na brzegu, z kolanami wysoko pod brodą, i szukam w kieszeniach portfela. Znajduję go, ale zawiera niepokojąco małą sumę pięciu funtów i osiemnastu pensów. Musi mi to wystarczyć do najbliższego poniedziałku, na trzy dni. Ile piwa wypilem faktycznie ostatniej nocy? I, o Boże, znowu wraca, stłumione wspomnienie, wydostające się na powierzchnię jak pierdnięcie w wannie. Taniec. Pamiętam, że tańczyłem, otoczony grupką ludzi. Coś tu się jednak nie zgadza,

ponieważ zazwyczaj tańczę jak w płasawicy*¹⁵, a ci ludzie się uśmiechali i bili brawo.

I wtedy dociera to do mnie, z przerażającą jasnością świadomość, że ich aplauz był ironiczny.

Budynek stowarzyszenia studentów jest ostentacyjnie brzydkim, zniszczonym przez deszcze betonowym kłocem, tkwiącym pośród tarasowej zabudowy uporządkowanych georgiańskich domów, niczym zepsuty ząb. Dzisiejszego ranka wylewają się i wlewają przez obrotowe drzwi tłumy ludzi, pojedynczo i w niedużych zwartych grupkach ze swoimi najlepszymi przyjaciółmi poznanymi wczoraj, ponieważ jest ostatni dzień tygodnia adaptacyjnego, a wykłady zaczynają się dopiero w poniedziałek. Dzisiaj za to mamy możliwość zapisania się do wszelkiego rodzaju kół.

Zapisuję się do koła francuskiego, koła filmowego, koła literackiego, koła poetyckiego i sekcji pisarskiej wszystkich trzech studenckich magazynów: „Scribbler” o profilu literackim, prześmiewczego i obrazoburczego „Tattle” i zaangażowanego, walczącego i lewicowego „By Lines”. Zapisuję się do koła ciemni („Dołącz do nas i zobacz, co uda się nam wywołać!”), mimo że nie mam aparatu. Następnie zastanawiam się nad wstąpieniem do koła feministycznego, ale w kolejce do ich stolika na kozłach obrzuca mnie konfrontacyjnym spojrzeniem sobowtór Gertrudy Stein i zaczynam się zastanawiać, czy wstąpienie do koła feministycznego nie jest lekką przesadą. Popeliłem już kiedyś ten błąd, na szkolnej wycieczce do Victoria and Albert Museum, gdy kierując się napisem „Kobiety” — przekonany, że prowadzi na wystawę poświęconą zmieniającej się roli kobiet w społeczeństwie — nieświadomie ustawiłem się w kolejce do damskiej toalety. Ostatecznie postanawiam zrezygnować z koła feministycznego, bo chociaż

¹⁵ * Płasawica — inaczej taniec św. Wita, choroba ośrodkowego układu nerwowego charakteryzująca się występowaniem ruchów mimowolnych i brakiem koordynacji ruchów dowolnych, nazwana tak od św. Wita, żyjącego w III wieku patrona chorujących na tę chorobę.

zdecydowanie popieram ruch wyzwolenia kobiet, nie jestem do końca pewien, że nie chcę tam wstąpić, by dzięki temu poznać więcej dziewcząt.

Mijam pośpiesznie świeże twarze i pastelowe bluzy koła badmintonu, na wypadek gdyby ktoś chciał przypomnieć mi moje deklaracje, potem macham do Josha, otoczonego kolegami w kolejce do jakiegoś absolutnie snobistycznego koła—jazda na nartach i picie, i molestowanie kobiet, i skrajnie prawicowe poglądy.

Postanawiam też nie wstępować do koła teatralnego. Podobnie jak koło feministyczne jest to całkiem niezły sposób na spędzanie czasu z dziewczynami, ale minus polega na tym, że jest to zazwyczaj podstęp, by nakłonić członków do wystawienia sztuki. W tym semestrze wystawiają *Charley's Aunt* oraz *Antygonę* i *Equus* Sofoklesa, i wiem, że dostałbym rolę jednego z członków greckiego chóru, ubranych w pogniecione prześcieradła i krzyczących jednocześnie przez maski z *papier mdche*, albo jednego z tych nieszczęśników w *Equus*, którzy cały wieczór spędzają w trykotach, z głową konia zrobioną z wieszaków na ubrania. No cóż, koło teatralne, dziękuję, ale nie skorzystam. Poza tym może was zainteresuje, że w ostatniej klasie w szkole grałem Jezusa w *Godspell*, i mogę wam powiedzieć, że jak się zostanie wysmaganym biczem i ukrzyżowanym na oczach całej szkoły, to nic już człowiekowi nie pozostaje w kwestii przyszłych ról. Tone i Spencer śmiali się oczywiście przez cały czas i krzyczeli: „Jeszcze! Jeszcze!” przez czterdzieści ostatnich biczów, ale wszyscy pozostali mówili, że to było bardzo poruszające przedstawienie.

Gdy dochodzę do wniosku, że mam już dość kół, wędruję po sali w poszukiwaniu tajemniczej dziewczyny z poprzedniej nocy, chociaż Bóg raczy wiedzieć, co zrobię, gdy ją zobaczę. Na pewno nie będę tańczył. Robię dwa okrążenia po hali sportowej, ale nigdzie jej nie ma, idę więc na górę, do sali, gdzie odbędą się eliminacje do *Challenge*, żeby sprawdzić, czy dobrze zapamiętałem godzinę i numer. Wszystko się zgadza, plakat jest na drzwiach. „Pierwsze za dziesięć, dla Ciebie! Oczekujemy zgłoszeń wyłącznie od nieprzeciętnych umysłów”. „Zastanawiasz się, czy masz szansę?”, zapytała. „W takim razie do zobaczenia jutro”, pożegnała się wczorajszej

nocy. Czy mówiła serio? A jeśli tak, to gdzie jest? Przyszedłem jednak godzinę wcześniej, postanawiam więc wrócić na halę sportową i rozglądać się jeszcze raz.

Schodząc na dół, mijam na schodach ciemnowłosą żydówkę z poprzedniego wieczoru. Jessica, chyba tak miała na imię. Stoi z kilkoma chudymi, bladymi mężczyznami w sportowych kurtkach i czarnych obcisłych dżinsach, rozdając ulotki socjalistycznej partii robotniczej. Wszyscy wyglądają na naprawdę-choler-nie-wkurzonych, więc w duchu solidarności podchodzę i rzucam: „Witajcie, towarzysze!”

— Dzień dobry, baletmistrzu — zaciąga, spoglądając bez uśmiechu na moją zaciśniętą pięść.

I całkiem słusznie, bo to wcale nie jest śmieszne. Wraca do rozdawania ulotek.

— Wydaje mi się, że koło taneczne jest gdzieś w tamtym kierunku.

— Boże, czy było aż tak źle?

— Powiedzmy, że miałam ochotę włożyć ci pomiędzy zęby ołówek, żebyś nie odgryzł sobie języka.

Śmieję się z autoironią i potrząsam głową w sposób, który zdaje się mówić, no cóż, taki już ze mnie szaleniec, ale ona się nie uśmiecha, więc mówię:

— Wiesz, życie nauczyło mnie dwóch rzeczy. Po pierwsze, nie tańcz, jak jesteś pijany!!!

Cisza...

— Prawdę powiedziawszy, zastanawiałem się, czy mógłbym dostać ulotkę?

Spogląda na mnie pytająco, zaintrygowana moją ukrytą wewnętrzną głębią.

— Jesteś pewien, że to nie będzie zmarnowany kawałek papieru?

— Absolutnie nie.

— Jesteś więc członkiem jakiejś partii politycznej?

— Ach, no wiesz. CND*¹⁶.

¹⁶ * CND — Campaign for Nuclear Disarmament, Ruch na rzecz Rozbrojenia Atomowego

—To nie jest partia polityczna.

—Jesteś więc zdania, że polityka obronna nie jest kwestią polityczną?

— rzucam zadowolony z brzmienia mojego pytania.

—Polityka to ekonomia. Nic dodać, nic ująć. Grupy działające w jednej określonej sprawie, grupy nacisku takie jak CND czy Greenpeace, mają do spełnienia ważną i istotną rolę, ale mówienie, że wieloryby są duże i-miłe albo że zagłada nuklearna jest okropna, nie jest stanowiskiem politycznym, to truizm. Poza tym w prawdziwie socjalistycznym państwie część militarna zostałaby automatycznie pozbawiona racji bytu...

—Tak jak w Rosji? — pytam. *Aha!*

—Rosja nie jest do końca socjalistyczna. *Ach...*

—Albo na Kubie? — dodaję. *Trafiony!*

—Tak, można tak powiedzieć. Jak na Kubie. *Hm...*

— Ach, w takim razie przypuszczam, że Kuba nie posiada żadnej armii? — kontynuuję.

Nieźle.

— W istocie nie, nic istotnego, nie w kategoriach produktu krajowego brutto. Na Kubie na obronność wydaje się sześć procent podatku, w porównaniu z czterdziestoma w USA.

Musi to zmyślać. Nawet Castro nie wie takich rzeczy.

— Gdyby nie była cały czas zagrożona atakiem USA, nie musiałyby wydawać nawet tych sześciu procent. A może leżysz bezsennie w nocy i martwisz się inwazją Kuby?

Oskarżenie jej o zmyślanie tych informacji wydaje mi się trochę jak zagranie przedszkolaka, rzucam więc po prostu:

— No to dasz mi tę ulotkę czy nie? Niechętnie daje mi jedną.

— Jeśli to dla ciebie zbyt radykalne, to partia pracy jest w pobliżu. Albo możesz pójść na całość i wstąpić do torysów.

Mówi to tak, jakby wymierzała mi policzek, i dociera to do mnie dopiero po chwili, a potem gdy zastanawiam się, co powiedzieć, odwraca się do mnie plecami, po prostu się, odwraca i dalej rozdaje ulotki. Mam ochotę położyć jej na ramieniu dłoń, obrócić ją i powiedzieć: „Nie odwracaj się do

mnie plecami, ty nadęta, bi-goteryjna, przekonana o własnej nieomyślności mała krowo, bo praca mojego taty go zabiła, mniej więcej, więc nie rób mi wykładów o Kubie, ponieważ w swoim małym palcu mam więcej wiedzy o pieprzonej społecznej niesprawiedliwości, niż ty i cała twoja zgraja burżuazyjnych chłopców ze szkoły sztuk pięknych macie jej w waszych całych, pełnych samozadowolenia i satysfakcji ciałach".

I niewiele brakowało, żebym to powiedział, naprawdę, ale w końcu postanawiam powiedzieć jedynie:

— Zdajesz sobie oczywiście sprawę, że gdybyście skrócili swoją nazwę, moglibyście zostać po prostu robokołem?

Odwraca się do mnie, dość wolno, mruży oczy i odpowiada:

— Słuchaj. Jeśli naprawdę i szczerze zależy ci na przeciwstawianiu się temu, co robi z tym krajem Thatcher, to powinieneś do nas dołączyć. Jeśli natomiast jesteś zainteresowany jedynie robieniem sobie głupich żartów i wypowiedaniem banalnych komentarzy, to poradzimy sobie bez ciebie, wielkie dzięki.

Ma oczywiście rację. Dlaczego zawsze brzmię niepoważnie i nieprzekonująco, gdy mówię o polityce? Wcale nie mam do niej ironicznego stosunku. Zastanawiam się przez chwilę nad próbą przekazania jej tego za pośrednictwem stosownej, inteligentnej, dorosłej rozmowy, ale dochodzi do jakiejś sprzeczki pomiędzy jednym z chudych chłopaków w czarnym dżinsie i kimś z walki klasowej, więc rezygnuję i ruszam dalej.

PYTANIE: Opracowany przez niemieckiego psychologa Williama Sterna, jaki kontrowersyjny wskaźnik został początkowo zdefiniowany jako stosunek intelektualnego wieku człowieka do jego wieku fizycznego, pomnożony przez 100?

ODPOWIEDŹ: Iloraz inteligencji.

Idę z powrotem do sali numer sześć, gdzie wysoki jasnowłosy mężczyzna rozstawia stoliki, około trzydziestu, przygotowując je do egzaminu. Mężczyzna robi wrażenie biurokratycznie oficjalnego. Jest dużo starszy ode mnie, może mieć około dwudziestu jeden, dwudziestu dwóch lat, czy coś koło tego. Jest wysoki, dobrze zbudowany, ubrany w oficjalną bluzę uniwersytetu w kolorze burgunda, opalony i wyraźnie przystojny. Ma staranną, krótko przystrzyżoną fryzurę z rudoblond włosów, która wygląda, jakby została ukształtowana z jednego kawałka plastyku. Przyglądam się mu przez chwilę przez szklane drzwi. Wygląda jak astronauta, gdyby Brytania miała astronautów, albo niegroźny Action Man. W jego osobie niepokoi mnie niejasne uczucie, że skądś go pamiętam...

Zauważa mnie, więc uprzejmie wsuwam do środka głowę i pytam:

—Przepraszam, czy to sala, w której odbędzie się spotkanie *University Chal...*?

—Palce na przyciskach, pierwsze pytanie dla ciebie — czy możesz przeczytać napis?

—Tak.

—Co mówi?

—Sala numer sześć.

—Która jest teraz godzina?

—Dwunasta czterdzieści pięć.

—Więc zapewne stanowi to odpowiedź na twoje pytanie?

—Tak mi się wydaje.

Siadam więc na zewnątrz i rozgrzewam się, przypominając sobie niektóre z zestawień, które mam w pamięci; królowie i królowe Anglii, układ okresowy pierwiastków, amerykańscy prezydenci, prawa termodynamiki, planety Układu Słonecznego, na wszelki wypadek; podstawowa technika egzaminacyjna. Sprawdzam, czy mam ołówek i pióro, chusteczkę i pudełko ticta-ców, następnie czekam na pojawienie się pozostałych zawodników. Po dziesięciu minutach nadal jestem jedynym obecnym, siadam więc i wpatruję się w faceta przy nauczycielskim stoliku, jak z powagą segreguje i zszywa materiały egzaminacyjne. Przypuszczam, że musi być kimś wysokim rangą w Komitecie selekcyjnym *University Challenge*, i kręci mu się w głowie od samego odurzającego poczucia władzy, ale muszę być z nim w dobrych układach, więc punktualnie o 12.58 i ani sekundy wcześniej, wstaję i wchodzę do sali.

— Czy teraz może być?

— W porządku. Możesz wejść. Ilu tam jeszcze jest z tobą? — pyta, nie podnosząc wzroku.

— Hm — nie ma nikogo?

— Naprawdę? — Spogląda przez moje ramię, nie patrząc na mnie, ponieważ najwyraźniej nie można mi zaufać. — Do cholery! Zupełnie jak w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim.

Cmoka i wzdycha, i przysiadła na krawędzi stolika, i bierze do ręki notes z klipsem, następnie mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów i spogląda na moją twarz. W końcu utkwiał wzrok gdzieś około trzydziestu centymetrów od mojej twarzy, które to miejsce zdaje się preferować. Ponownie wzdycha ze smutkiem.

—No cóż. Ja jestem Patrick. Jak się nazywasz?

—Brian Jackson.

—Rok?

—Pierwszy! Wczoraj przyjechałem! Cmoknięcie i westchnięcie.

—Główne przedmioty?

—To znaczy, co studiuję?

—Można i tak to powiedzieć.

—Literaturę angielską.

—Boże, jeszcze jeden! No cóż, przynajmniej nie zmarnujesz doszczętnie trzech lat życia.

—Przepraszam, nie...

—Co się stało z matematykami, tego jestem ciekaw. Ze wszystkimi biochemikami? Ze wszystkimi inżynierami? Nie ma się co dziwić, że gospodarka schodzi na psy; każdy wie, co to metafora, a nikt nie potrafi zbudować elektrowni.

Śmieję się, następnie upewniam, czy żartuje, ale nie.

—Zdawałem egzamin końcowy drugiego poziomu z przedmiotów ścisłych! — próbuję się usprawiedliwić.

—Naprawdę? Z czego?

—Z fizyki i chemii.

—No to świetnie! Człowiek renesansu! Jak brzmi trzecia zasada dynamiki Newtona?

O mój przyjacielu, będziesz się musiał bardziej postarać...

— Siła reakcji jest równa i przeciwna sile akcji. Reakcja Patricka wydaje się podobnie równa i przeciwna;

krótkie, lekceważące uniesienie brwi, a potem znowu wbija wzrok w notes.

—Szkola?

—Przepraszam?

—Powiedziałem „szkola”. Duży budynek, z cegieł, w środku nauczyciele...

—Zrozumiałem pytanie, zastanowiło mnie jedynie, dlaczego chcesz wiedzieć?

—No dobrze, Trocki, przyznaję ci rację. Masz pióro? Dobrze. To twoje pytania i wracam do ciebie za minutę.

Zajmuję miejsce przy końcu sali, a w tym czasie pojawiają się dwie kolejne osoby.

— Ach, kawaleria! — woła Patrick.

Pierwszy potencjalny członek drużyny, Chinka, wywołuje pewne poruszenie, ponieważ do jej pleców najwyraźniej tuli się miś panda. Gdy jednak przyrzeć się bliżej, widać, że to nie żywa panda, ale pomysłowo zaprojektowany plecak! Obrazuje to zapewne ekscentryczne poczucie humoru, ale nie wróży dobrze, jeśli chodzi o jej szanse na poważnym, zaawansowanym quizie z wiedzy ogólnej. W każdym razie z jej rozmowy z Patrickiem dowiaduję się, że nazywa się Lucy Chang, jest na drugim roku, studiuje medycynę i stąd może mieć nade mną przewagę, jeśli chodzi o te pytania z przedmiotów ścisłych. Wydaje się, że mówi po angielsku dość płynnie, chociaż niewiarygodnie cicho, z lekkim amerykańskim akcentem. Co mówią przepisy na temat obcokrajowców?

Kolejny zawodnik to postawny, mówiący donośnym głosem mężczyzna, pochodzący najwyraźniej z Manchesteru. Ma na sobie ubranie militarne w oliwkowym kolorze, duże ciężkie buty, a w okolicach biodra tkwi mały błękitny plecak RAF-u ze — zdradzającym pewną niekonsekwencję — wykonanym markerem napisem CND. Patrick przepytuje go z pewnego rodzaju niechętną uprzejmością, podoficer zwracający się do kaprała, i okazuje się, że kandydat jest studentem trzeciego roku nauk politycznych z Rochdale i nazywa się Colin Pagett. Rozgląda się po sali, kiwa głową, a potem czekamy w ciszy i bawimy się długopisami, siedząc od siebie najdalej, jak pozwolą prawa geometrii, czekając dziesięć, piętnaście minut, aż staje się absolutnie jasne, że nikt więcej już nie przyjdzie. Gdzie ona jest? Mówiła, że przyjdzie. A jeśli coś jej się stało?

W końcu Patrick astronauta wzdycha, staje za stolikiem i mówi:

— No dobrze, w takim razie chyba możemy zacząć? Nazywam się Patrick Watts, pochodzę z Ashton-Under-Lyme, studiuje ekonomię i jestem kapitanem tegorocznej drużyny *University Challenge*.

...Chwileczkę, jak on się nazywa...?

— Stali widzowie teleturnieju mogą mnie pamiętać z zeszłorocznych zawodów.

Zgadza się, to właśnie stąd go znam. Pamiętam, że oglądałem ten odcinek szczególnie uważnie, ponieważ uzupełniałem formularz do UCCA i chciałem wiedzieć, jaki jest poziom. Pamiętam, że myślałem wtedy, iż są dość słabą drużyną i ten Patrick z pewnością nosi w sobie jeszcze bliźny duchowe, ponieważ na wspomnienie o tym wpatruje się w podłogę z zawstydzoną miną.

— Oczywiście nie było to idealne wystąpienie... Zostali pokonani w pierwszej rundzie, o ile dobrze pamiętam, a przeciwnicy też nie byli zbyt mocni.

— ...ale jesteśmy dobrej myśli, jeśli chodzi o nasze szanse w tym roku, szczególnie gdy spojrzeć na tak liczny... obiecujący... surowy materiał.

Nasza trójka rozgląda się po sali, następnie spoglądamy na siebie i na puste rzędy ławek.

—W porządku! Nie marnując czasu, zabierzmy się za test. Jest w formie pisemnej, czterdzieści pytań i obejmuje szeroki zakres tematyczny, podobny do tego, z jakim będziemy mieć do czynienia w czasie programu. Rok temu szczególnie słabo poszło z nauk ścisłych — spogląda na mnie — i wolałbym, aby nasza drużyna tym razem nie była nazbyt artystycznie ukierunkowana...

—To czteroosobowa drużyna, tak? — odzywa się cienkim głosem człowiek z Manchesteru.

—Zgadza się.

—No cóż, w takim razie na pewno... tworzymy drużynę.

—No tak, musimy się jednak upewnić, że prezentujemy odpowiedni poziom.

Colin jednak nie ustępuje.

—Dlaczego?

—No cóż, bo jeśli nie... to znowu przegramy.

—I?

— No cóż, jeśli znowu przegramy... jeśli przegramy... Usta Patricka poruszają się teraz bezgłośnie, otwierając się i zamykając, jak u makreli.

Ma ten sam wyraz twarzy, który widziałem w telewizji rok temu, mimo starań nie potrafi odpowiedzieć na zupełnie proste pytanie o jeziora Afryki Wschodniej, ten sam przerażony wygląd, każdy członek publiczności zna odpowiedź i czeka w napięciu, aż on sobie przypomni. Jezioro Tanganika, Tanganika, ty bałwanie.

Wtedy jego uwagę przyciąga hałas przy drzwiach — grupa uśmiechniętych kobiecych twarzy przyciśnięta przez chwilę do szyby, stłumiony wybuch śmiechu, szamotanina i jedna z nich zostaje wepchnięta do sali przez niewidoczne ręce. Następnie stoi po prostu na środku, chichocząc, usiłując odzyskać równowagę i przyglądając się naszej czwórce obecnej na sali.

Przysięgam, przez chwilę wydaje mi się, że wszyscy zaraz wstaną.

— Jej! Bardzo przepraszam!

Mówi trochę niewyraźnie i trochę niepewnie trzyma się na nogach. Czyba nie zamierza podchodzić do egzaminu wstawiona?

— Przepraszam, czy się spóźniłam?

Patrick zaczesuje ręką swoje włosy astronauty, oblizuje usta i odpowiada:

—Ależ nie. Miło, że do nas dołączyłaś... hm...?

—Alice. Alice Harbinson.

Alice. Alice. Oczywiście, że ma na imię Alice. Jak inaczej mogłaby się nazywać?

— W porządku, Alice. Usiądź, proszę...

A ona rozgląda się, uśmiecha się do mnie, podchodzi i siada przy stoliku dokładnie za mną.

Początkowe pytania są dość łatwe; podstawy geometrii i trochę o Plantagenetach, to rodzaj rozgrzewki, mam jednak kłopoty ze skoncentrowaniem się, ponieważ Alice wydaje z siebie sapiące dźwięki, tuż za moimi plecami. Obracam się i spoglądam na nią, oczywiście, siedzi pochylona nad testem, z czerwoną twarzą i cała aż się trzęsie od tłumionego śmiechu. Wracam do egzaminu.

Pytanie 4. Pod jaką nazwą znany był starożytny Sztambuł, zanim został nazwany Konstantynopolem? Łatwe. Bizancjum.

Pytanie 5. Hel, neon, argon i ksenon to cztery z tak zwanych „gazów szlachetnych”. Jakie są dwa pozostałe?

Nie mam pojęcia. Może krypton i wodór? Krypton i wodór.

Pytanie 6. Jaki jest dokładny skład aromatu emanującego od Alice Harbinson i dlaczego jest taki słodki?

Coś drogiego, kwiatowego, ale lekkiego. Czy to może Chanel No 5? Pomieszany z lekką nutą mydła Pears, papierosów Silk Cut i piwa...

Dość. Skoncentruj się.

Pytanie 6. Gdzie w parlamencie zasiada pani Thatcher?

Łatwe. Znam odpowiedź na to pytanie, ale znowu słyhać ten hałas. Obracam się i spoglądam, i tym razem nasz wzrok się spotyka, i ona robi minę, i poruszając samymi ustami, mówi: „Sorry”... i zasuwają usta na mały nieistniejący zamek. Uśmiecham się lakonicznie jedną stroną twarzy, jakbym mówił: hej, phi, mną się nie przejmuj, ja też nie traktuję tego poważnie, a potem wracam do egzaminu. Muszę się skoncentrować. Wrzucam tictaca do ust i przyciskam do czoła palec. Skoncentruj się, skoncentruj się.

Pytanie 7. Jakie określenie najlepiej oddaje kolor ust Alice Harbinson...?

Nie jestem pewien. Nie widzę ich. Coś z tego szekspirowskiego sonetu. Purpurowy albo koralowy czy coś podobnego? Może spojrzę jeszcze raz. Nie. Nie patrz. Po prostu się skoncentruj. Głowa w dół.

8, 9 i 10 są w porządku, ale potem następuje długa lista absurdalnie trudnych pytań z matematyki i fizyki i zaczynam się trochę gubić, pomijam dwa lub trzy, których po prostu nie rozumiem, ale próbuję pytania o mitochondrium.

— Pssst...

Pytanie 15. Energia uwolniona w procesie utleniania produktów metabolizmu cytoplazmatycznego zostaje przekształcona w kwas adenozyńtrójfosforowy... — Pssssssst...

Pochyla się ponad swoim stolikiem, z szeroko otwartymi oczami, usiłując podać mi coś w zaciśniętej dłoni. Sprawdzam, czy Patrick nie patrzy,

a potem sięgam za siebie i czuję, jak wsuwa mały kawałek papieru do mojej na w pół otwartej dłoni. Patrick podnosi wzrok, więc szybko zamieniam ten ruch w gest przeciągania się, z ramionami uniesionymi wysoko nad głową. Gdy teren jest czysty, rozwijam liścik. Jest w nim napisane: „Twoja przedziwna, nieziemską uroda intryguje mnie. Ile jeszcze czasu upłynie, zanim poczuję Twoje usta na moich...?”

Albo bardziej wiernie: „Cześć kujonie! Pomóż mi! Jestem bardzo GUUPIA i również WSTAWIONA. Proszę uchronić mnie przed KOMPLETNYM upokorzeniem. Jakie są odpowiedzi na 6, 11, 18 i 22? A 4 to Bizancjum, prawda? Pozdrowienia, kolego, czekająca, *da thicko*^{*17} za Tobaxxx. ps. Podkabluj mnie, a policzę się z Tobą potem”.

Prosi mnie, żebym podzielił się z nią moją wiedzą ogólną a jeśli to nie jest podryw, to nie wiem. Oczywiście, oszukiwanie na egzaminie to straszna rzecz i gdyby chodziło o kogoś innego, nie dałbym się na to namówić, to sajednak wyjątkowe okoliczności, szybko sprawdzam więc pytania, następnie odwracam kawałek papieru na drugą stronę i piszę: „Nr 6 to Finchley, 11 — *Stones of Venice* Ruskina, chyba, 18 — kot Schrödingera, chyba, a 22 też nie wiem. Diagilew? I tak, 4 to Bizancjum.

Czytam kartkę kilka razy. Dość sucha, jeśli rozpatrywać ją w kategoriach listów miłosnych, a ja chciałbym powiedzieć coś bardziej uwodzicielskiego i prowokującego, bez napisania po prostu: „jesteś śliczna”, więc zastanawiam się przez minutę, biorę głęboki oddech, a potem dopisuję: „Na marginesie, masz u mnie dług! Kawa potem? Pozdrawiam, Kujon!”... Potem, zanim się rozmyślę, obracam się na krześle i kładę liścik na jej stoliku.

Pytanie 23. Wieloryby z podrzędu *mystacoceti* posiadają wyspecjalizowany narząd pokarmowy nazywany...? Fiszbinem.

Pytanie 24. Która francuska forma wersyfikacyjna używana przez Corneille'a i Racine'a składa się z dwunastosylabowego wersu, z głównym akcentem padającym na szóstą i ostatnią sylabę?

Aleksandryn.

¹⁷ * *Da thicko* (ang. pot.) — niemądra osoba.

Pytanie 25. Przyspieszone bicie serca, zimny pot i uczucie uniesienia są zazwyczaj symptomami jakiego stanu uczuciowego?

Daj spokój, głowa w dół, skoncentruj się, to jest *Challenge*, pamiętasz?

Pytanie 25. Ile wierzchołków ma dwunastościan?

No cóż, dwunastościan będzie miał dwanaście boków, co oznacza 12 razy cztery, gdyby je rozłożyć, to daje 48, ale potem trzeba odjąć liczbę wspólnych rogów, to znaczyłoby, ile, 24? Dlaczego 24? Ponieważ każdy wierzchołek jest połączeniem trzech boków? Trójki do 48 to daje 16. 16 wierzchołków. Czy nie ma na to jakiegoś wzoru? A może by go narysować?

I próbuję narysować rozłożony dwunastościan, gdy malutka kulka papieru przelatuje mi nad głową i ślizga się po moim stoliku. Udaje mi się ją złapać, zanim spadnie na podłogę. Otwieram liścik i czytam: „OK. Ale musisz obiecać, że nie będziesz tańczył”.

Uśmiecham się do siebie i rozgrywam to spokojnie, nie odwracając się do niej, bo tak naprawdę taki właśnie jestem, spoko gość, i wracam do rozkładania na czynniki pierwsze mojego dwunastościanu.

PYTANIE: Jeśli żarzenie to światło emitowane przez gorący materiał, jak określamy światło emitowane przez stosunkowo chłodny materiał?

ODPOWIEDŹ: Luminescencja.

—Przypuszczam, że nie rozpoznałaś mnie bez koloratki!

—Co? O nie. Nie od razu — odpowiada.

—Więc

— Alice!

—Zgadza się.

—Jak ta z Krainy Czarów?

—Aha — odpowiada, spoglądając tęsknie na wyjście.

Siedzimy przy małym marmurowym stoliku w Le Paris Match, kawiarni, która usiłuje ze wszech miar być francuską. Te wszystkie „oryginalne” drewniane krzesła i popielniczki Ricarda, plakaty będące reprodukcjami Toulouse-Lautreca i *croque monsieur* w menu zamiast „tostu z serem i szynką”. Jest pełna studentów w czarnych koszulkach polo i džinsach model 501, pochylonych do przodu nad swoimi *pommes frites* i pochłoniętych żywą dyskusją, trzymających w powietrzu papierosy i żałujących, że to tylko Silk Cut, a nie Gitanes. Nigdy nie byłem we Francji, ale czy tam naprawdę tak jest?

— I czy to właśnie na pamiątkę *Alicji z Krainy Czarów* otrzymałaś takie imię?

—Podobno. Cisza.

—A ty? Dlaczego dali ci na imię Gary? Zastanawiam się przez chwilę i faktycznie próbuje wymyślić jakąś ciekawą i zabawną anegdotę o tym,

dlaczego zostałem nazwany Gary, ale w końcu dochodzę do wniosku, że zapewne łatwiej będzie to od razu wyjaśnić.

—Prawdę powiedziawszy, mam na imię Brian.

—Oczywiście. Przepraszam, chciałam powiedzieć Brian.

—Nie jestem pewien. Nie wydaje mi się, żeby to było jakieś popularne imię w literaturze. Podobnie zresztą jak Gary. Chociaż, czy nie ma przypadkiem Gary'ego w *Braciach Karama-zowl* Gary, Keith i...

—...i Brian! Brian Karamazow! — mówi i śmieje się, i ja też się śmieję.

Dzisiejszy dzień okazuje się dla mnie całkiem ważny, ponieważ nie dość, że siedzę tutaj z Alice Harbinson, śmiejąc się z własnego imienia, to jeszcze smakuję swojej pierwszej w życiu kawy cappuccino. Czy pijają cappuccino we Francji? W każdym razie jest całkiem niezłe; trochę przypomina mleczne kawy, które robią w kawiarni na moło w Southend, za 35 pensów, tyle że zamiast niedużych gorzkich kuleczek nie rozpuszczonej kawy na wierzchu, ta ma szary, piżmowy kożuch cynamonu. Moja wina, trochę przesadziłem, przekonany, że to czekolada w proszku, więc zapach przypomina trochę mleczny, ciepły odór dochodzący spod pachy. Przypuszczam jednak, że z kawą cappuccino będzie trochę jak z seksem, w tym sensie, że za drugim razem sprawi mi więcej przyjemności. Chociaż przy 85 pensach za sztukę nie jestem pewien, czy będzie drugi raz. Znowu trochę jak z seksem.

Znowu to samo. Seks i pieniądze. Przestań myśleć o seksie i pieniądzach. Szczególnie o pieniądzach, to okropne, jesteś tu z tą niesamowitą kobietą i nie możesz przestać myśleć o cenie filiżanki kawy. I seksie.

—Umieram z głodu — mówi. — Możemy zjemy jakiś lunch? Może frytki czy coś takiego?

—Oczywiście! — zgadzam się i spoglądam na menu. Funt dwadzieścia pięć za nędzną miseczkę frytek? — ...chociaż ja prawdę mówiąc, raczej nie jestem głodny, ale zamów dla siebie.

Macha więc do kelnera, chudego jak szczapa gościa z czubem w stylu Morrisseya, studenta, sądząc po wyglądzie, a on podchodzi i zwraca się do niej, jakby mnie tam nie było, witając ją głośnym, przyjacielskim:

—Hej!

—Cześć, co słyszeć? — pyta Alice.

—W porządku. Tyle że wolałbym być gdzie indziej. Ciągnę dwie zmiany!

—Ojej. Biedactwo! — rzuca ze współczuciem, głaszcząc go po ramieniu.

—A co u ciebie? — odwzajemnia się kelner.

—Bardzo dobrze, dziękuję.

—Ślicznie dzisiaj wyglądasz, jeśli wolno mi powiedzieć.

— O rany — rzuca Alice i zasłania twarz dłońmi. *Zut alors.*

— Więc co mogę ci przynieść? — pyta, przypominając sobie w końcu, po co tu jest.

— Czy moglibyśmy dostać miseczkę frytek?

— *Absolument!* — *wolagarcon* i, ni mniej, ni więcej, oddała się biegiem do kuchni, aby rozpocząć przygotowania cennych, połączonych frytek.

—Skąd go znasz? — pytam, gdy już sobie poszedł.

—Kogo? Kelnera? Nie znam go.

—Ach.

I zapada cisza. Sącę kawę i wycieram wierzchem dłoni pyłek cynamonowy, który dostał mi się do nozdrzy.

— Więc! Obawiałem się, że możesz mnie nie poznać bez koloratki!

— Już to mówiłeś.

—Naprawdę? Zdarza mi się to czasami, myli mi się, co powiedziałem albo czego nie, albo mówię na głos rzeczy, które chciałem powiedzieć tylko w myślach, jeśli wiesz, o co mi chodzi...

—O tak, wiem doskonale, o co ci chodzi — uspokaja mnie i chwyta mnie za przedramię. — Mnie cały czas się coś myli albo mówię coś niewłaściwego...

To słodkie, co robi. Próbuje nawiązać nić porozumienia pomiędzy nami, chociaż nie wierzę jej ani przez chwilę.

—Przysięgam, często sama nie wiem, co robię...

—Ja też. Jak ten taniec zeszłej nocy...

—Ach, tak... — mówi, zaciskając usta — ...taniec...

—...tak, przykro mi z tego powodu. Byłem trochę wstawiony, szczerze mówiąc.

—Och, nie, doskonale sobie radziłeś. Bardzo dobrze tańczysz!

—Ani trochę! — zaprzeczam. — Wiesz, dziwię się, że nikt nie próbował włożyć mi między zęby ołówka!

Spogląda na mnie, nie rozumiejąc.

—Dlaczego?

—Cóż... żebym nie odgryzł sobie języka? Dalej nic.

—No wiesz, jak... epileptyk!

Ona jednak nic nie mówi, pije tylko kolejny łyk kawy. Niech to — może ją obraziłem. Może zna jakiegoś epileptyka. Może ktoś w jej rodzinie choruje na epilepsję! Może ona jest epileptyczką...

— Nie jest ci za gorąco w tej kurtce? — pyta.

Garçon wraca z wysmienitymi frytkami, w liczbie około sześciu, rozmieszczonymi starannie w dużym kieliszku na jajka, a potem kręci się w pobliżu, uśmiechnięty, zadowolony z siebie, próbując rozpocząć kolejną rozmowę, więc nie przestaje mówić.

—Wiesz, życie nauczyło mnie do tej pory dwóch rzeczy, po pierwsze, nie tańcz, gdy jesteś pijany.

—A ta druga?

—Nie próbuj przepuszczać mleka przez syfon.

Śmieje się, więc uznając swą porażkę, *garçon* się wycofuje. Nie przestawaj, mów dalej...

— ...nie wiem, czego się spodziewałem, wydawało mi się, że otrzymam jakiś niesamowity, gazowany, mleczny napój, ale dla gazowanego mleka wymyślono już nazwę...

Chwila ciszy, wypijam łyk kawy.

— ...nazywa się jogurt!

Czasami jestem w stanie wywołać u siebie wymioty, naprawdę.

Rozmawiamy więc dalej, a ona je swoje frytki, zanurzając je w szklanej miseczce ketchupu o kształcie soczewki kontaktowej i przypomina to

wszystko trochę popołudnie spędzone w kawiarni z *Pieśni miłosnej J. Alfreda Pruffrocka* T.S. Eliota, ale z droższymi daniami. „Czyja się ośmielę zjeść brzoskwinie? Nie za tę cenę, nie...” Poznają ją bliżej. Jest jedynaczką, jak ja... przypuszcza, że to coś związanego z jajowodami jej mamy, nie jest jednak pewna. Nie przeszkadza jej to, tyle że zawsze dość dużo czasu spędzała z książkami, i chodziła do szkoły z internatem, co nie jest zbyt poprawne politycznie, wie o tym, ale i tak bardzo się jej to podobało i była w samorządzie. Jest bardzo blisko ze swoim tatą, który robi filmy dokumentalne o sztuce dla BBC i pozwala jej odbywać tam praktyki w czasie wakacji. Miała okazję rozmawiać wielokrotnie z Melvynem Braggiem i najwyraźniej jest bardzo, bardzo zabawny w rzeczywistości, i prawdę powiedziawszy, całkiem sexy. Kocha też swoją mamę, oczywiście, ale często się kłóca, prawdopodobnie dlatego, że są do siebie takie podobne, a jej mama pracuje na pół etatu dla Tree Tops, organizacji charytatywnej, która buduje domki na drzewach dla dzieci z ubogich środowisk.

— Czy nie byłoby dla nich lepiej, gdyby mieszkali ze swoimi rodzicami? — zastanawiam się.

— Co?

— No wiesz, dzieci mieszkające samotnie na wierzchołku drzewa — to musi być niebezpieczne, prawda?

— Nie, nie. One nie mieszkają na drzewach, to tylko wakacyjna rozrywka.

— Aha. Rozumiem...

— Większość tych dzieci z ubogich rodzin ma tylko jednego rodzica i nigdy w życiu nie byli na wakacjach!

O Boże, ona mówi o mnie!

— To fantastyczne, naprawdę. Jeśli nie jesteś zajęty następnego lata, to powinieneś przyjechać.

Kiwam z entuzjazmem głową, chociaż nie jestem do końca pewien, czy proponuje, żebym im pomógł, czy też zaprasza mnie na wakacje.

Potem Alice opowiada mi o swoich wakacjach, których część spędziła na wierzchołkach drzew z dziećmi z ubogich rodzin, i niewątpliwie bardzo podekscytowanych. Resztę wakacji dzieliła pomiędzy ich domy w Londy-

nie, Suffolk i Dordogne, a potem występowała ze swoim kółkiem teatralnym na festiwalu w Edynburgu.

—Co wystawialiście?

—*Dobrego człowieka z Sećzuanu* Bertolta Brechta. Oczywiście, wiadomo, kogo grała, prawda? To klasyczna okazja, by użyć słowa „tytułowy”.

—I kto grał tytułowego...?

—Ach, ja — odpowiada. Tak, oczywiście, że ona.

—I byłaś rzeczywiście? — pytam.

—Jaka?

—Dobra?

—Szczepnie powiedziawszy, nie. Chociaż „Scotsman” był najwyraźniej innego zdania. Czy znasz tę sztukę?

—Bardzo dobrze — kłamię. — Wystawialiśmy *Kaukaskie kredowe koło* w college'u w ostatnim semestrze.

Przerywam i piję łyk cappuccino.

— Grałem kredę. Boże, chyba zwymiotuję.

Ona jednak śmieje się i zaczyna opowiadać o wyzwaniach, jakie stawia tytułowa rola dobrego człowieka Brechta, a ja korzystam z okazji, by po raz pierwszy uważnie się jej przyjrzeć. Na trzeźwo i bez pary na okularach. I jest naprawdę piękna. Zdecydowanie pierwsza prawdziwie piękna kobieta, jaką kiedykolwiek widziałem, jeśli wyłączyć dzieła sztuki renesansu i telewizję. W szkole wszyscy mówili, że Liza Chambers jest piękna, podczas gdy w rzeczywistości chodziło im o to, że mają na nią ochotę. Alice jednak jest prawdziwie piękna. Ma mleczną karnację, która wydaje się zupełnie pozbawiona porów i jest rozświetlona od wewnątrz jakąś organiczną podskórną luminescencją. A może „fosforescencją”? Albo „fluorescencją”? Czym się od siebie różnią? Sprawdzę to później. W każdym razie albo w ogóle nie ma makijażu, albo, co bardziej prawdopodobne, jest tak zręcznie zrobiony, że robi wrażenie, jakby go nie było. Z wyjątkiem oczu, ponieważ nikt chyba nie może mieć w rzeczywistości takich długich rzęs. I jej oczy. Brązowe nie jest odpowiednim słowem, zbyt prozaiczne i kojarzące się z kolorem brunatnym. Lepsze jednak nie przychodzi mi do głowy. Jej oczy

są jasne i błyszczące, i tak duże, że widać całą tęczę, z zielonymi cętkami. Ma pełne usta koloru poziomki, jak Tess Durbey-field, ale ta szczęśliwa, spokojna, spełniona Tess, która się dowiedziała, że — dzięki Bogu — jest jednak w rzeczywistości Tessą D'Urberville. Najlepsza jednak jest malutka, lekko wypukła biała blizna na jej dolnej wardze. Domyślam się, że jest rezultatem jakiegoś strasznego wypadku, który przydarzył się jej w dzieciństwie podczas wyprawy na jeżyny. Lekko kręcone włosy miodowego koloru są ściągnięte do tyłu tak, że odsłaniają czoło, w stylu, który jak mi się wydaje, jest zwany „prerafaelickim”. Wygląda — jak brzmi to słowo u T.S. Eliota? Quattrocento. A może to Yeats? I czy oznacza czternasty czy piętnasty wiek? To też sprawdzę gdy wrócę do siebie. Do zapamiętania: sprawdzić „Quattrocento”, „Purpurowy”, „Brunatny”, „Luminescencją”, „Fosforescencją” i „Fluorescencją”.

A teraz mówi o imprezie ostatniej nocy, jaka była okropna, i okropnych mężczyznach, których poznała, całe mnóstwo okropnych, bez nadziejnych facetów, ochroniarzy bez szyi. Pochyliła się do przodu, siedząc na krześle, gdy mówi. Jej długie nogi zawinięte są wokół nóg krzesła pod nią. Dotyka mojego przedramienia, akcentując swoją wypowiedź, i spogląda mi w oczy, jakby chciała, żebym odwrócił wzrok. Zauważam też u niej mimowolny odruch, który polega na pociąganiu malutkich srebrnych wkręcanych kolczyków, w czasie gdy mówi. To wyraźny znak, iż ją podświadomie pociągam lub że wokół kolczyków wytworzyła się jakaś niewielka infekcja. Jeśli o mnie chodzi, wypróbowuję kilka nowych wyrazów twarzy i postaw ciała — jedna z nich polega na tym, że pochylam się do przodu, opierając na ręce brodę. Jednocześnie palce dłoni rozpostarłem na ustach i od czasu do czasu pocieram z rozmysłem podbródek. Służy to kilku celom: 1. Wygląda to tak, jakbym myślał bardzo głęboko. 2. Jest zmysłowe — palce na ustach, klasyczny seksualny symbol — i 3. Pomaga również zakryć moje najgorsze wypryski, wypukłe czerwone grudki w kącikach ust, które sprawiają że wyglądam, jakby przy jedzeniu ciekła mi zupa.

Zamawia jeszcze jedno cappuccino. Czy będę musiał za to też zapłacić, zastanawiam się? To bez znaczenia. W tle słychać grającą na okrągło kasetę Stephane Grappelli i Django Reinhardta, brzęczącą delikatnie, jak ude-

rzająca o szybę mucha, i czuję się całkiem szczęśliwy, po prostu tu siedząc i słuchając. Jeśli ma jakąś wadę, oczywiście bardzo niewielką to taką, że wydaje się nieszczególnie zainteresowana innymi ludźmi, a już na pewno nie mną. Nie wie, skąd jestem, nie pyta o mamę albo tatę, nie zna mojego nazwiska, nie jestem do końca pewien, czy wie, że nie mam na imię Gary. Prawdę powiedziawszy, odkąd tu jesteśmy, zadała mi tylko dwa pytania — „Nie jest ci za gorąco w tej kurtce?” i „Wiesz, że to cynamon, prawda?”

Nagle, jakby czytała w moich myślach, pyta:

— Przepraszam, cały czas mówię. Nie przeszkadza ci to, prawda?

— Nie, w ogóle.

I naprawdę nie mam nic przeciwko. Jestem zadowolony, że z nią tu siedzę i że inni ludzie widzą nas razem. Mówi o tej niesamowitej bułgarskiej trupie cyrkowej, którą widziała na festiwalu w Edynburgu, co oznacza, że nadszedł właściwy moment, aby na chwilę odpłynąć myślami i przeliczyć rachunek. Trzy cappuccino po 85 pensów to daje 2 funty 55, plus frytki, przepraszam *pommes frites*, funt 25, co przypadkowo oznacza 18 pensów za jedną *pomme frite*, więc 25 plus 55 to 80, 3 funty 80, plus napiwek dla naszego wesołego chłopca, 30, nie, powiedzmy 40 pensów, to daje 4,20, a ja mam w kieszeni 5,18, a to znaczy, że 98 pensów będzie mi musiało wystarczyć do poniedziałku, kiedy to będę mógł zrealizować swój czek stypendialny. Boże, ale ona jest piękna. Co, jeśli zaproponuje, żebyśmy zapłacili po połowie? Czy powinienem się zgodzić? Chcę, żeby wiedziała, że jestem zagorzałym zwolennikiem równości płci, ale nie chcę, żeby myślała, że jestem biedny albo, co gorsza, skąpy. Ale nawet jeśli zapłacimy po połowie, nadal zostaną mi jedynie trzy funty i będę musiał poprosić Josha, żeby oddał mi do poniedziałku dziesięć funtów od mamy, a to znaczy, że będę musiał prawdopodobnie świadczyć mu przysługi do przerwy bożonarodzeniowej — czyścić mu rakiety do krykieta albo robić tosty czy coś innego. Chwileczkę, zadaje mi pytanie.

— Czy chcesz jeszcze jedno cappuccino? NIE!

— Raczej nie — odpowiadam. — Prawdę powiedziawszy, wydaje mi się, że powinniśmy wracać... sprawdzić winiki egzaminu. Poproszę o rachunek...

I rozglądałam się za kelnerem.

—Chwileczkę, dam ci trochę pieniędzy — rzuca i udaje, że sięga po portmonetkę.

—Nie, naprawdę, ja zapraszam...

—Jesteś pewien?

—Absolutnie — odpowiadam i odliczam 4 funty 20, kładę je na marmurowym stoliku i czuję się jak facet z gestem.

Na zewnątrz zaczęło się robić ciemno. Rozmawialiśmy przez całe godziny, a ja nie zdawałam sobie z tego sprawy. Przez chwilę zapomniałem nawet o *Challenge*. Ale teraz sobie przypomniałem i z trudem powstrzymuję się, żeby nie biec. Alice jednak woli spacer, idziemy więc wolno do stowarzyszenia studentów w jesiennym zmierzchu, a ona pyta:

—Kto cię namówił, żebyś się zgłosił?

—Gdzie? Do *Challenge*!

— A więc tak to nazywasz? *Challenge*!

— Czy nie wszyscy tak mówią? Ach, po prostu pomyślałem, że to będzie dobra zabawa — kłamię nonszalancko. — Poza tym w domu jest tylko mama i ja, więc nie moglibyśmy się zgłosić do tego teleturnieju rodzinnego, *Ask The Family*...

Wydawało mi się, że może ją to zainteresować, ale ona odpowiada jedynie:

— Dziewczyny z mojego piętra mnie namówiły, powiedziały, że się nie odważę. I po kilku szklankach piwa do lunchu w barze, nagle wydało mi się to dobrym pomysłem. I chcę być nklorką albo kimś w telewizji, prezenterką czy kimś w tym rodzaju, więc wydawało mi się, że to może być dobre doświadczenie przed kamerami, ale teraz nie jestem pewna. To nie jest gwarantowana trampolina na firmament hollywoodzki, prawda? *Universi-ty Challenge*. Mam jedynie nadzieję, że odpadnę już teraz, szczerze mówiąc, żebym mogła zapomnieć o całej tej dziecinadzie.

Ostrożnie, Alice Harbinson, bo wyśmiewasz moje marzenia.

— Czy myślałeś kiedyś o tym, żeby zostać zawodowym aktorem? — zadaje mi pytanie.

— Kto, ja? Boże, nie, jestem okropny... Potem, jako eksperyment, mówię:

—A poza tym wydaje mi się, że nie jestem dość przystojny, żeby zostać aktorem.

—Ależ to nieprawda! Jest wielu aktorów, którzy nie są przystojni...

No to mam za swoje.

Gdy podchodzimy do tablicy ogłoszeń przed salą 6, czuję się lak, jakbym miał ponownie poznać wyniki egzaminów pierwszego poziomu w szkole średniej. Chłodna pewność siebie, z właściwą domieszką niepokoju, świadomość, jakie to ważne, żeby panować nad wyrazem twarzy, nie wyglądać na zbyt zadowolonego z siebie, zbyt pewnego. Po prostu się uśmiechnąć, kiwnąć z zrozumieniem głową i odejść

Gdy zbliżamy się do tablicy, dostrzegam pandę Lucy Chang, jak spogląda przez jej ramię na wyniki egzaminu, i jest coś w sposobie, w jaki Lucy pochyla głowę, co mówi mi, że nie są to dla niej dobre wiadomości. Odwraca się i odchodząc, uśmiecha się słodkim rozczarowanym uśmiechem. Wygląda w takim razie na to, że Lucy nie dołączy do nas w studiu w Granadzie, a to wielka szkoda, bo wyglądała na bardzo miłą. Uśmiecham się do niej ze współczuciem, gdy oddała się pośpiesznie, i kieruję się do tablicy.

Spoglądam na informację.

Mrugam i spoglądam jeszcze raz.

KWALIFIKACJE DO UNIVERSITY CHALLENGE

Wyniki egzaminu kwalifikacyjnego do University Challenge w 1985 roku są następujące:

Lucy Chang — 89% Colin Pagett — 72% Alice Harbinson — 53%
Brian Jackson — 51% *

Tak więc skład tegorocznej drużyny jest następujący: Patrick Watts, Lucy, Alice i Colin. Nasza pierwsza próba odbędzie się w najbliższy wtorek. Serdeczne gratulacje dla wszystkich, którzy wzięli udział!

Patrick Watts

* (W sytuacji awaryjnej lub w przypadku czyjejś wyjątkowo groźnej choroby Brian Jackson jest naszym pierwszym rezerwowym zawodnikiem).

— O Boże! Nie mogę uwierzyć, że jestem w drużynie! — krzyczy Alice, skacząc do góry i na dół i chwytając mnie za ramię.

— Hej, brawo!

Dobrym skądś uśmiech i przyklejam go do twarzy.

— Hej, zdajesz sobie sprawę, że gdybyś nie dał mi tych odpowiedzi, to zamiast mnie ty byłbyś w drużynie! — krzyczy.

Cóż, Alice, zdaję sobie z tego sprawę, istotnie.

— Co teraz zrobimy? Pójdziemy do baru i się upijemy? — proponuje.

Ale mnie skończyły się pieniądze i nagle nie mam już na nic ochoty.

Nie dostałem się do drużyny, mam 98 pensów w kieszeni i jestem beznadziejnie zakochany. Nie beznadziejnie. Bezsensownie.

Runda druga

„On nazywa walety »chłopakami« — rzuciła Estella wzgardliwie, zanim jeszcze skończyliśmy pierwszą partię”*¹⁸.

Charles Dickens, *Wielkie nadzieje*

RS

PYTANIE: Georgie, Anne, Julian, Timmy i Dick to tak zwana...

ODPOWIEDŹ: Wspaniała piątka.

Zawsze oczekiwałem, że na uniwersytecie zdarzą się trzy rzeczy — po pierwsze, stracę dziewictwo, po drugie, zaproponują mi zostanie szpiegiem, po trzecie, znajdę się w *University Challenge*. Pierwsza, dziewictwo, poszła z dymem dwa tygodnie przed wyjazdem z Southend, dzięki pijanej i beznamiętnej szamotaninie przy kontenerze na kółkach za Littlewoods, firmowane przez Karen Armstrong. Nie mam wiele do powiedzenia o samym doświadczeniu. Ziemia się nie poruszyła, poruszył się natomiast kontener. Potem nastąpiła krótka dyskusja na temat tego, czy w istocie „zrobiliśmy to właściwie”. Daje wam to pewne wyobrażenie o porażającej sztuce i mistrzowskiej zręczności moich technik seksualnych. W drodze do domu w tę pamiętną letnią noc, wciąż rozgrzani romantycznym doświadczeniem, rozkoszowaliśmy się resztkami ciepłej merrydown, a Karen cały czas powtarzała: „tylko nikomu o tym nie mów, tylko nikomu o tym nie mów”, jakbyśmy właśnie zrobili coś naprawdę bardzo straszego. Co zresztą pewnym sensie było prawdą.

Co do propozycji szpiegowania na rzecz rządu Jego Królewskiej Mości, cóż, nawet odsuwając na bok moje ideologiczne obawy, jestem raczej pewien, że znajomość języków odgrywa ważną rolę w karierze szpiega, a ja zdałem zaledwie egzamin z francuskiego na poziomie pierwszym. Na ocenę bardzo dobrą, ale mimo to w kategoriach realnego szpiegostwa zawężyła to moje realne szanse do, jak przypuszczam, infiltracji francuskiej szkoły podstawowej albo, gdybym się bardzo starał, piekarni. „Czerwona Kobra, tu Czarna Jaskółka; mam szczegóły rozkładu Jiizdy autobusu...”

Pozostał mi więc tylko *Challenge*, a teraz udało mi się zawalić i to. Dzisiaj wieczorem odbywa się pierwsze spotkanie i musiałem użyć całej swojej sztuki perswazji, żeby zostać choćby /uproszonym. Patrick nie odpowiadał na moje telefony i gdy udało mi się z nim w końcu porozmawiać, powiedział, że zawodnik rezerwy nie musi przychodzić na spotkania. Aleja nie rezygnowałem, aż w końcu się zgodził, ponieważ jeśli nie będę przychodził, nie będę widywał Alice, chyba że zacznę wystawać pod jej akademikiem.

I niech się wam nie wydaje, że o tym też nie myślałem. Nie widziałem jej ani razu od czasu, gdy się poznaliśmy, sześć dni temu. A szukałem jej. Zawsze gdy jestem w bibliotece, obchodzę wszystkie stoliki albo kręcę się podejrzanie w sekcji poświęconej dramatom. Gdy idę do baru z Marcusem i Joshem i jestem bez większego entuzjazmu przedstawiany jakiemuś Jamesowi, Iugonowi albo Jeremy'emu, cały czas przez ramię obserwuję drzwi, czy przypadkiem nie wchodzi. Nawet przechodząc z wykładu na wykład, jestem cały czas czujny, ale nie ma po niej ani śladu, co zdaje się sugerować, że jej życie uniwersyteckie jest zupełnie odmienne od mojego. A może spotyka się z kimś innym? Może już zdążyła się zakochać w jakimś przystojnym draniu z wystającymi kośćmi policzkowymi, w nikara-guańskim poecie na wygnaniu albo rzeźbiarzu lub kimś takim i spędziła ostatni tydzień w łóżku, pijąc szlachetne wina i czytając na głos poezję. Nie myśl o tym. Przy ciśnij po prostu jeszcze raz dzwonek.

Zastanawiam się, czy Patrick celowo dał mi zły adres, i już mam odejść, gdy słyszę, jak schodzi na dół po schodach.

—Cześć! — rzucam, uśmiechając się radośnie, gdy otwiera drzwi.

—Cześć, Brian — mówi z wysiłkiem, kierując te słowa gdzieś na prawo od mojej głowy, które to miejsce zdaje się preferować, i idę za nim wspólną klatką schodową do jego mieszkania.

—Czy wszyscy przychodzą dzisiaj wieczorem? — pytam niewinnie.

—Tak mi się wydaje.

—Rozmawiałeś ze wszystkimi?

—Aha.

—Więc rozmawiałaś z Alice? Zatrzymuje się na schodach, odwraca i pyta:

—Dlaczego pytasz?

—Byłem po prostu ciekaw.

—Nie martw się. Alice ma przyjść.

Ma na sobie swoją oficjalną bluzę uniwersytecką, co mnie trochę zastanawia. To znaczy byłoby to dla mnie bardziej zrozumiałe, gdyby miała napis Yale, Harvard czy coś w tym stylu, ponieważ wtedy byłaby to kwestia mody. Ale dlaczego ogłaszać, że jest się na tym uniwersytecie wszystkim innym, którzy są z tobą na tej właśnie uczelni? Czy obawia się, że inni pomyślą, iż tylko udaje?

Wchodzimy do mieszkania, małego i skromnego, które przypomina mi pokazowy dom z bloku wschodniego. Pachnie ciepłym mielonym mięsem i cebulą.

—Kupiłem wino! — wołam.

—Nie piję — odpowiada.

—Ach, w porządku.

—Przypuszczam, że przyda ci się korkociąg. Powinienem go gdzieś mieć. Chcesz herbatę czy zaczynasz od razu od alkoholu?

— Od alkoholu, jeśli pozwolisz!

— Dobrze, wejdź dalej, ja zaraz tam przyjdę. Nie palisz, prawda?

—Nie.

—Bo u mnie się nie pali...

—OK, ale ja nie palę...

—No dobrze, tedy. Niczego nie dotykaj!

Ponieważ jest na trzecim roku i ponieważ jego rodzicom wyraźnie nie brakuje pieniędzy, wydaje się, że Patrick ułożył sobie

życie w niemal dorosły sposób: prawdziwe, domowe meble, których najprawdopodobniej jest właścicielem, telewizor, wideo, salon, w którym nie ma łóżka ani kuchenki, ani prysznic. Prawdę powiedziawszy, prawie w ogóle nie przypomina studenta; wszystko jest tu w idealnym porządku, jak w prywatnym mieszkaniu zakonnika albo szczególnie pedantycznego seryjnego mordercy. W czasie gdy on szuka korkociągu, ja rozglądam się po

pokoju. Na ścianie nad jego biurkiem znajduje się jedyna ozdoba pokoju plakat przedstawiający plażę, z serią odcisków stóp prowadzących w stronę zachodzącego słońca i inspirujący duchowo werset o tym, jak to Jezus jest zawsze przy tobie. Warto byłoby jednak przypomnieć, że gdyby Jezus był z nim w studiu telewizyjnym rok temu, to może zdobyłby więcej niż 65 punktów.

Rozlega się dzwonek i słyszę, jak Patrick zbiega po schodach, korzystam więc z okazji, żeby przyglądać się zawartości jego półek; głównie podręczniki ekonomiczne, starannie ułożone w alfabetycznym porządku, Pismo Święte Dobrej Nowiny. Cała półka kaset wideo — *Monty Python i Święty Graal* i *Blues Brothers* — ukazuje jaśniejszą stronę Patricka Wattsa.

Ale obok nich znajduje się seria dwudziestu nieomal identycznych kaset VHS; półka własnoręcznie nagranych kaset z nieskazielenie wykaliografowanymi literami na białych nalepkach, naklejonych idealnie wzdłuż grzbietów. Podchodzę, żeby przyjrzeć im się z bliska, i z ust wyrywa mi się okrzyk zdziwienia. Nalepki opatrzone są następującymi podpisami:

03/03/1984 — Newcastle contra Sussex 10/03/1984 — Durham contra Leicester 17/03/1984 — King's Cambridge contra Dundee 23/03/1984 — Sidney Sussex contra Exeter 30/03/1984 — UMIST contra Liverpool 06/04/1984 — Birmingham contra UCL

...i tak dalej, Keele contra Sussex, Manchester contra Sheffield, Open contra Edynburg. Na kasetach leży odwrócone do dołu zdjęcie w ramce. Czuję się teraz zupełnie jak Marion Crane, ale podnoszę je i spoglądam na nie, i tak, to rzeczywiście jest zdjęcie Patricka ściskającego dłoń Bambera Gascoigne'a i nagle z przerażeniem zdaję sobie sprawę, że to świątynia Patricka i że zbłądziłem niechcący do jaskini szaleńca...

— Szukasz czegoś, Brian?

Obracam się i jestem przygotowany, że ujrzę wymierzoną w siebie broń. Patrick stoi w drzwiach, przez ramię zagląda mu Lucy Chang, a plecak-panda zagląda przez jej ramię.

—Podziwiam tylko twoje zdjęcie!

—W porządku, ale czy mógłbyś położyć je tam, skąd je wzięłeś?

—Tak, oczywiście...

—Lucy — herbata?

—Tak, dziękuję, bardzo chętnie.

Patrick obrzuca mnie spojrzeniem, które zdaje się mówić: trzymaj łapy przy sobie, i wraca do kuchni. Lucy siada na krześle z wysokim oparciem przy biurku Patricka, ale na samym brzegu, żeby nie zgnieść swojej pandy. Siedzimy w ciszy, uśmiechamy się do siebie i nagle bez żadnego oczywistego powodu Lucy wyrywa się krótki dźwięczący śmiech. Jest bardzo drobna i schludna, ma na sobie nieskazitelnie czystą i idealnie wyprasowaną białą bluzkę, zapiętą po samą szyję. Nie, żeby to miało jakieś znaczenie, ale jest całkiem atrakcyjna, nawet pomimo niepokojąco niskiego czoła, które zdaje się opadać na linię brwi, niczym zsunięta do przodu peruka.

Zastanawiam się, co mógłbym powiedzieć. Rozważam podzielenie się z nią informacją że według *Księgi rekordów Guinnessa* Chang jest oficjalnie najbardziej popularnym nazwiskiem na świecie, ale dochodzę do wniosku, że już to wie, więc w zamian mówię:

—Hej, doskonały wynik! Osiemdziesiąt dziewięć punktów!

—Ach, dziękuję. Twój też był doskonały, doskonały jak na...

—...przegrana?

— No, cóż... tak, przypuszczam, że tak! — I znowu się śmieje, wysokim i ostrym głosem. — Doskonała przegrana!

Z uprzejmości ja też się śmieję i mówię:

—Mimo to nie ma się czym przejmować. Przegraj jeszcze raz, przegrasz lepiej!

—Samuel Beckett, prawda?

—Zgadza się — potwierdzam zaskoczony. — Co studiujesz, możesz mi jeszcze raz powiedzieć?

—Ach, medycynę, drugi rok — mówi, a ja myślę: o mój Boże, ona jest genialna. Obserwuję ze szczerym podziwem, jak wyswobadza się ze swojego intrygującego plecaka.

—Podoba mi się ta panda — rzucam.

—Och, dziękuję!

—Rodem z Chin!

Spogląda na mnie, nie rozumiejąc, więc aby wyjaśnić, pytam: —
Przywiozłaś ją ze sobą z domu? Wygląda na zdziwioną.

—Chodzi ci o mój akademik? Ogarnia mnie poczucie porażki.

—Nie, z twojego, no wiesz... twojego miasta rodzinnego.

— Ach, chodzi ci o Chiny! Ponieważ to jest panda, tak? No cóż, w rzeczywistości pochodzę z Minneapolis, więc nie.

—Tak, ale oryginalnie z...?

—Minneapolis...

—Ale twoi rodzice, oni pochodzą z...

—Minneapolis...

—Ale ich rodzice pochodzą z...

—Minneapolis...

—Oczywiście. Minneapolis.

I uśmiecha się do mnie z doskonałą, szczerą uprzejmością, mimo że jestem oczywiście podłą, rasistowską szumowiną.

— Z miasta, z którego pochodzi Prince! — dodaję wesoło.

— No właśnie! Z miasta, z którego pochodzi Prince — mówi. — Chociaż nigdy nie miałam okazji go poznać.

— Ach — odpowiadam.

Próbuję jeszcze raz.

—Widziałaś *Purpurowy deszcz*?

—Nie — odpowiada. — A ty. Widziałeś. *Purpurowy deszcz*?

—Tak, dwa razy — odpowiadam.

—Podobał ci się? — pyta.

—Prawdę mówiąc, nie — odpowiadam.

—A mimo to widziałeś go dwa razy!

— Wiem — zgadzam się i dodaję wesoło, z całkiem niezłym amerykańskim akcentem. — Absurd!

A potem, dzięki Bogu, otwierają się drzwi i do pokoju wchodzi duży Colin Pagett, niosąc cztery butelki Newcy Brown i kartonowe wiaderko

Kentucky Fried Chicken. Patrick wprowadza go jak główny kamerdyner prowadzący kominiarza i korzystając z chwili niezręcznej ciszy, która zapada, oddaję się przez chwilę rozmyśleniom nad skomplikowaną sztuką konwersacji. Idealnie, oczywiście, chciałbym obudzić się rano i otrzymać skrypt wszystkiego, co zamierzam powiedzieć danego dnia, tak abym mógł przeczytać i przepisać moje dialogi, wycinając głupkowate uwagi i beznaziejne, idiotyczne żarty. Najwyraźniej jednak nie jest to możliwe, a druga opcja — ta, żebym się już nigdy więcej nie odezwał — też nie zadziała.

Więc może powinienem traktować konwersację tak, jakby była trochę podobna do przechodzenia przez ulicę. Zanim otworzę usta, powinienem poświęcić kilka sekund na rozglądnięcie się na boki i ostrożnie rozważyć, co zamierzam powiedzieć. I nawet jeśli to oznacza, że moje wypowiedzi będą trochę wolniejsze i sztywne, jak transatlantycka rozmowa telefoniczna, jeśli to oznacza, że spędzę odrobinę więcej czasu, stojąc jedynie na metaforycznym, konwersacyjnym krawężniku, rozglądając się w prawo i w lewo, to trudno, niech tak będzie, ponieważ jest oczywiste, że nie mogę nadal rzucać się ślepo pod koła pędzących samochodów. Nie mogę pozwalać, by po mnie przejeżdżały.

Na szczęście w chwili obecnej rozmowa nie jest niezbędna, ponieważ gdy czekamy na przybycie Alice, Patrick nastawia jedną ze swoich cennych kaset wideo — wielki finał z ubiegłego roku, siedzimy więc i oglądamy, jak drużyna z Dundee znowu wygrywa, podczas gdy Patrick mamrocze odpowiedzi, a Colin , opróżnia wiaderko z Kentucky Fried, i przez piętnaście minut są to jedyne odgłosy: Colin obgryzający udko kurczaka, Patrick szepczący jak szalowiec z poręczy sofy.

— ...Kafka... azot... tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty szó-nly... dwunastnica... podchwytliwe pytanie, żaden z nich... ('.P.E. Bach...

Od czasu do czasu udaje mi się podać odpowiedź, czasem mówi Colin, z kawałkiem przysmażonego mięsa w ustach — Ravel, *Piekło* Dantego, Róża Luksemburg, *veni vidi vici* — wyraźnie jednak Patrick zaznacza swoje terytorium, pokazuje kto jest szefem, ponieważ jego głos robi się stopniowo coraz bardziej doniosły:

—...MOODY BLUES... GOYA... TYFUS. MARY... WSZYSTKIE TO LICZBY PIERWSZE...

...i chociaż uwielbiam ten program, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że to chyba lekka przesada...

— ...REN, RODAN, DUNAJ... MITOCHONDRIUM... WAHADŁO FOUCAULTA...

...nauczył się ich na pamięć? Czy mamy myśleć, że nigdy wcześniej tego nie widział, czy mamy myśleć, że i tak wie to wszystko? A co myśli o tym Lucy Chang? Spoglądam w bok i widzę, jak dziewczyna siedzi z pochyloną głową i z zamkniętymi oczami, i myślę, że może jest zdenerwowana albo zawstydzona, co całkiem zrozumiałe, ale potem zauważam delikatne drganie jej ramion i zdaję sobie sprawę, że usiłuje się nie roześmiać...

— ...ODA DO GRECKIEJ URNY... BO DIDDLEY... NOC ŚW. BARTŁOMIEJA... BERLIŃSKI MOST POWIETRZNY...

...i dokładnie w chwili, gdy wygląda na to, że już dłużej nie wytrzyma, rozlega się dźwięk dzwonka na dole, Patrick wychodzi i zostawia naszą trójkę wpatrzoną w telewizor. W końcu to Colin odzywa się pierwszy, cichym konspiracyjnym głosem.

— Czy to ze mnajest coś nie tak, czy to temu facetowi kom pletnie odbiło?

Przybycie Alice znacznie rozluźnia atmosferę. Wchodzi, nie mogąc złapać tchu, opatulona szalem i płaszczem, a na dłoniach ma zamszowe mitenki. Rozgląda się po pokoju, uśmiechając się i witając z każdym.

— Cześć, Bri! — woła ciepło i mruga do mnie łobuzersko. Patrick kręci się wokół niej, idiota, przeczesując palcami

beżowe plastikowe włosy, prosząc ją, żeby usiadła, i nalewając jej lampkę bułgarskiego Cabernet Sauvignon, które ja przy-niosłem, z dużym osobistym poświęceniem, jakby było jego. Gdy Alice pyta: „Pozwolisz, że zapalę?”, woła: „Oczywiście!” jakby nagle okazało się to doskonałym pomysłem, jak to możliwe, że sam na to nie wpadł, następnie rozgląda się za czymś, co można byłoby użyć jako popielniczkę, i znajduje mały organizer ze spinaczami, które wysypuje na biurko z szaloną, punkową beztroską.

Alice wciska się obok mnie na sofę, biodrem dotykając mojego uda, Patrick odchrząkuje i zwraca się do drużyny:

— Tak więc, oto jesteśmy! „Wspaniała czwórka!” I naprawdę myślę, że tego roku czeka nas coś wyjątkowego...

Chwileczkę — „Wspaniała c z w ó r k a”?

— W takim razie wyjaśnię wam, jak to działa... Liczę ludzi w pokoju: jeden, dwa, trzy...

— .. .pierwszy etap to zakwalifikowanie się do samego teleturnieju telewizyjnego...

Dlaczego nie mógł powiedzieć: „Wspaniała piątka”? Nic by mu się nie stało, gdyby powiedział: „Wspaniała piątka”.

— To odbędzie się za dwa tygodnie i ma nieformalny charakter, ale jest dość trudne, więc będziemy musieli się postarać, jeśli chcemy w ogóle znaleźć się w eterze. Więc do tego momentu, proponuję, żeby nasza czwórka spotykała się tutaj co tydzień o tej porze i ćwiczyła odpowiedzi na pytania, które będę przygotowywał, i może obejrzymy jedną czy dwie kasety, żebyśmy nie Wyszli z wprawy...

Chwileczkę — dlaczego nie miałbym przychodzić? Muszę < przychodzić, jeśli nie będę przychodził, nie będę widywał Alice. Podnoszę do góry dłoń, żeby zadać pytanie, ale Patrick wkłada kasetę do magnetowidu i nie widzi mnie, więc odchrząkuję i zaczynam:

—Uhm, Patrick...

—Brian?

—Więc ja nie muszę przychodzić?

—Nie wydaje mi się, nie...

—W ogóle...?

—Nie...

—Nie myślisz wobec tego, że to dobry pomysł, żeby...?

— Cóż, będziemy cię potrzebować jedynie w sytuacji awaryjnej. Uważam po prostu, że będzie lepiej, jak nasza czwórka pozna się bliżej, jako drużyna, skoro jesteśmy drużyną.

—Więc nie potrzebujecie mnie?

—Nie.

— Nawet żebym przychodził i — no wiesz — przyglądał się.

— Raczej nie, Brian, nie...

I przyciska klawisz „start” magnetowidu.

— Tak więc, to jest Leeds contra Birkbeck w ćwierćfinałach sprzed dwóch lat. Naprawdę dobry pojedynek...

I siada z powrotem na sofie, wciskając się obok Alice, która siedzi, dotykając biodrem mojego uda, podczas gdy ja usiłuję obmyślić plan, jak zamordować Patricka Wattsa.

RS

PYTANIE: Co znaczy łacińskie motto towarzyszące ryczącemu lwu na początku filmów Metro-Gold-wyn-Mayer?

ODPOWIEDŹ: *Ars Gratia Artis* — Sztuka dla sztuki.

—Cóż, szczerze mówiąc, uważam, że jest po prostu okropny. To znaczy przekonanie, że to jest jakiś wielki liryczny poemat miłosny, to kompletna bzdura. To jakieś wierszydło napalonego faceta. Jakiś seksualnie sfrustrowany, mały gnojek usiłuje się dostać do majtek swojej pani, będąc o „Skrzydlatym Rumaku Czasu minionego” i odmawiając przyjęcia do wiadomości, że ona go nie chce. Nie ma nic lirycznego, romantycznego ani z pewnością nic erotycznego w tym wierszu, nie dla kobiety w każdym razie — odpowiada, przeciągając samogłoski, koleżanka Alice, Erin, kobieta z kocimi oczami i krótkimi, tlenionymi blond włosami. — Prawdę powiedziawszy, gdyby jakiś facet przysłał mi taki wiersz albo mi go przeczytał czy coś takiego, wezwałabym policję. Nic dziwnego, że jego kochanka jest cnotliwa. Ten poeta to kompletny mizoginista.

—Uważasz, że Andrew Marvell jest mizoginista? — upewnia się profesor Morrison, wygodnie rozparty w fotelu, z długimi palcami skrzyżowanymi na brzuchu.

—Zasadniczo tak. Na pewno w tym wierszu.

—Tak więc poeta i podmiot liryczny to te same osoby?

—A dlaczego nie? Nie ma nic, co mogłoby sugerować jakąś próbę dystansu...

—A ty co myślisz, Brian?

Tak naprawdę to myślę o Alice, więc milczę przez chwilę, pocierając uszy, jakby siedzibą moich władz umysłowych były płatki uszu i jakbym musiał je rozgrzać. To dopiero moje trzecie Ncminarium, a ostatnio zostałem przyłapany na tym, że jedynie udawałem, iż przeczytałem *Mansfield Park*, podczas gdy w rzeczywistości widziałem jedynie połowę pierwszej części w telewizji, więc tym razem muszę się naprawdę postarać. Z mojego arsenału wybieram wyrażenie „kontekst historyczny”.

— Wydaje mi się, że to dużo bardziej skomplikowane, szczególnie jeśli umieści się wiersz w kontekście historycznym...

W tym momencie Erin cmoka i wzdycha, jak zawsze, ilekroć otwieram usta na seminariach. Erin wyraźnie mnie nie cierpi, chociaż nie wiem dlaczego, ponieważ zawsze się do niej uśmiecham. Chyba że, oczywiście, to jest właśnie powód. Nieważne. Skoncentruj się.

—Po pierwsze, mamy tu dość dużą dawkę humoru. Użycie retoryki jest świadome i w tym sensie wiersz jest trochę podobny do 130 sonetu Szekspira, „Słońcu jej oka nie przyrównam wcale”*¹⁹ — (nieźle) — tyle że tutaj retoryka poety sprawia, że wydaje się głupcem... desperacja, argumenty, do jakich się ucieka, żeby nakłonić swoją ukochaną, aby mu uległa, czynią z niego postać zasadniczo komiczną. To komedia frustracji seksualnej i romantycznego upokorzenia. W rzeczywistości to tytułowa „cnotliwa kochanka”, obiekt jego nieodwzajemnionej namiętności, dyktuje tutaj warunki...

—Cóż, to stek reakcyjnych, szowinistycznych bzdur — prycha Erin, która przez cały czas wierciła się na krześle, sprawiając, że winyl aż skrzyphiał od jej oburzenia. — Cnotliwa kochanka nie ma żadnej mocy ani żadnej osobowości, jest zerem, pustką zdefiniowaną jedynie przez jej piękno i niechęć do oddania się poecie. A ton wyraźnie nie jest komiczny ani liryczny, jest napastliwy, manipulacyjny i przytłaczający.

Potem Chris hippis z brudną ręką zaczyna mówić i postanawiam, że pozwolę Erin, żeby to na nim przez jakiś czas ostrzyła swoje pazury. Pro-

¹⁹ * William Shakespeare, *Sonety*, tłum. Maria Sulkowska, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1964.

fesor Morrison uśmiecha się do mnie delikatnie, w ojcowski sposób, dając mi w ten sposób znać, że zgadza się ze mną co do joty. Lubię profesora-Morrisona. Boję się go też, co prawdopodobnie stanowi właściwą kombinację w przypadku nauczyciela akademickiego. Przypomina trochę Davida Attenborough, co również musi być pozytywną cechą w przypadku tego zawodu, i nosi sztruksowe ubrania i dzianinowe krawaty, i jest chudy jak patyk, z wyjątkiem małego zwartego brzuszka, który wygląda jak poduszka przymocowana pod jego brudną koszulą. I słucha uważnie, gdy się mówi, z głową lekko przechyloną na bok, składając swoje długie palce przed twarzą w namiot, identycznie jak intelektualiści w telewizji.

Gdy Erin przypuszcza na Chrisa bezlitosny słowny atak, a profesor Morrison się temu przygląda, ja odpływam na chwilę, wyglądam przez okno i znowu zaczynam rozmyślać o Alice.

Gdy wracam po zajęciach na High Street, widzę Rebeccę jakąś-tam i kilku jej naprawdę-choalnie-wkurzonych kolegów, z którymi zawsze się kręci. Wciskają ulotki do rąk obojętnych przechodniów robiących zakupy i przez chwilę zastanawiam się, czy nie przejść na drugą stronę. Trochę się jej obawiam, szczerze mówiąc, szczególnie po naszej ostatniej rozmowie, ale obiecałem sobie, że zawrę jak najwięcej nowych znajomości na uniwersytecie, nawet jeśli niektórzy ludzie będą mi wyraźnie dawali odczuć, że nie lubią mnie za bardzo.

— Hej — rzucam.

—To nasza *Dancing Queen*\ Co słychać? — wita mnie i wręcza mi ulotkę nakłaniającą mnie do zbojkotowania banku; Barclays.

—Prawdę powiedziawszy, moje stypendium pochodzi z podobnej, nieobojętnej, humanitarnej i wielonarodowościowej organizacji bankowej — wyjaśniam z kąśliwym, kpiarskim i satyrycznym błyskiem w oku.

Ona jednak na mnie nie patrzy i już zdążyła wrócić do rozdawania ulotek i wykrzykiwania:

— Walczcie z apartheidem! Popierajcie bojkot. Nie kupujcie towarów z RPA! Powiedzcie nie apartheidowi...!

Sam zaczynam się czuć lekko bojkotowany, więc ruszam przed siebie, gdy ona rzuca odrobinę łagodniejszym głosem:

—Jak sobie tutaj radzisz?

—Ach, w porządku. Mieszkam z dwójką istnych cholernych Rupertów. Ale poza tym jest stosunkowo nieźle...

Dodałem ten element wojny klasowej specjalnie ze względu na nią ale wydaje mi się, że nie zrozumiała, ponieważ spogląda na mnie zdezorientowana.

—Obydwaj mają na imię Rupert?

—Nie, nazywają się Marcus i Josh.

—Więc co to za Ruperci?

—Są... są no wiesz — Rupertami.

Mój komentarz jednak traci powoli na celności dowcipu i zaczynam się zastanawiać, czy nie powinienem zaproponować raczej pomocy w rozdawaniu ulotek. Ja sam jestem bowiem gorącym zwolennikiem tej sprawy i wyznaję surową zasadę nie-spożywania owoców pochodzących z RPA, która jest niemal tak kategoryczna, jak moja zasada niespożywania owoców w ogóle. Ale teraz Rebecca zwija pozostałe ulotki i podaje je kolegom.

— Dobrze, to ja już na dzisiaj kończę. Do zobaczenia, Toby, do zobaczenia, Rupert...

I nagle idziemy ramię w ramię w dół ulicy, a ja nie mam zielonego pojęcia, czyj to był pomysł.

—Więc gdzie idziemy? — pyta z dłońmi wepchniętymi głęboko do kieszeni swojego czarnego nieprzemakalnego płaszcza.

—Właśnie szedłem do miejskiej galerii sztuki.

—Galerii sztuki? — pyta zaintrygowana.

—Tak, pomyślałem, że, no wiesz, sprawdzę, co tam jest? Marszczy nos i odpowiada:

—OK, sprawdzmy, co tam jest! I ruszam za nią ulicą.

*

Ach, ten stary odwieczny wybieg z rodzaju „sprawdźmy, co jest w galerii”. Czekałem, żeby to wypróbować już od jakiegoś czasu, ponieważ w Southend nie jest to do końca możliwe, ale tu jest prawdziwa galeria sztuki: duszna biblioteczna atmosfera, marmurowe ławki, pracownicy ochrony drzemiący na wygodnych krzesłach. Miałem plan, aby przyjść tu na randkę z Alice, ale dobrze zrobić najpierw próbę z kimś innym, żebym mógł wcześniej opracować swoje spontaniczne reakcje.

Nie wstydzę się przyznać, że moja reakcja na sztukę wizualną może być dość powierzchowna; na przykład, często muszę uciekać się do wskazywania, że ktoś na obrazie jest podobny do takiej to a takiej osoby z telewizji. Poza tym istnieje pewna porcja etykiety odnoszącej się do galerii sztuki, którą muszę opanować — jak długo stać przed każdym obrazem, jakie wydawać z siebie odgłosy, tego typu rzeczy — ale Rebecca i ja szybko odnajdujemy przyjemne, dogodne tempo; nie tak szybkie, by sprawiać wrażenie płytkich, nie tak wolne, by zanudzić się na śmierć.

Sprawdzamy właśnie salę z malarstwem z osiemnastego wieku, stojąc przed nieszczególnie porywającym obrazem wykonanym przez kogoś, o kim nigdy nie słyszałem. Lord i lady, w stylu Gainsborough, stojący pod drzewem.

—Niesamowita perspektywa — stwierdzam, ale zwrócenie jej uwagi na to, jak przedmioty stają się coraz mniejsze, w miarę jak się oddalają, wydaje się trochę zbyt podstawowe, postanawiam więc w zamian przyjąć nieco bardziej marksistowskie, społeczno-polityczne podejście.

—Spójrz na ich twarze! Z pewnością robią wrażenie zadowolonych ze swojego losu!

—Skoro tak mówisz — zgadza się Rebecca, zupełnie niewzruszona.

—Nie jesteś wobec tego miłośniczką sztuki?

—Oczywiście, że jestem. Nie uważam jedynie, że tylko dlatego, że coś zostało oprawione w dużą, cholerną, złoconą ramę, to powinnam się czuć zobowiązana do wystawiania przed tym

godzinami i pocierania jednocześnie brody. Chciałam powiedzieć, spójrz tylko na to... — Z dłońmi nadal zanurzonymi w kieszeniach wskazuje lekceważąco połamami swojego płaszcza na salę... — Portrety próżnia-

czych bogaczy przyglądających się z dumą swym nieuczciwie zdobytym dobrom, cukierkowe wyobrażenia katorżniczego znoju na roli, obrazy nieskazitelnie czystych świń. Spójrz tylko na to okropieństwo — wskazuje na śmietankowo różową nagą kobietę o obfitych kształtach, wygodnie rozciągniętą na szezlongu — miękkie porno dla handlarzy niewolników. Gdzie jest jej owłosienie łonowe na litość boską! Czy widziałeś kiedykolwiek w swo'im życiu nagą kobietę, która by tak wyglądała?

Zastanawiam się przez chwilę, czy nie powiedzieć jej, że tak naprawdę nigdy nie widziałem nagiej kobiety, ale nie chcę spalić moich artystycznych referencji, więc milczę.

— Chodzi mi o to, dla kogo to tak naprawdę jest.

—Więc nie wydaje ci się, że sztuka ma jakąś wewnętrzną wartość?

—Nie, nie uważam jedynie, że ma wewnętrzną wartość tylko dlatego, że ktoś gdzieś postanowił nazwać ją „sztuką”. Jak lo... tego typu tandeta wisi na ścianach prowincjonalnych klubów konserwatywnych...

— Zatem gdyby nadeszła rewolucja a, spaliłabyś to wszystko...

— Ach, masz ten naprawdę wruszający zwyczaj przyklejania ludziom etykietek...

Idę za nią do sali pełnej martwej natury i postanawiam skierować rozmowę na tory odległe od polityki.

— Jaka jest liczba mnoga od martwej natury? Czy to nadal martwa natura czy martwe natury?

Uderza mnie to jako dość intelektualne stwierdzenie, w rodzaju 4 programu radia, ale ona najwyraźniej nie połknęła haczyka.

—Jakie są wobec tego twoje przekonania polityczne? — pyta.

—No cóż, przypuszczam, że jestem kimś w rodzaju lewicowego liberalnego humanisty.

—Czyli innymi słowy, wszystko i nic...

—Cóż, tego bym nie powie...

—A co studiujesz, mógłbyś mi jeszcze raz powiedzieć?

—Lit. ang.

—Co to jest *litangl*

—Literatura angielska.

—Czy to się tak teraz nazywa? A co skłoniło cię do zajęcia się *litang*, poza tym, że to oczywiście jedno wielkie cholerne pójście na łatwiznę.

Postanawiam puścić mimo uszu ten komentarz i przechodzę od razu do mojego popisowego numeru.

— Cóż, nie byłem pewien, co faktycznie powinienem wybrać. Na egzaminach końcowych z poziomu pierwszego i drugiego udało mi się zdobyć stosunkowo szerokie kwalifikacje i zastanawiałem się nad historią, sztuką albo może jednym z przedmiotów ścisłych. Ale w literaturze podoba mi się, że zasadniczo obejmuje wszystkie dziedziny wiedzy — to historia, filozofia,¹ polityka, równouprawnienie, socjologia, psychologia, lingwistyka, nauki ścisłe. Literatura to zorganizowana odpowiedź gatunku ludzkiego na otaczający ją świat, więc w pewnym sensie jest to zupełnie naturalne, że ta odpowiedź zawiera cały... — czekam, aż wzrośnie napięcie — ...wachlarz intelektualnych koncepcji, idei, kwestii...

I tak dalej, i tak dalej. Jeśli mam być zupełnie szczerzy, nie po raz pierwszy wypowiadam tę kwestię. Szczerze mówiąc, wykorzystałem ten numer na rozmowach kwalifikacyjnych na wszystkich uniwersytetach, i mimo iż nie jest to dokładnie jedno ze słynnych wystąpień Churchilla, jest zazwyczaj entuzjastycznie przyjmowane przez nauczycieli akademickich, szczególnie jeśli towarzyszy mu — tak jak tutaj — dużo mierzwienia włosów i emfaticznych gestów. Moje wystąpienie powoli zbliża się do drugoczącego finału.

— ...więc jak tytułowy Hamlet mówi do Poloniusza w akcie drugim, scena druga, to wszystko przecież w końcu to tylko „słowa, słowa, słowa” i to, co nazywamy „literaturą”, jest w rzeczywistości jedynie narzędziem służącym do tego, co bardziej precyzyjnie można opisać jako studium... wszystkiego. Rebecca zastanawia się nad tym i kiwa poważnie głową.

—Cóż, z pewnością już dawno nie słyszałam takiej sterty bzdurnego, końskiego gówna — rzuca i zaczyna odchodzić.

—Tak myślisz? — pytam i podążam za nią.

—Chodzi mi o to, dlaczego nie możesz po prostu powiedzieć, że masz ochotę siedzieć przez te trzy lata na czterech literach i czytać? Przynajmniej byłbyś szczerzy. Literatura wcale nie uczy cię „wszystkiego”, a nawet gdyby

tak było, odbywałyby się to jedynie w najbardziej bezużyteczny, powierzchowny i niepraktyczny sposób. Chcę powiedzieć, że każdy, kto uważa, że może się nauczyć czegoś praktycznego o polityce, psychologii czy naukach ścisłych, wertując strony *Pod Mlecznym Lasem*, plecie cholerne bzdury. Czy wyobrażasz sobie, że ktoś ci powie: „Cóż, proszę pana, jak się pan zowie, zamierzam usunąć panu śledzionę, i zgoda, nie studiowałem w istocie medycyny, ale proszę się nie obawiać, ponieważ bardzo podobał mi się *Klub Pickwicka*...”?

—Cóż, medycyna to szczególny przypadek.

—A polityka nie? Albo historia? Albo prawo? Dlaczego nie? Ponieważ są łatwiejsze? W mniejszym stopniu zasługująca wnikliwą analizę?

—Więc nie uważasz, że powieści, poezja i teatr przyczyniają się do jakości i bogactwa życia?

—Tego nie powiedziałam, prawda? Jestem pewna, że tak właśnie jest, ale w ten sam sposób działa trzyminutowa piosenka z gatunku pop, a nikt nie odczuwa potrzeby studiowania jej przez trzy lata.

Jestem pewien, że Alexander Pope powiedział na ten temat coś, co przysłoby mi tutaj z pomocą, ale nie mogę sobie przypomnieć i przez chwilę zastanawiam się nad użyciem słowa „utyli-taryzm”, ale nie jestem pewien jak. W zamian mówię więc:

— Tylko dlatego, że coś nie jest praktyczne, nie znaczy, że nie jest użyteczne.

Rebecca marszczy w odpowiedzi nos i zdaje sobie sprawę, że stąpa po grząskim gruncie, semantycznie rzecz ujmując, postanawiam więc przyjmując inną taktykę i przejść do ataku.

—A co wobec tego ty studiujesz, że jest takie użyteczne? — pytam.

—Prawo. Drugi rok.

—Prawo...! No tak, zakładam, że prawo jest dość użyteczne,

—No cóż, miejmy taką nadzieję.

Prawo ma sens. Gdybym znalazł się w sądzie, nie chciałbym; się kłócić z Rebeccą Epstein. Wymierzałyby ci policzek za po-.' liczką swoim akcentem z Glasgow, rzucałyby ci w twarz hasła' w rodzaju: „Sprecyzuj swoje

tezy!" i „Twoja argumentacja jest pokrętna!" W ogóle nie chcę się z nią teraz spierać, przestaję więc po prostu mówić i przechodzimy przez muzeum w ciszy. Towarzyszą nam gablotki ze skamielinami, rzymskimi monetami i antycznymi urządzeniami do uprawy roli. Przypuszczam, że to moje pierwsze zetknięcie z żywą intelektualną szermierką słowną stale obecną w życiu akademickim. Nie mogę też oczywiście pominąć tej wymiany argumentów z Erin na seminariach, ale to tak, jakby ktoś robił ci pokrzywkę — nie można tego znosić w nieskończoność. Z Rebeccą czuję się, jakby ktoś wymierzył mi cios prosto między oczy. Ale to dopiero mój trzeci tydzień. Jestem pewien, że wkrótce nabiorę wprawę, i w głębi duszy wiem, że jestem jak najbardziej zdolny do elokwentnej i celnej riposty, nawet jeśli najpierw muszą upłynąć trzy lub cztery dni. Tymczasem postanawiam sprawdzić, czy będę w stanie zmienić temat.

—Więc co chcesz robić potem? — pytam.

—Nie wiem. Moglibyśmy pójść się czegoś napić, jeśli chcesz...

—Nie, chciałem zapytać, co chcesz robić, gdy skończysz, uniwersytet, zdobędziesz tytuł...

—Gdy zdobędę tytuł? Nie wiem. Coś, co wnosi jakąś wartość do ludzkiego życia. Nie jestem pewna, czy chciałabym się bawić w całą tę adwokaturę, ale interesuje mnie prawo imigracyjne. Biuro doradztwa obywatelskiego robi kawał dobrej robo-

Może zajmę się polityką, dziennikarstwem lub czymś w tym Otylii, pomogę usunąć tych przeklętych torysów. A ty?

— Ach, może będę uczył albo pracował na uczelni. Może /ujmę się jakąś formą pisarstwa.

— Co piszesz?

— Na razie nic. — Postanawiam coś wypróbować i dodaję: Trochę poezji.

—No proszę. Jesteś poetą a ja tego nie wiedziałam. — Spogląda na zegarek. — Dobrze, myślę, że powinnam wracać.

—Gdzie mieszkasz?

—W Kenwood Manor, tam, gdzie była ta podła impreza.

—A, tam, gdzie mieszka moja znajoma Alice?

—Piękna jasnowłosa Alice?

—Jest piękna? Nie zauważyłem.

Wypróbuję w tej chwili rodzaj cierpkiego postfemini-stycznego humoru, ale Rebecca cmoka jedynie ze zniecierpliwieniem, wykrzywia twarz i pyta:

—Skąd ją znasz?

—Jesteśmy razem w drużynie *University Challenge*... — odpowiadam, wzruszając obojętnie ramionami.

Chichot Rebecki odbija się echem od kamiennych murów muzeum.

—Żartujesz!

—Co w tym śmiesznego?

—Nic, nic. Przepraszam, nie miałam pojęcia, że rozmawiam z osobowością telewizyjną. Więc co staracie się udowodnić?

—Nie rozumiem?

—Cóż, start w czymś takim musi znaczyć, że chcecie coś udowodnić.

—Nie mam niczego do udowodnienia! To dobra zabawa. A poza tym nie zakwalifikowaliśmy się jeszcze do turnieju telewizyjnego. Eliminacje odbywają się w następnym tygodniu.

—Turniej, tak? To brzmi całkiem nieźle. Jakbyście musieli nałożyć ubranie ochronne czy coś takiego. Na jakiej grasz pozycji? Środkowy napastnik? Bramkarz...?

—Prawdę powiedziawszy, jestem pierwszym rezerwowym,

—Ach, więc technicznie rzecz biorąc, nie należysz do drużyny.

—Nie, raczej nie.

—No cóż, gdybyś chciał, żebym złamała komuś palec, którym wciska przycisk, daj mi znać...

Stoimy na stopniach prowadzących do galerii. Gdy byliśmy w środku, zaczęło się robić ciemno.

—Miło się z tobą rozmawiało... Przepraszam, znowu zapomniałam, jak masz na imię.

—Brian. Brian Jackson. Odprowadzić cię do domu?

—Znam drogę, przecież tam mieszkam, zapomniałeś? Do zobaczenia w takim razie, Jackson.

I zbiega po schodach, następnie zatrzymuje się i odwraca.

— I wiesz co, Jackson? Oczywiście, możesz studiować, cokolwiek ci się podoba. Sztuka pisarska i rozumienie literatury, czy każdy inny rodzaj działalności artystycznej, są absolutnie niezbędne do funkcjonowania każdego przyzwoitego społeczeństwa. Jak ci się wydaje, dlaczego faszyci zaczęli od palenia książek? Powinieneś się nauczyć lepiej bronić swoich racji.

Potem odwraca się, schodzi po stopniach i znika w zapadającym zmierzchu.

RS

PYTANIE: Jakie słowo niemieckiego pochodzenia opisuje przyjemność czerpaną z nieszczęścia innych?

ODPOWIEDŹ: *Shadenfreude*.

Dzisiaj w końcu po raz pierwszy uśmiechnęło się do mnie szczęście. Duży Colin Pagett zaraził się żółtaczką.

Dowiaduję się o tym w środku wykładu o *Lyrical Ballads* Coleridge'a i Wordswortha. Doktor Oliver mówi już od jakiegoś czasu, a ja usiłuję się skoncentrować, naprawdę się staram. Dla mnie jednak ballada liryczna powinna być czymś w rodzaju *The Man With The Child In His Eyes* w wykonaniu Kate Bush i jest to mój podstawowy problem w docenieniu romantyków. Nie są dla mnie dość romantyczni. Wydaje się człowiekowi, że to będzie całe mnóstwo poezji miłosnej, którą później będzie mógł kopiować na kartkach walentynkowych, ale ogólnie rzecz biorąc, nie ma tam nic prócz jezior, urn i łowców pijawek.

Z tego, co mówi doktor Oliver, wynika, że umysł romantyczny zajmował się przede wszystkim: 1) Naturą 2) Związkiem człowieka z naturą, 3) Prawdą 4) Pięknością, podczas gdy ja zdaję się najżywiej reagować na poezję, która zgłębia następujące tematy: a) Boże, jesteś naprawdę miła, b) podobasz mi się, czy moglibyśmy się zacząć spotykać, c) spotkanie się z tobą jest naprawdę, naprawdę wspaniałe i d) dlaczego nie chcesz się już ze mną spotykać? To pełne wrażliwości i wnikliwe zgłębianie tych tematów czyni poezję Szekspira i Donne'a najbardziej uczuciową i liryczną w kanonie literatury angielskiej. Rozważam zatytułowanie mojego kolejnego kształcącego eseju następująco: „Próba zdefiniowania pojęcia »Romansu«, studium porównawcze pierwiastka lirycznego u Coleridge'a i Donne'a”, czy

coś w tym rodzaju, gdy — całkiem właściwie — zauważam, że w drzwiach na salę wykładową pojawia się twarz Alice Harbinson.

Wszyscy kierują nią wzrok, jak można się spodziewać, ale ona najwyraźniej wskazuje palcem na mnie i coś mówi, poruszając jedynie ustami. Wskazuję palcem na siebie, a ona kiwa energicznie głową, następnie przykuca i pisze coś w notatniku A4, i przyciska to do szyby.

„Brian, Potrzebuję Cię — Pilnie” — informuje napis.

Żeby uprawiać seks? Przypuszczalnie nie, ale najwyraźniej nie mam wyboru, więc najdyskretniej, jak potrafię, zbieram swoje książki i skoroszyty, pochylam się i zmierzam w stronę drzwi. Doktor Oliver, a zarazem cała sala wykładowa, patrzy na mnie.

— Przepraszam, wizyta u lekarza — wyjaśniam i kładę dłoń na piersi, jakbym chciał dać do zrozumienia, że lada chwila mogę paść trupem.

Na doktorze Oliverze zdaje się to nie robić większego wrażenia i wraca do *Lyrical Ballads*, a ja wymykam się na zewnątrz i staję oko w oko z Alicą, czekającą na mnie na korytarzu. Jest zgrzana z wysiłku, lekko spocona, nie może złapać oddechu i wygląda ślicznie.

— Przepraszam, przepraszam, przepraszam, przepraszam, przepraszam... — wyrzuca z siebie bez tchu.

— Nic się nie stało, naprawdę. Co słyhać?

—Potrzebujemy cię! Na rundę kwalifikacyjną dzisiaj po południu.

—Naprawdę? Ale Patrick powiedział mi, żebym się nie fatygował...

—Colin nie może wziąć udziału, ma żółtaczkę.

—Żartujesz!

Oczywiście, nie wyrzucam w górę pięści ani nic takiego, ponieważ dość lubię Colina i jestem szczerze zaniepokojony, naprawdę, więc wyglądam na zmartwionego i pytam:

— Czy nic mu nie będzie?

— Absolutnie nic. To ta łagodna odmiana, żółtaczką typu A czy coś takiego. Jest podobno jasnożółtego koloru, ale będzie zupełnie zdrowy, całkowicie. Ale to znaczy, że jesteś w drużynie! Teraz!

I wykonujemy rodzaj radosnego, triumfalnego tańca, nic nieprzyzwoitego, absolutnie, a potem biegniemy do siedziby samorządu studenckiego.

Są chwile, gdy osiągnięcia ludzkości zdają się prześcigać wszelkie wyobrażenia tego, co jest w ludzki sposób możliwe — rzeźby Berniniego czy Michała Anioła, na przykład, tragedie Szekspira albo kwartety smyczkowe Beethovena. I tego popołudnia, w pustym barze studenckim, z jakiegoś powodu, który umyka racjonalnemu uzasadnieniu — przeznaczenie czy szczęście, niewidzialny palec boży czy też stan łaski — zdaję się wiedzieć wszystko.

— Jeśli adeninę połączymy w parę z tyminą, to cytozynę z...?

Wiem.

— Guaninę.

— Jak brzmi pełna nazwa organizacji, która przyznaje Oscary? Wiem.

— Amerykańska Akademia Filmowa.

— Zgadza się. Żyjąca w trzcinach, krzewach i na bagnach rodzina ptaków *Sylviidae* znana jest potocznie jako...

Wiem.

— Pokrzewki.

— Zgadza się. Nazwisko której popularnej kanadyjskiej piosenkarki folkowej brzmi Roberta Joan Anderson?

Wiem.

— Joni Mitchell.

— Zgadza się.

Ludzie z *University Challenge* przysłali redaktora o imieniu Julian, który jest miłym, łagodnym, młodym mężczyzną około dwudziestu pięciu lat, w swetrze z dekoltem w serek i w krawa[^] eie; sobowtór Bambara Gascoigne'a, z grubsza rzecz biorąc. Eli-, minacje mają formę prostego quizu — czterdzieści pytań w pięci: naście minut, bez pytań wprowadzających, naradzanie się jest niedozwolone — żeby sprawdzić, czy nadajemy się do wystąpienia w mistrzostwach telewizyjnych. I nadajemy się. Ach

tak, oczywiście się nadajemy. Mogę zaryzykować stwierdzenie, że jesteśmy w szczytowej formie.

— Która dwunastowieczna postać, żona króla zarówno Francji, jak i Anglii była inspiracją dla wielu wierszy Bernarda de Ventadour, poety trubadura?

— Eleonora Akwitańska.

— Chwileczkę, chwileczkę... proszę o niepomijanie kapitana — syczy z oburzeniem Patrick. — Brian, skąd wiesz?

Szczerze mówiąc, wiem, ponieważ Katherine Hepburn grają w jednym z tych filmów, które puszcza się w telewizji w niedzielę po południu, ale nie mówię tego, kiwam jedynie poważnie głową i stwierdzam z szeroko otwartymi oczami:

— Po prostu... wiem.

Jakby czysta, porażająca, rzucająca na kolana moc mojej wiedzy ogólnej była enigmą, nawet dla mnie. Patrick spogląda na Lucy Chang, szukając potwierdzenia, ale ona jedynie wzrusza ramionami, więc mówi:

—Eleonora Akwitańska.

—Zgadza się — mówi Julian.

Czuję, jak na moim ramieniu zaciska się dłoń, i spoglądam w prawo, gdzie siedzi Alice, uśmiechając się do mnie z szeroko otwartymi ze szczególnego podziwu oczami. To moja dziewiąta poprawna odpowiedź i czuję się tak, jak musiał się czuć Jesse Owens na Olimpiadzie w Berlinie w 1936. Inni nie mają szans, nawet Lucy Chang, i nagle wydaje się, że żółtaczka Colina Pa-getta to najlepsze, co mogło się nam przytrafić, wszystkim z wyjątkiem Colina Pagetta oczywiście, ponieważ rzeczywiście wygląda tak, jakbym wiedział wszystko o wszystkim.

— Który równoleżnik został wybrany w 1945 na konferencji

Poczdamię jako przybliżona granica pomiędzy Koreą Północną i Południową?

Tego, szczerze mówiąc, nie wiem, ale nie szkodzi, ponieważ mamy Lucy.

—Trzydziesty ósmy?

—Zgadza się.

I tak dalej — Andalużja — zgadza się, 1254 — zgadza się, węglan wapniowy — zgadza się, Ford Madox Ford — zgadza nie. Oczywiście, gdyby coś takiego miało miejsce w telewizji, cały kraj byłby zahipnotyzowany, widelec z jedzeniem zawisły w bezruchu w połowie drogi pomiędzy talerzem i ustami, w gelicy e niemego podziwu. Tak jednak nie jest, wszystko to dzieje się po prostu w pustym studenckim barze, który śmierdzi papierosami i piwem, o trzeciej po południu w wilgotny listopadowy wtorek, i nikt nas nie ogląda, nawet sprzątaczk, z których jedna zaczęła odkurzać.

— Hm, czy moglibyśmy... — mamrocze Julian. Patrick wstaje na równe nogi i krzyczy gniewnie:

—Przepraszam! Staramy się przeprowadzić quiz, a to nie jest pora sprzątania.

—Kiedyś trzeba to zrobić! — odpowiada sprząteczka, nie przestając odkurzać.

—Ten człowiek... — deklamuje Patrick, wskazując palcem na Juliana, niczym prorok ze Starego Testamentu — ...został przysłany z biura *University Challenge* z Manchesteru!

Z jakiegoś powodu zdaje się to przesądzać sprawę, ponieważ sprząteczka wyłącza odkurzacz, mamrocze coś pod nosem i wraca do opróżniania popielniczek.

Wracamy do quizu. Zastanawiam się, czy przypadkiem czar nie prysnął i czy będziemy w stanie zachować naszą mistrzowską formę, ale niepotrzebnie się martwiłem, ponieważ kolejne pytanie dotyczy anglosaskiego miejsca pochówku statku odkrytego w Suffolk w 1939 roku, który dostarczył cennych informacji na temat starożytnych rytuałów grzebania zmarłych.

Wiem.

—Sutton Hoo — odpowiadam.

—Zgadza się.

—Test Rorschacha — odpowiadam.

—Zgadza się.

—Nabłonek... — odpowiada Lucy.

—Zgadza się.

—Uganda? — odpowiada Patrick.

—Nie, wydaje mi się, że to Zair... — mówię i Patrick patrzy na mnie gniewnie, jak Kaligula, za to, że odważyłem się zakwestionować jego autorytet, potem odwraca się do Juliana i odpowiada stanowczo:

—Uganda.

—Błąd. To rzeczywiście Zair — mówi Julian, obdarowując mnie dyskretnym uśmiechem pocieszenia. Wydaje mi się, że dostrzegam niewielkie mimowolne mrugnięcie powieki u Patricka, ale jestem zdecydowanie zbyt dojrzały, żeby się tym rozkoszować, ponieważ tak naprawdę, Patrick, tu nie chodzi o małosłowne indywidualne zbieranie punktów, tu chodzi o pracę zespołową ty głąbie...

—Wróbel domowy — odpowiadam.

—Zgadza się.

—a jest równoważne b mod m? — szepcze Lucy.

—Zgadza się.

—Prawa zbożowe — krzyczy Patrick.

—Zgadza się.

—*The Woodlanders* Thomasa Hardy'ego — sugeruję.

—Zgadza się.

—Buster Keaton? — proponuje niepewnie Alice.

—Nie. Wydaje mi się, że to Harold Lloyd — mówię życzliwie, ale stanowczo.

—OK, Harold Lloyd? — odpowiada Alice.

—Zgadza się. Który inżynier lotnictwa zmarł w 1937 roku na kilka lat, zanim jego najśłynniejsza konstrukcja zdominowała przestrzeń powietrzną podczas bitwy o...?

—R.J. Mitchell — odpowiadam.

— Co? — rzuca niecierpliwie Patrick.

— R.J. Mitchell, konstruktor samolotu Spitfire. Pamiętam to nazwisko z reklamówki na pudełku klasycznego zestawu do składania samolotu w skali 1 do 12 i wiem, że mam nicję, to R.J. Mitchell, na pewno, nie mam

żadnych wątpliwości. Ale Patrick patrzy na mnie teraz i marszczy brwi, jakby chciał, Jllkby pragnął z całych sił, żebym się mylił.

—To R.J. Mitchell, możesz mi wierzyć.

—R.J. Mitchell? — odpowiada niechętnie.

— Zgadza się — potwierdza Julian, na którego ustach pojawia się mimowolny uśmiech.

Patrick przygląda mi się, mrużąc oczy, ale Lucy wychyla się /n nim i unosi do góry kciuki, sygnalizując radość i poparcie dla innie. A Alice, no cóż, Alice wsuwa rękę za moje plecy i zatrzymuje jąna wysokości pasa, dokładnie w miejscu, gdzie moja koszula pradziadka wysunęła się z dzinsów.

— OK. Wasze ostatnie pytanie: wyodrębniony w tysiąc siedemset trzydziestym piątym roku przez szwedzkiego chemika (ieorga Brandta, który metal ferromagnetyczny z grupy VIII układu okresowego pierwiastków używany jest do produkcji ognioodpornych i magnetycznych stopów?

Muszę przyznać, moja znajomość układu okresowego pierwiastków nie jest idealna i nie mam zielonego pojęcia, o co chodzi w tym pytaniu, ale to nic, ponieważ—jak przedtem — Lucy Chang zna odpowiedź.

—Kobalt — odpowiada.

—Zgadza się.

Egzamin skończony, wszyscy wstajemy z miejsc i klepiemy się po plecach, a Alice przytula mnie i dopiero wtedy czuję mokrą plamę na plecach, i zdaję sobie sprawę, że jestem spocony, jakbym właśnie ukończył bieg.

Julian odchrząkuje i mówi:

— Cóż, wasz ostateczny wynik to trzydzieści dziewięć poprawnych odpowiedzi na czterdzieści możliwych, to naprawdę fantastyczny wynik, więc z ogromną przyjemnością pragnę wam powiedzieć, że z całą pewnością dostaliście się do tegorocznego konkursu *University Challenge*

I tłum, gdyby tu był, w tym momencie by oszalał.

Przed budynkiem samorządu studenckiego wszyscy ściskamy dłoń miłego Juliana, życzymy mu przyjemnej podróży z powrotem do Manchesteru, do zobaczenia 15 lutego, serdeczne pozdrowienia dla Bambara, ha, ha, potem stoimy wszyscy w promieniach późnopołudniowego słońca, niepewni, co powinniśmy teraz zrobić.

—A co powiecie na piwo, żeby to uczcić! — proponuję,? pragnąc przedłużyć chwilę zwycięstwa.

—Co? O czwartej po południu? — reaguje z oburzeniem Patrick, jakbym właśnie zaprosił wszystkich do siebie na heroinę: i orgię.

—Nie mogę, przykro mi, mam jutro test—odpowiada Lucy,

—Ja też nie mogę — mówi Alice i powstaje pewna luka, podczas gdy wszyscy zastanawiamy się, czy wymyśli jakąś wyjątkową mowę.

Nie zadaje sobie tego trudu, więc mówię:

— OK, ja też idę w twoją stronę, więc będę ci towarzyszył. Ruszamy i usiłuję wymyślić jakieś sensowne uzasadnienie dla faktu, że idę w zupełnie niewłaściwym kierunku.

—Hej, doskonale sobie poradziłeś! — rzuca z zachwytem,; gdy idziemy przez park, który prowadzi do jej akademika. — Byłeś niesamowity.

—Hm, dziękuję. Ty też.

—Och, bzdury. Jestem kulą nogi tej drużyny. Udało mi się zakwalifikować tylko dlatego, że dałeś mi te odpowiedzi.

—To nieprawda—odpowiadam, chociaż wiem, że tak jest.

—Więc, skąd to wszystko wiesz?

—Zmarnowana młodość! — rzucam, ale ona nie rozumie dowcipu, więc dodaję: — Chyba posiadam po prostu umiejętność zapamiętywania bezużytecznej wiedzy, to wszystko.

— Myślisz, że istnieje coś takiego? Bezużyteczna wiedza?

— Cóż, czasami żałuję, że się nauczyłem robić na szydełku odpowiadam i Alice się śmieje. Najwyraźniej myśli, że żartuję, i może tak jest lepiej.

— I słowa piosenek, czasami myślę, że byłoby dla mnie lepiej, gdybym nie znał słów tak wielu współczesnych piosenek.

— „Niech moje jabłka mają plamki, ale zostaw mi ptaki i pszczoły...”?

Wiem.

— *Big Yellow Taxi* Joni Mitchell — odpowiadam.

— „Od Ibizy aż po Norfolk Broads...” Wiem.

— *Life on Mars* Bowiego — mówię.

— No dobrze, proszę bardzo, coś nowego. „Ma kości policzkowe jak geometria i oczy jak grzech, seksu uczy ją »Co-nmopolitan...«”

Oczywiście, znam odpowiedź na to pytanie, ale wykonuję Nymfomanię, udając, że nie wiem, potem mówię:

— *Perfect Skin*, Lloyd Cole and the Commotions?

— Boże, j esteś naprawdę świeeetny — rzuca z zachwytem, II potem — niespodziewanie — bierze mnie pod rękę i idziemy dalej przez park w promieniach zachodzącego słońca.

— OK, moja kolej. Postaraj się...

Zastanawiam się więc przez chwilę, biorę głęboki oddech i mówię:

— „Widziałem wczoraj wieczorem dwie spadające gwiazdy / Wypowiedziałem życzenie, lecz to były tylko kosmiczne pojazdy / To źle, gdy chcemy, żeby satelity spełniały nasze marzenia / Kochaj mnie, czy nie znasz mojego pragnienia?”

I wygląda na to, że mi się upiekło, w tym sensie, że nie dostaję od niej na miejscu prawym sierpowym pod oko. I tak wiem, że powinienem się wstydzić, i naprawdę się wstydzę. Ona jednak zdaje się to przyjmować w dobrej wierze. Zastanawia się przez chwilę, a potem mówi:

— Billy Brag, *A New England*.

— Bezbłędnie — odpowiadam.

— Jest pięknie, prawda?

— Zgadza się.

I idziemy dalej, aleją obsadzoną z obydwu stron drzewami a światła jarzeniówek migają, gdy je mijamy, niczym podświetlona podłoga w teledysku do piosenki *Billie-Jean*. Przychodzi mi do głowy, że w tej chwili przypominamy dokładnie czar no-białe zdjęcie na okładce reklamowanego w telewizji, ekskluzywnego, czteropłytkowego albumu składanki Ronco pod tytułem *The Greatest Love Songs Ever*. Przed nami znajduje się duża

sterta świeżo opadłych liści, w kolorze rdzawym, ochry i złotym, i prowadzę ją w ich kierunku, wołając radośnie:

— Hej, zobaczmy, czy uda się nam wzbic w górę trochę tych liści!

— Lepiej nie. Tam mogą być psie gówna — odpowiada. I muszę przyznać, że prawdopodobnie ma rację.

Wkrótce potem dochodzimy do Kenwood Manor. Przez całą drogę trzymała mnie za ramię, a to musi coś znaczyć, więc ośmielony, mówię:

— Hej, co robisz w najbliższy wtorek?

Jedynie bardzo doświadczone oko, takie jak moje, zauważyłoby przelotny moment paniki na twarzy Alice Harbinson, on jednak tam jest, nawet jeśli tylko przez chwilę, zanim moja rozmówczyni zdąży przybrać wyraz zamyślenia na twarzy, połączony ze stukaniem palcem w brodę.

— W najbliższy wtorek? Muszę się zastanowić... — mówi.

Szybko, Alice, wymyśl jakąś wymówkę, szybko dziewczyno, no już, już...

— Tak się składa, że to moje dziewiętnaste urodziny. Wielka dziewiętnastka...!

I przerywam na chwilę, która wystarcza, żeby Alice bezwiednie wpadła w moje sidła.

— I urządzasz przyjęcie! Bardzo chętnie przyjdę...

— Prawdę mówiąc, to nie jest przyjęcie, nie znam dość ludzi, żeby zorganizować przyjęcie. Ale pomyślałem, że może moglibyśmy się po prostu wybrać gdzieś razem, na przykład na... kolację?

— Tylko ty i ja? — Uśmiecha się.

Mówi się przyklejony „do twarzy” czy „na twarzy”?

— Tylko ty i ja...

—OK — mówi, jakby to były dwa słowa. — OK. Dlaczego nie? Tak! Będzie cudownie! I zabawnie! — dodaje.

I tak będzie. Cudownie i zabawnie. Dołożę wszelkich starań, żeby było zarówno cudownie, jak i zabawnie.

PYTANIE: Meszek, meszkowy i ostateczny to określenia służące do opisanego poszczególnych etapów rozwoju jakiegoż części ludzkiego ciała?

ODPOWIEDŹ: Włosów.

Dzisiejszy dzień jest wyjątkowy, ponieważ nie tylko są to moje dziewiętnaste urodziny, ostatni dzień mojego nastoletniego wieku, początek nowego i ekscytującego, dorosłego i dojrzalego etapu w życiu Briana Jacksona, ale jest to również dzień mojej romantycznej kolacji we dwoje z Alice Harbinson, i dlatego jako specjalny prezent urodzinowy dla samego siebie, Alicji i całego świata postanowiłem zupełnie zmienić swój image.

Szczerze mówiąc, zanosilo się na to już od pewnego czasu Wielu wielkich artystów, takich jak David Bowie albo Kati Bush, pozostały w awangardzie mody, zmieniając ciągle swoje stanowisko i wygląd, wydaje mi się jednak, że nie będzie nad użyciem, jeśli powiem, że popadłem ostatnio w pewną stylizowaną rutynę. Nie zamierzam robić niczego ekstremalnego, nie zamierzam nagle zacząć nosić dzianinowych trykotów albo brai heroinę, albo zostać biseksualistą, ale zamierzam obciąć sobie włosy. Nie, nie tylko obciąć. Zamierzam zmienić sobie fryzurę.

Włosy były zawsze czymś w rodzaju kości niezgody. Podobnie jak używanie żelu, mycie twarzy albo noszenie wsuwanych butów, tak obcinanie włosów w szkole średniej na I. angle; Street było zawsze uważane za przejaw pewnej zniewieściałości. Oznacza to, że aż do dzisiaj byłem skazany na rodzaj trudnej do określenia, bezkształtnej masy, która opadała mi luźno na oczy, zawijała się niehigienicznie nad kołnierzykiem i odstawała;

nud uszami. W efekcie cień mojej głowy trochę przypominał spory dzwon, albo, jak powiedziałby Tone, koniec knota. Ale wszystko to będzie miało swój kres dzisiaj, ponieważ od i jakiegoś czasu miałem na oku salon fryzjerski o nazwie Cutz — nie zwyczajny fryzjer — który całkiem mi się podoba. Jest nowoczesny, nie będąc jednocześnie awangardowy, wystarczająco męski i czysty. Są tam „The Face” i „id” do poczytania, a nie odstrasające sterty „Razzle” i „Mayfair” z oślimi rogami. Rozmawiałem z miłą mężczyzną o imieniu Sean, z płaską głową, kolczykiem w uchu i chłopięcym stylem bycia, który powiedział, że obetnie mnie o dziesiątej.

Jest tam, oczywiście, bardzo drogo, ale mam piątką, którego przysłała mi dzisiaj rano mama (wsuniętego do kartki ze zdjęciem piłkarzy — „Nie wydaj wszystkiego od razu!”) i piątką od babci Jackson na romantyczną kolację we dwoje dzisiaj wieczorem. Czuję się więc całkiem swobodnie i pewnie, gdy nonszalanckim krokiem wchodzę do Cutz, pierwszy klient tego dnia. Zbliżam się do niedużej grupki personelu, zgromadzonej wokół recepcji, pijącej kawę i palącej papierosy Silk Cut.

— Umówiony na dziesiątą? Z Seanem? Nazwisko Jackson? Wszyscy spoglądają na mnie, na moje ubranie i włosy, następnie opuszczają wzrok, co zdaje się mówić: „nie angażujmy się w to”, z wyjątkiem recepcjonistki, która zbliża się i sprawdza grafik. Nie widzę jednak Seana. Gdzie jest mój nowy przyjaciel, Sean?

— Seana dzisiaj nie ma — informuje mnie.

— Ach, tak...?

— Ale Nicky może cię ostrzec. Jest praktykantem. Odpowiada ci to?

Spoglądam za nią do kąta, gdzie chudy chłopak bez entuzjazmu zamiata włosy pozostałe z wczorajszego strzyżenia. Czy to Nicky? Wygląda, jakby miał sześć lat.

— Praktykantem? — szepczę.

— Strzyże jak Sean, tyle że jest tańszy — wyjaśnia cierpko recepcjonistka, ale nawet ona wie, że to ryzyko.

Tak jak w westernach, gdy banda idzie do burdelu i najważniejszy kowboj wybiera prostytutkę, która mu się najbardziej podoba, zawsze jest

tam jedna seksowna z pieprzykiem, ta jedna, która jest wyraźnie dużo bardziej atrakcyjna niż pozostałe prostytutki, które są albo grube, albo chude, albo stare, albo mają protezę nogi, albo brodawkę, albo sztuczne oko, i oczywiście kowboj wybiera tę najbardziej seksowną. Zawsze martwię się, co czują pozostałe prostytutki. Wiem, że prostytutka jest zła, ale zawsze dostrzegam ten rodzaj zrezygnowanego, rozczarowanego wzruszenia ramion odrzuconych prostytutek, gdy odchodzą z powrotem na szezlong, czy coś innego, który mówi, że chociaż wolałyby nie uprawiać pozbawionego miłości seksu za pieniądze, to byłoby jednak miło, gdyby je ktoś o to poprosił. I właśnie takim spojrzeniem obrzuca mnie Nicky. Nie mogę odrzucić Nicky'ego, ponieważ Nicky jest prostytutką z protezą nogi.

— Jestem pewien, że Nicky będzie świetny! — odpowiadam cierpko.

Nicky wzrusza ramionami, odkłada szczotkę, bierze do ręki nożyczki i przygotowuje się, żeby mnie ostrzyć.

Robią specjalnie dla mnie prawdziwą kawę w specjalnym zaparzaczu i odbywamy, jak mi się wydaje, konsultację. Nie jest to dla mnie zbyt łatwe, ponieważ brakuje mi słownictwa. Myślałem o tym, żeby przynieść zdjęcie, jako rodzaj pomocy wizualnej, ale gdybym się pojawił ze zdjęciem Davida Bowie, Stinga albo Harrisona Forda, to wszyscy roześmialiby mi się w twarz.

— To jaką chcesz fryzurę? Zwykłą?

— Nie wiem. A jaka jest zwykła?

— Krótko z tyłu i po bokach.

Nie, chyba nie o to mi chodzi — brzmi zbyt staroświecko.

— Prawdę mówiąc, myślałem raczej o zostawieniu dłuższych na czubku, z przedziałkiem po lewej stronie i zaczesanych do tyłu, i krótko nad uszami i z tyłu.

— Podgolone z tyłu?

— Troszkę.

— Tak jak w *Znowu w Brideshead*!

— Nie!

Śmieję się, chociaż chcę powiedzieć tak.

—Cóż, w takim razie jak? Miej klasę.

—Hm.

— ...ponieważ to, co opisałeś, to dokładnie krótko z tyłu i po bokach.

— Tak? W takim razie dobrze, krótko z tyłu i po bokach.

— Chcesz, żeby je umyć? — pyta, ujmując z odrazą palcem i kciukiem kosmyk, jak ktoś podnoszący brudną chusteczkę.

Czy to będzie więcej kosztowało?

—Nie, nie, wydaje mi się, że tak będzie dobrze, dziękuję.

—Jesteś studentem?

—Tak!

—Tak myślałem.

I tak się zaczyna. Młody Nicky całkiem nieźle radzi sobie /, nożyczkami, zważywszy na to, że ostatnia para, jakiej używał, była plastikowa z okrągłymi brzegami, i nie mija wiele czasu, u on obcina mi włosy nie bez pewnego entuzjazmu, a ze stereo dobiegają głośne dźwięki *Purple Rain*. Ja z kolei siedzę, czytam „The Face” i udaję, że rozumiem i że nie martwię się o włosy, ach, nie, w ogóle, mimo że Nicky jest uczniem. Uczniem na kogo? Uczniem na hydraulika? Uczniem na elektryka? Uczniem na operatora tokarki? Wpatruję się w artykuł o jeździe na desce, nie rozumiejąc go w rzeczywistości, więc spoglądam jedynie na modelki na zdjęciach z modą. Wszystkie są chude, obojna-cze, w stroju topless, seksualnie zaspokojone i rozleniwione. Wszystkie też uśmiechają się do mnie szyderczo, jakby szydziły z tego, co Nicky robi z moimi włosami. Widzę, że uruchomił elektryczną maszynkę i strzyże mi tył głowy. Uczeń na pasterza? Podnoszę wzrok znad gazety, spoglądam w lustro i wygląda to... całkiem nieźle, czy-
sto, świeżo, fryzura jest ułożona, a jednak naturalna. Wyglądam dobrze. Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że to może być właśnie fryzura dla mnie, idealne ostrzyżenie, ostrzyżenie, na które czekałem przez całe życie! Nicky, tak mi przykro, że kiedykolwiek w ciebie zwątpiłem...

Ale on nie przestaje ciąć. Zupełnie jak w szkole podstawowej gdy wychodzi nam wspaniały rysunek, a nauczyciel mówi: „Ni maluj więcej, bo go zepsujesz” — Nicky je psuje! Wycina ogromne wygolone pasy nad moimi uszami, z tyłu goli mnie tak wysoko że długie włosy na czubku za-

czynają wyglądać jak peruka. Uczeń na ogrodnika od strzyżenia trawników? Mam ochotę pochylić się i wyrwać kabel z gniazdka, ale nie mogę, spoglądam jedynie idio tycznie w „The Face”, coś o breakdancie w centrum handlowym w Basingstoke, i czekam, aż ustanie bzyczenie.

W końcu wyłącza maszynkę.

— Żel czy воск?

Boże, żel czy воск? Nie wiem. Czy „na wynos” jest tu rozwiązaniem? Nigdy wcześniej nie używałem wosku, więc mówię, że воск. On otwiera małe pudełko wielkości pudełka pasty do butów, rozciera na dłoniach coś, co przypomina smalec, i przeczesuje palcami to, co zostało z moich włosów.

Jest jasne, że bardzo daleko mi do Brideshead, pod jakimkolwiek względem. Wyglądam jak Winston Smith. Wyglądam jak ogolony królik. Wyglądam na chudego, przestraszonego, zżeranego przez gruźlicę i odrobinę szalonego chłopaka. Nicky bierze lusterko i pokazuje mi tył mojej głowy. Okazuje się, że elektryczna golarka odsłoniła prawdziwie marsjański krajobraz blizn i narośli, o których istnieniu nawet nie wiedziałem, aż do tej chwili. Jedna z krost lekko krwawi.

—I co myślisz?

—Świetnie! — odpowiadam.

Teraz, gdy już zrujnowałem sobie fryzurę, nadszedł czas, żebym wybrał restaurację na naszą romantyczną kolację we dwoje. I znowu, nikt nie uczy człowieka, jak wybrać restaurację, a ja nigdy nie byłem w prawdziwej restauracji w towarzystwie tylko jednej osoby, jedynie w kawiarniach i barach sprzedających cur-

ry i dania chińskie, głównie ze Spencerem i Tone'em, gdzie raczej częściej niż rzadziej tradycyjnym zakończeniem posiłku był nie koniak i dobre cygara, ale okrzyk Tony'ego: „Spadamy!” Posługuję się więc raczej instynktem niż doświadczeniem, ale przestrzegam kilku podstawowych zasad.

Po pierwsze, żadnych miejsc serwujących curry, na wypadek gdyby zrobiło się romantycznie. Poza tym nie ma nic szczególnie atrakcyjnego w siedzeniu tam z obiektem twojego uwielbienia, machaniu dłonią przed ustami i wygłaszaniu opinii w rodzaju: „Do cholery, ale to pikantne!” Po drugie, staraj się unikać re-stauracji w dużych centrach handlowych albo supermarketach. Zaprosiłem kiedyś Janet Parks na elegancki lunch przy stoliku w Basildon British Home Stores i nie wydaje mi się, żeby cała impreza była do końca udana. Ogólnie rzecz ujmując, należy unikać konieczności przeniesienia własnego jedzenia do stolika na tacy; pamiętaj, kelnerki to nie luksus. Po trzecie, nie działaj pochopnie. Pod wpływem impulsu powiedziałem Alice, że zabiorę ją do Bradley's Bistro, dość eleganckiego lokalu, ale poszedłem sprawdzić menu i zdecydowanie przekracza moje możliwości finansowe, będziemy więc musieli pójść w jakieś miejsce, które łączy wykwinną kuchnię z jakością za dobrą cenę. Nawet biorąc pod uwagę piątaś od babci Jackson, nadal mam jedynie 12 funtów na obiad we dwoje, z winem, dwoma daniami i prawdziwym deserem.

Spacerując po mieście, zaglądając do okien restauracji, dostrzegam raz po raz odbicie swojej nowej fryzury, przy której moja twarz wygląda na smutną i wystraszoną. Ten wosk do włosów to też niezła chała. Kazała ci myśleć, że w ten sposób będziesz miał nad włosami kontrolę, ale u mnie sprawił jedynie, że grzywka przylega mi beznamiętnie do czoła, jak pióra zanurzonej w ropie mewy. Może będzie to lepiej wyglądało w świetle świec. O ile się nie zapali.

Sprawdzam restauracje w spokojniejszej, oddalonej od centrum części miasta i w końcu podejmuję decyzję — tradycyjna włoska *trattoria* o nazwie Luigi's Pizza Plaža. Podają tam też

burgery i żeberka, i szprotki smażone we fryturze. Na stołach są obrusy w czerwoną kratkę i świece w butelkach po winie, oblanych czerwonymi wypływami magmy zastygłego wosku. Bagietki są gratis, a na każdym stoliku stoją ogromne pieprzniczki-młynki. Rezerwuję więc stolik dla dwojga, na ósmą trzydzieści, na nazwisko Jackson, u mężczyzny z czerwoną twarzą i brudnymi paznokciami, który jest, albo i nie, tytułowym Lu-igim, następnie wracam do mojego mieszkania.

RS

PYTANIE: Trwały błękitny diagonal, którego nazwa pochodzi od słów *serge de Nimes*; odsączone soki drzewa *hevea brasiliensis*; i tkane włókna będące wytworem gatunku *Bombyx*. Podaj nazwy tych trzech materiałów.

ODPOWIEDŹ: Dżins, guma i jedwab.

Powinienem obecnie pracować nad esejem pod tytułem „Metaforyka natury w *Sonetach* świętych Johna Donne'a", ale szukam jej od tygodnia i prawdę powiedziawszy, nic nie mogę znaleźć.

Moje odręczne notatki na marginesie też nie są zbyt pomocne; zapisałem spostrzeżenia w rodzaju „Zwiastowanie!", „ironia?", „por. z Freudem" i „tutaj odwraca sytuację!", ale nie pamiętam dlaczego, biorę więc do ręki *O gramatologii* Jacques'a Derridy. Przychodzi mi do głowy, że istnieje sześć etapów czytania książek w zależności od wieku. Pierwszy to książki z obrazkami, potem: 2) książki z przewagą ilustracji nad słowami, następnie 3) książki z przewagą słów nad ilustracjami, następnie 4) książki bez ilustracji, może z jakąś pojedynczą mapą albo drzewem genealogicznym, ale z dużą ilością dialogów, następnie 5) książki z długimi akapitami, ale prawie w ogóle bez dialogów, następnie 6) książki bez dialogów, bez narracji, wyłącznie bardzo duże, długie akapity i przypisy, i bibliografie, i aneksy, i bardzo, bardzo mały druk. *O gramatologii* Jacques'a Derridy jest pod wieloma względami książką z szóstej kategorii, a pod względem intelektualnym ja utknąłem gdzieś pomiędzy etapem czwartym i piątym. Czytam pierwsze zdanie, przerzucam kartki, poszukując bezowocnie mapki, zdjęcia albo ilustracji, następnie zasypiam.

Gdy się budzę, nagle zdaję sobie sprawę, że jest 16.30 i że mam zaledwie trzy godziny, żeby przygotować się na kolację. Spieszę do łazienki, ale Josh użył wanny do namoczenia w detergencie całej sterty brudnego dżinsu. Muszę wyciągnąć ubrania z zimnej, błękitnej zupy i dopiero gdy

sam jestem już w wannie, zdaję sobie sprawę, że nie splukałem całego proszku do prania i że na dobrą sprawę biorę właśnie kąpiel według niebiologicznego programu do prania bawełny i poliestru w 70 stopniach. Tak więc kąpiel nie jest do końca tym relaksującym przeżyciem, na jakie miałem nadzieję, szczególnie że muszę się opłukać zimną wodą przez gumową rurkę od prysznicy, żeby zapobiec poparzeniu chemicznemu. Patrząc w lustro, zauważam, że zrobiłem się lekko niebieski.

Przenoszę mokry dzins z powrotem do wanny, następnie w duchu słusznej zemsty skradam się korytarzem w stronę sypialni Josha i gdy jestem pewien, że go tam nie ma, wślizguję się do środka i kradnę jego brzoskwiniowy peeling do twarzy. Zasadniczo są to ziarenka zmielonych pestek brzoskwini w mydle, którymi myje się twarz. Tak właśnie postępuję i udaję mi się uzyskać całkiem satysfakcjonującą warstwę piany, ale gdy przychodzi moment, żeby ją zmyć, efekt nie jest imponujący. Wyglądam tak, jakbym przeleciał przez szybę. Dokładnie tak albo jakby ktoś natarł mi bardzo mocno twarz zmielonymi pestkami brzoskwini. Płynie z tego kolejna lekcja, a brzmi ona następująco: trądziku nie da się zetrzeć.

Teraz ze ściągniętą skórą i obawiając się rozeźmiać, żeby twarz nie zaczęła mi krwawić, wracam do pokoju, gdzie futon stoi oparty o ścianę i schnie. Odkładam moje brudne ubrania i starannie dobieram książki, które zostawię na wierzchu, na wypadek gdyby Alice przyszła do mnie „na kawę” albo, co bardziej prawdopodobne, na kawę. Decyduję się na *Manifest komunistyczny*, *Czula jest noc*, *The Lyrical Ballads*, *Kobiecego eunucha*, kilka powieści e.e. cummingsa oraz *Songs and Sonnets* Johna Donne'a, na wszelki wypadek, gdyby zrobiło się nastrojowo i gdybym musiał zaoferować trochę poezji lirycznej. Mam pewne wątpliwości co do *Kobiecego eunucha*, ponieważ chociaż chciałbym, aby myślała, że mam postępowe i radykalne poglądy w kwestii seksualności, ilustracja na okładce, pozbawionego członków nagiego żeńskiego torsu, zawsze wydawała mi się trochę erotyczna, do tego stopnia, że musiałem chować ją przed mamą.

Następnie nakładam nowiuteńkie czarne slipy, moje najlepsze czarne spodnie, nowy używany smoking, kupiony w sklepie z ubraniami w stylu *vintage*, „Olden Times”, moją najlepszą białą koszulę, muszkę i nowe

Czarne szelki. Układam martwą mewę na głowie, następnie ochlapuję twarz wodą Old Spice z pradawnej białej porcelanowej butelki taty, co sprawia, że pachnę odrobinę staro i pikantnie, i cholernie mnie piecze. Potem sprawdzam, czy w portfelu jest mój kondom, którego zawsze ze sobą noszę na wypadek cudu. Ten konkretny kondom to numer dwa w proponowanej trylogii, z których pierwszy, jak chciało bolesne przeznaczenie, skończył w kontenerze na kółkach za Littlewoods. Ten jest w moim portfelu od tak dawna, że przykleił się do podszewki i foliowe opakowania zaczęło się wycierać wokół zarysu kondomu, jak jakaś groteskowa odbitka płaskorzeźby z mosiądzu. Mimo to lubię go ze sobą nosić, tak jak niektórzy lubią nosić medalik ze świętym Krzysztofem, bez względu na fakt, że mam mniej więcej takie same szanse na użycie go dzisiaj wieczorem, jak na przeniesienie przez rzekę Dzieciątka Jezus.

W drodze do Kenwood Manor muszę się zatrzymać mniej więcej co kilkaset metrów, ponieważ metalowe klamki na szelkach nie chcą się trzymać na pasku czarnych spodni i cały czas odskakują z brzękiem, uderzając mnie w sutki.

Przypinam je chyba po raz dwudziesty, gdy zza pleców dochodzi mnie głos:

—Ktoś ukradł ci misia, Sebastianie?

—Cześć, Rebecca, co słyhać?

— U mnie wszystko w porządku, pytanie jednak brzmi, czy u ciebie aby na pewno też wszystko w porządku?

— Co masz na myśli?

—Co się stało z twoimi włosami?

—Nie podobają ci się?

—Wyglądasz jak Heinrich Himmler. I skąd ten wymyślny strój?

—No cóż, wiesz, jak to się mówi —jak cię widzą tak cię piszą...

—...że wyglądasz, jakbyś się strasznie męczył?

—Zabieram kogoś na kolację, skoro musisz wiedzieć.

—Auuuuuuuu!

—To czysto platoniczne.

—A kim jest szczęśliwa dama? Mam nadzieję, że nie cholerna Alice Harbinson...

Spoglądam niewinnie w niebo.

—Ach, nie mogę uwierzyć. Wy, faceci, jesteście taaaacy przewidywalni. Naprawdę, jeśli chcesz bawić się lalkami, dlaczego nie pójdziesz i jej sobie po prostu nie kupisz?

—Co?

—Nic. Hej, lepiej się pośpiesz, Jackson, bo możesz się nie załapać.

—Co chciałaś przez to powiedzieć?

—Chciałam powiedzieć, że ta młoda dama cieszy się najwyraźniej bardzo dużym powodzeniem, to wszystko. Mieszkamy na tym samym korytarzu i codziennie wieczorem widzę tam długą kolejkę frajerów z ciekącą z ust ślinką gdy wymykają się z jej pokoju, a wszyscy ściskają ciepłe butelki lambrusco...

—Naprawdę?

—Aha. I ma taki zwyczaj, że paraduje korytarzem do publicznej łazienki w swoich małych czarnych majteczkach i biustonoszu. Chociaż dla kogo akurat to przedstawienie, to naprawdę nie jestem w stanie powiedzieć...

Wyrzucam ten obraz z pamięci.

— Mówisz tak, jakbyś jej nie lubiła.

— Ach, prawie w ogóle jej nie znam—nie pasuję przecież do tego elitarnego kręgu. Poza tym nie wydaje mi się, że jest typem dziewczyny, która szuka przyjaciółek, jeśli wiesz, co mam na myśli. Jeśli o mnie chodzi, nie przemawia do mnie dziewczyna, która rozciąga twarz w uśmiechu, wymawiając „O”, ale, cóż, to mój problem. Więc gdzie zabierasz śliczną Alice?

—A, do takiego jednego miejsca w mieście. Luigi's?

—W KFC zabrakło miejsc?

—Uważasz, że Luigi's to zły pomysł?

— Ależ skąd. Jesteś wyraźnie dżentelmenem z dużym wyczuciem smaku i stylu! I słyszałam, że podają tam przepyszny burgera z serem,

chilli i plasterkami cebuli. Może mnie też mógłbyś tam zabrać któregoś dnia, Jackson.

I odchodzi, zostawiając mnie samego, a ja usiłuję wymyślić coś ciekawego do powiedzenia.

—Rebecca — wołam za nią. Odwraca się, uśmiechnięta.

—Dlaczego zawsze mówisz do mnie „Jackson”?

—Przeszkadza ci to?

—Nieszczególnie. Brzmi tylko trochę jak z Grange Hill*²⁰.

— Ach, przepraszam. Nie mówię tego złośliwie. Wolałbyś „Brian”? A może bardziej wdzięcznie i niefonnie „Bri”? A może „Herr Himmler”...

— Myślę, że Brian.

— W takim razie w porządku, niech będzie Brian. Baw się dobrze, Brian. Miej się na baczności, Brian. Dobrze to rozegraj, Brian...

I znika w korytarzu.

— ...do zobaczenia, Brian.

Idę pospiesznie do pokoju Alice, nieomal oczekując, że zobaczę tę ogromną, długą kolejkę chłopców, ale gdy tam docieram, drzwi są zamknięte. Słyszę dochodzące z wewnątrz głosy — nie przykładam dosłownie ucha, ponieważ nie byłoby to w porządku, ale rzeczywiście stoję na tyle blisko, żeby słyszeć.

— Gdzie zabiera cię na kolację? — mówi głos, żeński, dzięki Bogu.

— Wydaje mi się, że do Bradley's — odpowiada Alice.

— Bradley's — bardzo ekskluzywny lokal.

— Czy jest w takim razie bogaty?

— Nie wiem. Raczej nie — mówi Alice.

— No cóż, pamiętaj, żebyś wróciła przed jedenastą, młoda damo, w przeciwnym razie wyślemy za tobą policję...

Pukam, ponieważ nie chcę już nic więcej słyszeć. Dochodzą mnie jakieś szepty i chichot, a potem Alice otwiera drzwi.

²⁰ * Grange Hill — popularny serial telewizyjny 1 programu BBC dla dzieci.

Ma na sobie satynową wieczorową sukienkę w antracytowym kolorze z głębokim dekoltem i spódnicą-bombką. Jej włosy zebrane są wysoko na głowie i włożyła wysokie buty, przez co wydaje się o pół metra wyższa. Ma też bardziej intensywny makijaż i po raz pierwszy szminkę, ale zarys tej malutkiej, lekko wypukłej blizny jest nadal widoczny na dolnej wardze. Jej suknia balowa z głębokim dekoltem jest jednak najbardziej wyjątkowa. Musi mieć na sobie jakiś specjalny rodzaj biustonosza bez ramiączek, ponieważ jej ramiona są nagie, jakby górna część jej ciała wydobywała się delikatnie z sukienki i widać cudowny waleczek nagiego ciała, nagiej Alice, wypływający znad satynowego gorsiem. W dziewiętnastowiecznej powieści napisano by, że ma „wspaniały gors”. Prawdę powiedziawszy, teraz też tak można to określić. Ma wspaniały gors. Gapisz się. Nie gap się, Brian.

—Cześć, Alice.

—Cześć, Brian.

Za nią Erin, kobieta-kot, i jeszcze jedna z jej przyjaciółek uśmiechają się do mnie ironicznie. Zamknij usta, Brian.

— Bardzo ładnie wyglądasz, Bri — mówi Erin, chociaż wcale tak nie myśli.

—Dziękuję! Idziemy?

—Zdecydowanie.

Ujmuje mnie pod rękę i wychodzimy.

PYTANIE: Składający się z prostego łańcucha atomów węgla, z rozmieszczonymi podłużnie atomami wodoru i grupą karboksylową na jednym końcu, kwas oleinowy jest najczęściej występującym rodzajem którego ze składników lipidu?

ODPOWIEDŹ: Kwasów tłuszczowych.

Z politycznego punktu widzenia, oczywiście, raczej nie aprobuję pojęcia fizycznego piękna. Pomysł, że ktoś, kobieta czy mężczyzna, ma spotykać się z jakimś dodatkowym zainteresowaniem, uczuciem, popularnością czy też szacunkiem albo uwielbieniem tylko z powodu jakiegoś genetycznego wybryku i jakiegoś dyskusyjnego, zdefiniowanego przez męskie media, subiektywnego pojęcia „piękna”, wydaje mi się wysoce niewłaściwy i nie do przyjęcia.

Mimo to Alice jest wyraźnie po prostu... piękna. W świetle świec wygląda jak z obrazu de La Toura. A może chciałem powiedzieć Vermeera? Albo Watteau? Wie, że jest obserwowana, gdy otwiera menu, i musi wiedzieć, że wygląda ślicznie, ale jakie to jest uczucie? Wiedzieć, że wszyscy się w nią wpatrują nie po prostu zerkają i sprawiać przyjemność, całkiem biernie, tylko przez to, że inni na nią patrzą. Chociaż gdy teraz na nią spoglądam, przychodzi mi do głowy, że to nie jest przyjemność, w dosłownym słowa tego znaczeniu, raczej coś bardziej zbliżonego do bólu, niskie, drążące, ciężkie pulsowanie w żołądku, którego chciałbyś się pozbyć, jednak nie jesteś w stanie, ponieważ to zbyt wielka pokusa, siedzieć i patrzeć, siedzieć i wpatrywać się, i obejmować ją wzrokiem.

Odkąd ją poznałem, widziałem ludzi patrzących na Alice w ten sposób. Obserwowałem Patricka, jak to robi, zaczesując dłonią włosy, z wysuniętym grubym językiem głupiego astro-nauty, i obserwuję Luigiego, kelnera, jak to robi, zdejmując z jej nagich ramion szal w kolorze burgunda i prowadząc nas do stolika. Następnie śpieszy przez wahadłowe drzwi, żeby opowiedzieć innym, i w rezultacie zarówno szef kuchni, jak i pomywacz, wychodzą z kuchni pod jakimś błahym pretekstem, tylko po to, żeby na nią spojrzeć. Jakie to musi być uczucie? Być podziwianym, zanim powiedziało się nawet jedno słowo, być pożądanym dwieście albo trzysta razy dziennie przez ludzi, którzy nie mają absolutnie żadnego pojęcia o tym, jaki jesteś?

Gdy mama ogląda telewizję, często wyraża uznanie dla urody kobiety, gwiazdy filmowej czy kogoś w tym stylu, i mówi: „Jest piękna...”, a potem, potępiająco, głosem jak ze Starego Testamentu: „... i dobrze o tym wie”. Nie jestem pewien, co lepsze, „piękna i dobrze o tym wie” czy „brzydka i dobrze o tym wie”, i przypuszczam, że ogromne fizyczne piękno musi być pewnego rodzaju ciężarem, ale jeśli porównać je do innych ciężarów, to z pewnością zalicza się do tych lżejszych.

Znad krawędzi menu rzucam ukradkowe spojrzenie na fragment brzo-skwiniowego, spowitego blaskiem świec rowka między piersiami, na który usiłuję nie patrzeć, ponieważ nie chciałbym, żeby się czuła potraktowana jak przedmiot.

— Miło, prawda? — mówi.

Zakładając, że ma na myśli restaurację, odpowiadam:

— Tak myślisz? Cieszę się.

Muszę szeptać, ponieważ jesteśmy jedyni klientami i nie chcę obrazić Luigiego, który niedaleko, przy obrośniętym plastikowym bluszczem barze, jest pochłonięty smarowaniem tłuszczem lampek na wino i przyglądaniem się nam ukradkowo. Wygląda na to, że rezerwowanie stolika nie było tak nieodzowne, jak mi się wydawało.

— Próbowałem znaleźć dla nas stolik w Bradley's, ale nie było wolnych miejsc — kłamię.

—Nic się nie stało. Tutaj jest wspaniale!

— Jest pizza i makarony, a na kolejnej stronie sąburgery...

— Ach, rzeczywiście... — zgadza się, rozrywając sklezione plastikowe strony spięte w okładce formatu A4.

— Albo żeberka solo, jeśli wolisz...?

— Ooooo-kej.

— I musisz też zamówić przystawkę, wszystko, ja zapraszam!

— No cóż, zastanowię się... I wracamy do menu.

O Boże. Cisza.

Lepiej coś powiedz.

— Hm. Bagietki!

Biorę bagietkę, odrywam papier, odwijam kawałek masła i rozsmarowuję na bagietce.

— Wiesz, co zawsze intryguje mnie w żeberkach solo? Kto decyduje o tym, że są solo! Nie świnia, na pewno! Świnia przecież nie powie: „Cóż, te żeberka będą mi potrzebne, a te możecie zabrać i podać solo! Weźcie moje żeberka! Zjedzcie! Zjedzcie moje żeberka!

Obrzuca mnie litościwym uśmiechem, patrzy na moją dłoń i podążając za jej wzrokiem, zdaje sobie sprawę, że z jakiegoś powodu wymachuje niebezpiecznie nożem.

Uspokój się.

Przestań paplać.

Odlóż nóż.

Prawda jednak jest taka, że zaczynam tracić wiarę w Luigi's jako miejsce romantycznej schadzki. Dostrzegam, że podłogi — niezbyt czyste — pokryte są linoleum, które zawijają się w okolicy listew przypodłogowych, a obrusy w kratkę są z plastiku, by łatwiej było je wytrzeć. Ponadto, mimo że Luigi posadził nas w romantycznym kąciku z tyłu, znajdujemy się dość blisko toalet, co jest zapewne dość wygodne, ale jednocześnie oznacza, że nasz wieczór nie jest pozbawiony lekko pikantnej, ledwie wyczuwalnej nuty cytrynowego płynu Harpie. Obawiam się, że Alice może nie czuć się tutaj zbyt dobrze. Z pewnością zaczyna tak wyglądać; spódnica jej wieczorowej sukienki-bombki uniosła się wokół niej do góry, jakby suknia ją pozerła.

— Zamówimy? — pytam.

— To wszystko wygląda przesmacznie, muszę przyznać — mówi.

Ja jednak nie jestem taki pewien. Koncentrujemy się na menu, które lepi się do palców, jest niezbyt dobrze wydrukowane i zapisane fonetycznie — Chilly Concarny, czyż tak? — i podzielone na: „Na początek!”, „Gwóźdź programu!” i „W takim razie... !!!” Szczerze mówiąc, mnie rzeczywiście wszystko tutaj wydaje się pyszne; z naciskiem na mięsa z grilla oraz smażone i prawie żadnych warzyw. Nawet ser jest smażony i porcje tutaj są wyraźnie duże, ponieważ w menu podana jest waga mięsa. Jednak nie mogę się oprzeć myśli, że Alice przyzwyczajona jest do lżejszego stylu żywienia, tofu, sałatek i potraw gotowanych na parze, i myślę, że istnieje duże prawdopodobieństwo, że zalicza się do tego typu osób, które przedkładają jakość nad ilość. Zaczynam się pocić. I również zaczynam odczuwać swędzenie, od detergentu w kąpielni. Spoglądam w dół i zauważam, że mankiety mojej białej koszuli mają błękitną obwódkę.

W tle leci na okrągło temat z reklamy Cornetto i po pewnym namyśle jesteśmy gotowi. Rozglądam się za Luigim, ale domyślam się, że zbliża się do nas za moimi plecami, po syczącym odgłosie jego kroków na linoleum. Alice wybiera nadziewane pieczarki i pizzę margherita z sałatką, podczas gdy ja decyduję się na szprotki smażone we fryturze i połówkę kurczaka z różną z frytkami i pikantnymi dodatkami.

— Mam nadzieję, że to nie tylna połowa! — żartuję, a Alice uśmiecha się bardzo subtelnie i nalega, żebym wybrał wino.

Jest wino w karafce, ale nawet ja wiem, że wino nie powinno być takie tanie, postanawiam więc wybrać coś butelkowanego i z bąbelkami. Szampan jest zdecydowanie zbyt drogi, więc decyduję się na lambrusco. Czy Rebecca nie mówiła coś o tym, że

ona je lubi? Nie wiem zbyt wiele o winie, ale wiem, że białe pasuje do kurczaka i ryby, zamawiam więc Lambrusco Bianco. Gdy kelner odchodzi, mówię:

—O Boże, i znowu faux pas!

—Dlaczego?

— Cóż, poprosiłem o białe Lambrusco Bianco, a *bianco* znaczy oczywiście „białe"! Tautologia czy co!

W kwestii zabawnych anegdot ta nie obroniłaby się nawet w Parkinson show, ale tutaj służy do przełamania lodów. Alice uśmiecha się i zaczynamy rozmawiać. Albo raczej ona zaczyna mówić, a ja kiwam głową i słucham, odrywam ze świeczki podłużne kawałki czerwonego wosku, topię końce, wtykam je ponownie, pod różnym kątem, i przyglądam się jej. Mówi, jak ma to w zwyczaju, o swoich szkolnych latach w Linden Lodge, jednej z tych niezwykle drogich socjalistycznych prywatnych szkół z dala od miasta, i muszę przyznać, że z jej relacji miejsce to robi na mnie wrażenie całkiem przytulnego i w ogóle nie przypomina szkoły z internatem, bardziej coś w rodzaju trwającego siedem lat pidżamowego przyjęcia. Na ile jestem to w stanie ocenić z opisu Alice, typowy dzień szkolny w Linden Lodge wygląda następująco:

- | | |
|-------------|---|
| 8.30/9.30 | Palenie skręta. Pieczenie chleba. |
| 9.30/10.30 | Uprawianie seksu z synem/córką sławnej osoby. |
| 10.30/11.30 | Budowanie stodoły. |
| 11.30/12.30 | Czytanie na głos T.S. Eliota,
słuchanie Crosby'ego, Stills and Nash, gra na wiolonczeli. |
| 12.30/13.30 | Eksperymenty z narkotykami, uprawianie seksu. |
| 13.30/15.30 | Kąpiel na golasa parami. Pływanie z delfinami. |
| 15.30/16.30 | Bezzaprawowe wykańczanie muru. Seks (nieobowiązkowy). |
| 16.30/17.30 | Lekcja gry na gitarze akustycznej. |
| 17.30/18.30 | Seks, następnie szkic węglem śpiącego nagiego partnera. |
| 18.30/04.00 | Obowiązkowo Bob Dylan. |
| 04.00 | Cisza nocna, tylko dla zainteresowanych. |

Oczywiście, z politycznego punktu widzenia nie aprobuję szkoły tego typu, nawet jeśli wydaje się absolutnie fantastyczna. Jak, przy całym tym nieustannym paleniu narkotyków i uprawianiu seksu, i śpiewaniu piosenek Simona i Garfunkela, można oczekiwać, że będą w stanie czegokolwiek się

nauczyć. Muszą tam jednak coś robić dobrze, ponieważ Alice jest tutaj, mimo wszystko, i chociaż nie pytałem jej jeszcze o wyniki z egzaminu końcowego, nie na pierwszej randce, studiuje, nawet jeśli to tylko aktorstwo. Może jeśli od wczesnego wieku słucha się wystarczająco dużo 4 programu radia, proces edukacji dokonuje się podprogowo.

Pojawiają się moje szprotki smażone we fryturze, około trzydziestu małych srebrnych rybek, rzuconych na liść sałaty lodowej, spoglądających na mnie i mówiących: „Oddaliśmy dla ciebie życie, łajdaku, zrób przynajmniej coś zabawnego!” Wkładam więc jedną do ust, tak że wystaje mi tylko ogon, i udaję, że jestem kotem. To spotyka się jedynie z umiarkowanie dobrym przyjęciem. Alice wraca do swoich pieczarek z czosnkiem.

— I jak ci smakują?

— Dobrze! Bardzo czosnkowe. Żadnego obcałowywania się dzisiaj wieczorem!

I oto jest, delikatne ostrzeżenie, jak klakson w uchu, na wypadek gdybym zaczął sobie za dużo wyobrażać. Nie jestem nawet zdziwiony, mniej więcej tego się spodziewałem i znajduję pocieszenie w fakcie, że to dwuznaczne ostrzeżenie, nawet jeśli tylko bardzo, bardzo nieznacznie dwuznaczne — to nie o ciebie chodzi, Brian, ale o grzyby — co w domyśle zdaje się mówić, że gdyby zamówiła inną przystawkę, na przykład panierowany camembert, to w tej chwili już byśmy się kochali.

— Miałaś tam wielu chłopców? Pytam od niechcienia, skubiąc rybę.

— Ach, jednego czy dwóch. — I zaczyna mi opowiadać ze szczegółami.

Z punktu widzenia równości płci uważam, że to bardzo ważne, aby nie kierować się podwójną moralnością w kwestii historii życia seksualnego kobiet i mężczyzn. Oczywiście, nie ma absolutnie żadnego powodu, dla jakiego Alice Harbinson nie miałyby mieć aktywnej romantycznej i seksualnej przeszłości, mimo to powiedzenie, że „jednego czy dwóch” było trochę mylące. Do czasu gdy pojawiają się nasze dania główne, imiona zaczynają mi się mylić, ale na pewno jest jakiś Rufus, którego tato jest słynnym reżyserem filmowym i który przeniósł się do Los Angeles, ponieważ miłość była po prostu zbyt mroczna i intensywna, cokolwiek to oznacza. I Alexis,

grecki rybak, którego poznała na wakacjach i który notorycznie zjawiał się na progu ich mieszkania w Londynie, prosząc o jej rękę, aż musieli zadzwonić na policję, żeby go deportowała. I Joseph, naprawdę piękny muzyk jazzowy, z którym musiała skończyć, ponieważ nakłaniał ją do brania razem z nim heroiny. I Tony, garncarz, przyjaciel jej taty, który wyrabiał niesamowitą porcelanę w swojej pięknej chatce z niewielkim poletkiem na wyżynie szkockiej i był wspaniały w łóżku, jak na sześćdziesięciodwulatka, ale potem wydzwaniał do niej w środku nocy i w końcu usiłował popełnić samobójstwo w swoim piecu do wypalania naczyń, ale teraz ma się dobrze.

I Saul, naprawdę boski i zamożny amerykański model, który wyglądał nieziemsko i miał (szeptem) „naprawdę ogromny penis”. Nie można jednak opierać związku na seksie, nawet jeśli jest to fantastyczny seks. A potem najsmutniejsza historia, był pan Shillabeer, jej nauczyciel od angielskiego, który zaszczepił jej miłość do T.S. Eliota i podobno raz udało mu się wywołać orgazm u dziewczyny jedynie przez odczytanie na głos utworu *Cztery kwartety*, i który zakochał się w Alice, gdy omawiali *Czarownice z Salem*, ale potem zaczęła go dręczyć obsesja.

— W końcu doznał załamania nerwowego i musiał odejść. Wrócił teraz do rodziców i mieszka z nimi. W Wolverhampton. To dość smutne, naprawdę, ponieważ był świetnym nauczycielem angielskiego.

Gdy kończy, ja zdołałem już zjeść kurczaka w pikantnym sosie, tak że pozostał mi jedynie szkielet i resztki, które spoczywają na moim talerzu, przypominając, no cóż, jednego z eks-ko-chanków Alice. Nieomal połowa jej związków zakończyła się szaleństwem, obsesją i destrukcją i nagle moja przygoda z Karen Armstrong przy kontenerze na kółkach za Littlewoods zdaje się tracić trochę ze swej tragicznej wymowy.

—To dziwne, prawda —jak wiele z nich skończyło się źle? — rzucam.

—Wiem! Przeróżające, w istocie. Tony, przyjaciel taty od ceramiki, ten facet z piecem, powiedział mi kiedyś, że w miłości jestem jak *Czterej jeźdźcy Apokalipsy*

—Ale czy ty kiedykolwiek wychodzisz z tych związków, no wiesz... zraniona?

—Oczywiście, że tak, Brian. Właśnie dlatego nie zamierzam nawiązywać żadnych znajomości na uniwersytecie. Zamierzam się skoncentrować na pracy. — Następnie, z niewiadomego powodu, dodaje, wymawiając słowa z amerykańskim akcentem: — Zamierzam iść do klasztoru!

I znowu się pojawia, klakson. Swobodnie przechodzi do zdrapywania stopionego cheddara z góry margherity i nawijania go na wskazujący palec.

— Ale, przepraszam, cały czas mówię tylko o sobie. Czym zajmuje się twoja mama i twój tato? Mówiłeś mi, ale zapomniałam... — mówi, oblizując palec.

— Mama pracuje w Woolworths, a tato nie żyje. Przykłada do ust serwetkę i przetyka.

— Nie mówiłeś mi o tym...

— Nie?

— Nie, jestem pewna, że mi o tym nie mówiłeś. Wyciąga w moją stronę dłoń i kładzie mi ją na ramieniu.

— Brian, tak mi przykro.

— Ach, nic nie szkodzi, to było sześć, nie, siedem lat temu, jak miałem dwanaście lat.

— Co się stało?

— Atak serca.

— O Boże, ile miał lat?

— Czterdzieści jeden.

— To musiało być straszne.

— No cóż, wiesz.

I pochyla się do przodu, z szeroko otwartymi oczami, trzyma mnie za rękę i ściska mi dłoń, a drugą ręką bierze pokrytą woskiem butelkę i stawia ją z boku, żeby dobrze mnie widzieć.

— Czy moglibyśmy o tym porozmawiać?

— Ależ tak, oczywiście — zgadzam się i zaczynam mówić.

PYTANIE: Lee J. Cobb, Frederick March i Dustin Hoffman, wszyscy grali nieszczęsnego Willy'ego Lo-mana w której sztuce Arthura Millera z 1949 roku?

ODPOWIEDŹ: *Śmierć komiwojażera.*

—Tato sprzedawał podwójne okna, co w rzeczywistości jest śmiesznym zajęciem, jednym z tych, co do których ludzie uważają, że można sobie z nich swobodnie żartować, jak na przykład osoba przeprowadzająca dzieci na przejściu albo urzędnik skarbowy, albo pracownik ścieków miejskich. Przypuszczam, że tak jest dlatego, że koniec końców nikt nie lubi podwójnych szyb. Tato na pewno ich nie lubił, nie po dziesięciu latach w każdym razie. Przedtem pracował w wojsku, wtedy poznał mamę i ja się urodziłem. Odrobił swoją służbę obowiązkową, jako jeden z ostatnich, którzy to zrobili, i całkiem mu się to podobało, i nie wiedział, co innego mógłby robić, więc został na stałe. Pamiętam, że się martwiłem, ilekroć w wiadomościach mówili, że gdzieś jest wojna, napięcia w Rosji albo gdy rozpoczęły się zamieszki w Irlandii Północnej, czy coś takiego, że zostanie powołany, każą mu ubrać mundur i dadzą broń. Nie wydaje mi się jednak, żeby był tego rodzaju żołnierzem, był bardziej urzędnikiem. W każdym razie, gdy się urodziłem, mama się uparła i zażądała, żeby zrezygnował z wojska, ponieważ ma już dość tych ciągłych przeprowadzek i nie cierpiała Niemiec Zachodnich, gdzie się urodziłem, wrócił więc do Southend i zajął się podwójnymi oknami, i to o wszystkim przesądziło.

—Czy to lubił?

—Boże, nie. To znaczy pewnie na początku tak, ale wydaje

mi się, że z czasem zaczął to naprawdę nienawidzić. To praca od rana do nocy, ponieważ musisz złapać ludzi, gdy są w domu, co oznacza wczesne ranki, wieczory i porę nocną, więc gdy wracał do domu, było zazwyczaj ciemno, nawet latem. I wydaje mi się, że było w tym też trochę chodzenia od drzwi do drzwi i namawiania potencjalnych klientów: „Przepraszam panią, ale czy zdaje sobie pani sprawę, jaki ogromny wpływ na pani rachunek za ogrzewanie może mieć zainstalowanie podwójnych okien?”, tego typu rzeczy. I wiem, że zarobki taty pochodziły głównie z prowizji, co oznacza, że tato żył w ciągłej obawie o pieniądze. Bez względu na to, jaką pracę będę kiedyś wykonywał, nigdy, przenigdy, nie chcę, aby płacono mi prowizję. Wiem, że ma to działać jako zachęta, ale to jest tylko zachęta do tego, że spieprzyć sobie życie to jak praca z rewolwerem przystawionym do skroni. To naprawdę złe, tak uważam. W każdym razie. Przepraszam. To nudne.

W każdym razie on tego nie cierpiał. Nigdy mi tego oczywiście nie powiedział, bo dlaczego miałby mówić małemu dziecku, ale tak musiało być, ponieważ był zły, zawsze gdy wracał z pracy do domu; nie krzyczał, nie uderzał pięścią ani nic takiego. Ogarniał go jedynie ten niemy gniew — widoczny w zaciśniętych pięściach z białymi knykciami, czerwonej twarzy — z najdrobniejszego powodu, jak na przykład nie pozbierane zabawki albo zmarnowane jedzenie. Każdy z nas chciałby, aby rodzice kojarzyli się nam z piknikami albo noszeniem na barana, albo z watą cukrową czy coś takiego, nikt nie ma idealnego dzieciństwa i ja pamiętam głównie, jak tato kłóci się w kuchni z mamą o pieniądze, o pracę, o cokolwiek, z czerwoną twarzą otwierając i zamykając pięści.

—To straszne.

—Tak? No cóż, być może trochę przesadzam. Przede wszystkim pamiętam, jak oglądałem z nim telewizję, jeśli wolno mi było nie kłaść się spać, dopóki nie wróci do domu. Siedząc na podłodze pomiędzy jego nogami. Quizy. Uwielbiał quizy i dokumentalne filmy przyrodnicze, David Attenborough, telewizja edukacyjna, cały czas mówił o tym, jak ważne jest wykształcenie, przypuszczam, że dlatego, iż to klucz do dobrego życia, do

tego, żeby nie być nieszczęśliwym, żeby nie wykonywać pracy, której się nienawidzi.

—Więc, jak, no wiesz...?

—Cóż, nie jestem do końca pewien. Nie lubię pytać o to mamy, ponieważ wytrąca ją to z równowagi. Chyba był w pracy, w domu jakichś obcych ludzi, usiłując ich przekonać do korzyści płynących z podwójnych okien, czy coś w tym stylu, i po prostu... się przewrócił. Na miejscu, w ich salonie. Wróciłem ze szkoły i oglądałem telewizję, a mama robiła herbatę i wtedy rozległo się pukanie do drzwi, a potem słyszałem jakąś rozmowę w holu, wyszedłem, żeby zobaczyć, co się stało, i ujrzałem dwie policjantki i mamę zwiniętą w kulkę na dywanie. Na początku myślałem, że może tato został aresztowany czy coś takiego, ale ta policjantka powiedziała, że tato poczuł się źle, i zabrali mamę szybko do szpitala, a ja zostałem z sąsiadami, a on zmarł wkrótce po tym, jak mama tam się znalazła. Och, spójrz. Nie mamy już wina. Masz ochotę na j jeszcze trochę? Jeszcze j edna butelka? Zostałem na noc u sąsiadów i powiedzieli mi następnego dnia rano. Poprosimy jeszcze jedną butelkę lambrusco, nie, nie zdecydowaliśmy się jeszcze na deser, czy możemy poprosić jeszcze o pięć minut?

W każdym razie. Spoglądając wstecz, nie jestem zdziwiony, mimo że miał tylko czterdzieści jeden lat, ponieważ właśnie taki był... kłębek nerwów, cały czas. I pił, to znaczy dużo, pub w porze lunchu i po pracy, zawsze czuć było od niego piwo. I palił jakieś sześćdziesiąt dziennie. Kupowałem mu papierosy na bożonarodzeniowy prezent, do pieprzonej cholery. Nie wydaje mi się, żebym go pamiętał inaczej niż palącego peta. Jest nawet zdjęcie jego i mamy na oddziale położniczym i on ma zapalonego papierosa. W szpitalu, z popielniczką i butelką piwa stojącą na moim łóżeczku. Głupi dureń.

—I jak zareagowałeś?

—Na jego śmierć? Uch. Nie jestem pewien. Dziwnie, przypuszczam. To znaczy płakałem i tak dalej, ale chcieli, żebym nie chodził do szkoły, co mnie martwiło, bo nie chciałem tracić lekcji, powinno ci to dać pewne wyobrażenie o tym, jakim byłem pilnym, małym, zimnym dziwakiem. Szczerze mówiąc, bardziej martwiłem się o mamę, ponieważ mama naprawdę

kochała tatę i miała wtedy tylko, no ile, trzydzieści trzy lata, i był jedynym mężczyzną, z którym ona kiedykolwiek spała, przedtem czy potem, na ile jestem zorientowany, i znosiła to naprawdę, naprawdę źle. Ach, jakoś sobie radziła, gdy wokół byli ludzie, i oczywiście przez pierwsze dwa tygodnie w domu aż się od nich roiło — przeróżni pastorzy i przyjaciele taty, i sąsiedzi, i moja babcia, i ciocie, i wujkowie — mama nie miała więc czasu, żeby się naprawdę smucić, ponieważ zawsze była zajęta robieniem kanapek i dzbanków herbaty oraz przygotowywaniem łóżek polowych dla tych wszystkich nieznanomych kuzynów z Irlandii, których nie widzieliśmy nigdy przedtem ani nigdy potem. Ale później, po kilku tygodniach, wszyscy zaczęli się rozjeżdżać i zostałem sam z mamą. I to był ten najgorszy czas, gdy wszystko ucichło i ludzie zostawili nas samych. Dość dziwaczne połączenie, nastolatek i jego mama. To znaczy nie sposób uciec od myśli, że kogoś... brakuje.

I spoglądając wstecz, wiem, że mogłem być lepszy dla mamy, spędzać z nią czas i tak dalej. Aleja nie cierpiałem siedzieć w tym salonie co wieczór, przyglądając się jej, jak ogląda *Dallas* czy coś takiego, a potem nagle wybucha płaczem. Gdy jest się w tym wieku, żal po stracie kogoś, cóż... to po prostu krępujące. Co masz zrobić? Objąć ją? Powiedzieć coś? Co może powiedzieć dwunastoletni chłopiec? Więc w dziwny, straszny sposób zacząłem to ignorować. Unikałem jej. Ze szkoły szedłem do biblioteki, z biblioteki prosto do mojego pokoju, żeby odrobić zadanie; dla mnie zadań domowych nigdy nie było dość. Boże, jakim byłem dupkiem.

—A jak traktowali cię w szkole?

—Ach, w porządku. Współczucie nie przychodzi łatwo dwunastoletnim chłopcom, przynajmniej nie w mojej szkole, i niby dlaczego miałyby? Niektórzy próbowali, ale było widać, że udają. Również — i za to naprawdę mi wstyd — w tamtym czasie chodziło nie tyle o osobę, która faktycznie, no wiesz, zmarła, mojego tatę, który po prostu przewrócił się i umarł w wieku czterdziestu jeden lat, ani nawet jak przeżywała to mama, ile po prostu o to, jak przeżyję to ja. Jak brzmi to słowo? Solipsyzm albo solecyzm, albo coś takiego? Solecyzm.

Przypuszczam jednak, że dzięki temu zostałem zauważony, w straszny sposób; ta okropna, żerująca na ludzkiej tkliwości sława, chłopiec, któremu zmarł tato, no wiesz, wiele dziewcząt, które nigdy przedtem z tobą nie rozmawiało, podchodzi do ciebie, i częstuje cię kit-katem i głaszcze cię po plecach. Nie obyło się też bez pewnej dozy przemocy, i kilka dzieciaków używało sobie, nazywając mnie chłopcem Barnardo*²¹, tego typu rzeczy, co nawet nie jest dowcipne, ponieważ ja miałem przecież mamę. Ale miałem jednego kumpla, Spencera, który z jakiegoś powodu postanowił się mną opiekować, i to bardzo mi pomogło. Ludzie bali się Spencera. Zresztą całkiem słusznie, ponieważ straszny z niego drań, Spencer...

—Masz jego zdjęcie?

—Spencera? Ach, taty. Nie, nie w portfelu. Uważasz, że powinienem?

—Ależ nie.

—Mam w domu. Jeśli mnie odwiedzisz. Niekoniecznie dzisiaj, ale, no wiesz, kiedyś...

—I myślisz o nim?

—Ach, tak, oczywiście. Przez cały czas. Ale to trudne, ponieważ tak naprawdę nigdy się nie znaliśmy. Niejako dorośli ludzie, w każdym razie.

—Jestem pewna, że bardzo by cię kochał.

—Tak myślisz?

—Oczywiście. A ty tak nie uważasz?

—Nie jestem pewien. Myślę, że uważałby, że jestem trochę dziwny, szczerze mówiąc.

—Byłby dumny.

—Dlaczego?

—Z wielu powodów. Uniwersytet. Gwiazda drużyny w teleturnieju, występ w telewizji i tak dalej...

—Może. Jedna rzecz, o której nadal myślę, i nie wiem dlaczego, ponieważ to irracjonalne, i to nie jest nawet, technicznie rzecz biorąc, ich wi-

²¹ * Chłopiec Barnardo — od dr. Thomasa Johna Barnardo (1845-1905), który stworzył w Wielkiej Brytanii sieć domów opieki dla około 60 tys. bezdomnych dzieci.

na, ale bardzo chciałbym poznać tych ludzi, którzy go zatrudnili, ludzi, którzy zarobili te wszystkie pieniądze, zmuszając go do takiej pracy, ponieważ uważam, że to zasańce. Przepraszam za wyrażenie. Nie wiem, jak się nazywają ani gdzie teraz są, prawdopodobnie w jakiejś dużej, pie-przonej willi w Algarve czy gdzieś, i nie wiem, co bym im powiedział, gdybym ich spotkał, ponieważ nie robili nic złego, prowadzili po prostu biznes, osiągnęli zysk, i tato zawsze mógł odejść, j jeśli tak bardzo tego nie cierpiał, wsiąść na rower i poszukać czegoś innego, a on i tak prawdopodobnie, no wiesz, oszczędłby wcześniej, nawet gdyby zajmował się sprzeda-żankwiatów czy uczył w szkole podstawowej, czy coś innego, nie było to przecież jakieś karygodne zaniedbanie ani wypadek w kopalni, ani łódź ry-backa czy coś takiego, on był po prostu handlowcem, ale to niewłaściwe, żeby ktokolwiek tak bardzo nienawidził swojej pracę, i uważam, że ludzie, którzy zmusili go do takiej pracy, no cóż, naprawdę uważam, że to zasańce, i nienawidzę ich, każdego dnia, kimkolwiek są, za to, że zabrali... w każdym razie. W każdym razie, czy mogę cię przeprosić na minutę? Muszę skorzystać z toalety.

PYTANIE: Kanalik i gruczoł łzowy są głównie odpowiedzialne za wytwarzanie i wydzielanie czego?

ODPOWIEDŹ: Łez.

Koniec końców to błogosławieństwo, że zostaliśmy posadzeni tak blisko toalet.

Jestem tutaj już od jakiegoś czasu. Chyba zbyt długo. Nie chciałbym, żeby myślała, że mam biegunkę czy coś w tym rodzaju, ale nie chcę też, żeby widziała, jak płaczę. Jako technika uwodzenia niekontrolowane łkanie jest z pewnością przereklamowane. Teraz myśli, że jestem jednym z tych facetów, którzy płaczą. Zapewne już zapłaciła rachunek i poszła sobie, śpiesząc z powrotem do akademika, żeby opowiedzieć Erin o całym tym zdarzeniu: „Boże, nigdy nie uwierzysz, jaki miałam straszny wieczór. On jest po prostu jednym z tych facetów, którzy płaczą...”

Słysząc pukanie do drzwi kabiny i zakładam, że to Luigi przyszedł sprawdzić, czy uciekłem bez płacenia rachunku, korzystając z drogi przeciwpożarowej, ale słyszę głos:

—Brian, czy wszystko w porządku?

—Och, hej, Alice!

—Czy wszystko w porządku?

—Tak, nic mi nie jest.

—Czy nie chciałbyś otworzyć drzwi, kochanie? O Boże, chce wejść do mojej kabiny.

—Otwórz drzwi, skarbie...

—Naprawdę nic mi nie jest, zaraz wychodzę. Chwileczkę — „kochanie”?

—OK. Ale wracaj niedługo, dobrze?

— Dwie minuty — krzyczę i w czasie gdy ona wychodzi i zamyka za sobą drzwi, dodaję: — Jeśli chcesz, to nie czekaj na mnie i zamów deser!

I wychodzi. Czekam chwilę, następnie wychodzę z kabiny i spoglądam w lustro. Nie jest tak źle — oczy mam odrobinę czerwone, ale z nosa mi już nie cieknie, poprawiam więc muszkę, przywracam grzywkę do jej pierwotnego kształtu, ponownie zapinam szelki i idę z powrotem, z lekko opuszczoną głową, żeby nie widział mnie Luigi. Gdy podchodzę do stolika, Alice wstaje i cudownie obejmuje mnie, i przytula naprawdę mocno, przyciskając policzek do mojego policzka. Nie wiem, co robić, więc ja też otaczam ją ramionami, pochylając się lekko do przodu, żeby wziąć poprawkę na jej spódnicę-bombkę, z jedną dłonią na szarej satynie, a drugą na plecach, na jej pięknych plecach, dokładnie w miejscu, gdzie wałeczek ciała wydostaje się na zewnątrz nad brzegiem satyny, a ona szepcze mi do ucha:

— Jesteś takim słodkim mężczyzną.

A mnie się wydaje, że znowu się rozplączę, nie dlatego, że jestem takim słodkim mężczyzną, ale dlatego, że jestem takim odrażającym, beznadziejnie głupim, cholernym dupkiem, zaciskam więc mocno oczy i stoimy tak przez chwilę. Gdy ponownie otwieram oczy, widzę, że przygląda się nam Luigi, mruga potem do mnie chytrze i unosi do góry kciuki w geście uznania. Nie wiem, jak na to zareagować, więc również unoszę do góry kciuki, i natychmiast czuję się podle, ponieważ nie do końca rozumiem, dla kogo jest ten gest uznania i za co.

W końcu, oczywiście, odpinają mi się szelki, a Alice wysuwa się z moich objęć i uśmiecha się do mnie z opuszczonymi kącikami ust. Jest to ten rodzaj smutnego uśmiechu, którym mamy obdarzają swoje płaczliwe dzieci w reklamach telewizyjnych. Zaczynam się czuć teraz dość niezręcznie, więc mówię:

— Przepraszam. Zazwyczaj zaczynam płakać dopiero po zakończeniu uroczystej kolacji.

— Pójdziemy już?

Ale ja nie chcę jeszcze iść.

—Nie chcesz deseru? Ani kawy, ani nic innego?

—Nie, dziękuję.

— Mają bułeczki nadziewane kremem. A może Death by chocolate...?

— Nie, naprawdę, jestem pełna.

I gdzieś spośród fałd spódnicy-bombki wydobywa najmniejszą pod słońcem torebkę i ją otwiera.

— Hej, ja płacę! — wołam.

Płacę rachunek, który ostatecznie okazuje się całkiem rozsądny, dzięki temu, że zamiast zjedzenia deseru przeżyłem kompletne załamanie nerwowe, i wychodzimy.

W drodze powrotnej do jej mieszkania zmieniamy temat i rozmawiamy o książkach, o tym, jak obydwójce nie cierpimy D.H. Lawrence'a, i które powieści Thomasa Hardy'ego wolimy; ja — *Judę nieznanego*, ona *Z dala od zgiełku*. Jest łagodny, póź-nolistopadowy wieczór i ulice są wilgotne, mimo że nie padał deszcz. Alice proponuje, abyśmy wrócili trasą widokową więc tak wspinamy się na wzgórze, z którego rozciąga się widok na miasto. Oddychamy z pewnym trudem, z wysiłku i dlatego, że rozmawiamy nieprzerwanie. Odgłos samochodów na ulicach staje się coraz słabszy i jedynym dźwiękiem, oprócz naszych głosów, jest szum drzew i szelest jej satynowej sukni balowej. W połowie drogi na szczyt wzgórza ujmuję mnie za rękę, ściskając ją delikatnie, i opiera głowę na moim ramieniu. Ostatnią osobą która ujęła mnie w ten sposób za ramię, była moja mama, w drodze do domu, po obejrzeniu mnie w roli Jezusa w *Godspell*. Właśnie widziała, jak zostałem ukrzyżowany oczywiście, co musi wyrzeć pewien określony skutek emocjonalny na matce, ale nawet wtedy, pamiętam, sprawiło to, że poczułem się trochę dziwnie, częściowo dumny, częściowo bardzo zawstydzony, jakbym był jej dzielnym małym żołnierzem czy kimś takim. Alice, biorąc mnie za ramię, też sprawia, że czuję się zażenowany, jakby to był gest, który zobaczyła w jakiejś sztuce kostiumowej w telewizji, ale jest to również miłe, i jest mi cieplej, i czuję się całe trzy centymetry wyższy.

Na szczycie wzgórza siadamy na ławce, ona przysuwa się do mnie i siedzimy przytulnie w rogu, i mimo że czuję, jak wilgoć przenika moje spodnie, i wiem, że będą poplamione mchem, nie przeszkadza mi to. Szczerze mówiąc, nie miałbym nic przeciwko, abyśmy zostali tutaj na zawsze, spoglądając na miasto w dole i światła na autostradzie, wijącej się ku otwartej przestrzeni.

— Właśnie zdałam sobie sprawę, że nie złożyłam ci życzeń urodzinowych.

—Och, nic się nie stało...

—Mimo to wszystkiego najlepszego z okazji urodzin...

—Dziękuję, wzajemnie.

—Tyle że to nie są moje urodziny — odpowiada.

—Nie, oczywiście. Przepraszam.

—I nie mam też dla ciebie prezentu...

— Nie szkodzi. Dzisiejszy wieczór jest prezentem. Przystajemy rozmawiać i zastanawiam się nad pokazaniem

jej kilku gwiazdozbiorów, tak jak robią to w filmach. Nauczyłem się ich na pamięć, właśnie na taką okazję, ale niebo jest za bardzo zachmurzone, więc w zamian zaczynam się zastanawiać, czy jest na tyle ciemno, żeby ją pocałować, albo czy jest na tyle pijana, żeby mi na to pozwolić.

—Brian, co robisz w Boże Narodzenie?

—Hm, nie wiem...

—Czy chciałbyś przyjechać i zostać na parę dni?

—Gdzie?

—Do mnie.

—Do Londynu?

— Mamy mały domek w Suffolk. Mógłbyś poznać Rose i Michaela.

— Kim są Rose i Michael? — To moi rodzice!

—Aha! Bardzo chętnie, ale nie chcę zostawiać mojej mamy samej...

—Oczywiście, ale mógłbyś przyjechać po samych świętach, po drugim dniu na przykład. A moi rodzice są dość samowystarczalni, więc większość czasu spędzilibyśmy tylko we własnym towarzystwie — (uważa, że trzeba

mnie namawiać) — możemy po prostu siedzieć i spacerować, i czytać, i rozmawiać, i robić inne rzeczy...

— W porządku — zgadzam się.

— Fantastycznie! W takim razie umowa stoi. Zrobiło mi się zimno. Wracajmy do domu.

Jest już po północy, gdy wracamy do jej akademika, ale nadal pojedyncze osoby przemykają się po korytarzach wyłożonych parkietem, kujony, cierpiący na bezsenność i nawaleni. Wszyscy mówią: „Cześć, Alice”, a potem spoglądają na mnie sceptycznie, ale nie przeszkadza mi to za bardzo. Jestem zbyt zajęty zastanawianiem się, jak się pożegnamy, od strony technicznej. Przed drzwiami mówi:

— Powinnam iść prosto do łóżka, jutro mam wykład o dziewiątej piętnaście.

— Tak. A o czym...?

— „Stanisławski i Brecht, wielka przepaść, znak zapytania”.

— Oczywiście, ponieważ w rzeczywistości pod wieloma względami wcale tak bardzo się nie różnią chociaż ludzie często myślą, że ich filozofie się wzajemnie wykluczą...

— Szczerze mówiąc, Brian, naprawdę powinnam iść spać.

— W porządku. Dziękuję, że zgodziłaś się spędzić ze mną ten wieczór.

— Brian — ja się nie zgodziłam. Ja chciałam.

I pochyła się bardzo szybko do przodu, i całuje mnie tuż obok ucha. To dość szybki gest, jak atak kobry, a ja nie mam takiego refleksu, więc starcza mi jedynie czasu, żeby cmoknąć ustami zbyt głośno wprost do jej ucha, a potem zamykają się drzwi i ona znika.

I po raz kolejny idę podjazdem wysypanym żwirem, kierując się w stronę domu. Więc koniec końców wszystko poszło dobrze. Myślę, że wszystko poszło dobrze. Zostałem zaproszony do domu na wsi i myślę, że uważa mnie za „interesującego”, nawet jeśli „interesujący” to nie było do końca to, co chciałem

osiągnąć. Czuję się trochę niepewnie, jeśli chodzi o przyczyny, ale mimo to...

— Ej, Jackson! Rozglądam się dookoła.

— Przepraszam, chciałam powiedzieć Brian. Brian, tutaj... To Rebecca, wychyla się z okna na pierwszym piętrze, gotowa do snu w długim czarnym T-shircie.

—No i jak poszło, kochasiu?

—Ach, no wiesz. W porządku.

—A więc czy zanosz się na miłość?

—Nie na „miłość”. Na „lubienie”.

— Zanosz się na „lubienie”. Tak myślałam. Wyczuwałam to. Zanosz się na „lubienie”. Gratuluję, Brian. I tego się trzymaj, przyjacielu.

Po drodze do domu wstępuję na całodobową stację benzynową i funduję sobie batonik Pienie i puszkę napoju Lilt za pieniądze, które zaoszczędziłem, wybuchając płaczem. Gdy docieram do Richmond House, jest już prawie druga nad ranem. Do moich drzwi przypięte są trzy odręcznie napisane wiadomości:

19.30 Brian — dzwoniła twoja mama.

22.45 Dzwonił Spencer. Mówi, że „nudzi się jak mops”. Przez całą noc jest na stacji benzynowej. Zadzwoń do niego.

Brian, czy mógłbyś, proszę, nie używać bez zgody mojego peelingu brzoskwiniowego?

PYTANIE: Co dokładnie musi zrobić Dorota Gale, żeby wrócić do Kansas?

ODPOWIEDŹ: Stuknąć trzy razy obcasami, wypowiadając jednocześnie w myśli słowa: „Nie ma jak dom”.

Mama jest nadal w Woolworths, gdy wchodzę do domu, robię więc sobie kubek herbaty, kładę się na sofie, biorę długopis i metodycznie zaznaczam mój bożonarodzeniowy repertuar telewizyjny w świątecznym wydaniu „Radio Times”. Czuję się kompletnie wykończony, co niestety, ma więcej wspólnego z piwem domowej roboty Josha i Marcusa, niż jakkolwiek akademickim zapalem. Kilka ostatnich tygodni roku akademickiego minęło, pozostawiając po sobie niejasne wspomnienie małych imprez w domach obcych ludzi albo pijackich gier w kuchni z kumplami Josha i Marcusa; rośli, krzepcy, wysportowani chłopacy i dorodne, wiecz- nie opalone dziewczyny z drużyny lacrosse'a. Wszystkie z postawionymi kołnierzami, wszystkie uczące się francuskiego, wszystkie z hrabstw z okolic Londynu i wszystkie z takimi samymi, zaczesanymi do tyłu blond włosami. Ułożyłem całkiem niezły dowcip o tym typie dziewczyn, to znaczy, że wszystkie pochodzą z Surrey-z-grzywką-na-czubku, ale niestety, nie mam go komu opowiedzieć.

W każdym razie, bez względu na to, czego ich jeszcze uczą w tych prywatnych szkołach, z pewnością wiedzą jak pić. Czuję się podtruty i szary, i niedożywiony, i szczęśliwy, że przyjechałem do domu, że położyłem się na sofie i że oglądam telewizję. Nie ma nic ciekawego dzisiaj po południu, tylko kilka westernów, więc mój wzrok wędruje do szkolnej fotografii na telewizorze, zrobionej tuż przed śmiercią taty. Czy istnieje coś

bardziej nudnego i pozbawionego radości niż stare szkolne zdjęcie? Słyszałem, że aparat dodaje dwa kilogramy, ale tutaj wygląda to tak, jakby cała dodatkowa masa dodana została wyłącznie do mojego trądziku. Wyglądam dosłownie jak jakaś postać ze średniowiecza, jak ofiara plagi, cały w pryszczach i bliznach, i zastanawiam się, jaką przyjemność mama czerpie z tego, że spoglądam na nią ze zdjęcia z grymasem, w czasie gdy ona usiłuje oglądać telewizję.

Zdjęcie przygnębia mnie tak bardzo, że muszę wyłączyć telewizor, i wychodzę do kuchni nastawić wodę i zrobić sobie jeszcze jedną herbatę. Czekaając, aż się zagotuje woda, spoglądam na ogródek za domem, cienisty skrawek wielkości podwójnego łóżka, który mama kazała wyłożyć kamieniem, gdy zmarł tato, żeby zaoszczędzić sobie pracy. Robię herbatę i zanoszę torbę do swojego pokoju. Mama wyłączyła kaloryfer, żeby zaoszczędzić na ogrzewaniu, i jest zimno jak w lodówce, kładę się więc w ubraniu do łóżka i gapię się na sufit. Łóżko wydaje mi się dziwnie małe, jakby dziecinne, prawdę powiedziawszy, cały pokój robi na mnie takie wrażenie. Bóg raczy wiedzieć dlaczego, przecież ja nie zrobiłem się większy, ale już, zaledwie po trzech miesiącach, mam wrażenie, że ten pokój należy do kogoś innego. Wszystko, co tutaj zostało, to dziecięce przedmioty — sterty komiksów, skamieliny na parapecie, zeszyty literackie Brodie's Notes, pokryte warstwą kurzu modele samolotów zwisające z sufitu, stare szkolne koszule wiszące w szafie. Z jakiegoś powodu robi mi się nagle smutno, myślę więc przez chwilę o Alice, a potem zasypiam.

Nie rozmawiałem z nią tak jak należy od wieków. Spotkania drużyny *Challenge* zostały zawieszane dwa tygodnie temu i od tego momentu wydaje się, że wchłonęła ją jej mała klika, zamknięta hałaśliwa banda pięknych i doskonałych chłopaków i dziewcząt, których widziałem w barze studenckim albo jeżdżących po mieście, siedmiu albo nawet ośmiu upchanych do jej wypełnionego dymem jasnożółtego 2CV, chichoczących i podających sobie z rąk do rąk butelkę wina i słuchających Jimmie-go Hendriksa, następnie jadących razem do czyjegoś georgiańskiego mieszkania,

żeby tam dzielić się interesującymi narkotykami i uprawiać ze sobą seks. Szczerze mówiąc, nie udało mi się zbliżyć do Alice bardziej niż kilka dni temu, wieczorem, w barze studenckim. Podszedłem i powiedziałem „hej”, wszyscy odwzajemnili się tym samym, uśmiechnięci i weseli, ale niestety, nie było dość krzeseł przy stole, żebym mógł z nimi usiąść. Ponadto Alice musiała niewygodnie wykręcać szyję, żeby się odwrócić i ze mną rozmawiać, a gdy się stoi przy grupce takiej jak ta, nie mija wiele czasu, a człowiek zaczyna się czuć, jakby za chwilę miał zacząć zbierać ze stołu brudne talerze. Oczywiście takie grupki, doskonałe, pełne samozadowolenia, uprzywilejowane kliki, budzą u mnie jedynie pogardę, ale niestety, nie na tyle głęboką żeby nie chcieć do jednej z nich należeć.

Zdołaliśmy jednak porozmawiać na tyle długo, żeby Alice zdążyła potwierdzić, że wyjazd do jej domku na wsi jest aktualny. Nie muszę przywozić niczego, z wyjątkiem mnóstwa książek i swetra. Śmiała się jednak ze mnie, gdy zapytałem, czy mam przywieźć ręcznik.

— Mamy mnóstwo ręczników — odparła.

A ja pomyślałem: ależ tak, oczywiście, na pewno macie.

— Nie mogę się już doczekać — powiedziała.

— Ja też — odparłem.

Ja jednak naprawdę tak myślałem, ponieważ wiem, że w college[^] nigdy nie będzie miała dla mnie czasu, jest tu zbyt wiele atrakcji, zbyt wielu tyczkowatych, dobrze zbudowanych chłopaków z pieniędzmi i własnymi mieszkaniami. Ale gdy w końcu znajdziemy się daleko stąd, tylko ja i ona, wtedy będę miał swoją szansę, moją wielką okazję, żeby udowodnić jej absolutną nie-uniknioność naszego bycia razem.

Jest poranek Bożego Narodzenia i pierwsza rzecz, jaką robię po wstaniu z łóżka, to zjedzenie dużej miski Frosties i włączenie telewizora. Jest mniej więcej dziesiąta i *Czarnoksiężnik z krainy Oz* już się zaczął, więc przyciszam, żeby słyszeć go było w tle, podczas gdy ja z mamą otwieramy prezenty, które kupiliśmy sobie nawzajem. Tato jest tutaj również, w pewnym sensie, jak duch Jacoba Marleya, ubrany jak na starym zdjęciu z polaroidu, które mam, wyglądający na zmęczonego i lekko cynicznego w szlafroku w kolorze burgunda, z gładko zaczesanymi do tyłu czarnymi włosami.

mi, w nowych pantoflach, pałacy papierosy, które kupiłem i zapakowałem dla niego jako prezent.

Tego roku mama kupiła mi kilka nowych podkoszulków i *Collected Works of e.e. cummings*, o które prosiłem i które musiała specjalnie dla mnie zamówić. Sprawdzam cenę na obwolucie i czuję ukłucie winy, widząc, jak droga to była książka. Co najmniej dzienny zarobek, ale dziękuję jej i całuję w policzek, i daję jej w zamian moje prezenty — mały wiklinowy koszyk kosmetyków z Body Shop i kupione w antykwariacie wydanie Everymana *Pustkowie*.

—Co to takiego?

—To moja ulubiona powieść Dickensa. Jest genialna.

—*Pustkowie!* To mi przypomina ten dom.

I to mniej więcej określa klimat całego dnia, naprawdę. Di-ckensowski.

Na bożonarodzeniowy obiad dołącza do nas wujek Des. Żona wujka Desa zostawiła go kilka lat temu dla jakiegoś faceta z pracy, więc mama zaprasza go do nas co roku na bożonarodzeniowy obiad, ponieważ w zasadzie nie ma własnej rodziny. Mimo że nie jest moim prawdziwym wujkiem, jedynie facetem mieszkającym trzy domy dalej, na tej samej ulicy, uważa, że ma prawo mierzwić mi włosy i zwracać się do mnie, jakbym miał dwanaście lat.

—Jak sobie radzisz, nasz mały geniuszu? — pyta głosem, jakim przypuszczalnie zwraca się do wszystkich dzieci.

—W porządku, dziękuję, wujku Des.

— Do licha, czy na tym uniwersytecie nie uczą was używać grzebienia! — dziwi się, mierzwiąc mi włosy. — Popatrz, jak ty wyglądasz!

Mierzwi, mierzwi, mierzwi.

I przychodzi mi do głowy, że to całkiem niezłe, słyszeć takie słowa z ust czterdziestopięcioletniego mężczyzny z mocno kręconą blond trwałą i wąsem, który wygląda, jakby został wycięty z próbki wykładziny dywanowej, nie odzywam się jednak, ponieważ mama nie lubi, jak odcinam się wujkowi Desowi. Próbuję się więc uwolnić nieśmiało i myślę, że mam szczęście, bo w tym roku nie wyciąga mi przynajmniej z za uszu pięćdziesięciopięcioletnich monet.

Mama wysuwa zza drzwi głowę i woła:

— Brukselka jest już gotowa!

Smuga ciepłego, chlorofilowego powietrza potwierdza jej ostrzeżenie i czuję nagłą falę mdłości, ponieważ nadal mam w ustach smak Frosties, które przyłgnęły mi do tylnych zębów. Mama wraca następnie do kuchni, a wujek Des i ja oglądamy *Czarnoksiężnika z Oz*, ze ściszoną dźwiękiem.

—Do licha, znowu te głupoty! — woła wujek Des. — W każde Boże Narodzenie cholerny Czarnoksiężnik z cholernej krainy Oz.

—Dlaczego nie puszczą czegoś innego, prawda?! — zgadzam się.

Potem wujek Des pyta mnie o college.

— Więc co tak naprawdę robisz przez cały dzień, co? To całkiem uczciwe pytanie i sam zadałem je sobie parę razy.

— Różne rzeczy... chodzę na wykłady, czytam, piszę eseje, tego typu rzeczy.

—I to wszystko? Do licha, niektórym to się powodzi...! Zmień temat.

—A co u wujka, jak praca?

—No, nie ma zbyt dużego ruchu, Bri, chwilowo... Wujek Des zajmuje się budowlanką— oranżerie, ganki, patia — albo przynajmniej tym się zajmował do czasu rozvodu i recesji. Teraz jego minivan stoi beczynn timer przed domem, a Des spędza większość czasu, rozbierając silnik, a potem znowu go składając, nie do końca dobrze, i znowu go rozbierając.

— Ludzie najwyraźniej nie chcą rozbudowywać swoich domów, nie podczas recesji. To luksus, tak naprawdę, ganki i oranżerie...

Wygląda wąsy, przesuwając palcem i kciukiem w dół, i spogląda smutno na *Czarnoksiężnika z krainy Oz*, te z lekka przerażające mały ze skrzydłami wyrastającymi z pleców, a ja mam wyrzuty sumienia, że zapytałem go o pracę, chociaż wiem, że nie idzie mu dobrze. Po kilku chwilach bezmyślnego wpatrywania się w latające mały otrząsa się z tego i z wyraźnym fizycznym wysiłkiem siada najprościej, jak pozwala na to sofa, i klaszcze w dłonie.

— No dobrze, a co powiesz w takim razie na coś do picia? Jest przecież Boże Narodzenie. Co nie daje ci spać po nocach, Bri? — A potem dodaje konspiracyjnym szeptem: — Z wyjątkiem brukselki!

Spoglądam ze zegar na kominku —jest 11.55.

— Poproszę o piwo, Des.

A on oddała się do kuchni, prawie tak, jakby tu mieszkał. Przy obiedzie, który jemy w kuchni, słuchając drugiego programu radia, postanawiam podzielić się wielką nowiną.

— Przy okazji — chciałbym wam powiedzieć o czymś ważnym. ..
Mama przestaje żuć.

—Co?

—Coś, co wydarzyło się na uniwersytecie w ostatnim semestrze...

—O Boże, Brian... — zaczyna mama, zakrywając dłonią usta.

—Nie bój się, to nic złego...

Spogląda na wujka Desa, potem rzuca nerwowo:

— Mów dalej...

—No cóż, wystąpię w drużynie *University Challenge!*

—Co, ten program w telewizji? — upewnia się wujek Des.

—Tak! Jestem w drużynie!

Mama zaczyna się śmiać i spogląda na wujka Desa, który też się śmieje.

—Gratuluję, Bri — mówi i odkłada widelec, żeby uwolnić rękę do mierzwienia włosów. — To wspaniała wiadomość, naprawdę wspaniała...

—Boże, i co za ulga — dodaje mama i wypija duży łyk wina, po czym kładzie dłoń na piersiach, żeby uspokoić serce.

— Dlaczego, a myślałaś, że co powiem?

— No cóż, szczerze mówiąc, kochanie, myślałam, że zamierzasz mi powiedzieć, że jesteś homoseksualistą! — wyznaje.

Potem znowu zaczyna się śmiać i spogląda na wujka Desa, który też zaczyna się śmiać, śmiejąc się tak bardzo, że obawiam się, iż udławi się brukselką.

Po południu, po spróbowaniu indyka, wujek Des nalewa sobie dużą szkocką i zapala długie wąskie cygaro, a mama rothma-na i przez warstwę karmelowego dymu oglądamy *Top of the Pops*. Wujek Des wydaje z siebie mruknięcie za każdym razem, gdy kamera znajdzie jakąś skąpo odzianą

członkinię chóru, a mama śmieje się pobłaźliwie i uderza go w nadgarstek. Metodycznie pracuje nad dużym pudełkiem tradycyjnych czekoladek z likierem, odgryzając zakrętki małych czekoladowych buteleczek i wlewając do ust poszczególne alkohole, jak wyjątkowo wybredny pijaczek. To przedziwna nowa ekstrawagancja w picciu alkoholu przez mamę, i nie jestem pewien, co mam o tym myśleć, ale nie chcąc zostać w tyle, kontynuuję pracę nad swoim czteropa-kiem piwa. Ponieważ jestem doskonale poinformowanym młodym pistoletem i na bieżąco ze współczesną sceną muzyki pop, pomagam w zidentyfikowaniu nieco mniej znanych twarzy w programie muzycznym *Do They Know It's Christmas?*, następnie oglądamy wystąpienie bożonarodzeniowe królowej, potem wujek Des idzie odwiedzić swoją mamę mieszkającą trochę dalej przy tej samej ulicy, ale obiecuje wrócić o szóstej na resztki uczyty i naszą tradycyjną, nieskończenie długą grę w Monopol, którą nieuchronnie wygra, ale jedynie poprzez mianowanie się bankierem i zdefraudowanie pieniędzy.

Potem, zanim zrobi się zbyt ciemno, razem z mamą nakładamy płaszcze i wychodzimy z domu. Mama bierze mnie pod rękę, gdy pokonujemy mierzącą około kilometra drogę na cmentarz, żeby położyć kwiaty na grobie taty. Zimne wilgotne powietrze sprawia, że wypity alkohol zaczyna mocniej działać i muszę się pochylać, żeby usłyszeć, co mówi. Mama pachnie szalwią, cebulą i Tia Marią.

Jak zwykle stoję z mamą przez chwilę i mówię, że nagrobek nadal ładnie wygląda, potem idę i staję trochę z boku, i czekam, podczas gdy mama rozmawia z tatą. Zawsze czuję się trochę niezręcznie, czekając w pobliżu, bez książki do poczytania, w zamian usiłuję więc zidentyfikować ptaki, ale to tylko gawrony i sroki (z rodziny *corvidae*), szpaki (*sturmus vulgaris*) i wróble (*passer domesticus*), i zastanawiam się, dlaczego cmentarze zawsze przyciągają takie nędzne, makabryczne, krwawe ptaki, i po prawie dziesięciu minutach mama kończy to, co ma do powiedzenia, dotyka delikatnie nagrobka, odchodzi ze spuszczoną głową i bierze mnie pod rękę, nie mówiąc nic, dopóki nie opanuje trochę oddechu i nie będzie na powrót w stanie się odezwać. Jest już ciemno, ale kilkoro miejscowych dzieciaków z osiedla komunalnego jeździ pomiędzy grobami na swoich nowych

BMX-ach, które dostały na Boże Narodzenie, ostro hamując i wykonując długie niskie ślizgi, które sprawiają, że spod kół wypryskuje żwir. Mamę, nadal z lekko wilgotnymi oczami i trochę pijanapo wszystkich czekoladowych likierach, bardzo to drażni i zaczyna na nie krzyczeć:

— Nie powinniście tego robić, nie na cmentarzu, okażcie trochę szacunku.

Jeden z dzieciaków robi palcami znak litery V i przejeżdża obok, śmiejąc się i krzyżąc w odpowiedzi:

— Spieprzaj, nie twoja sprawa, głupia krowo.

Czuję, że mama znowu zaczyna płakać, i nagle opanowuje mnie nieodparta chęć, by pobiec za nim, chwycić za kaptur jego parki i ściągnąć z tego nowego roweru, przycisnąć go do ziemi kolanem i wdusić w żwir jego głupią, wykrzywioną gębę, i zobaczyć, ile potrwa, zanim przestanie się śmiać. A potem, równie nagle, ogarnia mnie pragnienie, żeby być daleko, daleko stąd, leżeć z kimś nieruchomo w ciepłym łóżku i zapadać w sen.

PYTANIE: Jak nazywa się grupa związków organicznych o ogólnym wzorze R-OH, gdzie R oznacza rodnik alkilowy złożony z węgla i wodoru, a OH jedną lub więcej grup wodorotlenowych?

ODPOWIEDŹ: Alkohole.

Black Prince to pub, który troszczy się szczególnie o potrzeby klientów poniżej dozwolonego wieku. W szkole zwykliśmy go nazywać Żłobkiem. Właściciel wychodził z założenia, że każdy, kto jest na tyle sprytny, żeby schować do kieszeni szkolny krawat, jest też wystarczająco dorosły, żeby pić alkohol. W piątkowe popołudnie lokal wyglądał jak scena z *Grange Hill* i trudno było się obrócić, żeby nie zawadzić o czyjaś torbę na ramię.

Poza rokiem szkolnym trudno wyobrazić sobie bardziej opuszczone miejsce na spotkanie przy drinku. Bure, nieprzyjemne i wilgotne, ma się wrażenie, jakby się siedziało w czyjejś nerce, ale w ciągu ostatnich pięciu lat spotkanie tutaj wieczorem w drugi dzień świąt stało się tradycją a tradycje są święte. Tak więc jesteśmy, ja, Tone i Spencer, siedzimy w plastikowym boksie koloru skrzepłej krwi, po raz pierwszy od naszego rozstania we wrześniu. Trochę obawiałem się kolejnego spotkania, ale Spencer wydaje się szczerze ucieszony moim widokiem. Tone też się cieszy, na swój szczególny sposób, co zasadniczo polega na tym, że mocno pociera czubek mojej głowy kostkami dłoni.

—Co, u licha, stało się z twoimi włosami?

—To znaczy?

—Jakby tapirowane, prawda?

Tone chwyta mnie za uszy i wacha mi głowę, jakby była melonem.

—Nałożyłeś sobie piankę?

—Nie, nie nałożyłem sobie żadnej pianki. Szczerze mówiąc, mam trochę pianki we włosach.

—Jak się nazywa taka fryzura?

—Nazywa się Brideshead — wyjaśnia Spencer.

—Nazywa się krótki tył i boki. A jak nazywa się w takim razie twoja, Tone?

—Nie ma żadnej nazwy, po prostu jest. A co pijasz ostatnio — porto z cytryną? Półsłodką sherry? Słodkie białe wino...?

Zaczęło się, a ja nie zdjąłem jeszcze nawet kurtki. — Poproszę jedno piwo, Tone.

—Specjalne?

—Dobrze. Niech będzie specjalne.

Specjalne piwo to lager z dodatkiem dżinu. Jedną z edukacyjnych zasad przyświecających tutejszemu właścicielowi jest pielęgnowanie eksperymentu i innowacji, i nie mrugnie nawet okiem, bez względu na to, jak odrażającą kombinację zamówisz. Poza tym lager z dodatkiem dżinu jest w rzeczywistości całkiem dorosły, jak na standardy pubu Black Prince. Wszystko, co nie ma smaku kokosu, mięty czy anyżu, jest uważane tutaj za wyrafinowane.

Nigdy wcześniej nie rozstawałem się ze Spencerem na tak długo, odkąd skończyliśmy dwanaście lat, i bardzo mi zależy, żeby nie zapadały żadne niezręczne chwile ciszy. Ale oto jest. Cisza. Spencer usiłuje ją wypełnić, wyrzucając w powietrze podstawkę na piwo i łapiąc ją, podczas gdy ja sięgam po pudełko zapalek, licząc na coś ciekawego do przeczytania na odwrocie.

—Wydawało mi się, że mówiłeś, że będziesz przyjeżdżał na weekendy? — rzuca w końcu.

—Taki miałem zamiar, ale zbyt dużo zaczęło się dziać.

—Dziać. Okej.

—Święta w porządku? — pytam.

—Jak zwykle. Takie jak rok temu, takie jak za rok. A u ciebie?

—Ach, no wiesz. Tak samo.

Wraca Tone z trzema specjalnymi piwami.

—Więc... co nowego? — pytam.

—Co masz na myśli? — pyta Spencer.

—W pracy, to znaczy...

—W jakiej pracy? — pyta, mrugając do mnie.

O ile wiem, Spencer nadal podaje się za bezrobotnego i pracuje na nocną zmianę za gotówkę do ręki.

—Na stacji benzynowej...?

—Mamy obecnie bardzo ciekawą promocję zestawów lampek do wina, co spotkało się z dość sporym zainteresowaniem, i cena czterogwiazdkowej poszła w górę nie tak dawno, to też było dość emocjonujące. Więc podsumowując, nie byłem tak podekscytowany, odkąd zjadłem tego kit-kata z samej czekolady. Ach, i tydzień temu banda studentów odjechała bez zapłacenia...

—Mam nadzieję, że ich gonileś — mamrocze Tone.

—No cóż, nie, Tony, nie gonilem, ponieważ oni byli samochodem, a ja na nogach. Poza tym płacami tylko jednego funta osiemdziesiąt na godzinę. Musieliby mi płacić dużo więcej, zanim zdecydowałbym się rzucić biegiem.

—Skąd wiesz, że to byli studenci? — dopytuję się, połykając haczyk.

—Po pierwsze byli bardzo źle ubrani. Długie szaliki, małe okrągłe okulary, okropne fryzury...

Uśmiecha się konspiracyjnie do Tone'a, a potem znowu do mnie.

— A jak twój wzrok, Bri?

To odwieczny żart Tone'a i Spencera, którzy są przekonani, że okłamałem optyka tylko po to, żeby dostać okulary.

— W porządku, dziękuję, Spence — mówię i postanawiam pójść kupić chipsy.

W drodze do baru rozważam przez chwilę myśl, żeby skierować się do drzwi i wyjść na zewnątrz. Kocham Spence'a i Tone'a, a szczególnie Spencera, i wydaje mi się, że jest to wzajemne, chociaż Bogiem a prawdą nigdy nie użylibyśmy tego słowa, w każdym razie nie po trzeźwemu. Ale na moje osiemnaste urodziny Spencer i Tone przywiązali mnie nagiego do końca mola w Southend i nakarmili mnie środkami przeczyszczającymi, tak więc jest to miłość, która przejawia się w niekonwencjonalny sposób.

Gdy wracam, okazuje się, że zaczęli rozmawiać o życiu seksualnym Tone'a, więc wiem, że dadzą mi spokój przez najbliższą godzinę czy coś w tych granicach. Barmanki, fryzjerki, nauczycielki, siostry kolegów ze szkoły, albo nawet matki, nikt chyba nie jest odporny na nordycki urok Tone'a. Lista nie ma końca, a szczegóły są jednoznaczne, i po chwili zaczynam odczuwać potrzebę wzięcia prysznic, ale oczywiście Tone ma coś w sobie, coś innego niż wrażliwość, czułość albo zrozumienie. Dużo łatwiej jest sobie wyobrazić, że po akcie miłosnym pociera mocno knykciami głowę swojej kochanki. Zastanawiam się, ale nie pytam, czy Tone uprawia bezpieczny seks, podejrzewam jednak, że uważa, iż bezpieczny seks to coś dla mięczaków, podobnie jak pasy bezpieczeństwa i kaski ochronne. Gdyby Tone został wyrzucony z samolotu, nadal uważałby, że spadochrony są dla mięczaków.

—A co u ciebie, Brian, coś się wydarzyło w tej dziedzinie?

—Raczej nie. — Brzmi to trochę blado, więc dodaję nonszalancko: — Jest jedna dziewczyna, Alice, i zaprosiła mnie, żebym przyjechał do niej jutro, do jej domku na wsi, więc...

—Jej domku na wsi? — dopytuje się Spencer. — A kim ona jest? Pasterką?

—No wiesz, dom, na wsi, jej rodziców...

—A więc pieprzysz się z nią? — upewnia się Tone.

—To platoniczne.

—A co to znaczy platoniczne? — pyta Spencer, chociaż wie.

—To znaczy, że ona nie pozwala mi się pieprzyć — wyjaśnia Tone.

—Nie pieprzę się z nią ponieważ nie chcę się z nią pieprzyć, w każdym razie jeszcze nie teraz. Gdybym chciał, to bym to robił.

— Chociaż ostatnie przesłanki zdają się wskazywać na coś innego — rzuca Spencer.

Tone'owi wydawaje się to niesamowicie zabawne, postanawiam więc znowu się wycofać i idę kupić jeszcze kilka piw z dzinem. Potykam się lekko, wychodząc z boksu, stąd wiem, że zaczynają działać. Zdaję sobie boleśnie sprawę, że kieszonkowe nie starcza na zbyt wiele w dzisiejszych czasach. Black Prince jest również niewiarygodnie tani i trzech młodzi mężczyźni są w stanie stać się niezrozumiali, agresywni, sentymentalni i gwałtowni, i nadal mieć resztę z dziesiątki.

Gdy znowu siadam, Spencer pyta:

—Więc co tak naprawdę robisz całymi dniami?

—Rozmawiam. Czytam. Chodzę na wykłady. Dyskutuję.

—Ale to nie jest prawdziwa praca, co?

—Nie praca. Doświadczenie.

—Tak, no cóż, ja jestem bardzo szczęśliwy na uniwersytecie życia, bardzo ci dziękuję — odpowiada Tone.

—Ja złożyłem podanie na uniwersytet życia, ale nie miałem dość dobrych stopni — wtrąca Spencer.

— Już to kiedyś mówiłeś, prawda? — odpowiadam.

—Najwyraźniej tak. A co z polityką? To pytanie jest niczym policzek.

—O co ci chodzi?

—Byłeś ostatnio na jakichś dobrych demonstracjach?

—Na kilku.

—W jakiej sprawie? — dopytuje Tone.

Rozsądnym wyjściem byłaby zmiana tematu, ale nie widzę powodu, abym miał rezygnować z moich politycznych poglądów tylko dlatego, żeby nie psuć wszystkim humoru, więc mówię im.

— Apartheid...

—Za czy przeciw? — pyta Spencer.

—...publiczna służba zdrowia, prawa gejów... Słyszając to, Tone się ożywia.

—Jaki drań chciał cię pozbawić twoich praw?

—Nie moich. Władze partii torysów rozpoczęły kampanię na rzecz zaprzestania przez szkoły przedstawiania homoseksualizmu w pozytywnym świetle; to zalegalizowana homofobia...

—Czy naprawdę tak postępują? — upewnia się Spencer.

—Kto?

—Szkoły. Ponieważ nie przypominam sobie, żeby ktoś uczył mnie tego w szkole.

—No cóż, nie uczyli nas, ale...

—Więc dlaczego tyle wokół tego zamieszania?

—No tak, wystarczy spojrzeć na ciebie, ty zostałeś gejem, a nikt cię tego nie uczył — stwierdza Tone.

—Tak, no cóż, to prawda, masz rację, Tone...

—Cóż, uważam, że to skandal — dodaje Spencer z udawanym oburzeniem. — Uważam, że powinno się tego uczyć. We wtorki po południu. Dwie godziny homoseksualizmu...

—Przepraszam, proszę pani, zapomniałem odrobić homo--zadanie...

—Homo-egzaminy...!

Próbujemy wymyślić jeszcze jeden dowcip, ale nam nie wychodzi, więc w zamian Spencer mówi:

— Cóż, uważam, że to wspaniale, iż walczysz o coś ważnego, naprawdę. Coś, co wszystkich nas dotyczy. Tak jak wtedy, gdy przyłączyłeś się do ruchu na rzecz rozbrojenia atomowego. Czy mieliśmy od tego czasu holokaust nuklearny? Nie.

Tone staje na nogi.

—Więc. Jeszcze raz to samo?

—Bez dżinu tym razem proszę, Tone — mówię, wiedząc, że i tak doda dżinu.

Gdy odchodzi, siedzimy ze Spencerem i zwijamy w małe trójkąty puste torebki po chipsach, wiedząc, że to jeszcze nie koniec. Dżin wprowadził mnie w zły humor i rozdrażnił; jaki sens ma umawianie się z kumplami, skoro nie zamierzają robić nic innego, jak tylko się z ciebie natrzasać?

W końcu mówię:

—Więc przeciw czemu ty byś protestował, Spence?

—Nie wiem. Przeciw twojej fryzurze?

—Poważnie.

—Wierz mi, to jak najbardziej poważne...

—Ale naprawdę, musi być coś, czego zdecydowałbyś się bronić.

—Nie wiem. Mnóstwo rzeczy. Ale chybanie praw gejów...

—To nie chodzi tylko o prawa gejów, chodzi też o inne rzeczy, rzeczy, które dotyczą i ciebie, jak cięcia w wydatkach socjalnych, obniżenie zasiłków dla bezrobotnych, bezrobocie...

—No cóż, dziękuję ci za to, przyjacielu, cieszę się, że walczysz w moim imieniu, już nie mogę się doczekać, kiedy dostanę tę dodatkową gotówkę.

Nic nie mogę na to odpowiedzieć. Próbuję czegoś bardziej pojednawczego, w przyjacielskim tonie.

—Hej, powinieneś przyjechać i odwiedzić mnie w przyszłym roku!

—Coś w rodzaju dnia otwartego?

—Nie, po prostu, no wiesz, żeby miło spędzić czas...

I w tym momencie powinienem zmienić temat na seks, filmy, telewizję albo coś innego. W zamian mówię:

—Dlaczego nie chcesz zdawać ponownie egzaminów końcowych?

—Hmmm, może dlatego, że nie chcę...?

—Ale naprawdę szkoda...

—Szkoda? Odpieprz się z tą twoją szkodą! Czytanie poezji i onanizowanie się do skarpety przez trzy lata to jest dopiero szkoda.

—Ale nie musiałbyś studiować literatury, mógłbyś studiować coś innego, coś bardziej zawodowego...

—Możemy zmienić temat, Brian?

—W porządku...

—...bo otrzymuję dość pieprzonego doradztwa z DHSS*²² i niekoniecznie pragnę tego w pubie w cholerny drugi dzień świąt...

²² * DHSS — Department of Health and Social Services (Departament Zdrowia i Opieki Socjalnej).

—W porządku w takim razie. Zmieńmy temat. Jako gest pojednania proponuję:

—Automat do gier?

—Zdecydowanie tak. Automat do gier.

Black Prince zainwestował w jeden z tych nowych komputerowych automatów do gier, więc bierzemy nowe piwa i stawiamy je na górze.

—Kto gra Cagney w telewizyjnym *Cagney and...!*

—C — Charon Gless — mówię. Zgadza się.

—Bitwa pod Trafalgarem rozegrała się w...?

—B — tysiąc osiemset piąty — odpowiadam.

—Potoczna nazwa klubu piłkarskiego Norwich City to... ?

—A — *The Canaries* — rzuca Tone. Zgadza się.

Może to byłaby odpowiednia chwila, żeby powiedzieć im o *Challenge...*

—Co stworzył Davros?

—A — Daleki — mówię. Zgadza się.

—Czyje prawdziwe nazwisko brzmiało Schicklegruber?

—B — Hitlera — odpowiadam. Zgadza się.

Mógłbym to po prostu wpleść do rozmowy, od niechcienia: „A tak na marginesie, czy mówiłem wam? Będę w *University Challenger*

— Który Amerykanin jest rekordzistą, jeśli chodzi o liczbę olimpijskich...?

—D — Mark Spitz — mówi Tone.

—Zgadza się.

„No wiecie, *University Challenge*, w telewizji...?” Może nie nabijaliby się ze mnie. Może myśleliby, że to dobra zabawa — dobra robota, Bri — jesteśmy przecież starymi kumplami...

—Jeszcze jedno pytanie i wygramy dwa funty!

—W porządku, skoncentrujcie się...

Zdecydowanie zamierzam im powiedzieć o *Challenge...*

—Gwiazdne wojny były nominowane do ilu Oscarów?

—B — do czterech — mówię.

—D — do ani jednego — twierdzi Tone.

—Jestem całkiem pewien, że do czterech — upieram się.

—Oczywiście, że nie. To podstępne pytanie. Nie dostały ani jednego...

—Nie ile dostały, do ilu były nominowane...

—Nominowane też nie były, uwierz mi, Spence...

—Do czterech, Spence, przysięgam, B — do czterech...

I obydwaj spoglądamy teraz na Spencera, błagalnie, „Wybierz mnie, proszę, mnie, nie jego, nie myślę się, przysięgam, wybierz mnie, stawką są tutaj dwa funty”, i tak, wybiera mnie, postanawia mi zaufać, przyciska B.

Błąd. Prawidłowa odpowiedź to D — do dziesięciu.

—No widzisz! — krzyczy Tone.

—Ty też nie miałeś racji! — wołam w odpowiedzi.

—Ty dupku — mówi Tone.

—To ty jesteś dupkiem — rzucam.

—Obydwaj jesteście dupkami! — stwierdza Spencer.

—To ty jesteś dupkiem, ty dupku — mówi Tone.

—Nie, przyjacielu, to ty jesteś dupkiem — odpowiada Spencer.

I postanawiam, że może jednak nie powiem im o *Challenge*.

Czwarte piwo z dżinem sprawia, że robimy się sentymentalni i z nostalgiaspoglądamy na wydarzenia sprzed sześciu miesięcy, siedzimy i z rozrzewnieniem wspominamy ludzi, których w rzeczywistości nie lubiliśmy, i wszystkie miłe chwile, które w rzeczywistości nigdy się nie zdarzyły, i zastanawiamy się, czy pani Ciarkę, nauczycielka od wychowania fizycznego, była naprawdę lesbijką i jak bardzo gruba była Barry Pringle, i potem, w końcu i nareszcie, przychodzi pora, by złożyć ostatnie zamówienie.

Gdy jesteśmy już przed pubem, okazuje się, że zaczęło padać. Spencer proponuje, że moglibyśmy się wybrać do klubu nocnego Manhattan, ale nie jesteśmy aż tak pijani. Tone zwinął z pracy nowy magnetowid i po raz osiemdziesiąty dziewiąty chce oglądać *Piątek trzynastego*, ja jestem jednak zbyt przygnębiony i pijany, więc postanawiam ruszyć do domu, w przeciwnym kierunku.

—Zostajesz na Nowy Rok? — pyta Tone.

—Raczej nie. Wydaje mi się, że zatrzymam się u Alice.

—W porządku, przyjacielu, no cóż, do zobaczenia.

Klepie mnie mocno w plecy i oddala się chwiejnym krokiem.

Spencer jednak podchodzi do mnie i obejmuje mnie. Jego oddech pachnie piwem z dżinem. Następnie szepcze mi do ucha, dotykając mnie wilgotnymi ustami:

— Słuchaj, Brian, przyjacielu, jesteś moim prawdziwym przyjacielem, moim najlepszym przyjacielem, i to cudownie, że tam jesteś, że poznajesz wszystkich tych różnych ludzi, i zdobywasz całe to doświadczenie, i nowe poglądy, i mieszkasz w domkach na wsi i tak dalej, ale obiecaj mi coś, dobrze?

Przysuwa się naprawdę blisko.

— Obiecaj mi, że nie zostaniesz kompletnym zasrańcem.

RS

PYTANIE: Jeżeli oparzenie, które obejmuje jedynie naskórek, określone jest jako oparzenie pierwszego stopnia, jak nazywa się oparzenie, które obejmuje tkankę podskórną?

ODPOWIEDŹ: Oparzenie trzeciego stopnia.

Bez względu na to, jak przewidywalna, banalna i ospała może okazać się reszta mojego życia, możecie być pewni, że na pewno będzie się działo coś interesującego z moją skórą.

Gdy jest się dzieckiem, skóra jest zaledwie jednolitą różową powłoką: bez owłosienia, bez porów, pozbawiona zapachu, sprawnie funkcjonująca. Potem pewnego dnia widzisz w podręczniku do biologii, przygotowującym do egzaminów pierwszego poziomu, ten mikroskopowy przekrój — mieszki, gruczoły łojowe, warstwę tłuszczu podskórnego, i zdajesz sobie sprawę, że tyle spraw może pójść źle. I idą źle. Odkąd ukończyłem trzynaście lat, to nie kończąca się medyczna opera mydlana pryszczycy i blizn, i wrastających włosów, przenosząca się z jednego miejsca na drugie, przybierająca różne formy, od dyskretnie zaczipowanych porów za uszami do podeszłych ropą wyprysków na czubku nosa, geometrycznym centrum mojej twarzy. W odwecie eksperymentowałem z technikami kamuflażu, ale wszystkie kremy kryjące, których próbowałem, są w specyficznym odcieniu różowego i w rzeczywistości raczej przyciągają uwagę do przebarwień — równie skutecznie jak kółko zakreślone magic-markerem.

Nie przeszkadzało mi to za bardzo w okresie dojrzewania. To znaczy przeszkadzało oczywiście, ale akceptowałem to jako element procesu dorastania; coś nieprzyjemnego, ale nieuniknionego. Teraz jednak mam dzie-

więtnaście lat i jestem dorosły pod nieomal wszystkimi względami, więc zaczynam się czuć prześladowany. Dzisiejszego ranka, gdy stoję w blasku stuwatowej żarówki, sprawy mają się wyjątkowo źle. Mam wrażenie, że ze strefy T mojej twarzy sączy się dżin, piwo i tłuszcz z orzeszków ziemnych. Jest też coś nowego, twarda grudka czegoś pod skórą wielkości mniej więcej orzeszka ziemnego, która się przesuwa, gdy jej dotykam. Postanawiam wytoczyć ciężką artylerię. Środki ściągające. Na odwrocie jednego z nich widnieje napis: „Uwaga — może odbarwić tkaninę”, więc przeżywam chwilę niepewności, czy coś, co jest w stanie wypalić dziurę w sofie, nada się na pewno do zastosowania do twarzy. Decyduję się jednak bez względu na konsekwencje. Następnie, na zakończenie, obmywam twarz kąpielą z Dettolu, tak na wszelki wypadek. Gdy kończę, łazienka pachnie jak szpital, ale mam przyjemne uczucie, że skóra mojej twarzy jest napięta i oczyszczona, jakbym przejechał przez myjnię przywiązany do maski samochodu.

Rozlega się pukanie do drzwi i do środka wchodzi mama, niosąc moją najlepszą białą lnianą koszulę dziadka w stylu *vintage*, świeżo wyprasowaną, i pakunek w folii.

—Trochę wędzonej szynki i indyka, dla twojej koleżanki.

—Wydaje mi się, że jedzenie jest zapewnione. Poza tym oni są wegetarianami.

—To białe mięso...

—Nie wydaje mi się, żeby kolor grał tu jakąś rolę, mamoo...

—Ale co ty będziesz jadł?

—Będę jadł to samo co oni!

—Co? Warzywa?

—Tak!

—Nie zjadłeś ani jednego warzywa od piętnastu lat! To prawdziwy cud, że nie masz krzywicy.

—Krzywica to witamina D, mamoo, szkorbut to witamina C, brak świeżych owoców.

—Czy w takim razie chcesz zabrać ze sobą jakieś świeże owoce?

—Nie, naprawdę, mam, poradzę sobie, nie potrzebuję owoców ani mięsa.

—Mógłbyś je wziąć, na podróż pociągiem. Jeśli je zostawisz, zepsują się.

Dla mojej mamy Boże Narodzenie nie liczyło się, jeśli nie towarzyszyły mu wędliny, ulegam więc i biorę od niej paczkę w folii. Waży mniej więcej tyle co ludzka głowa. Mama idzie za mną do mojego pokoju, żeby sprawdzić, czy na pewno włożę ją do walizki, jak matczyny urzędnik celny, i dochodzę do wniosku, że mam szczęście, iż nie zmusza mnie do zabrania brukselki.

Siedzi teraz na moim łóżku i zaczyna składać starannie moją koszulę dziadka.

—Nie rozumiem, dlaczego nosisz te straszne stare rzeczy...

—Może dlatego, że mi się podobają...?

—Z tyłu muzeum, z przodu liceum...

—Nie krytykuję tego, co ty nosisz...

—Bokserki! Od jak dawna nosisz bokserki?

—Odkąd sam zacząłem kupować sobie bieliznę...

—A więc slipy wyszły z mody?

—Nie mam zielonego pojęcia, mam...

—Myślałam, że wolisz te bawełniane nieduże slipy...

—Noszę i jedne, i drugie. To zależy...

—Od czego?

—Mamo...!

—Więc najak długo zatrzymujesz się u swojej dziewczyny?

— Nie wiem. Trzy, może cztery dni. I nie jest moją dziewczyną.

— A potem wracasz?

— Nie, wydaje mi się, że pojedę prosto do college'u, mam. Nie wiem dlaczego, ale zacząłem mówić „college”, może

dlatego, że „uniwersytet” nadal brzmi dla mnie trochę snobistycznie.

—A więc nie będzie cię tutaj na Nowy Rok?

—Wątpię.

—Zostaniesz z nią?

—Tak myślę. Taką mam nadzieję.

—Och. Tak mi szkoda...

Mówi swoim głosem męczennika. Cała sztuka polega na tym, żebym nie spojrział jej w oczy. Koncentruję się na pakowaniu.

—A czy wrócisz tu potem?

—Prawdę powiedziawszy, nie mogę. Muszę pracować.

—Mógłbyś pracować tutaj...

—Nie mogę, naprawdę...

—Nie będę ci przeszkadzać...

—Potrzebne mi są specjalne książki, mamó...

—A więc na pewno nie będzie cię tutaj na Nowy Rok?

—Nie wydaje mi się mamó, nie.

Z tyłu dochodzi mnie westchnięcie tak żałosne, że jestem pewien, że gdy się obrócę, to znajdę ją leżącą na podłodze. W tej chwili już zirytowany, mówię:

—Ty będziesz gdzieś szalała z wujkiem Desem, i tak nie będziemy się widzieć...

—Wiem, chodzi tylko o to, że po raz pierwszy nie będzie cię tutaj, to wszystko. Nie lubię po prostu być w domu zupełnie sama...

— Cóż, to musiało się zdarzyć prędzej czy później, mamó. Ale obydwójmy myślimy o tym samym. To nie powinno się

było zdarzyć, nie w ten sposób, jeszcze nie teraz. Zapada chwila ciszy, a potem mówię:

—Chcę się teraz ubrać, mamó, więc jeśli mogłabyś... Wzdycha, podnosi się z łóżka.

—Nic, czego bym już nie widziała.

I na dodatek całkiem niedawno. Sylwester 1984/85, wróciłem do domu tak pijany, że zdołałem zwymiotować do własnego łóżka. Mam litościwie niejasne wspomnienie mojej mamy, jak pomaga mi wejść do wanny o świcie i zmywa prysznicem Pernod, piwo i na wpół strawionego kurczaka z frytkami. Zdarzyło się to zaledwie dwanaście miesięcy temu. Od tamtej pory nie wspomniała o tym ani razu i lubię myśleć, że może w rzeczy-

wistości to się nigdy nie zdarzyło, ale jestem całkiem pewien, że jednak tak było.

Czasami wydaje mi się, że na świecie nie ma dość psychiatrów...

Gdy całuję mamę na progu, zdołała się już trochę rozchmurzyć, ale nadal usiłuje mi wcisnąć produkty spożywcze. Odmawiam przyjęcia bochenka białego chleba, jednego litra Dry Black-thorn, paczki babeczek z bakaliami, 25-mililitrowego pojemnika śmietany UHT, trzykilogramowego worka ziemniaków, paczki Jaffa Cakes, butelki Iced Magie o smaku miętowym i dwulitrowej butelki oleju słonecznikowego. Każde „nie, dziękuję” jest jak pchnięcie nożem w serce mojej mamy. Gdy już nic nie mogę zrobić, żeby poprawić sytuację, wychodzę, ciągnąc za sobą walizkę i nie oglądając się za siebie, na wypadek gdyby zaczęła płakać. Po drodze na stację zatrzymuję się, żeby wybrać pięć funtów z bankomatu, następnie wstępuję do sklepu, żeby kupić wino dla Harbinsonów. Chcę podarować im coś naprawdę dobrego, więc w końcu szarpię się na wino w karafce za trzy funty.

PYTANIE: W jedenastowiecznej Francji jakie społeczno-ekonomiczne określenie opisywało początkowo rzemieślników, mieszkańców grodów, zajmujących pozycję społeczną pomiędzy wieśniakami a feudałami?

ODPOWIEDŹ: Burżuazja.

Jadąc pociągiem z Southend, wyglądam przez okno na mokre puste ulice, garstkę sklepów otwartych jakby od niechcienia. Cztery dni pomiędzy drugim dniem świąt a sylwestrem to z pewnością najdłuższy i najokropniejszy okres w całym roku — coś w rodzaju ciągnącej się, cholernej niedzieli. Bank Holiday*²³ w sierpniu jest jednak jeszcze gorszy. O drugiej trzydziści po południu w Bank Holiday w sierpniu wydaje mi się, że jestem bliski śmierci. Ze śmiertelnego znużenia.

Przesiadam się w Shenfield, gdzie na lunch spożywam puszkę lucozade, paczkę hula hoops i twixa kupionego w smaganym wiatrem sklepie. Potem zostaje mi już tylko tyle czasu, żeby sprawdzić w lustrze, w toalecie na stacji, jak goi się moja twarz, i ponownie wsiadam do pociągu.

Opuszczając przedmieścia i zmierzając do Suffolk, pociąg wjeżdża w śnieg. Taki śnieg rzadko zdarza się w Southend. Połączenie ulicznego oświetlenia i rzeczno powietrza, jak również powszechnie stosowanego centralnego ogrzewania, zdaje się zmieniać go w rodzaj zimnego, wilgotnego łupieżu. Tutaj jednak, na polach, w zachodzącym słońcu wygląda

²³ * Bank Holiday — w Wielkiej Brytanii dodatkowy dzień wolny od pracy, zazwyczaj poniedziałek.

fantastycznie grubo i czysto. Czytam pięć razy pierwszą stronę *Cantos* Ezry Ponda, nie rozumiejąc ani słowa, następnie rezygnuję i przyglądam się krajobrazowi. Żałośnie. Na dziesięć minut przed stacją nakładam płaszcz i szalik i sprawdzam swoje odbicie w oknie pociągu. Z kołnierzykiem postawionym czy opuszczonym? Chciałbym osiągnąć wygląd z rodzaju *Trzeciego człowieka* Grahama Greene'a, w rezultacie jednak otrzymuję jedynie wideoklip Ul-travox.

Zostało mi jeszcze pięć minut, więc ćwiczę, co zamierzam powiedzieć, gdy ponownie zobaczę Alice. Nie denerwowałem się tak bardzo od czasu roli Jezusa w *Godspell*, gdy musiałem zdjąć górę ubrania, żebym mógł zostać ukrzyżowany. Wygląda na to, że nawet nie umiem się odpowiednio uśmiechnąć. Przekrzywiony uśmiech z zamkniętymi ustami sprawia, że wyglądam jak ofiara udaru, ale gdy otwieram usta, moje zęby są kremowo-czarną mieszaniną niczym torebka kart do scrabble. Całe życie spożywania świeżych owoców i warzyw oznacza, że Alice Harbinson ma idealne zęby. Wyobrażam sobie, jak dentysta zagląda do jej ust i najzwyczajniej w świecie płacze na widok ich nieskazitelnego, czystego, śnieżnego splendoru.

Gdy pociąg wjeżdża na stację, Alice czeka na końcu peronu, opatulona przed śniegiem w drogo wyglądający czarny płaszcz, który nieomal dotyka ziemi. Głowę ma owiniętą szarą wełnianą chustką i zastanawiam się, gdzie zostawiła bałajkę. Jeśli nie dosłownie zaczyna biec na mój widok, to na pewno rusza trochę szybciej i gdy obraz jej twarzy robi się ostry, widzę, że się uśmiecha, a potem śmieje. Jej cera wydaje się bielsza, a usta bardziej czerwone, i jest w niej coś bardziej czułego i ciepłego z daleka od college'u, jakby była na wakacjach od służbowych obowiązków, i rzuca się na mnie, obejmując mnie, i mówi, że za mną tęskniła i tak bardzo się cieszy, że przyjechałem, i że będziemy się tak świetnie bawić, i przez chwilę wydaje mi się to wszystko idealnym szczęściem, gdy tak stoję na stacji kolejowej na wsi, w śniegu, z Alice. Do chwili, gdy zauważam, przez jej ramię, tego

ciemnowłosego, przystojnego, posępnego mężczyznę, który musi być jej tatą. Heathcliffe*²⁴ w impregnowanej kurtce.

Gdybym miał na głowie czapkę, uchyliłbym jej, w zamian jednak oferuję swoją dłoń. Ostatnio eksperymentowałem z podawaniem dłoni w czasie powitania, ponieważ wyobrażam sobie, że właśnie tak powinni postępować dojrzały mężczyźni. Pan Harbinson spogląda na mnie jednak, jakbym zrobił coś bardzo niemodnego i osiemnastowiecznego, jak dygnięcie czy coś w tym stylu. W końcu bierze moją dłoń, ściska ją na tyle mocno, żeby pokazać mi, iż mógłby zmiażdżyć mi czaszkę, gdyby zechciał, potem odwraca się i odchodzi.

Gdy niosę z trudem swoje bagaże do zielonego land-rovera stojącego na parkingu przy stacji, Alice idzie przede mną z ramieniem zarzuconym na szyję swojego taty, jakby był jej chłopakiem czy kimś w tym stylu. Gdybym ja uwiesił się na szyi mojej mamy w ten sposób, wezwałaby opiekę społeczną; pan Harbinson jednak zdaje się tym nie przejmować, obejmuje Alice w pasie i przyciąga ją do siebie. Podążam posłusznie obok nich.

—Brian jest naszą tajną bronią w drużynie. Jest tym geniuszem, o którym ci opowiadałam — mówi Alice.

—No cóż, nie wydaje mi się, że „geniusz” to właściwe słowo — włączam się.

— Tak, jestem pewien, że nie — przyznaje pan Harbinson. Gdy pokonujemy samochodem wiejskie dróżki, siedzę pośród ubłoconych gumowców i butów do pieszych wędrowek, i przemoczonych map Ordnance Survey, w czasie gdy Alice prowadzi monolog, opowiadając o wszystkich przyjęciach, na których była, i wszystkich starych przyjaciółach, których widziała, a ja wsłuchuję się bacznie w każde słowo, żeby upewnić się co do obecności jakichś romantycznych intruzów, jakiegoś młodego atrakcyjnego aktora na przykład albo jakiegoś wątej postury rzeźbiarza o imieniu Max, Jack lub Serge. Teren jednak wydaje się czysty, przynajmniej na razie. Być może stara się usprawiedliwić przed swoim tatą. Wątpię jednak. Wydaje

²⁴ * Heathcliffe — bohater mrocznej powieści Emily Bronte *Wichrowe wzgórza*.

mi się, że Alice jest jedną z tych osób, które zachowują się dokładnie tak samo w obecności swoich rodziców, jak w obecności swoich przyjaciół.

Pan Harbinson słucha i prowadzi w milczeniu, cicho emanując delikatną aurą wrogości. Jest absolutnie potężny i próbuję wyobrazić sobie, dlaczego ktoś, kto robi programy dokumentalne o sztuce dla BBC2, ma mieć posturę murarza. I jest bardzo owłosiony, to typ mężczyzny, który goli się dwa razy dziennie, ale bez wątplenia przerażająco inteligentny. Można by pomyśleć, że został wychowany przez wilki, ale wilki, które znały wartość przyzwoitego uniwersyteckiego wykształcenia. Wydaje się również niemożliwie młody, przystojny i nowoczesny, jak na tatę. Jakby posiadanie rodziny było czymś, czego dokonał pomiędzy koncertami Hendriksa i odlotami po LSD.

W końcu przyjeżdżamy do domku na wsi, o nazwie Black-bird Cottage. Tyle że „domek na wsi” nie jest właściwym określeniem. Jest ogromny i piękny, rodzaj domu, który rozciąga się na dużym terenie, cały ciąg zaadaptowanych stodoł i wiejskich domów, nieomal cała wioska, połączona razem, aby pomieścić wiejską posiadłość rodziny Harbinsonów; pełen luksus rezydencji, bez jakichkolwiek politycznie niezręcznych, arystokratycznych konotacji. Otulony śniegiem, przypomina animowaną bożonarodzeniową kartkę. Z komina wydobywa się nawet dym i wszystko jest bardzo wiejskie i dziewiętnastowieczne, z wyjątkiem sportowego samochodu 2CV Alice i przykrytego brezentem basenu, w miejscu gdzie kiedyś stała obora. W rzeczywistości jakikolwiek ślad praktycznej, rolniczej pracy już dawno został usunięty, i nawet psy wydają się należeć do klasy średniej. Dwa labradory, które przybiegają w podskokach, jakby chciały powiedzieć: „Tak miło cię poznać, opowiedz nam wszystko o sobie”. Nie byłbym zdziwiony, gdyby się okazało, że posiadają świadectwo ukończenia kursu gry na fortepianie na poziomie czwartym.

— Poznaj Mingusa i Coltrane'a! — rzuca Alice.

— Cześć, Mingus i Coltrane.

Dochodzi do drobnego potknięcia w psiej etykietce, gdy wyczuwszy wędliny, zaczynają obwąchiwać moją walizkę, kiedy przemierzamy podwórze. Unoszę torbę do góry.

—I jak ci się podoba?

—Jest śliczny. Większy niż oczekiwałem.

—Mama i tato kupili go za jakieś pięć gwinei, w latach sześćdziesiątych. Wejdz i poznaj Rose.

Dopiero po sekundzie dociera do mnie, że Rose jest jej mamą.

Istnieje taki stary szowinistyczny truizm, że kobiety zamieniają się w swoje matki, gdy sięje poślubi, ale w przypadku matki Alice nie miałbym nic przeciwko. Nie, żebym zamierzał ożenić się z Alice czy coś takiego, ale pani Harbinson jest piękna. Gdy wchodzimy do kuchni, stodoły z belkowym sklepieniem z miedzi i dębu, stoi przy zlewozmywaku, słuchając The Archers, i przez chwilę wydaje mi się, że to Julie Christie obiera marchewki. Jest drobna, ma delikatne zmarszczki wokół błękitnych oczu i delikatną blond ondulację. Maszeruję przed siebie po nagiej kamiennej posadzce, z wyciągniętą dłonią niczym ołowiany żołnierz, zdeterminowany, by kontynuować zwyczaj uściśnięcia dłoni.

— Więc to jest ten Brian, o którym tak dużo słyszałam — mówi i ujmuję koniec mojego palca swoimi pobrudzonymi piaskiem dłońmi, i uśmiecha się do mnie, i na sekundę wraca wspomnienie mojej nauczycielki, w której się podkochiwałem, gdy miałem dziewięć lat.

— Bardzo mi miło panią poznać. Powiedziałem to jak dziewięciolatek.

— Ach, proszę, nie mów do mnie pani, czuję się wtedy tak staro. Mów do mnie Rose.

Gdy pochyla się, żeby pocałować mnie w policzek, odruchowo oblizuję usta, więc cmoknięcie w jej policzek jest trochę zbyt mokre i słychać przesadny cmok, którego dźwięk zdaje się nieść echem po kamiennej posadzce. Widzę, jak moja ślina błyszczy tuż pod jej okiem. Wycierają dyskretnie wierzchem dłoni, zanim zdąży wyparować, i udaje, że poprawia fryzurę. Następnie pan Harbinson wkracza pomiędzy nas i całuje ją władczo w policzek, ten suchy.

—A jak mam się zwracać do pana? — pytam wesoło.

—Właśnie tak.

—Michael! Nie bądź niemiły — prosi Rose.

—...albo sir. Możesz mówić do mnie: sir...

—Nie zwracaj na niego uwagi — radzi Alice.

— Kupiłem dla was wino — mówię, wyciągając z torby karafkę i podając ją panu Harbinsonowi.

Pan Harbinson spogląda na nią, jakbym podał mu właśnie karafkę własnego moczu.

— Ach, bardzo ci dziękuję, Brian! Jesteś tu mile widziany! — woła Rose.

Pan Harbinson nie wygląda na przekonanego.

— Chodź, pokażę ci twój pokój — proponuje Alice, biorąc mnie pod ramię.

Idę za nią po schodach, zostawiając za sobą szepczących do siebie pana i panią Harbinsonów.

W *maisonette* na Archer Road jest takie miejsce w połowie schodów, gdzie jeśli zegniesz się odrobinę szyję, można właściwie zajrzeć do każdego pokoju w domu. Blackbird Cottage jest zupełnie inne. Jest ogromne. Mój pokój, stary pokój Alice, znajduje się na samej górze, pod wiekowymi dębowymi belkami, we wschodnim skrzydle. Jedna ściana jest całkowicie zajęta powiększonymi zdjęciami Alice z dzieciństwa; w kwiecistym bezrę-kawniku, piekąca słodkie bułeczki; zbierająca jeżyny w ogrodniczkach; grająca Olivie w szkolnym przedstawieniu *Wieczoru Trzech Króli* i, domyślam się, *Dobrego człowieka z Seczuanu* z dorysowanymi wąsami, i ubrana w czarny worek na śmieci jako raczej nieprzekonujący punkowiec na balu przebierańców, czyniąc nieśmiało znak litery V do aparatu. Jest też polaroidowe zdjęcie jej rodziców w wieku dwudziestu paru lat, dumnych właścicieli jednego z pierwszych woreczków wypełnionych ziarnkami grochu, wyglądających na członków Fleetwood Mac, w podobnych haftowanych kamizelkach i palących coś, co może, ale nie musi być papierosem. Całe półki dziecięcych książek mówią, że Alice była oczywiście kimś ważnym w Puffin Club; Tove Jansson, Ingrid Lindgren, Erie Kastner, Herge, Gościnnny, Uderzo, Saint-Exupéry — światowa literatura dla brzdąców — i, dość niekonsekwentnie, egzemplarz „Lace” w miękkiej oprawie, ze złamaną tylną okładką. Montaż artystyczny madonn z pałacu Uffizi na egzamin drugiego poziomu i wycinek z komiksu o Snoopym. Oprawione w ramki

świadczenia głoszą że Alice Harbinson potrafi przepłynąć tysiąc metrów, grać na oboju na poziomie 6 i na fortepianie na poziomie 8, symultanicznie, jak rozumiem. Mój pokój to muzeum narodowe Alice Harbinson. Nie wiem, jak może oczekiwać, że będę tu w stanie zmrużyć oko.

—Myślisz, że będzie ci tu wygodnie? — pyta.

—Ach, wydaje mi się, że jakoś sobie poradzę. Obserwuje mnie, kiedy mój wzrok przebiega po zdjęciach, nie próbując nawet udawać wstydu czy fałszywej skromności. Oto historia mojego życia — niezła, prawda? W wieku czterech lat była wszystkim, czego można było oczekiwać od czterolatki, w wieku czternastu lat radziła sobie całkiem niezłe, dziękuję bardzo.

—Nie ma sensu, żebyś szukał mojego pamiętnika, schowałam go. Jak zrobi ci się zimno, a z pewnością tak będzie, w szafie jest koc. Pozwól, że pomogę ci się rozpakować. Co chcesz robić dzisiaj wieczorem?

—Och, nie wiem, cokolwiek. W telewizji jest *Pół żartem, pół serio*.

—Przykro mi, tutaj nie ma telewizora.

—Naprawdę?

—Tato nie aprobeuje telewizji.

—Ale jest producentem telewizyjnym!

—Mamy telewizor w Londynie, ale uważa, że posiadanie go na wsi jest niewłaściwe. Dlaczego tak na mnie patrzysz?

—Nic, myślałem tylko — trzy domy, jeden telewizor. Najczęściej jest odwrotnie.

— Nie musisz od razu udawać takiego socjalistycznego robotnika, Brian, nikt cię nie słucha. Bokserki, co?

Trzyma w rękach moje majtki. Lekko erotyczny dreszcz przeszywa powietrze i jestem głęboko wdzięczny mojej mamie, że je wyprasowała.

—A ja miałam cię za faceta, który nosi slipy tanga. Próbuję ocenić, czy to dobrze czy źle, gdy Alice piszczy:

—O mój Boże! Co to jest...?

Znalazła w mojej torbie paczkę zapakowanych w folię wędlin. Usiłuję ją jej wyrwać.

—Ach, to moj a mama uparła się, żeby mi to zapakować...

—Niech no sprawdzę...

—To nic takiego, naprawdę.

—Kontrabanda! Otwiera paczkę.

—Mięso? Przeszmuglowałeś do domu swój własny zapas mięsa!

—Mama martwi się, że nie dostarczam organizmowi wystarczającej ilości protein.

—W takim razie daj nam trochę — nie mogę się doczekać. — Bierze kawałek bladego gotowanego bekonu i wskakuje na łóżko. — Hmmmm. Trochę suchy.

—To specjalny przepis mamy. Gotuje go przez noc, kroi na plastry, wyklada na kaloryfer, potem wykańcza suszarką do włosów.

—Cóż, nie pozwól, żeby Rose cię z tym przyłapała. Byłaby zawstydzona. Blackbird Cottage to strefa całkowicie wolna od mięsa.

—Co w takim razie jedzą Mingus i Coltrane?

—To samo, co my. Warzywa, muesli, ryż, makaron... Karmią swoje psy makaronem.

—Co tu masz?

— Twój prezent bożonarodzeniowy. — Podaję jej zapakowany w kolorowy papier longplay. — To rakietka tenisowa.

Spogląda na pocztówkę, prowokacyjnie romantyczny obraz

Chagalla przyklejony do albumu taśmą klejącą. Długo i ciężko pracowałem nad treścią życzeń i stworzyłem kilka projektów, zanim osiągnąłem efekt końcowy w postaci elokwentnego i zabarwionego emocjonalnie: „Dla Alice, mojej najnowszej, najlepszej (spec.?!?) przyjaciółki, z całego serca na zawsze Brian". Jestem szczególnie zadowolony ze sposobu, w jaki kpiarsko zabawne „(spec.?!?)" współgra z frazą „najlepszej przyjaciółki/z całego serca", nie podważając koniecznie szczerości uczuć, ale ostatecznie Alice nie zadaje sobie nawet trudu, żeby je przeczytać, i zaczyna rozrywać kolorowy papier.

—Joni Mitchell! *Blue!*

—O nie! Masz ją, tak?

— Tylko jakieś sześć sztuk. Mimo to trafiłeś w dziesiątkę. Uwielbiam Joni. Szczerze mówiąc, straciłam dziewictwo, słuchając Joni Mitchell.

— Mam nadzieję, że nie *Big Yellow Taxi*.

— *Court and Spark*, jeśli chcesz wiedzieć... Mogłem się domyślić.

— A ty?

— Moje dziewictwo? Nie pamiętam. To był albo *Marsz żałobny Chopina* albo *Geoff Love and His Orchestra Play Big War Themes. The Dambusters 'March*, wydaje mi się. Po którym nastąpiła upiorna cisza.

Śmieje się i oddaje mi płytę.

— Przepraszam. Czy masz jeszcze paragon?

— Chyba tak. Czy jest coś szczególnego, na co powinienem ją wymienić?

— Zrób mi niespodziankę. Proszę jednak, żeby to nie była Kate Bush. Pozwolę ci dokończyć rozpakowywanie.

— O której jest podwieczorek?

— Za pół godziny będzie kolacja. Wychodząc z pokoju, ponownie mnie obejmuje.

— Tak się cieszę, że tu jesteś. Będziemy się tak świetnie bawić, obiecuję ci.

Gdy wychodzi, wiem na drewnianych wieszakach świeżo wyprasowane koszule pradziadka, czerpiąc przyjemność ze statusu gościa i poczucia stabilizacji. Jeśli dobrze to rozegram, to być może będę tu nadal w Nowy Rok. Nawet drugiego i trzeciego, może...

Otwierając szafę, jestem nieomal przygotowany na to, że w środku znajdę Narnię.

Ostatecznie proteiny okazują się najmniejszym z moich zmartwień. Na kolację jemy zapiekankę z warzyw z siekanymi orzechami. Słyszałem o tym daniu i zawsze wydawało mi się, że to żart, ale oto jest, porcja letniego, kruchego ciasta ze stopionym wegetariańskim serem na środku — moje pierwsze zetknięcie z orzechami pod inną postacią niż przekąska w barze. Leży na moim talerzu niczym wypluwka robaka. Zastanawiam się, co jedzą psy?

— Czy smakuje ci zapiekanka, Brian?

—Bardzo smaczna, dziękuję, Rose.

Nie wiem skąd sobie ubzdurałem, że to uprzejme używać często imienia drugiej osoby — „tak, Rose, nie, Rose, cudownie, Rose” — wydaje mi się jednak, że przypominam trochę Uriah Heep. Lepiej dodać do tego odrobinę humoru.

—To moje pierwsze zetknięcie się z orzechami pod inną postacią niż przekąska w barze!

—Zamknij tą swoją głupią wstrętną gębę i trzymaj swoje ohydne, prostackie ręce z daleka od mojej pięknej córki, ty mały, przymilny kutasie — mówi pan Harbinson.

No cóż, nie mówi, ale tak wygląda. Rose jedynie dotyka palcami swojej ondulacji, uśmiecha się i pyta:

—Dobrze smakuje z tymi cukiniami?

—Idealnie!

W rzeczywistości w całym swoim życiu nie jadłem cukini, ale żeby podkreślić swój entuzjazm, wkładam do ust widelec pełen wilgotnych, wodnistych krążków i uśmiecham się idiotycznie. Jak wszystkie zielone warzywa, smakuje tym, czym jest, gotowaną celulozą, ale tak bardzo zależy mi na tym, aby zadowolić Rose, że z trudem powstrzymuję się, żeby nie zacząć głaskać się po brzuchu i powtarzać: „mniem, mniem”. Spłukuję smak rdestnicy odrobiną wina. Nie ma śladu mojej karafki i zakładam, że została wyniesiona na zewnątrz i rozstrzelana. Albo może psy piją jej zawartość, do makaronu. To wino jednak jest tak lepkie i ciepłe, że wydaje mi się, iż powinienem je spijać z plastikowej łyżeczki o pojemności 5 ml.

—Jesteś po raz pierwszy w Suffolk, Brian?

—Kiedyś już tu byłem. Na wycieczce w góry!

— Naprawdę? Ale czy tu nie jest strasznie płasko? — dziwi się Rose.

— Zostałem źle poinformowany!

Pan Harbinson wydycha głośno nosem powietrze.

—Nie rozumiem. Kto ci powiedział... ? — dopytuje Rose.

—Brian żartuje, mamó — wyjaśnia Alice.

—Ach, rozumiem, oczywiście!

Jest jasne, że powinienem przestać się starać być zabawnym, ale jeszcze nie znalazłem alternatywy. Wyczuwając, że potrzebuję pomocy, Alice zwraca się do mnie, kładzie mi dłoń na ramieniu:

— Gdybyś chciał zobaczyć coś naprawdę zabawnego, Brian, powinienś tu być wczoraj.

— Dlaczego, co się stało wczoraj? Rose rumieni się.

— Och, Alice, kochanie, czy nie możemy tego zachować dla siebie, proszę?

—Może mu powiedzieć — warczy pan Harbinson.

—Ale to takie żenujące...!

— Powiedz mi! — zachęcam, dołączając się do ogólnej wesołości.

— Ale tak mi głupio — tłumaczy się Rose.

— A zatem... — przerywa Alice — było u nas kilku przyjaciół, tak jak zazwyczaj w drugi dzień świąt, i bawiliśmy się w odgrywanie szarad, i była moja kolej, i usiłowałam odegrać *Zeszłego roku w Marienbadzie* dla mamy, a ona była tym tak rozentuzjasmowana i podekscytowana, i tak głośno krzyczała, że wypadł jej kapturek i wylądował wprost w kieliszku wina u sąsiada!

I wszyscy się śmieją, nawet pan Harbinson, a nastrój jest tak beztronski i dorosły, i zabawny, i swawolny, że mówię:

—To znaczy, że nie miałaś na sobie bielizny?!? Zapada cisza.

—Przepraszam? — pyta Rose.

— Twój kapturek. Gdy wyskoczył. Jak się wydostał z... z... twoich majtek?

Pan Harbinson odkłada nóż i widelec, przełyka kęs, który miał w ustach, zwraca się do mnie i mówi, bardzo wolno:

— Prawdę powiedziawszy, Brian, wydaje mi się, że Alice chodziło o kapturek dentystyczny jej mamy.

Wkrótce potem wszyscy idziemy spać.

Jestem w łazience, ochlapując twarz zimną wodą gdy do drzwi puka Alice.

— Dwie sekundy — proszę.

Nie jestem jednak pewien dlaczego.

Jestem ubrany i nawet gdybym chciał, nie jestem w stanie w znaczący sposób poprawić swojego wyglądu w ciągu dwóch sekund, chyba że zawiążyłbym głowę ręcznikiem.

Otwieram drzwi, Alice wchodzi do środka, zamyka je uważnie za sobą i mówi, bardzo wolno i poważnie:

—Czy nie obrazisz się, jeśli powiem ci coś... coś osobistego?

—Ależ tak, bardzo proszę!

Dokonuję kalkulacji w głowie i dochodzę do wniosku, że istnieje jedna szansa na trzy, że poprosi mnie, abym kochał się z nią tej nocy.

— Cóż... popełniasz ogromny błąd, mocno szorując twarz taką myjką. Sprawi to jedynie, że będziesz krwawił i rozniesiesz w ten sposób infekcję...

—Och...

—I zostaną po tym blizny.

—Okej.

—A czy wygotowujesz swoje myjki?

—No cóż, nie...

—Ponieważ to one stanowią prawdopodobnie część problemu. ..

—Rozumiem, dobrze...

—Ja w ogóle nie używałabym myjki na twoim miejscu, myjki są absolutnie ohydne, jedynie wody i zwykłego, nieperfumowanego mydła...

Jak mogę przerwać tę rozmowę?

— ...i niekoniecznie ostre mydło medyczne, ponieważ zazwyczaj mają zbyt duże właściwości ściągające...

To nie jest nawet rozmowa, to moje oczekiwanie na to, żeby przestała.

—...I nie powinieneś też używać ściągających kremów, są skuteczne w krótkim okresie, ale w dłuższej perspektywie powodują większą aktywność gruczołów łojowych...

W tej chwili spoglądam rozpaczliwie na okno w łazience, zastanawiając się, czy nie powinienem przez nie wyskoczyć. Alice musiała to zauważyć, ponieważ mówi:

—Bardzo przepraszam. Wolałbyś, żebym tego nie mówiła?

—Ależ skąd. Muszę jednak przyznać, że posiadasz na ten temat bardzo gruntowną wiedzę. Jeśli „zabiegi kosmetyczne skóry” pojawią się jako temat w *University Challenge*, to będziemy mogli pokazać wszystkim figę!

—Och, widzę, że sprawiłam ci przykrość, prawda?

—Nie, nie wydaje mi się po prostu, żebym mógł na to zbyt wiele poradzić. Myślę, że to początek okresu dojrzewania! Te wszystkie hormony. Tylko czekać, aż zacznę się interesować dziewczynami!

Alice uśmiecha się z pobłażaniem, następnie całuje mnie na dobranoc jak siostra, przy czym jej wzrok błądzi najpierw przez

sekundę po mojej twarzy, usiłując znaleźć jakieś bezpieczne miejsce, w którym będzie mnie mogła dotknąć ustami.

Gdy później drzę w łóżku, leżąc na plecach i czekając, aż wyschnie mi twarz, żeby nie pobrudzić krwią poduszki, bardzo starannie rozważam swoją strategię na jutro, i po dłuższym zastanowieniu postanawiam, że moją strategią będzie być mniejszym dupkiem. Nie przyjdzie mi to łatwo, ale jest absolutnie nieodzowne, żeby w końcu zobaczyła prawdziwego mnie. Problem w tym, że zaczynam podejrzewać, iż przekonanie, że gdzieś obok istnieje ten mądry, inteligentny, zabawny, miły i dzielny prawdziwy ja, może być błędne. To tak jak z Yeti; jeśli nikt faktycznie nigdy nie zobaczy go jak należy, to skąd ktokolwiek ma uwierzyć, że on w ogóle istnieje?

PYTANIE: Prawny nakaz sądowy, który wzywa stronę do stawienia się w sądzie lub przed oblicze sędziego, po łacinie *habeas corpus*, można przetłumaczyć jako...?

ODPOWIEDŹ: Żebyś miał ciało.

Gdy budzę się następnego ranka, jest mi tak zimno, że przez chwilę myślę, iż pan Harbinson wystawił mnie na noc na zewnątrz. Dlaczego im bardziej snobistyczni są ludzie, tym zimniej jest w ich domach? I to nie chodzi wyłącznie o chłód, ale również o brud — sierść psów, pokryte kurzem książki, zabłocone buty, lodówki, które śmierdzą skwaśniałym mlekiem, pleśniejącym serem i gnijącymi warzywami. Przysięgam, że lodówka Harbinsonów ma warstwę najżyźniejszej ziemi. Muszą ją prawdopodobnie kosić latem. Ale może to jest definicja prawdziwego, autentycznego statusu wyższej klasy średniej, umiejętność życia w zimnie i brudzie, z absolutną pewnością siebie. To i małe umywalki w każdym pokoju. Ochlapuję twarz lodowatą wodą, odkładam na półkę egzemplarz „Lace” i schodzę na dół.

Program 4 radia nadaje głośno z ukrytych głośników, a Alice leży na sofie pod kocem z wizerunkami psów z programu „Blue Peter”, czytając.

—Dzień dobry! — rzucam.

—Hej — mówi niewyraźnie zatopiona w książce. Wsuwam się obok psa.

—Co czytasz? — pytam wesołym głosem. Pokazuje mi okładkę.

—*Sto lat samotności* — to jakby o moim życiu seksualnym!

Dobrze spałeś? — pyta, gdy w końcu zdaje sobie sprawę, że nie zamierzam odejść.

—Wspaniale, dziękuję.

—Było ci zimno?

—Och, tylko trochę.

—To dlatego, że jesteś przyzwyczajony do centralnego ogrzewania. Bardzo źle na nas wpływa centralne ogrzewanie, otepia zmysły...

I jakby na potwierdzenie tej tezy pan Harbinson przemierza nonszalancko salon. Jest nagi.

—Dzień dobry! — woła nago.

—Dzień dobry!

Nawet trzymając wzrok utkwiony na szczycie kominka, nie mogę nie zauważyć, że jest albo bardzo owłosionym mężczyzną, albo ma na sobie czarny moherowy kombinezon.

—Herbata w dzbanku, Alice? — pyta goło.

—Możesz się poczęstować.

I pochyła się obok niej, pochyła się od pasa w dół i nalewa sobie filiżankę, a potem idzie na górę, przeskakując po trzy schody. Gdy w końcu mogę znowu bezpiecznie patrzeć, pytam:

—Więc. Czy to jest. Zupełnie. Normalne?

—Co?

—To zjawisko nagiego taty?

—Ależ oczywiście.

—Och.

—Nie szokuje cię to, prawda? — mówi ze zmrużonymi oczami.

—Cóż, no wiesz...

—Musiałeś widzieć swojego tatę nago.

—Od kiedy zmarł, nie.

—Nie, oczywiście, że nie, przepraszam, zapomniałam, ale zanim zmarł, musiałeś go widzieć nago.

—No, może. Ale nie tak chciałbym go pamiętać.

—A co z twoją mamą?

—Boże, nie! A więc ty też pokazujesz się nago swojemu tacie?

— Tylko gdy uprawiamy seks — rzuca Alice, potem mlaska językiem i przewraca oczami. — Oczywiście, że tak, wszyscy tak robimy. Jesteśmy przecież rodziną. Boże, masz tego naprawdę dość, prawda? Szczerze, Brian, jak na kogoś, kto chce uchodzić za bardzo postępowego, jesteś naprawdę niewiarygodnie staroświecki.

Przez chwilę widzę w niej uczennicę reprezentującą szkołę, złośliwą i wyniosłą. I czy naprawdę właśnie nazwała mnie staroświeckim?

—Cóż, nie martw się, Brian, nie zrzucam ubrań, gdy w domu są goście.

—Och, proszę, nie rób niczego wbrew sobie, nie z mojego powodu...

Alice wie, że wkraczam tu na grząski grunt, i uśmiecha się ironicznie.

—Chciałem powiedzieć, że wydaje mi się, iż będę to w stanie znieść.

—Hmm. Muszę przyznać, że wątpię, czy to aby na pewno prawda.

Alice liże koniec palca i przewraca kartkę książki.

Na śniadanie jemy tosty z chleba domowego wypieku, który ma kolor, wagę, konsystencję i smak mocno gliniastej gleby. Program 4 radia nadaje również w kuchni. Prawdę mówiąc, jak dalece jestem w stanie ocenić, radio gra w każdym pokoju i najwyraźniej nie można go wyłączyć, podobnie jak ekranów telewizyjnych w 1984. Przeżywamy i słuchamy radia, i przeżywamy, Alice przez cały czas czyta swoją książkę. A mnie zrobiło się smutno. Częściowo dlatego, że jestem pierwszym człowiekiem, którego nazwano „staroświeckim”, od 1971 roku, ale przede wszystkim jestem przygnębiony wzmianką o tacie. Jak mogła zapomnieć? I nie cierpię tego, jak mówię o nim przy innych. Jestem pewien, że tato był zachwycony, gdyby się dowiedział, że to było od początku jego przeznaczeniem — być wykorzystywanym przez jego syna jako surowiec do garści gównianych, gładkich powiedzonek albo płaczliwych pijanych monologów. Poszukiwanie prawdziwego mnie idzie źle, a nie zdążyłem nawet umyć jeszcze zębów.

A potem idziemy na długi spacer w śniegu. Nie można byłoby nazwać krajobrazu w hrabstwie East Anglia porywającym; jest wyjątkowy, w tym, iż przypomina ziemię po wybuchu jądrowym, i widok jest nieomal przez cały czas taki sam, bez względu na to, jak daleko się idzie, co w pewnym

sensie zdaje się negować cel, ale jest przynajmniej konsekwentne. Miło również być przez chwilę gdzieś, gdzie nie słychać radia. Alice bierze mnie pod rękę i nieomal zapominam o śniegu, który niszczy moje nowe, zamshowe buty pustynne.

Odkąd jestem na uniwersytecie, zauważyłem, że ludzie chcą rozmawiać na pięć tych samych podstawowych tematów: 1) „Moje wyniki z egzaminu końcowego w szkole średniej”, 2) „Moje załamanie nerwowe/problemy żołądkowe”, 3) „Moje pełne stypendium”, 4) „Dlaczego tak naprawdę jestem zadowolony, że nie dostałem się do Oxbridge”, 5) „Moje ulubione książki”, i decydujemy się właśnie na tę ostatnią opcję.

—Moją absolutnie ulubioną książką był kiedyś *Dziennik* Anny Frank. Gdy byłam nastolatką, marzyłam o tym, żeby naprawdę być Anną Frank. Nie w zakończeniu, oczywiście, ale podobał mi się pomysł prostego życia na poddaszu, czytania książek, pisania pamiętnika, kochania się w bladym, wrażliwym żydowskim chłopcu z poddasza sąsiedniego domu. Brzmi to chyba trochę perwersyjnie, co?

—Troszkę.

—Wydaje mi się, że to jest po prostu pewien etap w życiu, przez który my, dziewczęta, przechodzimy, jak cięcie się i wymiotowanie, i bycie lesbijką.

—Byłaś lesbijką?—pytam od niechcienia, nieomal falsetem.

—No cóż, w szkole z internatem człowiek był do tego nieomal zmuszony. To było obowiązkowe — bycie lesbijką, francuski i netball.

—Więc co... robiłaś?

—Nic, co mogłoby cię zainteresować.

Wręcz przeciwnie.

—Nic takiego, naprawdę. Zanurzyłam palec stopy. — No cóż, może to był właśnie błąd! Uśmiecha się z politowaniem.

—Przepraszam. Więc — co się stało?

— To nie było dla mnie. Uprawianie seksu z mężczyznami zawsze sprawiało mi zbyt dużo przyjemności. Brakowałyby mi penetracji.

Idziemy jeszcze kawałek.

—A ty?

—Ja? Ach, mnie też brakuje penetracji.

—Staram się traktować cię poważnie, Brian — mówi, uderzając mnie w ramię rękawiczką. — Więc próbowałeś?

—Próbowałem czego?

—Cóż, zakładam, że uprawiałeś seks z mężczyznami.

—Nie!

—Naprawdę?

—Ależ oczywiście, że nie. Dlaczego tak myślisz?

—Po prostu wydawało mi się to oczywiste.

—Wydaje ci się, że jestem zniewieściały? — pytam. Falset wraca.

—Nie, nie zniewieściały. A poza tym cechy kobiece wcale nie oznaczają, że ktoś jest homoseksualistą...

—Cóż, nie, oczywiście, że nie.

—...a poza tym to nic złego.

—Nie, oczywiście, że nie. Tym, co powiedziałaś, przypomniałaś mi jednego kumpla ze szkoły, to wszystko.

—Cóż, mniemam, że dama zanadto się upiera.

Zmień temat. Chciałbym, aby rozmowa znowu wróciła do tematu homoseksualizmu u kobiet, ale potem przypominam sobie mgliście, że wspomniała wcześniej o cięciu się. Chyba powinienem był ją o to zapytać.

—A... samookaleczenie?

—Jakie samookaleczenie?

—Mówiłaś, że kiedyś się cięłaś.

— Ach, tylko czasami. Wołanie o pomoc, wydaje mi się, że tak to się nazywa. Albo bardziej precyzyjnie wołanie o zainteresowanie. Czasami w szkole ogarniało mnie przygnębienie, czułam się trochę samotna, to wszystko.

—Jestem zaskoczony — rzucam.

—Naprawdę? Dlaczego cię to dziwi?

—Po prostu nie jestem sobie w stanie wyobrazić, żebyś mogła mieć jakieś powody do tego, żeby czuć się przygnębnionym.

—Naprawdę musisz wybić sobie z głowy to przekonanie, że jestem jakąś postacią ze spiżu, Brian, jakąś doskonałą rzeczą. Naprawdę, w ogóle tak nie jest.

Ale tego popołudnia jest bliska doskonałości.

Gdy jesteśmy już prawie przed domem, wracając ze spaceru, wywiązuje się pomiędzy nami frywolna walka w śnieżki na podwórku, która różni się od moich wszystkich poprzednich bójek na śniegu tym, że nikt nie wkłada do środka kulek psiego gówna ani kawałków szkła. Nie jest to nawet walka śnieżkami w prawdziwym słowa tego znaczeniu, jedynie lekko ożywcza szamotanina, rodzaj kontrolowanych wygłupów, z towarzyszącym uczuciem, że ktoś cię filmuje, idealnie, białą-czarną kamerą telewizyjną. Potem idziemy do domu i siadamy na sofie przy kominku, żeby trochę obeschnąć, a ona puszcza swoje ulubione płyty, dużo Rickiego Lee Jonesa i Led Zeppelin, i Donovana, i Boba Dylana — mimo że w 1982 miała szesnaście lat, jest w Alice coś, co czyni ją kobietą z roku 1971. Przyglądam się, jak skacze po pokoju do *Crosstown Traffic* Jimiego Hendriksa, a potem, gdy już brakuje jej tchu i jest zmęczona zmienianiem co trzy minuty płyt, włącza trzeczający stary longplay Elli Fitzgerald i kładziemy się na sofie, czytamy nasze książki i spoglądamy na siebie ukradkiem od czasu do czasu, trochę jak w tej scenie z Micha-elem Yorkiem i Lizą Minelli w *Kabarecie*, i rozmawiamy, tylko gdy mamy na to ochotę. I, cudownie, przez prawie całe popołudnie udaje mi się nie powiedzieć niczego głupkowatego albo pretensjonalnego, albo fałszywie skromnego, albo niezabawnego, albo czegoś, co zabrzmiałoby, jakbym użalał się nad sobą. Niczego nie rozbijam ani nie rozlewam, nikogo nie brudzę, nie łkam ani nie jęczę, ani nie zaczęsuje do tyłu włosów, ani nie drapię twarzy, gdy mówię. Prawdę powiedziawszy, jestem chyba najlepszym sobą jakim potrafię być, i jeśli tej osoby nie można do końca kochać, to przynajmniej można ją całkiem spokojnie polubić. A potem, około czwartej, Alice obraca się i kładzie głowę na moich kolanach, i zasypia, i przynajmniej przez tę jedną chwilę naprawdę wydaje się to prawdziwe, że jest absolutnie i całkowicie idealna. Słuchamy

Blue, strona 2, piosenka 5 i Joni śpiewa: „Ostatni raz wdziałam Richarda w Detroit w 68 / i powiedział mi, że wszystkich romantyków spotyka ten sam los / W jakimś mrocznym barze, cyniczny, pijany i nudny ktoś...”, a gdy płyta się kończy i w pokoju nie rozlega się żaden głos, z wyjątkiem palącego się w kominku drewna, siedzę po prostu bardzo, bardzo cicho i przyglądam się jej, jak śpi. Jej usta są lekko rozchylone i czuję na udzie ciepły oddech, wpatruję się też w jej malutką lekko wypukłą bliznę na dolnej wardze, białą na czerwonym, i opanowuje mnie nieprzeparta ochota, żeby dotknąć jej palcem, ale nie chcę jej obudzić, więc jedynie patrzę na nią patrzę i patrzę, i patrzę. W końcu muszę ją jednak obudzić, ponieważ martwię się, że ciężar i ciepło jej głowy na moich kolanach nadmiernie mnie pobudzi, jeśli wiecie, co mam na myśli, a spójrzmy prawdzie w oczy, nikt nie chciałby się obudzić w ten sposób. Nie z t y m w uchu.

A potem, czy uwierzycie, sprawy przybierają jeszcze lepszy obrót. Jej rodzice wychodzą wieczorem, żeby zjeść jeszcze więcej warzyw w czymś przerobionym z młyna domu w South-wold, zostajemy więc z Alice sami. Gdy stoimy w kuchni, wypijając duże kubki dzinu z tonikiem, muszę przyznać ze wstydem, że staram się uprzyjemnić sobie ten czas, fantazjując, że mieszkamy tutaj razem. Wyłączamy w domu całe oświetlenie i gramy przy świecach w scrabble, wpatrując się usilnie w litery, i wygrywam, z całkiem dużą przewagą, ale skromnie i w miłym stylu. „Zdezorientowany” i „zadziwiony”, na potrójnie punktowanych polach, dość interesująco.

Na kolację jemy brązowy ryż na sposób chiński, który wygląda i smakuje nochę tak, jakbyśmy podsmażyli na sposób chiński zawartość śmietniczki, ale jest mniej więcej jadalny, jeśli doda się dużo sosu sojowego. Poza tym, do czasu gdy zabieramy się za jedzenie, jesteśmy fantastycznie pijani, i przekrzykujemy się wzajemnie, i śmiejemy się, i tańczymy w salonie do starych piosenek Niny Simone, potem próbujemy, jak daleko jesteśmy w stanie dojechać w skarpetkach po wypastowanej drewnianej podłodze. Potem, gdy leżymy, tworząc bezładną chichoczącą masę, Alice zupełnie niespodziewanie bierze moje dłonie, uśmiecha się figlarnie i mówi:

— Chcesz iść na górę? Serce podchodzi mi do gardła.

— Cóż, to zależy. Co to znaczy na górę? — dopytuję, zdezorientowany i zadziwiony.

— Chodź ze mną, to się przekonasz.

I wspina się na czworaka po schodach na górę, krzycząc za sobą:

— Twój pokój, za dwie minuty — ty przynosisz wino! Skoncentruj się. Po prostu się skoncentruj. Podchodzę do zlewozmywaka w kuchni, przesuwam zalany

wodąwok, odkręcam kurek z zimną wodą i ochlapuję twarz, częściowo, żeby trochę otrzeźwieć, częściowo, żeby się upewnić, że to mi się nie śni, następnie trzymając w palcach butelkę wina i do połowy napełnione kieliszki, chwiejnie idę za nią na górę.

Alice nie ma jeszcze w moim pokoju, podchodzę więc do umywalki i bardzo szybko myję zęby, nasłuchując jej kroków, żeby mnie na tym nie przyłapała i nie pomyślała, że obiecuję sobie zbyt wiele. Potem gdy słyszę, jak zbliża się korytarzem, płuczę usta i wypluwam. Wyłączam górne światło, kładę się w nonszalanckiej pozie na łóżku, i czekam.

— Ta-daaam!

Stoi w drzwiach z szeroko rozłożonymi ramionami, jak zdobywca Oscara, ale nie wiem, co mam podziwiać. Może jej piersi? Sam sobie nie wierząc, zastanawiam się, czy może nałożyła specjalną bieliznę, a potem zauważam bibuły Rizlas w jednej dłoni i małej foliowy woreczek w drugiej.

—Co to?

—Konopie, człowieku. Przeklęte konopie. Nie możemy zrobić tego na dole — Michael jest jak pies policyjny. Mój tato ma artystyczną duszę, ale nie do tego stopnia.

Bierze z półki egzemplarz *It 's a Busy, Busy World* Richarda Scarry'ego i zaczyna zwiijać na nim skręta.

—A twoja mama?

—Ach, mama sama mi to kupuje, od takiego ohydneho faceta w wiosce. Cóż można powiedzieć! Koniec dla gospodyni domowej. Ale musi przecież czymś się zajmować całymi dniami. To niesamowita rzecz. Niesamowita!

Boże, zlituj się, zaczyna mówić z zachodnioindyjskim akcentem, jamajski z aldeburghskim i po raz pierwszy w życiu czuję się przez nią naprawdę zawstydzony.

— Naprawdę silna *gandzia, mon*, napraaaawdę przyjemna traaawka.

Proszę, przestań, Alice, proszę! Zapala, zaciąga się głęboko i zatrzymuje dym w płucach, podczas gdy jej oczy przewracają się, potem wydyma wargi i wydycha dym w kierunku papierowego abażuru, a ja zastanawiam się, czy marihuana jest afrodyzjakiem.

Alice spogląda na mnie jednym mętłym okiem i podaje mi skręta, jakby to było wyzwanie. Czym w rzeczywistości jest.

—Twoja kolej, Bri.

—Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że nie mogę, Alice.

—Dlaczego? Dlaczego nie chcesz być na haju, Bri?

To wydaje się jej bardzo, bardzo śmieszne i w czasie gdy jej głowa podskakuje na zagłówek łóżka, wyjaśniam:

— Nie, bardzo bym chciał, po prostu nigdy nie nauczyłem się palić, nie palę nawet tytoniu, zupełnie nie potrafię, nie umiem się zaciągnąć, w każdym razie nie bez wyplucia sobie najpierw płuc.

Szczerze mówiąc, nauczenie się palenia było jedną z rzeczy, których miałem nadzieję dokonać na uniwersytecie, jak przeczytanie *Don Kichota*, zapuszczenie brody i nauczenie się gry na saksofonie altowym, ale po prostu nie zdążyłem się do tego jeszcze zabrać.

— Jesteś dziwny, prawda, Brianie Jackson? — mówi, nagle bardzo poważna. — Jak możesz nie palić! Palenie to chyba to, co robię najlepiej. Albo przynajmniej drugie w kolejności... — dodaje, mrugając drugim mętłym okiem.

Marihuana musi być afrodyzjakiem.

— OK, spróbujemy czegoś bardziej prowokacyjnego. Ale najpierw trochę muzyki!

I podchodzi chwiejnym krokiem do starego, płaskiego, dziecięcego magnetofonu, ze słowem „Alice” wypisanym tippeksem, następnie przeszukuje szufladę swojego starego biurka, znajduje kasetę, wkłada ją i przy-

ciska klawisz „start”. To chyba Brian Cant śpiewający *A Froggy Went a Courtin**²⁵.

— Tak! Proust. Strumień świadomości! — woła. — Ta piosenka to moje dzieciństwo. Cholernie kocham i uwielbiam tę piosenkę! A ty? No dobrze, chodź tu, młody mężczyzno, podnieś się i wyprostuj...

Kłękamy na łóżku, twarzami do siebie, a ona zbliża swoją twarz do mojej na odległość kilku centymetrów.

— Okej, oprzyj tutaj swoje ręce... — Ujmuje mnie za nadgarstki i wkłada mi ręce do tyłu. — ...I zamknij usta, o tak.

Jej usta oddalone są zaledwie o kilka centymetrów, czuję słodki zapach sosu sojowego i imbiru w jej oddechu. Następnie dłonią ściąga mi policzki tak, że moje usta tworzą wydęty dzióbek.

Żabka wybrała się w zaloty, wybrała się konno, aha...

— To, co za chwilę dostaniesz, Brianie Jackson, nazywa się dmuchem wtórnym, i nie, to nie jest to, co myślisz, więc proszę, nie rozzuchwalaj się za bardzo. Zamierzam wdmuchnąć do twoich ust dym, a tym masz zaciągnąć się tym głęboko i zatrzymać dym w płucach, i nie będziesz kaszlał, rozumiesz? Zakazuję ci! W zamian masz wstrzymać oddech tak długo, jak tylko fizycznie będzie to możliwe, i dopiero potem będziesz mógł zrobić wydech. Czy to jasne?

— Jak najbardziej.

— W takim razie dobrze. Zaczynamy!

Wkłada skręta pomiędzy wargi i zaciąga się głęboko, potem uśmiecha się, unosi do góry brwi, jakby chciała powiedzieć: „gotowy?”, a ja kiwam głową, tak, jestem gotowy. Przysuwa usta do moich, tak że oddalone są zaledwie o kilka centymetrów, kilka milimetrów, nawet nie tyle, potem dotykają moich warg, a potem wdmuchuje, a ja wciągam powietrze, co w rzeczywistości jest jedynie naturalnym odruchem, zważywszy na okoliczności, i pragnę, żeby ta chwila trwała wiecznie.

²⁵ * *A Froggy Went A Courtin* (ang.) — „Żabka wybrała się w zaloty”.

*Żabka wybrała się w zaloty, wybrała się konno
Miecz i pistolet u boku, zabrała ochoczo
Żabka wybrała się w zaloty, wybrała się konno, aha...*

W końcu, gdy wydaje mi się, że moje płuca za chwilę pękną, wydycham, a ona odskakuje do tyłu i pyta:

— I co myślisz?

Gdy już znajduję sposób, żeby otworzyć usta, odpowiadam:

—W porządku!

—Czujesz coś?

—Nic konkretnego.

—Chcesz robić to dalej?

O Boże, Alice, czy chcę? Bardziej niż czegokolwiek innego na świecie...

—Tak, tak, jak najbardziej...

—Jesteś pewien? To jest bardzo mocne.

—Naprawdę, Alice, uwierz mi. Dam sobie radę.

Gdy odzyskuję przytomność, Alice już nie ma, ja leżę pod kołdrą, a *Żabka* nadal wybiera się w zaloty. Kasetka jest na auto-rewersie. Nie mam pojęcia, jak długo pozostawałem pod wpływem narkotyku, naciskam więc klawisz „stop” i rozglądam się za moim podróżnym budzikiem. 1.30 w nocy. Nagle czuję ogromne pragnienie, ale dzięki Bogu przy moim łóżku nadal znajduje się połowa butelki ożywczego, czerwonego wina, siadam więc i opróżniam prawie całą jej zawartość. Zaglądam pod kołdrę, żeby sprawdzić, czy Alice ściągnęła mi przed położeniem do łóżka spodnie, odkrywam, że nie, ale jestem zbyt nawalony, żeby wiedzieć, czy mam być z tego zadowolony, czy też rozczarowany.

Poza tym jestem zbyt zajęty myśleniem o jedzeniu. W całym moim życiu nie byłem tak głodny. Zjadłbym nawet cukinie. Potem, dzięki Bogu, przypominam sobie, że jestem właścicielem wędlin, niech cię Bóg błogo-

sławi, mamó. Wyciągam z torby zawiniętą w folię paczkę, odrywam pasek tłuszczu z kawałka gotowanego bekonu i wkładam do ust chude mięso. Jest smaczne, ale czegoś mi brakuje. Chleba. Potrzebuję kanapki. Muszę mieć chleb.

Poruszanie się jest trudniejsze, niż pamiętam, a zejście po schodach na dół wydaje się prawie niemożliwe. Nie chcę włączać żadnego światła, ale jest tam ciemno jak w studni, więc przytrzymując się po obydwu stronach ściany, idę jak we śnie wzdłuż korytarza i potem schodami w dół do kuchni. Czas zdaje się ciągnąć w nieskończoność, a droga zajmuje chyba kilka dni, ale w końcu udaje mi się tam dostać, i podejmuję się fizycznie wymagającego zadania — ukrojenia dwóch kromek pełnoziarni-stego chleba, domowego wypieku. Kanapka, jaka powstaje w rezultacie, jest wielkości, wagi i konsystencji cegły budowlanej, ale jest mi wszystko jedno, ponieważ zawiera wędlinę. Siadam przy stole i nalewam sobie najpierw trochę mleka, żeby w ten sposób chleb był trochę mniej sypki, mleko jednak jest skwaśniałe i zwarzone, i właśnie mam podejść do zlewozmywaka, żeby je wypłuć, gdy słyszę dźwięk włączanego światła na pół-piętrze i skrzypnięcie na szczycie schodów.

Może to Alice! Może będziemy mogli kontynuować od miejsca, w którym przerwaliśmy. Ale nie. To pani Harbinson. Rose. Naga Rose. Przełykam zwarzone mleko.

Oczywiście, powinienem powiedzieć coś od razu, jakieś zwykłe, całkowicie pozbawione konotacji seksualnych, beztroskie: „Witam, Rose!”, ale narkotyk i wino sprawiły, że kręci mi się w głowie i nie mogę pozbierać myśli, a nie chcę, żeby naga kobieta krzyczała na mnie o drugiej nad ranem, siedzę więc tam, bardzo cicho, i mam nadzieję, że sobie pójdzie. Otwiera drzwi do lodówki, a potem się pochyla, a białe światło lodówki i to, że jest pochylona, sprawiają, że wygląda naprawdę nago. Bliższe oględziny pokazują, że w rzeczywistości ma na sobie parę grubych szarych skarpet, co nadaje jej nagości zdrowego, rześko porannego charakteru, jak rysunek ołówkiem z *Radości seksu*, i w moim stanie otumanienia narkotykowego zaczynam się ku własnemu zdziwieniu zastanawiać, czy istnieje takie słowo jak łonowość. Czego szuka? I dlaczego zajmuje jej to tak dużo

czasu? Wyobrażam sobie, że również „wygląda nieźle na swój wiek”, ale z drugiej strony nigdy nie widziałem całej kobiety nago, nie w rzeczywistości i nie całej na raz, jedynie pojedyncze fragmenty, a nawet wtedy żaden z nich nie miał więcej niż dziewiętnaście lat, więc nie jestem naprawdę żadnym autorytetem w tej dziedzinie. Mimo to sytuacja nie jest pozbawiona pewnego tuzinkowego erotyzmu, nawet jeśli jest on z lekka przytłumiony paczką wędzonej szynki o pokojowej temperaturze, spoczywającej wygodnie na moich kolanach. Nagle zaniepokojony, że może poczuje mięso, próbuję zawinąć cicho folię, ale powstały w efekcie szelest zdaje się rozlegać w kuchni jak odgłosy burzy.

—O mój Boże! Brian!

—Witam panią! — rzucam radośnie.

Spodziewam się, że zakryje nagość ramionami, ale jej to najwyraźniej aż tak bardzo nie przeszkadza i sięga jedynie nonszalancko po ścierkę National Trust, którą zawija wokół bioder jak sarong. Dostrzegam napis „Sissinghurst”, biegnący w dół jej uda.

— Ojej, mam nadzieję, że cię nie przestraszyłam — tłumaczy się.

— Och, nie, dlaczego...

— Ale z drugiej strony jestem pewna, że widziałeś już setki nagich kobiet.

— Zdziwiłaby się pani.

— Już ci mówiłam, mów do mnie Rose. Gdy zwracasz się do mnie per pani, czuję się tak staro!

Następuje chwila ciszy i poszukuję w myślach czegoś, co mógłbym powiedzieć, a co pozbawiłoby całą tę sytuację wszelkiej niezręczności czy zmieszania, i przychodzi mi do głowy idealne rozwiązanie.

Mówiąc z amerykańskim akcentem, rzucam:

—Czy próbuje mnie pani uwieść, pani Harbinson? Co ja takiego powiedziałem...?

—Przepraszam?

Nie mów tego ponownie.

—Czy próbuje mnie pani uwieść? — mówię. Szybko, wyjaśnij, wyjaśnij...

—No wie pani — jak pani Robinson? — tłumaczę. Rose patrzy na mnie bez cienia zrozumienia.

—Kim jest pani Robinson?

—To cytat. Z *Absolwenta*.

— No cóż, mogę ci powiedzieć teraz, Brian, że nie mam zamiaru cię uwodzić...

—Wiem, wiem, i nie chcę, żeby pani mnie uwiodła.

—No cóż, w takim razie nie ma sprawy...

—To nie znaczy, że nie wydaje mi się pani atrakcyjna...

—Przepraszam?

— Co, do cholery, dzieje się tam na dole? — mówi jakiś głos.

Kolejna postać zbiega po schodach, muskularne nogi i wydatny tors — muskularne gołe nogi i wydatny tors pana Harbin-sona. Wygląda, jakby pomiędzy nogami ścisnął parasolkę, ale po dokładniejszym przyglądnięciu się okazuje się, że to penis. Teraz naprawdę nie wiem, gdzie mam podziąć wzrok. Niepatrzenie na genitalia Rose zdaje się sprawiać, że na mojej linii wzroku pojawiają się genitalia pana Harbinsona, i nagle w kuchni trudno jest znaleźć jakiegokolwiek miejsce pozbawione genitaliów, więc w końcu wybieram miejsce na suficie, tuż nad piecem Aga, i koncentruję się, koncentruję się, koncentruję się.

— Nic się nie dzieje, Michael. Zeszłam na dół, żeby się czegoś napić, i Brian był tutaj, to wszystko...

Dlaczego mówi to tak, jakby była winna? Czy chce mojej śmierci?

— Więc o czym rozmawialiście? O Boże, słyszał mnie. Już po mnie.

— O niczym! Brian przestraszył mnie po prostu, to wszystko...

Pan Harbinson i jego penis wyglądają na nieprzekonanych i zdają sobie sprawę, że w istocie nie zakrywa on dłonią swojego penisa, ale go trzyma, i na chwilę ogarnia mnie irracjonalny strach, że chce mnie nim uderzyć.

— No dobrze, nie rozpędzaj się, w porządku? I Rose, wracaj do łóżka!

Biegnie po schodach na górę, trzymając swoją złożoną parasolkę. Wyraźnie bardzo zawstydzona, Rose zdejmuje z haczyka przy adze kwiecisty, plastikowy fartuch i nakłada go niechętnie, w czasie gdy ja zmiatam ze

stołu do foliowej paczki okruchy mięsa i wpycham ją do szuflady ze sztucami.

W końcu Rose podchodzi do stołu i cedzi przez zęby:

—Uważam, że będzie lepiej, jeśli żadne z nas nigdy do tego nie wróci, nie uważasz, Brian?

—Dobrze, ale chciałbym jedynie powiedzieć, że ja naprawdę cytowałem tylko...

—Zapomnijmy o tym, dobrze? Załóżmy, że to się nigdy nie stało...

Przygląda się mojej twarzy.

—Brian, czy dobrze się czujesz?

—Doskonale!

—Jesteś trochę szary.

—Ach, to mój normalny kolor, Rose! Spogląda na stojącą przede mną szklanę.

—Czy to mleko?

—Uhm.

—Więc miałeś je przez cały czas?

—Obawiam się, że tak, Rose.

—Właśnie tego szukałam, Brian.

—Przepraszam. Sięga po szklanę.

—Nie piłbym go na twoim miejscu!

—Dlaczego, u licha, nie?

—Jest zepsute, zwarzone, naprawdę, jest ohydne...

I bierze szklanę zwarzonego mleka, wachają wypija jeden łyk, spogląda na mnie z najwyższą pogardą i mówi:

— To mleko sojowe, Brian.

Gdzieś z głębi Blackbird Cottage dobywa się dźwięk histerycznego śmiechu, straszny, szaleńczy rechot jakiegoś żalowanego, zdeprawowanego dzieciaka, i dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, że ten śmiech wydobywa się ze mnie.

Gdy budzę się następnego ranka, następuje zwyczajowe trzysekundowe przesunięcie pomiędzy świadomością, że powinienem się czegoś bardzo wstydzić, a przypomnieniem sobie dlaczego. Jęczę, dosłownie fizycznie jęczę w głos, jakby ktoś stanął mi na piersiach. Spoglądam na budzik. Jest 11.30 i czuję się, jakbym budził się ze śpiączki.

Leżę przez chwilę, starając się obmyślić najlepszy plan, jak sobie z tym poradzić. Najlepszym sposobem na poradzenie sobie z tym byłoby, gdybym się zabił, ale drugie pod względem skuteczności rozwiązanie będzie wymagało dużej ilości płaszczenia się, tłumaczenia i autoironii, zaczynam się więc ubierać, żeby mieć to jak najszybciej za sobą gdy rozlega się pukanie do drzwi.

To Alice, która wygląda na zupełnie trzeźwą. Czy wie, że jej naga mama myśli, iż próbowałam ją uwieść?

—Cześć, śpiąca królewno... — szepcze.

—Alice, tak mi przykro z powodu wczorajszej nocy...

— Ojej, nic się nie stało, to drobiazg, nie ma o czym mówić...

Najwyraźniej nic nie wie.

— Słuchaj, Brian, coś się stało, muszę jechać do Bournemouth...

Siedzi na krawędzi łóżka i wygląda, jakby się miała rozplakać.

— Dlaczego, co się stało?

— Chodzi o babcię Harbinson, spadła ze schodów wczoraj w nocy i jest w szpitalu, ze złamanym biodrem, i musimy pojechać ją odwiedzić...

— O Boże, Alice...

— Mama i tato już pojechali, ale ja też muszę pojechać, więc nie wydaje mi się, żeby coś wyszło z naszych planów na Nowy Rok. Tak mi przykro.

— Ach, w porządku. Zobaczę, o której mam pociąg...

— Już to zrobiłam. Jest pociąg do Londynu za czterdzieści pięć minut, zawiozę cię na stację. W porządku?

Zaczynam się więc pakować, wrzucając do torby książki i ubrania, jakby to była nagła ewakuacja, i po dziesięciu minutach jesteśmy w land-roverze. Alice prowadzi. Robi wrażenie bardzo malutkiej za kierownicą i wygląda jak lalka Sindy prowadząca jeepa Action Mana. W czasie

nocy śnieg zmienił się w brudną szarą breję i mam wrażenie, że jedziemy zdecydowanie zbyt szybko, co dodatkowo nasila poczucie napięcia i zdenerwowania.

— Strasznie boli mnie dzisiaj głowa! — rzucam, żeby rozładować sytuację.

— Mnie też — odpowiada.

Przemierzamy z dwieście metrów wiejskiej drogi.

— Wpadłem na twoją mamę i tatę w kuchni wczoraj w nocy — rzucam nonszalancko.

— Ach, naprawdę? Kolejne dwieście metrów.

— Czy mówili coś o tym?

— Raczej nie. Nie. Dlaczego pytasz? — Bez powodu.

Wygląda na to, że jestem bezpieczny. Oczywiście nie jestem zadowolony, że babcia Harbinson spadła ze schodów, ale przynajmniej odwróciła ode mnie uwagę.

Jesteśmy na stacji z zapasem piętnastu minut i Alice pomaga mi zanieść torbę na pusty peron.

— Tak mi przykro, że nie możesz zostać na Nowy Rok.

— Nic się nie stało. Pozdrów ode mnie babcię Harbinson. Po co. Przecież nigdy nie widziałem tej kobiety na oczy, na litość boską.

— I bardzo przepraszam, że wczoraj cię przedawkowałem.

— Naprawdę, nie ma o czym mówić. Słuchaj, czy wybaczysz, że nie będę czekała, aż wsiądziesz do pociągu? Powinam już jechać...

I obejmujemy się, ale nie całujemy, a potem ona odchodzi.

Docieram do domu mniej więcej w porze podwieczorku i wchodzę do środka. Mama jest w swoim ubraniu treningowym i leży na sofie w otwartym salonie, oglądając *Blockbusters* na cały regulator. Na brzuchu położyła popielniczkę, a na ławie obok niej stoi pojemnik Quality Street i butelka Tia Marii. Gdy wchodzę do pokoju, podnosi się i wsuwa butelkę pod poduszkę, potem zdaje sobie sprawę, że cały czas trzyma w ręce kieliszek

sherry, i próbuje go ukryć, kładąc na nim obydwie dłonie, jakby to był ma-
lutki kubek kakao czy coś takiego.

—Wcześniej wróciłeś!

—Tak, mamo, wiem...

—Wezmę *F*, Bob...

—Babcia Alice złamała nogę w biodrze.

—Jak to się stało?

—Zepchnąłem ją ze schodów.

—Nie, naprawdę.

—Nie mam pojęcia, mamo.

—*Jakie F jest głównym chemicznym składnikiem przy wyrobie zapa-
łek?*

—Biedactwo. Czy wyjdzie z tego?

—Skąd mam wiedzieć? Przecież nie jestem jej lekarzem, prawda?

Fosfor.

—Zgadza się.

—Co? — mówi mama.

—Telewizor! — rzucam gniewnie.

—Poproszę o *H*, Bob...

—Coś nie w porządku, Bri?

—Nie, wszystko jest w porządku!

—*Od którego H bierze swą nazwę...?*

—Czy pokłóciłeś się ze swoją dziewczyną...?

—Ona nie jest moją dziewczyną!

—W porządku, nie musisz krzyczeć!

—Trochę za wcześnie na koktajle, matko, prawda?

A potem odwracam się i wbiegam po schodach na górę, czując się ma-
ły i podły. I skąd wzięło się to niemiłe, cierpkie „matko”? Nigdy nie nazy-
wałem jej „matką”. Idę do pokoju, zamykam z trzaskiem drzwi, kładę się
na łóżku i nakładam na uszy słuchawki, żeby posłuchać mojej kasety z
Lionheart, zdumiewająco piękną drugą płytą Kate Bush, *Symphony in Blue*,

strona A, utwór pierwszy. Ale niemal natychmiast zdaję sobie sprawę, że czegoś zapomniałem.

Wędlina.

Zostawiłem wczoraj w nocy paczkę z wędliną w szufladzie w kuchni. Nie mam numeru telefonu do Harbinsonów w Bourne-mouth, więc postanawiam zadzwonić do domku na wsi i zostawić wiadomość dla Alice, gdy wróci do domu. Po czterech sygnałach włącza się automatyczna sekretarka i właśnie zastanawiam się, co mam powiedzieć, gdy ktoś niespodziewanie podnosi słuchawkę.

—Proszę...?

—Ach, dzień dobry, czy to... czy to Rose?

—Kto mówi?

—Brian, znajomy Alice.

— Och, dzień dobry, Brian. Poczekaj chwileczkę, proszę. Słysząc szelest, gdy zakrywa ręką słuchawkę, i jakieś niewyraźne głosy, potem do telefonu podchodzi Alice.

—Cześć, Brian?

—Hej! Wciąż tam jesteś!

—Tak, tak, wszyscy tu jesteśmy.

—Myślałem, że będziesz w Bournemouth...

—Byliśmy, ale... okazało się, że babcia czuje się faktycznie dużo lepiej, więc wróciliśmy. Prawdę powiedziawszy, właśnie przyjechaliśmy.

—Rozumiem. Więc nic jej nie jest?

—Czuje się świetnie!

—Nie ma złamanego biodra?

—Nie, jedynie mocno posiniaczona i, hm, jest w lekkim szoku.

—Dobrze. Cieszę się, że to mówisz. To znaczy nie, że jest w szoku, oczywiście, chciałem powiedzieć, że się cieszę, że to nic groźnego...

Zapada cisza.

—Więc...?

—Chciałem powiedzieć, że zostawiłem u was... hm, no wiesz, wędlinę.

—Rozumiem. A gdzie jest to... mięso.

—W szufladzie stołu w kuchni.

—Ach. W porządku. Wyjmę je stamtąd.

—Spróbuj zrobić to tak, żeby nie widziała tego twoja mama, dobrze?

—Oczywiście.

—W takim razie do zobaczenia w college'u w następnym roku?

—No właśnie. Do zobaczenia w następnym roku!

I już jej nie ma, a ja stoję na korytarzu, ze słuchawką telefonu w ręce, patrząc się bezmyślnie przed siebie. Słyszę dźwięk telewizora z otwartego salonu.

—*Trzy prawa jakiego K opisują precyzyjnie ruch planet wokół Słońca?*

—Johannesa Keplera — mówię, sam do siebie.

—*Zgadza się!*

Nie mam zielonego pojęcia, co teraz zrobić.

RS

PYTANIE: 31-sylabowa *tanka* dała początek jakiej japońskiej formie poetyckiej, na którą składa się 17 sylab, uporządkowanych w wersach odpowiednio po 5, 7 i 5 sylab?

ODPOWIEDŹ: Haiku.

Rebecca Epstein reaguje śmiechem. Leży na moim futonie w domu studenckim przy Richmond Hill, śmieje się i śmieje, kopiąc z sadystyczną radością swoimi Doc Martensami.

—To nie jest aż tak zabawne, Rebecca.

—Och, nie, uwierz mi, jest. Poddaje się i idę zmienić płytę.

— Przepraszam, Jackson, ale to ten obraz ich wszystkich ukrywających się w drewni, do chwili gdy znikniesz za zakrętem...

To znowu wywołuje u niej atak śmiechu, postanawiam więc pójść do pokoju Josha i przynieść jeszcze trochę piwa domowej roboty.

Zostaję z mamą przez kolejne osiemnaście godzin, a potem postanawiam pojechać z powrotem do college'u. Ponownie mówię jej, że to dlatego, iż potrzebuję kilku specjalistycznych książek z biblioteki, a ona wzrusza ramionami, jedynie na wpół przekonana, i o dziesiątej znowu stoję w progu, odmawiając przyjęcia tych samych produktów spożywczych.

W drodze powrotnej pociągiem rozweselałam się trochę. I co z tego, że spędzę Nowy Rok samotnie w akademiku? Będę mógł trochę popracować, poczytać, chodzić na długie spacerunki, słuchać muzyki tak głośno, jak będę

miał ochotę. A jutro, w sylwestra, obalę tę śmieszoną tradycję, że trzeba gdzieś wyjść, upić się i dobrze się bawić. W zamian zostanę w domu i nie będę się bawił. Upiję się mimo to, ale poczytam książkę i zasnę o 23.58. Pokażę im, przekonuję się, nie wiedząc do końca, o kogo mi chodzi.

Gdy tylko jednak wracam do akademika, zdaję sobie sprawę, że popełniłem straszny błąd. Gdy otwieram drzwi wejściowe, uderza mnie powiew ciepłego, drożdżowego gazu z piwa Yorkshire Bitter domowego wyrobu Marcusa i Joshuy. Mam wrażenie, że cały dom właśnie beknął mi prosto w twarz. Idę do pokoju Joshuy i odkrywam plastikową beczkę, bulgoczącą i syczącą w pobliżu odkręconego na pełny regulator kaloryfera. Otwieram okno, żeby wypuścić na zewnątrz trochę przetrawionego gazu.

Nikt jeszcze nie wrócił, oczywiście, na co miałem właśnie nadzieję, ale wydaje mi się, że nie byłem przygotowany na to, iż dom będzie aż tak pusty. Postanawiam więc pójść do minimarketu na rogu. Jest 17.45, optymalna pora na zakupy żywności po obniżonej cenie.

Kupno żywności po obniżonej cenie nie jest zajęciem, któremu należy się oddawać pochopnie. Żywność w lekko wgniecionych puszkach jest zazwyczaj bezpieczna, ale „świeże” produkty to prawdziwe pole minowe. Można przyjąć ogólnie, że stopień obniżenia ceny produktu jest proporcjonalny do niebezpieczeństwa, z jakim wiąże się jego spożycie. Cała sztuka polega więc na tym, żeby wybrać coś, co jest okazijnym zakupem, ale co nie przyprawi nas o bóleści. Nędzne 10 pensów na kilogramie błękitnoszarej duszonej wołowiny nie jest w ogóle warte ryzyka, ale cały kurczak za 25 pensów to proszenie się o problemy. Również wołowina i kurczę są ogólnie bezpieczniejsze niż wieprzowina i ryba. Stara wieprzowina nikomu nie przypadnie do gustu, ale przy starej wołowinie można się przynajmniej oszukiwać, że nie „pachnie”, ale że jest „bujna”. To samo dotyczy mocno przyprawionej żywności — nie „pachnie”, ale jest „pikantna”. To właśnie z tego powodu curry jest pod wieloma względami klasycznym produktem po obniżonej cenie.

W minimarkecie ja i starsza pani z ciemnym wąsem przyglądamy się sobie ostrożnie, ponad ladą chłodniczą. Ponieważ jest tuż po Bożym Narodzeniu, znajduje się tu wiele śmiertcionośnych indyków, jak również udziec

barani, który wygląda, jakby groziło mu wydostanie się z lady chłodniczej i samotny spacer na fanę. Ogólnie rzecz biorąc, tym razem łup mnie raczej rozczarowuje, decyduję się więc na liofdizowaną curry Vesta, obniżoną o 75 pensów, i jako specjalny przysmak opakowanie Ne-squicka o smaku bananowym i karton mleka.

Stan uniesienia jednak trwa krótko. Po powrocie, napiciu się Nesquicka, zagotowaniu wody, rozpuszczeniu w rondelku ja-snożółtego proszku curry i zjedzeniu go, zaczynam się czuć jak Robinson Crusoe. Akademię jest pusty, na zewnątrz pada, przenośny telewizor Josha jest zamknięty w jego szafie i nagle staje się zupełnie oczywiste, że tak zwane najlepsze lata mojego życia nigdy się nie zdarzą.

Wyrywaj się z tego. Zrób coś z tym.

Kradnę parę drobnych monet z miedzianego kubka z pokoju Josha i układam je w stożek na ogólnodostępnym telefonie w holu.

Ale do kogo dzwonić? Zastanawiam się, czy nie zadzwonić do jednego gościa o imieniu Vince, którego poznałem na przyjęciu, ale nie chcę siedzieć w pubie sam na sam z jednym facetem, i nie mam jego numeru telefonu, nie mogę sobie też przypomnieć jego nazwiska albo gdzie mieszka czy czegokolwiek o nim. Lucy Chang pojechała do domu do Minneaopolis i myśli, że jestem rasistą. Colin Pagett jest nadal chory na żółtaczkę. Nieomal dzwonię do Patricka, zanim przypominam sobie, że nawet go nie lubię. W końcu postanawiam zadzwonić do Rebecki Epstein, ponieważ Rebecca studiuje prawo i jako że prawo to prawdziwy kierunek studiów, istnieje duże prawdopodobieństwo, że może pracuje teraz nad czymś.

Mieszka w Kenwood Manor, i ponieważ jej pokój jest na tym samym piętrze co pokój Alice, mam jej numer telefonu. Po prawie dwudziestu sygnałach słyszę w końcu głos z akcentem mieszkańca Glasgow.

— Witam, czy to Rebecca?

—...taaak?

—Mówi Brian. Chwila ciszy.

—Brian Jackson? — podpowiadam.

—Wiem, który Brian. Co tu robisz z powrotem?

—Znudziło mi się, to wszystko.

—O Boże, mnie też. Kolejna chwila ciszy.

—Więc...?

—Więc zastanawiałem się po prostu, co robisz dzisiaj wieczorem?

—Czekam, aż zadzwonisz, oczywiście. Czy to randka? — pyta, jakby pytała: „Czy to draka?”

—O Boże, nie, zastanawiałem się po prostu, czy nie miałabyś ochoty pójść do kina czy coś takiego. Grają *Ewangelię wg św. Mateusza* Pasoliniego w Arts...

—Moglibyśmy też pójść i oglądnąć coś miłego... — *Ognie św. Elma* w ABC?

—Czy to będą *Ognie św. Elma* Pasoliniego?

—W kinie Odeon grają *Powrót do przyszłości*...

—Ile ty masz właściwie lat...?

—*Kokon* w ABC...

—Boże, miej litość...

—Masz bardzo zasadnicze poglądy, prawda?

—Wiem, to przerażające, prawda? Czy jesteś pewien, że sobie z tym poradzisz, Brian?

—Tak mi się wydaje. Więc co chcesz robić?

—Masz jakiś alkohol?

—Sześć litrów. Ale wszystko domowej roboty.

—Ach, nie jestem aż tak wybredna. Jesteś w Richmond House?

—Tak.

—W porządku, daj mi pół godziny.

Odkłada słuchawkę, a mnie nagle ogarnia panika.

Czterdzieści minut później siedzi na moim łóżku, pijąc piwo domowej roboty i śmiejąc się ze mnie. Jak zwykle ma na sobie swój uniform, który naprawdę przypomina uniform; czarne ciężkie sznurowane buty Doc Martens, grube czarne rajstopy do kruczoczarnej dzinsowej minispódniczki, czarny sweter z dekoltem w szpic, na to czarny plastikowy płaszcz w stylu

militarnym, którego jeszcze nigdy nie zdjęła w moim towarzystwie. Jej krótkie włosy błyszczą od brylantyny Black-and-White i są ułożone w mały, śliski czub wystający spod jej czarnej robociarskiej czapki z daszkiem. Prawdę powiedziawszy, wszystko, co nosi, wydaje się dobrane tak, by sugerować długą tradycję ciężkiej, fizycznej pracy, co jest naprawdę dziwne, ponieważ, o ile pamiętam, jej mama zajmuje się wyrobem ceramiki, a jej tato jest lekarzem pediatrą. W rzeczywistości jedynym ustępstwem Rebecki na rzecz konwencjonalnego pojęcia kobiecości jest grube maźnięcie błyszczącą, ciemnoczerwoną szminką i duża ilość ciężkiego tuszu do rzęs, który sprawia, że wygląda jednocześnie onieśmielająco i olśniewająco, jak hollywoodzka odmiana członkini gangu Baader-Meinhof.*²⁶ Nawet pali jak gwiazda filmowa, Bette Davis czy ktoś taki, ale gwiazda, która sama robi sobie skręty. Zauważam, że wygląda tego wieczoru odrobinę bardziej atrakcyjnie niż zazwyczaj, i zaczynam się martwić, czy przypadkiem nie zrobiła tego specjalnie.

Gdy w końcu przestaje się śmiać, mówię:

—Cóż, cieszę się, że tak cię bawi moje życie seksualne, Rebecca.

—O życiu seksualnym można mówić dopiero wtedy, gdy jest w nim jakiś seks, prawda?

—Może mówiła mi prawdę.

—Tak, jestem pewna, Brian, że mówiła prawdę. Ostrzegałam cię, że jest krową, prawda? I nie rób takiej kwaśnej miny. Wiesz, że to zabawne, w przeciwnym razie nie mówiłbyś mi o tym.

Zaciąga się skrętem, strzepuje dym obok futonu.

—W każdym razie sam sobie na to zasłużyłeś.

—Dlaczego?

—Wiesz dlaczego. Święto onanizmu na cześć klasy burżuazyjnej. Nazywasz się socjalistą ale koniec końców jesteś dokładnie taki jak wszy-

²⁶ * Baader-Meinhof — jedna z grup terrorystycznych działających w Niemczech w latach 1968-1972.

scy inni karierowicze na tym uniwersytecie, gotowy położyć się na plecach i pozwolić, żeby tak zwane klasy wyższe gładziły cię po brzuchu...

—To nieprawda!

—Prawda. Buduarowy torys...!

—Stalinistka...!

—Zdrajca klasowy...!

—Snobka...!

—Nawrócony snob...!

—Modelowy yuppie...!

—Czy nie zechciałabyś zabrać swoich martensów z mojej kołdry.

— Obawiasz się, że zniszczę tę wyjątkową tkaninę? Ściąga jednak stopy, a potem przesuwa się i siada obok

mnie, stukając swoją szklanką ciepłego piwa w moją, na znak pojednania.

—Dlaczego rama łóżka stoi za szafą? — pyta.

—Myślałem, no wiesz, że zmienię je w futon.

— W futon, ha? No cóż, pozwól, że ci powiem, Brian, że futonu nie czyni materac na podłodze.

—To było prawie haiku — odpowiadam.

—Ile sylab ma haiku? Znam odpowiedź na to pytanie.

—Siedemnaście, ułożonych w kolejności 5-7-5. Zastanawia się może przez sekundę, potem mówi:

Futonu nie czyni Materac na podłodze Zapach sprowadza

...potem zaczyna pić, ale przerywa, żeby ściągnąć źdźbło tytoniu Golden Virginia, które przykleiło się do jej szminki. Gest ten jest tak fantastycznie opanowany i spokojny, że spoglądam potem ukradkiem na jej usta, żeby zobaczyć, czy nie wykona go przypadkiem ponownie. Gdy nasz wzrok się spotyka, wyrzucam z siebie pytanie:

— Jak minęło ci w takim razie Boże Narodzenie?

— Nie obchodzimy Bożego Narodzenia, jesteśmy żydami, zabiliśmy Chrystusa, pamiętasz?

— Więc jak minęła ci, jak się to nazywa, Pascha?

— Chanuka. Tego też nie obchodzimy. Jak na kogoś, kto reprezentuje naszą przeświątą instytucję w *University Challenge*, Brianie Jackson, jesteś zadziwiającym ignorantem. Ile razy mam ci mówić, że jesteśmy socjalistycznymi, nieortodoksyjnymi, żydowskimi, antysyjonistycznymi obywatelami Glasgow.

— To chyba mało zabawne.

— Możesz mi wierzyć, że tak. Jak myślisz, dlaczego tu jestem?

Przychodzi mi do głowy, że spróbuję żydowskiego humoru.

— Mimo to. Świątowanie tańcowanie.

— Co?

— Nic.

Przygląda mi się bacznie, potem uśmiecha się delikatnie...

— Antysemita.

A ja uśmiecham się do niej. Nagle ogarnia mnie fantastyczne uczucie sympatii do Rebecki Epstein i pragnę zrobić jakiś symboliczny gest przyjaźni.

— Dobrze, że sobie przypomniałem, kupiłem to dla ciebie! Szczęśliwej Chanuki!

To płyta Joni Mitchell, której nie chciała Alice. Zgubiłem paragon. Rebecca spogląda na mnie pytająco.

— Dla mnie?

— Uhm.

— Jesteś pewien? — pyta.

Celnik na granicy wschodnioeuropejskiej, który podejrzewa, że mój paszport jest fałszywy.

— Ależ oczywiście, że tak.

Ujmuje ją palcem i kciukiem i odsuwa róg opakowania.

— Joni Mitchell.

— Uhm. Znasz ją?

— Znam jej dorobek artystyczny.

— Więc ją masz?

— Nie. Nie, stwierdzam z przykrością, że jej nie mam.

— Cóż, pozwól, że ci ją puszczę...

I biorę płytę z jej rąk, podchodzę do gramofonu, zdejmuję Tears For Fears i umieszczam *Blue*, stronę 2, utwór 4, *A Case Of You*, bez wątpienia jedną z najwspanialszych piosenek miłosnych, jakie zostały zarejestrowane na krążku. Po wysłuchaniu w ciszy całej pierwszej zwrotki i refrenu pytam:

— I co myślisz?

— Wydaje mi się, że wywołała u mnie okres.

— Nie podoba ci się?

— Cóż, mówiąc całkiem szczerze, raczej nie jest w moim guście, Brian.

— Polubisz ją z czasem.

— Hmm — odpowiada bez przekonania. — Więc jesteś wielkim fanem Joni?

— Trochę. Szczerze mówiąc, Kate Bush jest zdecydowanie bardziej w moim typie.

— Hmm... to się zgadza.

— Dlaczego?

— Dlatego, Brian, że jesteś „mężczyzną z dzieckiem w oczach”*²⁷ — wyjaśnia i chichocze do swojego piwa.

— Więc czego obecnie słuchasz?

— Mnóstwa rzeczy. Durutti Column, Marvinna Gaye, Cocteau Twins, trochę wczesnego bluesa, Muddy Waters, The Cramps, Bessie Smith, Joy Division, New York Dolls, Sly and the Family Stone, trochę dubbu. Nagram ci składankę, zobaczę, czy uda mi się odzwyczaić cię od całej tej głównianej muzyki. Wiesz, musisz uważać na tych wszystkich piosenkarzy-autorów tekstów, Brian. Są w porządku w umiarze, ale jeśli będziesz za dużo tego słuchał, urosną ci maluteńkie szczątkowe piersi.

— Cóż, jeśli nie chcesz swojego prezentu, po prostu mi powiedz... — rzucam, wstając, żeby zmienić płytę.

²⁷ * Tytuł piosenki Kate Bush, w oryginale *Man With the Child In His Eyes*

—Nie! Nie, zachowam ją. Jestem pewna, że z czasem bardzo ją polubię. Bardzo ci dziękuję, Brian. To bardzo chrześcijański gest z twojej strony.

Następnie siadam z powrotem obok niej i siedzimy przez chwilę w ciszy. Potem bierze moją dłoń, ściska ją dość mocno i mówi:

— Naprawdę, bardzo ci dziękuję.

Dziesięć minut później leżymy na łóżku, a ta sama dłoń w jakiś dziwny sposób najwyraźniej zawędrowała do jej biustonosza.

Mówi się, że życie osobiste jest odzwierciedleniem poglądów politycznych, i można śmiało powiedzieć, że podobnie jak jej przekonania, pocałunki Rebecki Epstein są radykalne, bezpośrednie i bezkompromisowe. Leżę na plecach, a ona wbija mi głowę w poduszkę, i jej przednie zęby ocierają się ze zgrzytem o moje. Jestem jednak zdeterminowany dać z siebie wszystko, więc ja też zgrzytam, pewien że to tylko kwestia czasu, zanim zetrzemy sobie szkliwo. Połączenie alkoholu i oparów z butli z gazem, sprawiły, że czuję się lekko oszołomiony, może nawet trochę przestraszony, ale też dobrze się bawię, jak w szkole, gdy ktoś usiłuje cię skrepować. Gęsta emulsja szminki tworzy hermetyczne zamknięcie wokół naszych ust i gdy w końcu Rebecca odrywa się ode mnie, spodziewam się nieomal wystrzahi, jak w komiksach przy wyciąganiu z czyichś ust korka od zlewozmywaka.

— Czy tak może być? — upewnia się.

Szminka rozmazała się wokół jej ust i wygląda teraz, jakby jadła maliny.

— W porządku—odpowiadam, a ona znowu mnie całuje.

Smakuje pączkującymi drożdżami, tytoniem Golden Wirginia i perfumowaną tłustością szminki. Co do mnie, nie mogę przestać myśleć o curry Vesta, którą niedawno zjadłem. Czy powinienem udać, że muszę skorzystać z toalety? Ale wtedy będzie wiedziała, że umyłem zęby z jej powodu, a nie chcę robić wrażenia konwencjonalnego. Czy nieprzyjemny oddech jest w jakimś sensie niekonwencjonalny? Przypuszczam, że nie, ale jeśli umyję

zęby, może pomyśleć, że chciałbym, żeby ona też to zrobiła, a prawdę powiedziawszy, wcale tego nie chcę. W istocie całkiem podoba mi się ten smak tytoniu, to poczucie palenia papierosów przez pełnomocnika. Najlepiej nie przestawać. Ale jakikroć powinienem teraz wykonać? Niczym bruchomówca usiłuję położyć dłoń na jej plecach, ale ona wciąż ma na sobie płaszcz z paskiem i gdy udaje mi się go pokonać, stwierdzam, że jej sweter jest dość mocno wciśnięty do środka, próbuję więc obrać inną drogę, przez dekolt na szyi. Muszę wykrzywić ramię, żeby to zrobić, i wyginam do tyłu głowę na różne sposoby, jak najbardziej niezręczny kieszonkowiec na świecie, ale w końcu mi się udaje. Jej biustonosz jest czarny, koronkowy i lekko usztywniony, co mnie dziwi i przez chwilę rozmyślam nad wymową polityczną tego biustonosza. Dlaczego jest usztywniony? Czy nie kłóci się to trochę z wizerunkiem Rebecki? Dlaczego to właśnie ona, ze wszystkich ludzi, czuje potrzebę sprostania konwencjonalnemu, zdefiniowanemu przez mężczyznę pojęciu kobiecości? Dlaczego ma się czuć zobowiązana osiągnąć konwencjonalny, seksowny wygląd ciała, którego w rzeczywistości w prawdziwym życiu nie jest w stanie osiągnąć żadna kobieta, może z wyjątkiem Alice Harbinson.

Wtedy gwałtownie odrywa usta, przerywając pocałunek, i spodziewam się, że zaraz mnie zapyta, co, u licha, mi się wydaje, ale ona w zamian szepcze:

—Brian?

—Co?

— Muszę ci coś powiedzieć. Nie żartowałam wcześniej. Kiedy mówiłam, co wywołała u mnie ta piosenka.

—Nie ma sprawy, u mnie też to wywołała. Spogląda na mnie pytająco.

—Jakoś mi się nie wydaje, Bri.

— Nie, mówię prawdę. Być może nie robiłem takiego wrażenia, ale naprawdę mam...

Patrzy teraz na mnie gniewnie.

— Dostałeś okres?

— Co? Ach, rozumiem. Nie, przepraszam, myślałem, że masz na myśli siebie, no wiesz...

—Co?

—Że masz ochotę?

— Co masz na myśli? Myślę przez chwilę.

— Slang? — wyjaśniam z nadzieją, ale moja dłoń wymyka się z jej biustonosza i już tam nie wraca.

Siada na brzegu łóżka, poprawiając rajstopy, sprawdzając, czy nie podarłem jej swetra, i wiem, że wszystko zepsułem.

—Może to nie jest jednak taki dobry pomysł.

—Mnie to nie przeszkadza, szczerze.

—Co chciałeś powiedzieć?

—Chodzi mi o to, że nie mam nic przeciwko twojemu okresowi.

—No cóż, cieszę się, że nie masz nic przeciwko mojemu okresowi, Jackson. Wszystko mi jedno, skoro i tak nie mogę nic na to poradzić, prawda?

—Przepraszam, ale nie wiem, co jeszcze mogę powiedzieć.

—Idę o zakład, że Alice Harbinson nawet nie ma okresu...

—Co?

—.. płaci komuś prawdopodobnie, żeby miał go za nią...

—Chwileczkę, co to ma wspólnego z Alice Harbinson?

—Nic!

Odwraca się i wygląda tak, jakby znowu miała ochotę na mnie warknąć, ale potem uśmiecha się, nawet jeśli to tylko półuśmiech.

—Zetrzyj lepiej szminkę z twarzy. Wyglądasz jak klaun... Wycieram usta w róg kołdry i słyszę, jak szepcze:

—Jesteś pieprzonym klaunem.

—Co znowu zrobiłem!

—Wiesz co.

—Hej, to ty zaczęłaś!

—Co zaczęłam?

—Mówić o, no wiesz, Alice.

—O, na litość boską, Jackson...

—Wspomniałem o niej tylko dlatego, że ty to zrobiłaś...

—Ale myślisz o niej, prawda?

—Nie, oczywiście, że nie!

Mówię tak. Ale myślę o niej. Rebecca spogląda mi w oczy tak długo, żeby się upewnić, a potem odwraca wzrok.

— To głupie — mówi cicho, pocierając oczy nasadą dłoni. — Jestem trochę wstawiona. Myślę, że powinnam już pójść.

Być może przedtem nie byłem tego pewien, ale teraz wiem z pewnością że nie chcę, żeby poszła, więc przeciskam się przed nią i próbuję ją ponownie pocałować. Odwraca głowę.

—Dlaczego musisz iść?

—Nie wiem... nie wiem... to, co się przed chwilą stało. Czy możemy o tym zapomnieć?

—Ach, w porządku. Dobrze. Nie ma sprawy. Wolałbym, żebyś nie szła, ale jeśli tego właśnie chcesz...

—Tak myślę. Myślę, że chcę już iść.

I staję na nogi, otulając się płaszczem i śpiesząc w stronę drzwi, zostawiając mnie z myślą co ja takiego znowu zrobiłem. To znaczy ponad i poza zwyczajową rażącą nieudolnością. Idę za nią po schodach, wychodząc na korytarz, gdzie z trudem przedostaje się przez gmatwaninę rowerów blokujących przejście.

—Spójrz tylko — zaczepiłam o to swoimi cholernymi rajstopami...

—Pozwól przynajmniej, że odprowadzę cię do domu.

—Nie, dziękuję.

—Bardzo chętnie...

—Poradzę sobie...

—Nie powinnaś wracać sama...

—Nic mi nie będzie...

—Naprawdę, nalegam...

Obraca się nagle na pięcie i mierzy we mnie palcem, krzyząc:

— A ja nalegam, żebyś mnie'nie odprowadzał! Zrozumiano?

Obydwoje jesteśmy zaskoczeni gwałtownością tego stwierdzenia; niewykluczone, że nawet cofam się o krok. Spoglądamy na siebie, zastanawiając się, co się dzieje, a w końcu ona mówi:

— Poza tym powinieneś położyć się do łóżka. Masz „ochotę”, pamiętasz?

Otwiera drzwi.

— Nie wracajmy nigdy do tego, dobrze? I nie mów nikomu. Zwłaszcza tej cholernej Alice Harbinson. Obiecujesz?

— Oczywiście, że tak. Dlaczego miałbym mówić o tym Alice...?

Ale ona jest już w połowie schodów i bez oglądania się za siebie wybiega w ciemną noc.

RS

Runda trzecia

Bardzo mi przykro — odezwał się po pewnym czasie Sebastian — wydaje mi się, że nie byłem najgrzeczniejszy dzisiaj tego popołudnia. Brideshead często tak na mnie działa...^{*28}

Evelyn Waugh, *Znowu w Brideshead*

RS

²⁸ * Evelyn Waugh, *Znowu w Brideshead*, tłum. Irena Doleżał-Nowicka, Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 1970.

PYTANIE: Prążkowany, sercowy i gładki są trzema rodzajami jakiej tkanki?

ODPOWIEDŹ: Mięśnia.

Niektóre z noworocznych postanowień:

1. *Poświęcić więcej czasu pracy nad moją poezją. Jeśli traktuję poważnie poezję jako formę literacką, a również jako sposób na zarobienie dodatkowych pieniędzy, to naprawdę muszę nad tym popracować, szczególnie jeśli mam odkryć swój odrębny głos. Pamiętaj, T.S. Eliot pracował w banku i napisał Cztery kwartety, więc brak czasu nie jest wytłumaczeniem.*

2. *Przestać drapać twarz, szczególnie gdy rozmawiam z innymi. Jeśli nauka nauczyła nas czegokolwiek, to że drapanie skóry jedynie roznosi zakażenie i powoduje powstawanie blizn. Po prostu zostaw ją w spokoju, Inajdź jakieś inne zajęcie dla rąk, naucz się palić lub coś takiego. Pamiętaj — nikt nie chce całować krwawiącej twarzy.*

3. *Bądź wyniosły. Traktuj Alice z dystansem — będzie cię za to bardziej szanować.*

4. *Popracuj nad lekkim umięśnieniem sylwetki.*

Powyższe słowa zostały spisane około 22.45 w sylwestra i byłem wtedy już dość pijany, co oznacza, że moje pismo jest trochę niewyraźne. Dwadzieścia minut później spałem, lekce

RS

ważąc w ten sposób konwencjonalny, wyświechtany pogląd, który mówi, że w sylwestra powinniśmy się cudownie i wspaniale bawić, a to dzięki temu, że bawiłem się niekonwencjonalnie i niewiarygodnie źle.

Świętowanie rozpoczęło się o 20.35, kiedy znalazłem w kuchennej szufladzie śrubokręt i zajęgo pomocą otworzyłem drzwi do szafy Josha, żeby się dostać do jego przenośnego telewizora. Następnie usiadłem i oglądałem Jamesa Bonda w ITV, dołączając w ten sposób do rzeszy starszych wdów, umysłowo chorych pacjentów i wszystkich tych, którzy spędzają sylwestra w domu. Ale im więcej piłem, tym' więcej myślałem o tacie i Alice, i w końcu obydwójce dziwnie pomieszali mi się w głowie, i w chwili gdy agent 007 udaremnił nikczemny plan opanowania świata Scaramangi, byłem już nieomal fizycznym i emocjonalnym wrakiem, stając się w ten sposób jedyną osobą w historii świata, która kiedykolwiek płakała, oglądając *Człowieka ze złotym pistoletem*, z możliwym wyjątkiem Brutta Ecklanda. Potem wziąłem się w garść i spisałem te postanowienia.

I teraz, dwa tygodnie później, moje postanowienia nie zmieniły się ani trochę. To prawda, nie zdążyłem się jeszcze zmierzyć z moją poezją, ale na pewno to zrobię wkrótce, gdy tylko znajdę czas. I prawie w ogóle nie dotykałem twarzy. Byłem również bardzo wyniosły w stosunku do Alice, a to głównie dlatego, że jej nie widziałem ani nie miałem od niej żadnych wiadomości, i nie mam pojęcia, gdzie jest. Prawdę powiedziawszy, pod względem towarzyskim nie działo się zbyt wiele, odkąd zaczął się nowy semestr. W książce *Znowu w Brideshead* kuzyn Charlesa ostrzega go, że drugi semestr studiów upływa głównie na unikaniu wszystkich niemile widzianych ludzi, których poznało się w pierwszym semestrze, i zaczynam podejrzewać, że należę, niestety, właśnie do tej grupy.

Ale wracając do postanowień. Ostatnie wymaga pewnego objaśnienia. Doszedłem do wniosku, że nie zaszkodzi, jeśli będę mógł się popisać jakimś bicipsem, i nie, to wcale nie dlatego, że dałem się złapać na jakieś płytkie, oparte na podziale płciowym wyobrażenie tego, co świat reklamy postanawia zdefiniować jako „męskie” albo atrakcyjne, i nie dlatego, że ktoś zaczął mi sypać piaskiem w twarz, w każdym razie nie dosłownie. Wydaje mi się po prostu, że doprowadziłem swój gruźliczy wygląd do sta-

dium naturalnej konkluzji. Poza tym już od czasów szkolnych wyznawałem zasadę, że albo się jest mądrym, albo wysportowanym i że jedno z drugim się wzajemnie wyklucza, ale prawdę mówiąc, nie istnieje żaden powód, dla którego nie można mieć obydwu. Patrick Watts na przykład jest mądry i naprawdę, naprawdę wysportowany, nawet jeśli ma problemy z osobowością. Może Dustin Hoffman w *Maratończyku* jest lepszym przykładem. Jest wysportowany i mądry i ma też kryształowy charakter, typ gościa, który przebiega pięć kilometrów, taszcząc stertę książek z biblioteki. Albo, z prawdziwego świata, Alice Harbinson. Alice Harbinson posiada zadziwiająco świeżą twarz, ma cudownie zdrowy wygląd i jest inteligentna. Albo przynajmniej taka była, gdy widziałem ją po raz ostatni. Dwa tygodnie i trzy dni temu. Wieki temu.

Nie ma sprawy. Zamierzam poświęcić całą tę energię na kampanię na rzecz sprawności fizycznej. Z pełnym oddaniem praktykuję surową codzienną dyscyplinę kanadyjskich królewskich sił powietrznych, co polega między innymi na zaczepieniu moich stóp o szafę, po wcześniejszym upewnieniu się, że na mnie nie spadnie, i siadaniu z pozycji leżącej, osiem razy, jak również wykonaniu pompek, w liczbie czterech. To nieźle, ale raczej nie czuję, że mam za sobą właściwy, wszechstronny trening, i wydaje mi się, że będę potrzebował czegoś ekstra. Wydaje mi się, że będę potrzebował ciężarków. Postanawiam wydać pieniądze, które dostałem na Boże Narodzenie, na sprzęt do podnoszenia ciężarów.

Jem zdrowe, odżywcze śniadanie zakupione w sklepie, batonik z muesli w czekoladzie i litr soku ananasowego Just Juice, i wykonuję marszobieg (na przemian idę i biegnę po trzydzieści metrów), kierując się w stronę centrum miasta, co nagle wydaje mi się niewiarygodnie długim odcinkiem, szczególnie gdy biegnę w swojej grubej kurtce i dzinsach. Nie przestaję jednak i kontynuuję marszobieg wzdłuż ulic, zaśmieconych szkieletami choinek, których śmieciarze nie chcą zabrać, bekając od czasu do czasu dyskretnie sokiem ananasowym. Nie mija dużo czasu, a dostaję kolki, co oznacza, że powinienem zadbać trochę o swój układ krążenia, na to jednak będzie czas potem. Moim priorytetem jest zwiększenie masy i poprawienie muskulatury ciała. Nie chcę zrobić się napakowany, jak bokser albo ciężar-

rowiec czy ktoś taki, chcę jedynie nabrać sylwetki w typie gimnastyka, jak ci faceci na drążkach. Jeśli w którymś momencie okaże się, że moja sylwetka stanowczo zanadto się rozbudowuje, wtedy się wycofam.

Docieram do sklepu sportowego, wkrótce po jego otwarciu, pocąc się obficie. W sklepie sportowym jestem chyba po raz drugi w życiu, ponieważ do tej pory mama kupowała mi sprzęt sportowy. Jestem dość zdenerwowany, wchodząc do środka, jakbym odwiedzał sklep pornograficzny. Gdy już się tam znajduję, w powietrzu wyczuwam coś, co przypomina zapach szatni męskiej, dodatkowo uwypuklony przez osobę kierownika sklepu, który jest mniej więcej w moim wieku, dobrze zbudowany, napakowany i podchodzi do mnie, jakby miał zamiar dzielić mnie ręcznikiem.

— W czymś pomóc, przyjacielu?

— Nie, tylko się rozglądam, dziękuję! — odpowiadam jedynie nieznacznie głębszym głosem niż zazwyczaj.

Przyglądam się towarom w sklepie, oceniając okiem eksperta rakiety do badmintonu, następnie jakby przypadkiem kieruję się w stronę hantli. Oto i są dwa, wykonane z przemysłowego żelaza, z możliwością regulowania podnoszonego ciężaru, co pozwoli mi stopniowo zwiększać ich wagę, żebym zyskał sylwetkę Adonisa, ale nic ponadto. Hantle zdają się nie skrywać żadnych tajemnic, więc gdy już udaje mi się ustalić, że tak, są bardzo ciężkie i wykonane z żelaza, a nie pomalowanego na szaro polistyrenu, i tak, stać mnie na nie, dokładnie na granicy, przy cenie 12 funtów 99, wtedy zanoszę jej do kasy. Dopiero gdy dokonałem już płatności gotówką, a sprzedawca włożył je do torby z grubego plastiku i opuściłem sklep, zdałem sobie sprawę, że popełniłem bardzo podstawowy błąd logistyczny, a mianowicie taki: nie mogę zanieść ich do domu.

Przez pierwsze dwadzieścia pięć metrów przekonuję się, że jest to możliwe, jeśli będę szedł dość szybko i zmieniał ręce, gdy ból plastikowej torby wznającej się w ciało będzie się stawał nie do wytrzymania. Gdy znajduję się przy Woolworths, staje się nieuniknione — dno torby przerywa się i hantle uderzają

o chodnik z przemysłowym zgrzytem, który sprawia, że przechodnie, głównie młode mamy z dziećmi w wózkach, patrzą na mnie i na hantle. W

odpowiedzi spoglądam na nie, jakbym chciał powiedzieć: „Kto też podrzucił mi do mojej torby hantle!” Płytką chodnika wygląda na nieuszkodzoną, ale jedna z hantli toczy się ciężko, niczym mały czołg, w stronę drogerii Boots, więc muszę rzucić się do przodu i zatrzymać ją stopą co wywołuje pewnego rodzaju rozbawienie wśród młodych mam, które pokazują mnie swoim dzieciom — „spójrz tylko na tego zabawnego, cherlawego mężczyznę!” Ujmuję w każdą dłoń hantle

1 szybko odchodzę.

Udaje mi się dotrzeć do Dorothy Perkins, oddalonej o dwadzieścia metrów, zanim znowu muszę się zatrzymać, żeby złapać oddech. Nastoletnie dziewczęta widzą hantle i uśmiechają się do mnie, gdy opieram się o okno wystawowe. Postanawiam, że kluczem jest ruch do przodu; cała sztuka polega na tym, żeby kontynuować drogę. Zostały mi przecież tylko jakieś niecałe dwa kilometry.

Gdy opuszczam centrum handlowe, mijam obwodnicę i dochodzę do dzielnicy mieszkalnej, robienie okresowych przystanków na odpoczynek, bez wzbudzania zainteresowania, staje się łatwiejsze. Czekam, aż wyrówna mi się oddech, następnie podnoszę hantle, z ramionami wiszącymi jak u pawiana i przygarbiony pokonuję biegiem krótkie odcinki, jak pod ostrzałem broni maszynowej, robiąc to tak długo, jak pozwala mi serce. Czuję się, jakbym właśnie obudził się po reanimacji. Jestem spocony, rozpalony, wydaje mi się, że ktoś posiniaczył mi ramiona, naciągnięte i obolałe, moje ręce zdają się sięgać ziemi jak u bohatera komiksu, a metaliczny wzór rombu na drążku hantli odbił się na trwałe na moich dłoniach, nadając im gładki i poraniony wygląd. Dzisiaj po południu mam osobiste konsultacje, a do akademika pozostał mi jeszcze spory kawałek drogi, podnoszę więc ponownie hantle, pochylam się i biegnę.

W końcu docieram do południowego stoku Richmond Hill, rozciągającego się pionowo w górę przede mną, z wierzchołkiem ukrytym w niskich chmurach. Udaje mi się pokonać około dwudziestu pięciu metrów, zanim osuwam się, zgięty w pół, na mur. Mam wrażenie, że ktoś stanął mi na płucach, przebił je, sprawiając, że pękły jak worek chipsów. Nie mogę opanować kaszlu, dobywający się ze świstem oddech podrażnia tylną ścia-

nę gardła, która jest wysuszona i powoduje głęboki nieprzyjemny kaszel. Czuję w ustach słodki żółciowy smak, po odkaszlnięciu odrobiny ananasowego Just Juice. Pot spływa mi po twarzy, kapiąc z nosa na chodnik, a wtedy nagle czuję na plecach dłoń i słyszę głos:

—Czy dobrze się pan czuje, czy wszystko w porządku? Otwieram oczy i spoglądam — to jest Alice...

—Czy chce pan, żebym wezwała... Brian?

—Alice!

Oddycham głęboko i dyszę.

— Och... hej... Alice.

Prostuję się, oddycham głęboko i dyszę.

— Jak się masz? — dyszę wyniośle.

— Bardzo dobrze, to o ciebie się martwię. Myślałam, że jesteś jakimś starszym człowiekiem, który ma atak serca czy coś takiego...

— Nie, nie, to ja. Naprawdę, nic mi nie jest... Dostrzega hantle, które przytrzymuję stopą, żeby nie potoczyły się po grzbiecie wzgórza i nie zabiły jakiegoś dziecka.

—Co to takiego?

—To hantle...

—Wiem, co to jest, ale co ty z nimi robisz?

—To długa historia.

—Pomóc ci?

—Gdybyś mogła...

Bierze hantle, jakby podnosiła szczeniaka, i rusza pod górę.

PYTANIE: Co zostało zidentyfikowane przez Hegla jako tendencja danego pojęcia do przechodzenia w jego przeciwieństwo, w rezultacie konfliktu po-między jego inherentnymi przeciwnymi aspektami?

ODPOWIEDŹ: Dialektyką.

Zostawiam w moim pokoju Alice, która słucha płyty z *Koncertami brandenburskimi* i ocenia moje półki z książkami w skali od 1 do 10, podczas gdy ja idę zrobić kawę. Szczerze mówiąc, mój pokój nie znajduje się w idealnym stanie. Sprawdziłem, czy w widocznym miejscu nie leży mój notatnik z poezją ani majtki, ale mimo to czuję się źle, zostawiając ją samą. Zanim zagotuje się woda, miną wieki, więc wybiegam pośpiesznie do łazienki, ochlapuję twarz wodą i bardzo szybko myję zęby, żeby pozbyć się przynajmniej częściowo smaku żółci. Gdy wracam do kuchni, jest tam Josh, który częstuje się moją świeżo zagotowaną wodą.

— Oczywiście, zdajesz sobie sprawę, że do twojego pokoju zbłądził jakiś piękny kociak.

—Moja koleżanka Alice.

—Witaj, Alice. Mogę do was dołączyć?

—Prawdę powiedziawszy, rozmawiamy o pracy, jakby...

— W porządku, Bri, rozumiem aluzję. Poproś ją po prostu, żeby zagładnęła do mnie, wychodząc, dobrze? I może chciałbyś coś z tym zrobić?

Wskazuje na kącik moich ust, gdzie widać dwa nieduże trójkąciki pasty do zębów.

— *Bonne chance, mon ami...* — rzuca i kieruje się w stronę drzwi. — Ach, i ktoś dzwonił do ciebie — Spencer, zgadza się? — prosił, żebyś do niego zadzwonił.

Robię kawę, biorę kubki, kradnę dwa herbatniki z zapasów Marcusa i wracam do pokoju.

Alice leży wyciągnięta wygodnie na futonie, przeglądając od niechce-
nia mój egzemplarz *Manifestu komunistycznego*, wręczam więc jej kawę i
zabieram brudną od odcisków palców szklanekę na wodę i zaschnięte kubki,
które stoją przy łóżku, i zapamiętuję układ jego głowy na poduszce.

— Dlaczego rama twojego łóżka jest za szafą, Brian?

— Chciałem spróbować, jak się będzie spało na futonie.

— Aha. Na futonie. Ciekawe.

I spogląda na pocztówki i zdjęcia przyklejone nad łóżkiem.

— To twój tato?

— Uhm.

Odkleja zdjęcie ze ściany, przygląda mu się.

— Jest bardzo przystojny.

Ściągam swoją grubą kurtkę, wieszam ją na drzwiach szafy.

— Tak. Był przystojny.

Przygląda się uważnie mojej twarzy, usiłując odgadnąć, dlaczego nie
odziedziczyłem genów, następnie obrzuca mnie jednym ze swoich żarto-
bliwych uśmiechów.

— Chcesz się przebrać?

Spoglądam na swój sweter, który, jak oczekiwali twórcy tego frag-
mentu garderoby, ma ciemne, oleiste, wilgotne plamy pod pachami i pach-
nie mokrym psem. Mimo to waham się, nieśmiało:

— Nie, w porządku, naprawdę.

— Ależ przebierz się. Obiecuję, że nie będę się dotykać.

I w pikantnej, erotycznie zabarwionej atmosferze, jaką wytwarza ta
ostatnia uwaga, odwracam się do niej plecami i zdejmuję górę.

— Więc, po co te hantle, kolego?

— Ach, pomyślałem po prostu, że zrobię coś dla swojego zdrowia...

— Umieśniona sylwetka to nie to samo co zdrowe ciało — mój ostatni chłopak miał wspaniałe ciało, ale nie był w stanie przejść dwustu metrów...

—To ten z ogromnym penisem?

—Brian!! Kto ci to powiedział?

—Ty?

—Ja? No tak, to on. W każdym razie twojej sylwetce nie można nic zarzucić.

—Tak myślisz? — dopytuję się, trzymając przed sobą sweter, jak nieśmiała panna młoda.

— Szczupła i dobrze zarysowana—w stylu Egona Schiele... Odwracam się plecami, wciągam przez głowę nowy sweter i dochodzę do wniosku, że czas zmienić temat.

— Jak upłynęła ci reszta przerwy bożonarodzeniowej?

—Ach, no wiesz. W porządku. Hej, dziękuję, że mnie odwiedziłeś.

—Dziękuję, że mnie zaprosiłaś. Czy udało ci się pozbyć wędliny bez żadnego problemu?

—Jak najbardziej. Mingus i Coltrane bardzo ci dziękują.

—A jak się ma twoja babcia?

—Co? Ach, tak. Czuje się dobrze.

Przykleja z powrotem do ściany zdjęcie taty i unikając mojego wzroku, kończy:

—Pod koniec zrobiło się trochę... dziwnie, prawda?

—Chcesz powiedzieć, że ja zrobiłem się dziwny. To chyba dlatego, że traciłem swoje narkotykowe dziewictwo.

—Nie chodziło jednak tylko o to, prawda? Zachowywałeś się... inaczej, jakbyś uważał, że musisz coś udowodnić.

—Przepraszam. Czasami robię się nerwowy. Szczególnie w towarzystwie ludzi z wyższych...

—O, błagam... — przerywa mi.

—Co?

—Proszę, nie wciskaj mi tego kitu, Brian. „Z wyższych sfer” — co za śmieszne określenie. Co to znaczy, „z wyższych sfer”? To wszystko jest w twojej głowie, to nie ma żadnego znaczenia. Chryste, nienawidzę całej tej

obsesji społeczeństwem klasowym, szczególnie tutaj, ledwie człowiek zdąży powiedzieć do kogoś „cześć”, a oni już robią się cali robotniczy i zaczynają ci opowiadać, jak to ich tato jest jednookim kominiarzem chorym na krzywicę i jak to nadal mają toaletę na zewnątrz, i nigdy nie lecieli samolotem, całe te żalosne bzdury, z czego większość to i tak kłamstwa, i myślę, dlaczego mi to wszystko mówicie? Czy mam się czuć winna? Czy wydaje się wam, że to moja wina, czy też jesteście po prostu zadowoleni z siebie, że udało się wam uciec od wyznaczonego miej sca w społeczeństwie, a może to j a-kiś gówniane samouwielbienie? Chciałam powiedzieć, jakie to ma, tak naprawdę, znaczenie? Ludzie są ludźmi, jeśli chcesz znać moje zdanie, i swoje sukcesy oraz porażki zawdzięczają sobie, i skarżenie się, że mają kanapę, a nie sofę, albo że jedzą obiad, nie kolację, to płaczliwe uzalanie się nad sobą i płaskie myślenie...

Koncert Bacha osiąga crescendo w tle, gdy ona mówi, rzucam więc:

—Była to relacja na żywo z tegorocznego zjazdu partii to-rysów!

—Odpieprz się, Brian! To niesprawiedliwe, to zupełnie niesprawiedliwe. Nie osądzam ludzi po ich pochodzeniu i oczekuję, że będą mnie traktować z taką samą uprzejmością.

Siedzi teraz na futonie, wymachując w powietrzu palcem.

—A poza tym to nie są nawet moje pieniądze, to pieniądze moich rodziców i nie dorobili się ich, okradając bezrobotnych z zasiłku albo poprzez wyzysk taniej siły roboczej w Johannes-burgu czy coś takiego, pracowali cholernie ciężko na to, co mają, cholernie ciężko...

—Nie pracowali jednak na wszystko, co mają, prawda?

—O co ci chodzi? — rzuca gniewnie.

— Chodzi mi o to, że dużo odziedziczyli, po swoich rodzicach...

—I...?

—Cóż, to przywilej, prawda?

— Więc co, uważasz, że ludzie powinni być grzebani razem ze swoimi pieniędzmi, gdy umierają, jak w starożytnym Egipcie? Ponieważ ja uważałabym, że przekazywanie dalej swych pieniędzy, wykorzystywanie ich, żeby pomóc swojej rodzinie, żeby kupić im bezpieczeństwo i wolność, to chyba jedyna, prawdziwie wartościowa rzecz, jaką można z nimi zrobić...

— Oczywiście, chciałem tylko powiedzieć, że to przywilej.

— Ależ oczywiście, że to przywilej, i za taki go uważają, i płacą cholernie wysokie podatki, ^starają się zrobić wszystko, co w ich mocy, żeby spłacić swój dług. Jeśli jednak chcesz znać moje zdanie, to nie ma nic gorszego niż nawrócony snob, a jeśli nie jest to zgodne z jakimś konwencjonalnym, usankcjonowanym przez studencką społeczność systemem myśli socjalistycznej, to w takim razie mi przykro, tak właśnie myślę. Ponieważ jestem tak cholernie znudzona ludźmi, którzy próbują sprzedać starą zwykłą zazdrość jako jakąś cnotę!

Zatrzymuje się gwałtownie, czerwona na twarzy, i bierze swój kubek kawy.

—Nie mówię koniecznie o tobie, oczywiście.

—Oczywiście, że nie.

Ja też piję łyk swojej kawy, która ma mocny smak pasty do zębów, i następuje chwila ciszy, gdy słuchamy *Koncertów brandenburskich*.

— Czy to nie jest temat z *Antiques Roadshow*!

—Tak. Chociaż na obwolucie płyty napisane jest co innego. Uśmiecha się i ponownie układa się na futonie.

—Przepraszam, że wyładowałam swój gniew na tobie.

—Nic się nie stało. Raczej zgadzam się z tobą. W niektórych miejscach — mówię, ale przed oczami mam Mingusa i Col-trane'a jedzących miski makaronu.

—To znaczy, że nadal jesteśmy przyjaciółmi, prawda? Brian, spójrz na mnie. Jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

—Tak, oczywiście, jesteśmy przyjaciółmi.

—Chociaż oczywiście, jestem królową Saby, a ty umorusanym sędzią kominiarzem.

—Ależ tak.

—Więc czy moglibyśmy o tym zapomnieć? Po prostu zapomnieć i do tego nie wracać?

—Co zapomnieć?

—To, o czym właśnie... ach, rozumiem. Więc już o tym zapomniałeś?

—Zapomniałem.

—To dobrze — odpowiada. — To dobrze.

—Miałabyś ochotę wybrać się do kina dzisiaj po południu?

—Nie mogę, mam później przesłuchanie...

—Aha, do czego?

—*Hedda Gabler* Henryka Ibsena.

—Która rola?

—Tytułowa Hedda.

—Będiesz wspaniałą Heddą.

—Dziękuję. Mam taką nadzieję. Mimo to wątpię, że uda mi się dostać. Trzeci rok ma wszystko obstawione. Będę miała szczęście, jeśli zostanie obsadzona jako głos z akcentem cockney — „Bertę, krwawiąca pokojówka...”

—Ale wybierasz się na spotkanie naszej drużyny dzisiaj wieczorem?

—To dzisiaj wieczorem?

— Pierwsze w nowym semestrze!

—O Boże, czy muszę?

—Patrick jest bardzo surowy. Prosił mnie specjalnie, żebym dopilnował, żebyś przyszła dzisiaj wieczorem, bo jeśli nie, wypadasz z drużyny, powiedział.

Nie powiedział oczywiście nic takiego.

— No dobrze, spotkamy się tam, a potem pójdziemy się czegoś napić.

Przemierza pokój, obejmuje mnie, tak że czuję zapach perfum na jej szyi, i szepcze mi do ucha:

—A więc znowu jesteśmy przyjaciółmi, tak?

—Oczywiście. Znowu jesteśmy przyjaciółmi.

Ale nadal rozmyślam nad rozmową z Alice, gdy profesor Morrison mówi:

— Powiedz mi, Brian, dlaczego ty tu właściwie jesteś? To pytanie mnie zaskakuje. Przestaję wyglądać przez okno

i odwracam się do profesora Morrisona, który opiera się wygodnie o oparcie swojego krzesła, z palcami splecionymi na swoim małym zwartym brzuszku.

— Hm. Osobiste konsultacje? O drugiej godzinie?

— Nie, tutaj, na uniwersytecie, i studiujesz literaturę angielską? Dlaczego tu jesteś?

— Żeby się... uczyć?

— Dlaczego?

— Bo to jest... wartościowe?

— Finansowo?

— Nie, chciałem powiedzieć...

— Rozwija?

— Tak, tak myślę. Rozwija. I sprawia mi to przyjemność, oczywiście. Lubię edukację, naukę, wiedzę...

— Lubisz je?

— Kocham je. Kocham książki.

— Zawartość książek czy posiadanie dużej ich liczby?

— Zawartość, oczywiście...

— Więc traktujesz swoje studia poważnie?

— Lubię tak myśleć.

Nic nie mówi, opiera się jedynie mocno o oparcie swojego krzesła, z rękami założonymi do tyłu i splecionymi palcami, i ziewa.

— Pan profesor tak nie myśli?

— Nie jestem pewien, Bri. Mam taką nadzieję. Ale pytam dlatego, że ten ostatni esej, *Pojęcie „dumy” i „uprzedzenia” w sztuce „Otello”*, jest, no cóż, naprawdę okropny. Wszystko w nim, od tytułu poczynając, jest po prostu okropne, okropne...

— Tak, no cóż, pisałem go, prawdę powiedziawszy, w pośpiechu. ..

— Ach tak, to wiem, mogę się domyślić. Ale to taki okropny, pozbawiony wyrazu, bezmyślny gniot, że zastanawiałem się, czy to ty w ogóle napisałeś?

— Dobrze, więc co się panu profesorowi nie podobało? Wzdycha, pochyla się do przodu i przeczesuje palcami włosy, jakby miał mi zamiar powiedzieć, że chce rozwodu.

— W porządku, po pierwsze, mówisz o Otellu, jakby był facetem, no wiesz, o którego trochę się martwisz.

—Cóż, to dobrze, prawda? Traktuję go jak prawdziwego człowieka. Czyż nie stanowi to najlepszego dowodu na żywą wyobraźnię Szekspira?

—Lub twojego braku zrozumienia? Otello jest postacią fikcyjną, Brian, jest produktem wyobraźni, tworem. Jest wyjątkowo bogatym i skomplikowanym tworem, w wyjątkowym dziele sztuki, ale jedyne, co potrafisz o nim powiedzieć, to że to straszne, że żyje mu się tak ciężko, tylko dlatego, że jest czarny. Wszystko, czego się dowiedziałem, to że uważasz, iż bigoteria to „straszna rzecz”. Dlaczego mi to mówisz? Czy wydawało ci się, że może myślę, iż bigoteria jest dobra? Jaki będzie twój następny esej, Brian? *Hamlet — dlaczego tak się smucisz?*, a może *Dlaczego wy, rody Montecchich i Capulettich, nie możecie się jakoś ze sobą pogodzić?*...

—No cóż, nie, to dlatego, że rasizm to kwestia, która jest dla mnie bardzo ważna.

—Jestem pewien, ale co ja mam z tym zrobić? Zadzwoić do mamy lago, powiedzieć jej, żeby kazała mu trochę przystopować? Prawdę mówiąc, jak na ironię, jako dyskurs na temat rasizmu twoje przedstawienie Otella jako nieskazitelnego, ulegającego wpływom szlachetnego dzikusa mogłoby zostać nieomal uznane za rasistowskie samo w sobie...

—Czy pan profesor uważa, że esej ma wymowę rasistowską?

—Nie, ale uważam, że dowodzi ignorancji, a jedno z drugim jest ze sobą powiązane.

Zaczynam coś mówić, ale sam nie wiem, co chcę powiedzieć, więc w końcu siedzę cicho. Jest mi gorąco, mam wypieki na twarzy i czuję się zawstydzony, jakbym miał sześć lat i zsiusiał się w majtki. Chciałbym, żeby się to skończyło jak najszybciej, dlatego podnoszę się i sięgam w stronę stołu, żeby zabrać esej.

— W porządku, no cóż, może powinienem spróbować jeszcze raz...

Ale on jeszcze nie skończył i przyciąga kartki do siebie.

— To nie jest dla mnie praca kogoś, kto „kocha wiedzę”, jest to praca kogoś, komu całkiem podoba się pomysł uchodzenia za kogoś, kto kocha wiedzę. Nie ma tu ani krzty przemyślenia, oryginalnej myśli czy wysiłku intelektualnego. Twoja praca jest płytka, obłudna, zawiera poważne błędy,

jest intelektualnie niedojrzała, roi się od cudzych pomysłów i plotek, i wyświechtanych frazesów.

Pochyla się do przodu, unosi mój esej w palcach jak martwego ptaka.

— Najgorsze jest jednak to, że bardzo mnie rozczarował. Jestem rozczarowany, że to ty go napisałeś, i jeszcze bardziej rozczarowany, że uważałeś, że jego przeczytanie warte jest mojego czasu i energii.

Przerywa, ale nic nie przychodzi mi do głowy, więc wyglądam jedynie przez okno, czekając, aż się to skończy. Cisza jednak okazuje się prawie tak samo niezręczna i gdy w końcu się odwracam, spogląda na mnie w sposób, który powinienem zinterpretować jako „ojcowskie spojrzenie”.

— Brian, dzisiaj rano miałem indywidualne konsultacje o W.B. Yeatsie ze studentką— całkiem miłą dziewczyną która na pewno doskonale sobie poradzi, odebrała prywatne wykształcenie w jednej z najbardziej ekskluzywnych szkół dla dziewcząt — i w pewnym momencie podczas tych konsultacji musiałem wyjść do samochodu i przynieść mój atlas drogowy, żeby jej wytłumaczyć, gdzie leży Irlandia Północna.

Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale on unosi do góry dłoń.

— Brian. Gdy przeprowadzałem z tobą rozmowę kwalifikacyjną w tym biurze rok temu, uderzyłeś mnie jako wyjątkowo entuzjastyczny i pełen pasji młody mężczyzna. Być może trocha zbyt mało skoncentrowany, trochę „niezręczny”? - czy mogłbyś powiedzieć niezręczny? czy właściwie cię oceniam? — ale przy najmniej nie traktowałeś swojej edukacji jako czegoś, co się należy żyć. Wielu studentów, szczególnie na uniwersytecie takim jak teni ma tendencję do traktowania swojej edukacji jako rodzaju finansowanego przez państwo, trzyletniego przyjęcia, z mieszkaniem samochodem i przyjemną posadką gdzieś na końcu, ale naprawiłem nie myślałem, że jesteś jednym z nich...

— Nie jestem...

—Wobec tego na czym polega problem? Czy coś ci przeszkadza? Czy jesteś nieszczęśliwy, przygnębiony...?

Boże, nie wiem. Jestem? Czy to właśnie to uczucie? Może jestem. Może powinienem powiedzieć mu o Alice. Czy bycie poprostu zakocha-

nym jest wystarczająco dobrym wytłumaczeniem dla irracjonalnego zachowania? Tak było w przypadku Otello oczywiście, ale w moim?

— Więc. Czy jest coś, o czym chciałbyś ze mną porozmawiać?

Jestem zakochany w pięknej kobiecie, bardziej zakochan; niż kiedykolwiek wydawało mi się to możliwe, tak bardzo, że n jestem w stanie myśleć o niczym innym, ale ona jest całkowicie: nieosiągalna, i jestem dla niej w najlepszym wypadku zabawna a w najgorszym—odrażający, i w efekcie uważam, że być moi powoli tracę zmysły...

— Wydaje mi się, że nie. Dziękuję.

— W takim razie nie wiem, w czym problem, ponieważ spi glądając na twoje oceny w tym roku — 74%, 64%, 58% i 53% i można by pomyśleć, że stajesz się coraz mniej inteligent!] A nie temu, tak się dziwnie składa, ma służyć edukacja...

RS

PYTANIE: Gdzie można znaleźć most, pęczek łukowaty, ośrodek Wernickiego i bruzdę środkową?

ODPOWIEDŹ: W mózgu.

To prawda, robię się coraz głupszy. A może chciałem powiedzieć: „głupsiejszy”?

I to nie chodzi tylko o to, że do drużyny *Challenge* dostałem się jedynie z największym trudem, chodzi o wykłady. Idę i słucham ich, pełen entuzjazmu i wigoru, i nawet jeśli jest to coś, czym jestem żywo zainteresowany, jak na przykład poezja metafizyczna albo ewolucja formy sonetu, albo pojawienie się klasy średniej w powieści angielskiej, okazuje się, że po prawie dzień-minutach jestem tak zagubiony i zdezorientowany, jakbym słuchał w tym czasie relacji z meczu piłki nożnej w radiu. Ido do biblioteki uniwersyteckiej, która nieomal w słyszalny sposób jęczy od ogromnego ciężaru i rozmiarów ludzkiej wiedzy, i zdarzają się zawsze te same dwie rzeczy: a) Zaczynam myśleć o seksie, b) Muszę wyjść do toalety. Idę na wykład i zasypiam, albo nie przeczytałem książki, bo zawsze zasypiam albo nic rozumiem samej książki, albo nie rozumiem przypisów, albo przyglądam się obecnym na sali dziewczynom, a nawet gdy rozumiem wykład, nie wiem, co o nim powiedzieć, nie wiem nawet, czy się z nim zgadzam, czy nie. Otrzymałem szansę, całkowicie na koszt państwa, żeby studiować piękne, ponadczasowe, budzące podziw dzieła sztuki, a moja reakcja na nie nigdy nie bywa głębsza, niż, jestem za albo „jestem przeciw”. A tymczasem jakaś wyrazista, lśniącowłosa młoda istota z pierwszego rzędu podniesie do góry rękę i powie coś w rodzaju: „Czy *mi* uważa pan,

że formalnie rzecz biorąc, język Ezry Pounda jest zbyt hermetyczny, aby odczytywać go w kategoriach strukturalnych?" i mimo iż rozumiem wszystkie pojedyncze słowa, „odczytywać” i „formalnie” i „jest”, i nawet „hermetyczny”, nie mam pojęcia, co znaczą zestawione razem w tym konkretnym porządku.

I to samo dzieje się, gdy usiłuję to czytać, zamienia mi się po prostu w głowie w sieczkę, tak że ważny, głęboki wiersz, jak ni przykład Shelleya *Mont Blanc* brzmi mniej więcej tak: „Wieczy sty wszechświat bytów wciąż przepływa / Wskroś duszy ludzkiej ciemną — albo jasną / ta-ta-ta — albo — ta-ta-ta”^{*29}, a wszystko kruszy się i rozpada. Oczywiście gdyby Shelley wydał *Mont Blanc* na siedmiocalowym singlu, wtedy byłbym w stanie wyrecytować go z pamięci i określić jego najwyższe notowania; na listach przebojów, ale ponieważ to jest literatura, i jest to w istocie dość wymagające intelektualnie, to nie mam po prostu pojęcia. Smutne jest, że kocham Dickensa i Donne'a, i Keatsa i Eliota, i Forstera, i Conrada, i Fitzgeralda, i Kafkę, i Wilde'a i Orwella, i Waughta, i Marvella, i Greene'a, i Sterne'a, i Szekspira, i Webstera, i Swifta, i Yeatsa, i Joyce'a, i Hardy'ego, naprawdę, naprawdę ich kocham. Sęk w tym, że oni nie odwzajemniają mojego uczucia.

Kiedy się to zaczęło? Dlaczego nic nie układa się tak jak powinno? Mózg jest przecież mięśniem i wydawało mi się, że jeśli będzie się go wystarczająco ćwiczyć, naprawdę się go wytrenuje, stanie się tą chudą wydajną, elektrycznie naładowaną małą białą bryłką białka. Zamiast tego mam wrażenie, że moja głowa pełna jest ciepłej, wilgotnej masy; szarej, tłustej i bezużytecznej, zupełnie jak to, co znajdujemy zapakowane w folię wewnątrz kurczaka w supermarkecie. Prawdę powiedziawszy, jak się nad tym zastanowić, nie jestem nawet pewien, czy technicznie rzecz biorąc, mózg jest mięśniem. A może organem? Albo tkanką? Albo gruczołem. Ja zdecydowanie mam wrażenie, jakby mój mózg był gruczołem.

²⁹ * Na podstawie wiersza *Mont Blanc* Percy'ego Bysshe Shelleya w tłumaczeniu Jana Kasprowicza, zaczerpnięto z książki *Poeci języka angielskiego*, PIW, Warszawa 1971.

A dzisiaj wieczorem zdaje się być u szczytu swej gruczoło-watości, na spotkaniu przygotowawczym do *Challenge*, w mieszkaniu Patricka. To pierwsze spotkanie w tym roku, a do naszego pierwszego filmowanego wystąpienia został nam tylko miesiąc, więc Patrick jest szczególnie zdenerwowany, tym bardziej że zamierza wprowadzić całkowicie nowy, ekscytujący element do naszego zwyczajowego sposobu pracy. Patrick spędził swoją bożonarodzeniową przerwę, robiąc przyciski — cztery zasilane na baterię konstrukcje, wykonane ze światełek na choinkę i dzwonek do drzwi, przykręcone do kwadratów ze sklejk wielkości longplaya, które pomalował czerwoną emaliową farbą — i jest wyraźnie diabelsko dumny z tej innowacji, ponieważ ledwie mam czas się przywitać i życzyć szczęśliwego Nowego Roku Lucy Chang albo zapytać Alice, jak poszło jej przesłuchanie, a już siedzimy na sofie z przyciskami na kolanach. Patrick siada na obrotowym krześle biurowym z grubym plikiem kartek indeksujących rozmiaru 4 na 6, przesuwając nad swoje ramię stojącą na biurku lampę i zaczyna:

— A więc, wasze pierwsze pytanie, za dziesięć punktów — który osiemnastowieczny brytyjski premier otrzymał przydomek „wielki pospolitak”?

Przyciskam dzwonek.

—Gladstone? — mówię.

—Nie — odpowiada Patrick. — Ktoś inny?

—Pitt Starszy? — próbuje Alice.

— Zgadza się. Minus pięć punktów, Brian. Mówiłem, że to wiek osiemnasty, prawda?

—Tak, mówiłeś.

—A Gladstone żył w wieku dziewięciu...

—Tak, wiem...

— W takim razie w porządku. Który z następujących krajów nie ma linii brzegowej. Nigeria, Mali, Czad, Sudan.

Wydaje mi się, że znam odpowiedź, więc przyciskam dzwonek i mówię...

—Sudan!

—Nie — odpowiada Patrick. Lucy Chang mówi:

—Wszystkie, z wyjątkiem Sudanu?

— Zgadza się. To minus dziesięć punktów, Brian. W porządku, nerw przedsionkowy, błona bębenkowa, jama bębenkowa, łagiewka i woreczek są elementami jakiego organu?

Nie mam pojęcia, ale okazuje się, że znowu przyciskam dzwonek.

—Brian? — jęczy Patrick.

—Przepraszam, przycisnąłem przez pomyłkę...

—To minus piętnaście punktów...

—.. .wiem, to była pomyłka, niechcący przesunąłem palec...

—...Jak brzmi odpowiedź, Lucy?

—Ucho?

—Właśnie, ucho. Co studiujesz, Lucy?

—Medycynę.

—A ty, Brian, co studiujesz?

—Literaturę angielską...

—No właśnie. Literaturę angielską. Więc, Brian, nie wydaje ci się, że może Lucy lepiej nadaje się do tego, żeby odpowiedzieć...?

—Ależ oczywiście, że tak, ale jak mówiłem, niechcący przesunąłem palec. Te przyciski są bardzo czułe na dotyk... .

— Więc to wina moich przycisków? — No cóż...

— Nie wydaje ci się, że prawdziwe przyciski też będą czułe na dotyk?

— Jestem pewien, że będą Patrick...

— ...ponieważ ja używałem tych przycisków, moi drodzy, i mogę wam powiedzieć, że musicie być bardzo, bardzo pewni odpowiedzi, zanim je przyciśnięcie...

— Słuchajcie, czy moglibyśmy się trochę pośpieszyć? — sugeruje niepewnie Alice. — Jestem gdzieś umówiona o dziewiątej trzydzięci...

— Gdzie? — rzucam nagle zaniepokojony.

— Zamierzam się z kimś spotkać... mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza? — rzuca gniewnie w odpowiedzi.

Lucy i Patrick spoglądają na siebie.

—Oczywiście, że nie, ale wydawało mi się, że mamy się pójść czegoś napić, to wszystko...

—Teraz nie mogę. Mam kolejne przesłuchanie w związku z *Hedda Gabler*, jeśli musisz wiedzieć.

Reaguję na jej słowa trochę gwałtownie i niechcący przyciskam guzik.

— Przepraszam!

— Wydaje mi się, że mój przycisk w ogóle nie działa — skarży się Lucy Chang.

Patrick wyrywa biednej Lucy przycisk, jakby to była jej wina, i wbija w niego ogromny szwajcarski scyzoryk, który nosi przypięty do swojego dużego pęku kluczy. Alice i ja spoglądamy na siebie z rezerwą i wydaje się, że bardzo nam daleko do zwycięskiej drużyny.

Potem już nie zadaję sobie trudu, żeby odpowiedzieć na którekolwiek z pytań, nawet na te, na które rzeczywiście znam odpowiedź. Zostawiam je głównie Lucy, a od czasu do czasu Alice. Gdy tylko Patrick kończy podsumowanie naszej gry — nie dawajcie się ponieść emocjom z tymi przyciskami, zawsze oddawajcie pierwszeństwo osobie, która posiada większą wiedzę z danego obszaru, słuchajcie pytania, wystrzegajcie się przerywania innym — Alice szybko nakłada płaszcz i śpieszy w stronę drzwi. Tuż przed wyjściem, w duchu pojednania, mówi:

— Ach, przy okazji, moi znajomi urządzą jutro wieczorem imprezę, Dorchester Street dwanaście, godzina ósma. Wszyscy jesteście zaproszeni.

Potem uśmiecha się do mnie przepraszająco, tak mi się wydaje, i wychodzi.

Idę do domu z Lucy Chang, która też mieszka na wzgórzu,[^] trochę wyżej niż ja, i okazuje się niewiarygodnie miła. Zdaję sobie sprawę, że Lucy jest pierwszą osobą narodowości chińskiej, z którą miałem okazję prawdziwie porozmawiać, jeśli nie liczyć spotkań w restauracjach. Postanawiam jednak nie mówić tego na głos. Rozmawiamy natomiast o tym, jak to jest uczyć się na lekarza, i Lucy bardzo ciekawie wypowiada się na ten temat, ale mówi bardzo cicho, więc muszę się pochylać w jej stronę, żeby usłyszeć, co mówi, a to sprawia, że czuję się niczym księżę Philip.

—Co sprawiło, że zapragnęłaś zostać lekarzem?

—Moi rodzice, tak naprawdę. Zawsze mówili, że bycie lekarzem to najwspanialsze, co można robić. Wiesz, coś, co nadaje życiu nową wartość.

—I dajesz ci to satysfakcję?

—O tak. Kocham to. A ty? Jak to jest w przypadku literatury?

—Och, lubię to. Nie jestem tylko pewien, czy podnoszę jakość czyjegoś życia, to wszystko.

— Piszesz?

— Raczej nie. Ostatnio zacząłem trochę pracować nad poezją.

Nadal ćwiczę mówienie tego na głos, ale Lucy nie szydzi ze mnie, przynajmniej nie na głos.

—Brzmi to trochę pretensjonalnie, prawda?

—Ach, ani trochę. Dlaczego pytasz?

—Sam nie wiem, jest coś w tym, co powiedział Orwell: naturalną reakcją Anglika na poezję jest najwyższy stopień zażenowania.

—No cóż, nie wiem. Są tacy, którzy twierdzą, że poezja jest w istocie najczystsza formą wyrazu.

— No tak, może, ale nie czytałaś moich wierszy. Śmieje się cicho i mówi:

— Nie miałabym nic przeciwko ich przeczytaniu. Jestem pewna, że są bardzo dobre.

— A ja nie miałabym nic przeciwko, żebyś mnie operowała! — odpowiadam.

Potem milczymy przez chwilę, zastanawiając się, dlaczego zabrzmiało to tak nieprzyjemnie.

— No cóż, miejmy nadzieję, że nie będzie to nigdy konieczne!

Idziemy jeszcze kawałek, czekając, aż ulotni się ten komentarz o „operacji”, który wciąż nam towarzyszy, niczym puszczone w galerii bąk.

— Robiłaś ostatnio sekcję czegoś interesującego? — pytam w końcu.

—Systemu krążenia.

—Aha. Podoba ci się to? — pyta książkę Philip.

—Tak, bardzo.

—I czy w tym chciałabyś się specjalizować, gdy skończysz studia?

—Chirurgia, wydaje mi się, chociaż nie wiem jeszcze, w jakim obszarze. Jestem rozdarta pomiędzy sercem i mózgiem.

—Jak my wszyscy! — komentuję, jak mi się wydaje, dość dowcipnie.

Mówię to, zanim jeszcze do końca wiem, co to znaczy, więc moje słowa również towarzyszą nam przez dłuższą chwilę. I wtedy Lucy zaskakuje mnie zupełnym *non sequitur*.

— Alice jest świetna, prawda?

—Tak, tak. Potrafi taka być. To był *non sequitur*, więc? Po chwili.

—Jest bardzo piękna.

—Hm. Po chwili.

—Wydaje się, że jesteście dość blisko.

—Cóż, tak, przypuszczam, że jesteście. Czasami.

I zachęcony, i zaskoczony tą właśnie nawiązaną przyjemną nicią porozumienia pomiędzy Lucy i mną, mówię:

— Patrick jest bardzo dziwny, prawda? Wydaje mi się, że może...

Ale Lucy zatrzymuje się gwałtownie, kładzie mi na ramieniu dłoń i ściska je delikatnie.

— Brian, czy mogę ci coś powiedzieć? Coś osobistego...

— Oczywiście — zgadzam się, potem zdaję sobie sprawę, co zamierza powiedzieć.

—To dla mnie trochę krepujące... — mówi, marszcząc brwi. Zamierza mnie gdzieś zaprosić!

—Śmiało, mów...

—No dobrze... — rzuca, biorąc głęboki oddech.

Co powinienem odpowiedzieć? Cóż — nie. Zdecydowanie powinienem powiedzieć nie...

— No to...

...ale jak mam odmówić delikatnie, żeby nie sprawić jej przykrości...?

— Chodzi o to, że gdy ze mną rozmawiasz, masz taki zwyczaj, żeby wszystko wymawiać bardzo wyraźnie, jakbym miała poważne uszkodzenie słuchu czy coś takiego.

— Och. Naprawdę?

—Uhm, pochylasz się i kiwasz głową, i używasz bardzo prostych słów, jakbym miała niewiarygodnie ograniczony zasób słownictwa. I nie wiem, czy to dlatego, że jestem „Chinką z pochodzenia” czy Amerykanką, ale ja nigdy nie byłam w Chinach, nie mówię po chińsku, nie przepadam nawet jakoś szczególnie za chińską kuchnią tak więc będę cię w stanie zrozumieć, gdy będziesz używał, no wiesz, dobrego, starego, zwyczajnego, potocznego języka angielskiego...

—Przepraszam. Nie zdawałem sobie sprawy, że tak się zachowuję...

—W porządku, nie chodzi tylko o ciebie, często mi się to zdarza. To znaczy cały czas...

— Tak mi wstyd...

— Nie ma powodu, nic się nie stało, brzmi to tylko trochę protekcjonalnie, to wszystko.

— Prawdę powiedziawszy, wydaje mi się, że akcent powinien padać na przedostatnią sylabę!

— To wcale nie jest śmieszne, Brian.

— Oczywiście, że nie. Masz rację. Stoimy teraz przed Richmond House.

— Zobaczymy się jutro na przyjęciu?

— Może, nie przepadam za imprezami.

— Ale może.

— Może. — I rusza w górę, przed siebie.

— Przy okazji — mogę cię o coś zapytać? Zatrzymuje się, trochę nerwowo.

— Proszę.

— Mózg, z medycznego punktu widzenia, to mięsień czy gruczoł?

— Cóż, stanowi połączenie różnego rodzaju tkanek nerwowych, o podobnym, powiązanym ze sobą celu, więc technicznie czyni to mózg organem. Dlaczego pytasz?

— Tak się zastanawiałem. Do zobaczenia jutro.

— Cześć.

I przyglądam się, jak jej panda oddala się powoli i znika.

Potem odwracam się i już mam wbiec po schodach na górę, gdy zauważam w mroku przygarbioną postać, opartą niedbale o drzwi, ze spuszczoną głową, blokującą wejście. Nieruchomieję w połowie schodów i spoglądam na człowieka, który przesuwa dłońmi po swojej gładko ogolonej głowie, a potem podnosi wzrok i patrzy na mnie. Właśnie jestem bliski pogodzenia się z faktem, że wkrótce odkryję, jak to jest zostać napadniętym, gdy ciemna postać prostuje się i mówi:

— Kim jest to azjatyckie dziewczątko, Bri?

I, wyłaniając się z ciemności, rozpoznaję bystre, przebiegłe oczy Spencera Lewisa.

RS

PYTANIE: Często używana jako materiał rzeźbiarski, znana również pod nazwą marmuru florenckiego, jak nazywa się uwodniona, drobnoziarnista odmiana gipsu, której złoża powstają wskutek krystalizacji wody mórz?

ODPOWIEDŹ: Alabaster.

—Spencer? Co ty tutaj robisz?

—Pomyślałem, że przyjadę cię odwiedzić, to wszystko.

Wbiegam po schodach i obejmuję go na powitanie, a on uderza mnie pięścią w ramię i wykonujemy ten zabawny minitaniec, który wykonują chłopacy, witając się.

—I przecież mnie zaprosiłeś...

—Tak, wiem, że cię zaprosiłem, ale... hej, co się stało z twoimi włosami...?

Gładzi dłonią głowę, ogoloną do samej skóry.

—To wizerunek zbiegłego skazańca... nie podoba ci się? — mówi i zauważam, że jego głos jest trochę bełkotliwy, co dowodzi, że musiał upić się w pociągu.

—Tak! Tak, twoja fryzura jest bardzo... odważna. Kto cię ostrzygł?

—Ja sam.

— To był zakład czy...?

—Odpieprz się, Brideshead. Mogę wejść do środka czy nie?

—Oczywiście.

Otwieram drzwi, włączam światło w holu i przeciskamy się obok rowerów w korytarzu. Dostrzegam też kilka innych zmian w jego wyglądzie. Ma opadnięte powieki i zmęczone oczy, a pod nimi fioletowe plamy, jak

siniaki. Pomimo dotkliwego zimna ma na sobie jedynie pogniecioną, starą sportową kurtkę, którą pamiętam ze szkoły, a jako bagaż niesie cienką plastikową torbę, która—jak mi się zdaje — zawiera tylko dwie puszkę piwa.

— Dzwoniłem dzisiaj rano, rozmawiałem z jakimś snobistycznym gościem — mówi, gdy wchodzimy po schodach.

—To mój współlokator, Josh. To Josh i Marcus.

—Jacy oni są?

—Ach, w porządku. Nie w twoim typie.

—Czy są w takim razie w twoim typie?

—Wydaje mi się, że nie są w niczyim typie. I stoimy przed drzwiami do mojego pokoju.

—Więc to tutaj wszystko się rozgrywa, tak? Ładnie tu... Ściągam płaszcz i rzucaam go od niechcenia na hantle, zanim

Spencer je zobaczy.

—Rozgość się. Masz ochotę na herbatę, kawę czy coś innego?

—Masz jakiś alkohol?

— Wydaje mi się, że mogę mieć trochę piwa domowej roboty.

—Piwa domowej roboty?

—Tak naprawdę jest Josha i Marcusa.

—Jak smakuje?

—Trochę jak mocz.

—Ale ma procenty?

—Uhm.

—W takim razie dawaj.

Niechętnie zostawiam go samego w moim pokoju i pośpiesznie idę do kuchni po alkohol. Ja też muszę się czegoś napić. Przyjazd Spencera wytrącił mnie zupełnie z równowagi, częściowo dlatego, że z pewnością zachowuje się trochę dziwnie i nieuprzejmie, a częściowo dlatego, myślę, że nigdy w swoim życiu nie przypuszczałem, że będę nieszczęśliwy, widząc go. Również trochę się denerwuję, bo wydaje mi się, że mogłem zostawić na biurku mój notes z wierszami, otwarty na próbnym sonecie miłosnym, nad którym pracuję. Pierwszy wers zawiera słowa „alabastrowe piersi”, i jeśli Spencer to przeczyta, to jego docinkom nie będzie końca.

I nagle słyszę początek *Koncertów brandenburskich* dochodzących głośno z mojego pokoju, chwytam więc kubki z piwem i wracam pośpiesznie. Spencer siedzi przy moim biurku z papierosem w ustach, w jednej dłoni trzyma koszulkę z płyty Bacha, a w drugiej *Manifest komunistyczny*.

— Więc kim jesteś ostatnimi czasy, komunistą czy socjalistą?

— Socjalistą, tak myślę — odpowiadam, ścisząc muzykę.

— Dobrze. W takim razie na czym polega różnica? Wiem, że wie, na czym polega różnica, i że sobie ze mnie żartuje, ale i tak odpowiadam na jego pytanie.

— Komunista jest przeciwny koncepcji prywatnej własności i posiadania środków produkcji, podczas gdy w socjalizmie chodzi o dążenie do...

—Dlaczego twój materac jest na podłodze?

—To futon.

—No tak. Futon. Czy nauczyło cię tego to azjatyckie dziewczątko?

—Azjatyckie dziewczątko — rasizm i seksizm w jednym zdaniu! — rzucam, wsuwając wiersz o alabastrowych piersiach do szuflady. — Prawdę powiedziawszy, Lucy urodziła się w Minneapolis. To, że jest chińskiego pochodzenia, nie znaczy, że jest Chinką.

—Boże, masz rację, to piwo to naprawdę siki. Czy nie możemy pójść gdzieś do pubu czy coś?

—Trochę późno, prawda?

—Zostało nam jeszcze półtorej godziny.

—Muszę coś przeczytać na jutro.

—Co musisz przeczytać?

—*Pukiel Bel indzie ustrzyżony i porwany Pope'a*.

—Brzmi intrygująco. Zrób to rano, co?

—No cóż...

—No chodź, na jednego.

Wiem oczywiście, że nie powinienem iść. Ale ten pokój nagle wydaje się za mały i za jasny, a upicie się staje się obecnie nieomal koniecznością, więc zgadzam się i idziemy do pubu.

W pubie Flying Dutchman nadal jest spory ruch, gdy przychodzimy, i czekając przy barze, przyglądam się Spencerowi, który stoi i rozgląda się gniewnie dookoła, mrużąc zaczerwienione oczy i zaciągając się posepnie kolejnym papierosem. Kupuję piwo dla siebie, a dla niego piwo i wódkę.

—Więc to pub studencki, tak? — pyta.

—Nie wiem. Chyba tak. Spróbujemy poszukać stolika?

Przeciskamy się do tyłu, trzymając piwa nad głowami, znajdujemy pusty stolik i siadamy, i następuje chwila ciszy, zanim pytam:

—Jak się mają sprawy w domu?

—Och, cudownie. Szóstka z plusem, naprawdę.

—Więc co cię tutaj sprowadza?

—Zaprosiłeś mnie: przyjeźdź, jak tylko będziesz miał ochotę, pamiętasz?

—Oczywiście.

Milczy przez chwilę, jakby próbował się zdecydować, a potem mówi, trochę zbyt swobodnie:

—I jak mówiłem — jestem zbiegłym skazańcem.

—To znaczy?

—No cóż, powiedzmy, że mam niewielkie kłopoty. Z prawem.

Śmieję się, a potem przestaję się śmiać.

—Za co? Chyba nie za kolejną bójkę...

—Nie. Zostałem przyłapany, nie? Na bezprawnym pobieraniu zasiłku.

—Żartujesz...

—Nie, Bri, nie żartuję — odpowiada zmęczonym głosem.

—Jak się to stało?

—Nie wiem, ktoś musiał na mnie donieść. Hej, to nie byłeś ty, prawda?

—Tak, Spencer, to ja. Więc co się teraz stanie?

—Nie wiem przecież. Zależy od sędziego.

—Idziesz do sądu?

—O tak. Najwyraźniej są zawałeni robotą więc mam sfl stawić w sądzie w następnym miesiącu. Dobrze wiadomośdM prawda? \

—Co zamierzasz powiedzieć?

—W sądzie? Jeszcze nie wiem. Myślałem, że mógłbym po wiedzieć, że Bóg kazał mi to zrobić.

—I nadal pracujesz na stacji benzynowej?

—Cóż, nie do końca.

—Dlaczego nie?

—Bo mnie przyłapali.

—Na czym? Wypija duży łyk wódki.

—Z ręką w kasie.

—Żartujesz!

— Brian, dlaczego cały czas mnie pytasz, czy żartuję? Czy myślisz, że takie rzeczy mogą mi się wydawać śmieszne?

— Nie, chciałem tylko...

— Zainstalowali ukrytą kamerę za kasą i zostałem przyłapany, jak wy-
ciągam gotówkę na koniec nocy.

— Ile?

— Nie wiem, piątka, dziesiątka czasami, trochę tu, trochę tam, z nie-
uruchamiania kasy przy słodyczach, chipsach i takich tam.

— I co, zamierzają cię też podać do sądu?

— Nie, nie mogą, ponieważ nie było mnie w ewidencji. Ale powiedz-
my, że mój szef nie był zbyt zadowolony. Nie wypłacił mi dużej części za-
robków i powiedział, że jak mnie jeszcze kiedyś zobaczy, to połamie mi
nogi...

—A myśli, że ile wzięłeś?

—Kilkaset?

— A ile wzięłeś? Spencer wypuszcza dym.

—Kilkaset wydaje mi się dobrym szacunkiem.

—Do licha, Spencer...

— Płacili mi pieprzonego funta osiemdziesiąt za godzinę, Brian, czego,
do licha, oczekiwali?

— Wiem, wiem!

— No cóż, jesteś komunistą wydawało mi się, że się nie i zgadzasz z
prywatną własnością.

— Nie zgadzam się, ale Marks mówi o środkach produkcji, nie o wartości kasy na stacji benzynowej. A poza tym wcale

cię nie krytykuję, i w każdym razie jestem socjalistą. Myślę po prostu, no cóż, fatalnie, że się tak stało, to wszystko. Co mówi twoja mama i tato?

— Ach, są bardzo, bardzo ze mnie dumni. — I wypija jednym łykiem pół piwa. — W każdym razie chodzi o to, że mam tego wszystkiego cholernie dość.

— Ale znajdziesz inną pracę, prawda?

— Och, tak — nie posiadający kwalifikacji, bezrobotny kieszonkowiec, i w dodatku karany. Na dzisiejszym, konkurencyjnym rynku pracy jestem absolutną perłą. Chcesz jeszcze jedno piwo?

— Może małe.

— No cóż, będziesz musiał je kupić, jestem obecnie w dość zenującym położeniu, pod względem finansowym.

Kieruję się zatem ponownie do baru, kupuję piwa i godzę się z faktem, że prawdopodobnie nie uda mi się jednak przeczytać dzisiaj wieczorem *Pukla Belindzie ustrzyżonego i porwanego*.

Jak można się było spodziewać, wychodzimy z pubu ostatni. Gdy proszą o kupowanie ostatnich drinków, Spencer postanawia zlać do naszych szklanek cudze niedopite drinki — coś, czego nie robiłem, chyba odkąd skończyłem szesnaście lat — więc gdy docieramy do Richmond House, jesteśmy obaj dość zalani. W domu dopijamy kubki mlecznego piwa domowej roboty i otwieramy dwie puszki Special Brew, które stanowią bagaż Spencera, razem z „Daily Mirror” i na wpół zjedzoną tartą. Opowiadam mu o Nowym Roku i o Alice, i moją wersję spotkania z jej nagą mamą w kuchni, a Spencer trochę się rozluźnia i śmieje się po raz pierwszy swobodnie i szczerze, a nie kpiarsko i cynicznie.

Potem wstaję, żeby zmienić płytę, i puszczam *The Kick Insi-de*, wyjątkowy, ale trudny debiutancki album Kate Bush, a on znowu staje się sobą, śmiejąc się przez cały *The Man With the Child In His Eyes* i nabijając się z mojej kolekcji płyt i pocztówek na ścinanie. Żeby odwrócić jego uwagę, puszczam kasetę, którą dla mnie nagrał, „Składanka uniwersytecka Bri”, i opadamy obaj zamroczeni alkoholem na futon. Obserwujemy sufit,

jak pęcznieje, faluje i wiruje nad naszymi głowami, w czasie gdy słuchamy Gila Scotta-Herona śpiewającego *The Bottle*.

—Wiesz, że tu jesteś, prawda?

—Gdzie?

—W tej piosence — słuchaj...

I idzie na czworaka do mojego sprzętu muzycznego, przyciska „stop” i cofa taśmę.

— Słuchaj bardzo uważnie...

I piosenka się zaczyna, nagranie na żywo, a potem leci jazzowe solo na flecie i Gil Scott-Heron mówi coś, czego nie słyszę do końca...

—Słyszysz? — pyta Spencer, podekscytowany.

—Nie...

—Posłuchaj jeszcze raz, pacanie, słuchaj uważnie.

I przyciska przewijanie do tyłu, „stop” i „start”, włącza głośność na pełny regulator i tym razem słyszę, jak Gil Scott-Heron mówi, całkiem wyraźnie: „Brian Jackson na flecie dla was!”

Tłum bije brawo.

—Słyszałeś?

—Tak!

—To ty!

—Brian Jackson na flecie!

—Jeszcze raz...

I słyszę to jeszcze raz.

„Brian Jackson na flecie dla was!”

— To niesamowite, nie słyszałem tego wcześniej.

— To dlatego, że nigdy nie słuchasz składanek, które dla ciebie robię, ty filisterski błaznie.

I wraca na czworaka na futon, kładzie się i słuchamy tej piosenki około minuty, a ja dochodzę do wniosku, że całkiem lubię jazz, soul albo funk, czy cokolwiek to jest, i postanawiam zbadać świat czarnej muzyki bardziej dokładnie w przyszłości.

— Więc czy Alice to ta, która ci się podoba? — pyta w końcu Spencer.

—Ona mi się nie podoba, Spence, ja ją kocham...

—Kochasz ją...

—Kooooocham ją...

—Kooooooochasz ją...

— Absolutnie, całkowicie, nieodwołalnie kocham ją, całym moim sercem...

— Myślałem, że kochasz Janet Parks, ty niewierna dziwko...

— Janet Parks to krowa w porównaniu z Alice Harbinson. „Dziś dla Alice, nie dla Janet Parks płonę / któż z gołębicą śmiałby równać wronę?”*³⁰

—Co to?

—*Sen nocy letniej*, akt drugi scena trzecia.

—Jackson, ty jełopie. A czy poznam ją tę Alice?

— Może. Jutro wieczorem jest impreza, jeśli jeszcze tu będziesz.

— Chciałbyś, żebym się za tobą wstawił, przyjacielu?

— Nie ma sensu, kolego. Jak mówiłem, ona jest boginią. A co z tobą?

—Ja nie, przyjacielu. Znasz mnie, jestem robotem.

—Musisz kogoś kochać...

—Tylko ciebie, przyjacielu, tylko ciebie...

— Tak, no cóż, ja też cię kocham, przyjacielu, ale to plato-niczna, a nie romantyczna miłość, prawda?

—Ależ tak, to zdecydowanie nieplatoniczne uczucie. Jak ci się wydaje, po co przejechałem cały ten szmat drogi? Dlatego, że cię pragnę. Pocałujmy się, kolego.

Spencer wskakuje na mnie i siada mi na piersiach, cmokając w powietrzu, a ja próbuję go zepchnąć i wywiązuje się pomiędzy nami szamotanina...

—Daj spokój, Bri, nie opieraj się, wiesz, że tego pragniesz...

—Spadaj!

³⁰ * Na podstawie fragmentu *Sen nocy letniej* Williama Shakespeare'a w tłumaczeniu Stanisława Koźmiana, PIW, Warszawa 1966.

—Pocałuj mnie, mój kochany...!

—Spencer! To boli...!

—Nie opieraj mi się, najdroższy...

—Zejdź ze mnie! Siedzisz mi na kluczach, ty idioto...

Nagle rozlega się pukanie i w drzwiach staje Marcus, mrugając oczami, które zdają się bardzo małe za przekrzywionymi okularami w oprawkach pilota, w swoim ciemnoczerwonym fro-towym szlafroku.

—Brian, jest druga piętnaście, czy jest jakiś cień nadziei, że wyłączysz muzykę?

—Przepraszam, Marcus! — odpowiadam i idę na czworaka po podłodze do magnetofonu.

—Czeeeeść, Marcus — mówi Spencer.

—Cześć—mamrocze Marcus, popychając do góry okulary.

—Marcus to cudowne imię, Marcus...

—To mój najlepszy przyjaciel Spencer, Marcus! —rzucam, sepleniąc przy każdym „s”.

—Ściszcie to, dobrze?

—W porządku, Marcus, miło cię poznać, Marcus... I gdy zdążył zamknąć za sobą drzwi...

—Cześć, Marcus, ty duuupku...

—Ciii! Spencer!

Ale przy wyłączonej muzyce nie jest już tak zabawnie, więc z niemałym trudem i całkiem niezłe hałasując, wyciągamy ciężką żelazną ramę łóżka z za szafy i stawiamy ją obok futonu. Następuje krótka debata na temat tego, kto gdzie powinien spać, ale Spencer dostaje futon, ponieważ mimo wszystko jest gościem, kładę się więc na gołej siatce, w ubraniu, pod stertą płaszczy

i ręczników, z głową na grubej na półtora centymetra poliestrowej poduszce, czując, jak podłoga faluje i wiruje pode mną, i pragnąc znowu być trzeźwym.

— Jak długo chcesz się zatrzymać, Spency?

—Nie wiem. Może kilka dni. Aż zdążę sobie wszystko przemyśleć. Czy może tak być, przyjacielu?

—Oczywiście, że tak. Zostań, jak długo zechcesz. Przecież właśnie po to mamy przyjaciół, prawda?

—No to cześć, przyjacielu.

—Cześć.

Po chwili pytam:

— Ale nic ci nie będzie, przyjacielu, prawda?

— Nie wiem, przyjacielu. Nie wiem. Nie jestem pewien. A ty?

—Ze mną wszystko będzie w porządku. Po chwili mówi:

—Brian Jackson na flecie! I ja mówię:

—Brian Jackson na flecie... A on mówi:

—I tłum szaleje... A potem zasypiamy.

RS

PYTANIE: Pod jaką nazwą znany jest powszechnie „kalumet”, główny przedmiot rytualny w kulturze amerykańskich Indian?

ODPOWIEDŹ: Fajka pokoju.

Okolo trzeciej trzydzieści na ranem wymiotuję.

Na szczęście udaje mi się w samą porę dotrzeć na chwiejnych nogach do łazienki, ale gdy podnoszę wzrok znad umywalki, z wilgotnymi wargami, blady i drżący, i spoglądam na swoje odbicie w lustrze, nieomal wymiotuję po raz drugi, ponieważ okazuje się najwyraźniej, że w czasie nocy przeobraziłem się w jakiegoś dziwacznie ohydneho człowieka-jaszczurkę, ze wzorem z łusek w kształcie rombu wzdłuż jednej strony twarzy. Zakrywam usta, żeby stłumić krzyk, i wtedy zdaję sobie sprawę, że to odcisk siatki z ramy łóżka, więc kładę się ponownie spać.

Budzik dzwoni o 8.15 i mam wrażenie, że ktoś wbija mi do ucha szpi-kulec do lodu, leżę w łóżku i słucham deszczu zacinającego w szybę. Bóg wie, że miałem już wcześniej kace, prawdę powiedziawszy, przez większość dni w roku, ale ten jest dziwnie inny, przypomina nieomal halucynacje. Wydaje mi się, że mój cały system nerwowy został przekalibrowany, tak że najmniejsze doznanie — deszcz na zewnątrz, światło padające z lampy na biurku, zapach dochodzący z pustej puszkii Special Brew, która wtoczyła się pod ramę łóżka — wszystko to działa na mnie w groteskowo spotęgowany sposób. Wszystkie moje końcówki nerwowe zdają się nieprzyjemnie ożywione i rozdygotane, nawet te znajdujące się wewnątrz ciała. W rezultacie wyczuwam kształt i położenie moich organów wewnątrz-

nych: płuc świszczących mokro, wyczerpanej, pocącej się żółtoszarej masy mojej wątroby, osuniętej na kręgosłup, przekrwionych, zmęczonych i obolałych fioletowych nerek, rozgrzanej i targanej skurczami dolnej części jelita. Usiłuję się poruszyć, żeby fizycznie wyrzucić ten obraz z mojej głowy, ale hałas włosów szeleszczących o poduszkę jest również ogromnie spotęgowany, leżę więc bardzo spokojnie na boku i patrzę na Spencera, śpiącego kilkadziesiąt centymetrów dalej, z lekko otwartymi ustami, z których cieknie mu matowa strużka śliny, tworząc na poduszce wilgotną plamę. Leżę dość blisko, by czuć jego oddech, który jest nieświeży, lepki i ciepły. Boże, zapomniałem o jego fryzurze skinheada. Wygląda jak faszysta, przystojny, charyzmatyczny faszysta, ale właśnie oni są najgorsi, jak uczy nas historia. A co, jeśli zobaczą mnie z nim na dzisiejszej imprezie, i pomyślą że przyjaźnię się z faszystami? Może nie będzie go tu dzisiaj wieczorem. Może pojedzie do domu. Może tak będzie lepiej.

Podniesienie się i zajęcie pozycji siedzącej na brzegu łóżka wydaje się herkulesowym wyczynem i słyszę faktycznie, jak zawartość mojego żołądka przesuwa się, a potem opada, niczym cienki plastikowy worek pełen ciepłego, lekko musującego budyniu. Pomysł zmiany wczorajszych ubrań wydaje się szczerze absurdalny, więc rezygnuję z niego, i nie jestem nawet pewien, czy będę w stanie zasznurować buty, bez wymiotowania na nie, ale jakoś mi się udaje, potem naciągam swój płaszcz/koc i udaje mi się wyjść z domu, podczas gdy Spencer nadal śpi, i idę pod górę w stronę wydziału filologii angielskiej. Pada nieprzerwana mżawka i wieje silny wiatr. Wydawało mi się naiwnie, że będę w stanie przeczytać po drodze *Pukiel porwany*, ale strony książki mokną, a poza tym mój system nerwowy zaledwie pozwala mi iść, bez wywrócenia się.

Pod salą wykładową opieram się o ścianę i energicznie pocieram dłońmi twarz, starając się, by nabrała jakiegoś innego koloru niż szary, i zauważam Rebecę Epstein wychodzącą z bramy. Przez sekundę wydaje mi się, że mnie zauważyła, ale postanowiła po prostu pójść dalej, ale to niemożliwe, ponieważ oznaczałoby to, że mnie ignoruje.

— Rebecca! — krzyczę, ale ona kroczy przed siebie ulicą, z kołnierzykiem swojego czarnego plastikowego płaszcza postawionym do góry i pochyloną przed deszczem głową.

— Rebecca...?

Trzymam dłoń na worku musującego budyniu i usiłuję biec bez poruszania głową.

—Rebecca, to ja, Brian!

—A rzeczywiście. Cześć, Jackson — rzuca oschle.

—Co słyhać?

—W porządku.

I idziemy kawałek dalej.

—Dobry wykład? — pytam.

—Uhm.

—Na jaki temat?

—Chcesz naprawdę wiedzieć czy nie wiesz, o czym mówić?

—Nie wiem, o czym mówić.

Wydaje mi się, że widzę jakiś cień uśmiechu, ale może to tylko moja wyobraźnia, bo zaraz potem mówi:

— Czy nie powinienes sam być w drodze na wykład?

— Cóż, miałem taki zamiar, ale nie jestem pewien, czy się czuję na siłach...

—Na jaki temat ten wykład?

—Chcesz naprawdę wiedzieć czy nie wiesz...

—Podle wyglądasz, tak na marginesie.

—Tak się czuję.

—To dobrze. Bardzo mnie to cieszy.

Robi wrażenie wrogo nastawionej. Zawsze robi takie wrażenie oczywiście, ale dzisiaj jeszcze bardziej. Idziemy jeszcze kawałek, ja tuż za nią, i zastanawiam się, jak ktoś z takimi krótkimi nogami jest w stanie iść dużo szybciej ode mnie.

—Becs, jesteś na mnie zła czy co?

—„Becs”? Kim, u licha, jest „Becs”?

—Chciałem powiedzieć, Rebecca. Więc jesteś?

— Nie jestem zła. Jedynie... rozczarowana.

— Boże, tylko nie ty.

Spogląda mi w oczy, po raz pierwszy.

— Wygląda na to, że obecnie wszystkich rozczarowuję. Nie wiem dlaczego. Bardzo się staram tego nie robić, naprawdę.

Słyszając to, zatrzymuje się i stoimy przez chwilę na ulicy w deszczu, podczas gdy ona mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów.

— Wiesz, że masz zupełnie szarą twarz, prawda?

— Wiem.

— I masz coś białego w kąciку ust. Wycieram to rękawem płaszcza i wyjaśniam:

— Pasta do zębów.

Sam jednak nie jestem pewien.

— Słuchaj, jadłaś już śniadanie?

— A co z twoim wykładem?

Przypominam sobie swoje postanowienie, żeby chodzić na wszystkie możliwe wykłady, ale Rebecca wydaje się ważniejsza niż postanowienia, więc mówię:

— Chyba daruję sobie ten wykład.

Ona zastanawia się przez chwilę, potem mówi:

— No to chodźmy.

Schodzimy następnie z powrotem w dół wzgórza.

Para i tłuszcz z serwowanych na śniadanie dań zaparowują okna kawiarni, skraplają się na zimnej szybie, spływają kroplami i tworzą mokre plamy na naszym czerwonym stoliku z formiki. Rebecca i ja siedzimy w boksie, ona pije kubek herbaty, a ja jem śniadanie złożone z kawy z mlekiem, puszki coli, chrupiącej bułki z bekonem, z sosem, i batonika Mars. Rebecca bazgrze palcem po zaparowanej szybie, podczas gdy ja opowiadam:

— ...został oskarżony o bezprawne pobieranie zasiłku, co osobiście uważam za skandal. Wystarczy tylko pomyśleć, jakie kwoty defraudują te ogromne firmy, unikając płacenia podatków, i nikt nawet nie mrugnie okiem...

—Hmm...

— ...chodzi mi o to, co to jest nędzne dwadzieścia trzy funty tygodniowo? Nikt nie jest w stanie przeżyć za takie pieniądze. I czego się spodziewają, że co będą robić ludzie, jeśli wkoło brakuje przyzwoitej pracy...

— Aha...,

— ...chciałbym zobaczyć, jak któryś z tych cholernych to-rysów radziłby sobie przy takich dochodach. W każdym razie boję się, że zamierza mnie poprosić, żebym pożyczył mu pieniądze, a mnie nie stać na to, żeby mu pożyczyć, nie przy takich stypendiach...

I w tym momencie przestaję mówić, ponieważ zdaję sobie sprawę, że Rebecca napisała słowo „Pomooocy!”, od tyłu, na zaparowanym oknie.

— Przepraszam. Jestem trochę nudny, prawda?

— No cóż, Jackson, znasz mnie, zazwyczaj nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności niż poranna dyskusja na temat polityki socjalnej to-rysów, tyle że, no cóż, nie o to w tym wszystkim chodzi, prawda?

—Przypuszczam, że nie. Biorę głęboki oddech.

—Przepraszam za to, co się wtedy wydarzyło.

—A wiesz, za co dokładnie przepraszasz? Czy wiem?

—Nie, chyba nie wiem.

—W takim razie nie są to prawdziwe przeprosiny, prawda?

—Nie. Chyba nie.

Spoglądając wstecz na ten wieczór, stwierdzam, że przypominało to trochę wplątanie się w pijacką bójkę przed pubem w piątek w nocy. W danym momencie wydaje się ona ekscytująca, barwna i przerażająca, ale po upływie czasu człowiek nie jest pewien, kto zrobił co i komu ani nawet kto to wszystko zaczął. Zastanawiam się przez chwilę nad podzieleniem się z Rebecca odkrytą przeze mnie analogią, ale nikt nie chciałby usłyszeć, że całowanie się z nim jest jak bijatyka przed pubem, w zamian mówię więc tylko:

—Założyłem, że, no wiesz, stało się to co zwykle.

—Co rozumiesz przez to pojęcie?

— No wiesz, jak zwykle popisałem się swoją rażącą nieudolnością.

—Ach, cóż, nie jesteś wcale gorszy ode mnie...

—Jestem dużo gorszy od ciebie.

—Nie jesteś...

—Jestem...

—Nie, nie jesteś...

—Jestem, jestem odrażający...

— No dobrze, Jackson, nie bawmy się w dialektykę, dobrze? Sączy herbatę, zdaje się ją przeżuwać, a potem mówi:

— Słuchaj, byłam trochę wstawiona i popełniłam błąd, „źle odczytałam sygnały”, czy jak się to mówi, i nawet nie jestem jakoś szczególnie na ciebie zła, w rzeczywistości trochę mi wstyd. Nieczęsto zdarza mi się... — i w tym momencie wybucha krótkim, gorzkim śmiechem — ..tak się odsłonić, czy to właściwe określenie? — Oblizuje następnie koniuszek palca i wymiata nim okruchy bułki z mojego talerza. — Mimo to jestem pewna, że nauczę się jeszcze kochać.

Nasza rozmowa przybiera wyraźnie nowy i intrygujący wymiar osobisty, pochylam się więc do przodu nad stołem i opieram głowę ukośnie o mokrą szybę, w sposób, który jak mi się wydaje, wskazuje na rodzaj tęsknej wrażliwości, i niskim głosem pytam:

— Czy masz za sobą no wiesz, jakieś negatywne emocjonalne przeżycia w kwestii uczuć?

Rebecca nieruchomieje z kubkiem uniesionym do połowy ust, potem ogląda się za siebie w obydwie strony.

—Przepraszam, ale czy mówiłeś do mnie?

—To uczciwe pytanie, prawda?

—To nie twój zasrany interes. Co spodziewasz się usłyszeć? Że to dlatego, że tatuś nigdy nie pozwolił mi mieć kucyka? Upiłam się i miałam ochotę na odrobinę ludzkiego, czegokolwiek, odruchu, spróbowałam okazać swoje uczucia i zostałam odrzucona. Nic takiego się nie stało. Tylko dlatego, że wszyscy inni w tym cholernym miejscu nie potrafią opanować swoich pieprzonych emocji, nie znaczy, że ja też muszę taka być...

—Uważam, że za dużo przeklinasz.

—Gównu mnie to obchodzi...

— Uważam, że jeśli się przez cały czas przeklina, to dewaluuje się efektywność wymawianych przekleństw.

— A kto ty jesteś, pieprzona Mary Poppins? — rzuca. Uśmiecha się jednak przy tym, w ledwie zauważalny sposób, a to wszystko, na co mogę mieć nadzieję. Następnie pije herbatę, wygląda przez okno i rzuca od niechcienia:

— Jeśli już musisz wiedzieć, to mój ostatni związek zakończył się w klinice aborcyjnej, więc... no cóż... w każdym razie nie podchodzę do tych spraw tak lekko i nieodpowiedzialnie jak większość ludzi. To wszystko.

Nie wiem, jak zareagować. Albo raczej wiem, jak zareagować z politycznego punktu widzenia, nie jestem tylko pewien, jak powinienem zareagować jako istota ludzka. Nie wiem, co zrobić ze swoją twarzą. Być może cała sztuka polega na tym, żeby nie zrobić się nagle zbyt poważnym, nie robić z tego wielkiej sprawy.

—Kim był?

—Taki facet ode mnie, pewien gość, z którym nigdy nie powinnam się była pieprzyć. Nikt, kogo znasz — wyjaśnia, nakłuwając moją zwiniętą w kulkę serwetkę.

—I wystawił cię do wiatru, dlatego że...?

—Nie, oczywiście, że nie. Cóż, nie od razu. Ależ skąd. To było dość skomplikowane...

Następnie wzdycha, spogląda na mnie, a potem z powrotem na serwetkę.

— Facet o imieniu Gordon, z którym byłam w ostatniej klasie. Pierwsza prawdziwa miłość, wszystkie te bzdety. Chodziliśmy ze sobą przez jakieś sześć miesięcy i mieliśmy się wybrać tego lata razem w wielką podróż pociągiem po Europie, po skończeniu szkoły średniej, potem wziąć sobie jeden rok wolnego i zamieszkać gdzieś za granicą, żeby zobaczyć, jak się nam układa, żeby zobaczyć, czy będziemy chcieli, no wiesz, nieważne. Wyruszyliśmy więc w podróż po Europie, oglądając zabytki, sypiając na plażach, wszystko jak w naiwnych marzeniach miłosnych nastolatki, potem gdzieś w połowie Hiszpanii okazało się, że jestem w ciąży. Omówiliśmy więc to, zdecydowaliśmy, co zrobić, wróciliśmy prosto do domu i rozwią-

zaliśmy problem. I powiedział, że przejdziemy przez to razem i że będzie przy mnie, co zresztą zrobił. Ale tylko przez półtora tygodnia. Oto i cała historia.

— A czy, no wiesz, kochałaś go?

Marszczy czoło, zaciska usta, ale nie odpowiada, patrzy jedynie przez okno, a potem znowu na zwiniętą w kulkę serwetkę. Nie wiem, co powiedzieć, ale wydaje mi się, że coś powinienem.

— No cóż, jestem pewien, że podjęłaś wtedy słuszną decyzję. Rebecca obrzuca mnie gniewnym spojrzeniem.

— Brian, wiem, że podjęłam słuszną decyzję. Nie prosiłam cię o aprobatę...

— Nie, wiem...

— ...i naprawdę nie ma też potrzeby, żebyś zaczynał przemawiać do mnie tym głupkowskim głosem...

— Jakim głosem?

— Wiesz, jakim głosem. Jak wiesz, to się zdarza, aborcja, dużo częściej, niż ci się wydaje...

— Wiem...

— ...i nie zwijamy się też z tego powodu wszystkie w kłębek, i nie zamykamy się w kącie z egzemplarzem *Szklanego klosza*, wiesz. Większość kobiet przechodzi nad tym do porządku dziennego...

— Na pewno...

— ...w takim razie zmieńmy temat, dobrze?

— W porządku.

— Czy to twój mars? — pyta.

Opanowuje mnie chwilowy moment paniki, podczas którego usiłuję sobie przypomnieć, czy nie należy przypadkiem bojkotować batoników Mars.

— Aha.

— Podaj mi go.

Posłusznie podaję jej batonik, a ona odgryza kęs i żuje go przez chwilę.

— Dlaczego wszystko, co jesz i pijesz, jest brązowego koloru? Nigdy nie widziałam takiej ilości brązowego jedzenia. Wiesz, nie zaszkodziłoby ci, gdybyś od czasu do czasu zjadł jakieś warzywo albo owoc...

— Mówisz jak moja mama — odpowiadam.

— Cóż, jest bardzo mądrą kobietą. Powinieneś jej słuchać. I mnie. Odgryza kolejny kęs.

— A więc widziałeś ją? — pyta z pełnymi ustami.

— Kogo? Mamę?

— Nie, nie twoją mamę...

— Kogo w takim razie?

— Wiesz kogo, pieprzoną Farrah Fawcett.

— Och, kilka razy.

Odgryza jeszcze jeden kęs, a potem popycha batonik Mars w moją stronę, tak że ląduje klejącym końcem w dół.

— A czy nadal... ją lubisz?

Domyślam się, że istnieją duże szanse, iż mogę skończyć z łyżką w oku, dobieram więc bardzo starannie słowa.

— Wydaje mi się, że tak.

— A jak myślisz, co ona myśli o tobie?

— Wydaje mi się, że uważa mnie... za interesującego.

Spogląda na mnie i zaczyna coś mówić, potem znowu spogląda przez okno, i znowu zaczyna pisać po zaparowanej szybie, rysuje też uśmiechniętą buzię.

— Interesującego, tak? Cóż, to bardzo poruszające, że się nie poddasz. Wytrwałość w obliczu przeciwności. Jesteś bardzo... dzielny — decyduje, zwijając usta w trąbkę.

— No cóż. Prawdę powiedziawszy, nie wydaje mi się, żebym miał jakiś wybór.

— Ależ skąd, Brian, zawsze jest jakiś wybór. Zawsze możesz wybrać, czy chcesz zostać zupełnym i absolutnym idiotą.

Kiedy wracani do siebie w połowie dnia, zauważam Marcusa wychodzącego z domu i zamykającego na klucz drzwi wejściowe. Chowam się za ścianą i rozważam ucieczkę, ale nie odzyskałem jeszcze pełnej władzy w

nogach, a poza tym Marcus mnie widział i czeka na szczycie schodów, uderzając w otwartą dłoń niewidzialnym wałkiem.

—Cześć, Marcus!

—Witaj, Brian.

Usiłuję go ominąć i schować się przed mżawką w pobliżu drzwi, ale on stoi w miejscu.

—Przepraszam za ostatnią noc, Marcus — rzucam, ty gnojku...

—Jesteś świadom, że przebywanie gości na terenie uniwersytetu w porze nocnej jest niedozwolone, prawda?

—Tak, wiem o tym... — odpowiadam, zdejmując mu z nosa jego okulary w oprawkach pilota...

—Chodzi mi o to, że ja i Josh też moglibyśmy mieć znajomych, którzy chcieliby się zatrzymać u nas na noc, ale nie robimy tego, ponieważ przestrzegamy uniwersyteckich rozporządzeń...

—Wiem, Marcus... — zgadzam się, łamiąc okulary idealnie na dwie części, przez środek...

—W takim razie jak długo zamierza zostać?

—Nie wiem. Może kilka dni? Musi dojść z sobą do ładunku... — ...rzucam złamane okulary na ziemię i rozgniatam szkło stopą... — Wydaje mi się, że to może potrwać trochę dłużej niż kilka dni...

Spoglądam w stronę swojego okna, obawiając się, że Spencer może jeszcze leżeć w łóżku, nasłuchując, następnie proponuję, ściszoneg głosem:

— Jutro? Jutro stąd wyjedzie.

Marcus rozważa moje słowa i w końcu uznaje, iż może zaakceptować moją propozycję.

— W porządku, jutro. Ale nie później — rzuca, omijając mnie, a ja kładę stopę na jego kości krzyżowej i spycham go w dół kamiennych schodów, wprost w objęcia śmierci. — Miłego dnia — rzucam.

W szarym południowym świetle mój pokój jawi się jako płatanina ram łóżka i okładek na płyty, kurtek i materacy, kołder i wilgotnych ręczników. W powietrzu unosi się cierpki i uderzający w nozdrza zapach amoniaku i alkoholu. Mam wrażenie, że gdybym wszedł do środka, paląc papierosa,

pokój wyleciałby w powietrze. Pomimo deszczu otwieram więc szeroko okno i włączam górne światło, żeby sprawdzić, czy Spencer nie leży gdzieś nadal pod kołdrą. Nie leży. W zamian znajduję na biurku wiadomość, zapisaną na kawałku kartki w linie formatu A4.

„Poszedłem do pubu. Do zobaczenia”.

Podróżny budzik na półce pokazuje godzinę 11.55. Obok leży stos drobnych monet, które wyjąłem wczoraj w nocy z kieszeni. Powinno tam być około czterech funtów pięćdziesiąt pięć, przeliczam je jednak, na wszelki wypadek.

Cztery funty pięćdziesiąt.

I sam nie wiem, co bardziej mnie zasmuca, myśl o tym, że jeszcze nie ma południa, a Spencer jest już w pubie, czy fakt, że sprawdziłem, czy nie ukradł mi pieniędzy.

RS

PYTANIE: Które obchodzone potajemnie grecko--rzymskie święto, początkowo zarezerwowane wyłącznie dla kobiet, następnie dopuszczające również mężczyzn, zostało następnie całkowicie zakazane przez rzymski senat w 186 roku przed naszą erą, ze względu na jego rzekomy orgiastyczny charakter?

ODPOWIEDŹ: Bachanalia.

Jest rzeczą ogólnie wiadomą że gdy zaczynają grać wolne kawałki, to znaczy, że impreza zaczyna przeżywać kryzys.

Gdy razem ze Spencerem zjawiamy się na progu mieszkania numer 12 na Dorchester Street, słyszymy wyraźnie *Gee, Officer Krupkę* z *West Side Story*, którego głośne dźwięki płyną ze sprzętu stereofonicznego z salonu. Towarzyszy im akompaniament kilku ostentacyjnie doskonałych męskich głosów, i mimo że kocham musicale z Broadwayu jak najlepszego przyjaciela, na wszystko w życiu jest czas i miejsce. Poza tym mój najlepszy przyjaciel to Spencer, który raczej nie jest fanem teatru muzycznego, i przygląda mi się w tej chwili z obawą.

—Jesteś pewien? — pyta mnie.

—Jak włączą *Starlight Express*, wychodzimy. Zgoda?

W tej chwili otwierają się drzwi, a w nich wita nas Erin — ko-bieta-kot.

—Hej, Erin! — rzucam radośnie.

—Cześć, Brian — wzdycha w odpowiedzi.

Wszyscy stoimy bez ruchu. Widzę, jak jej wzrok biegnie w kierunku ogolonej głowy Spencera.

—To mój przyjaciel, Spencer!

—W porządku? — upewnia się Spencer. Hm — odpowiada Erin.

Jest wyraźnie niezbyt pewna, czy wszystko jest w porządku, więc jako zachętę unoszę do góry butelkę wina i cztery puszki piwa, i w końcu otwiera drzwi.

— Kuchnia jest tam — wyjaśnia Erin.

Oddała się następnie w stronę ciężkiej atmosfery nowojorskiego West Side, gdzie trójka radosnych, chudych i przesadnie podekscytowanych chłopaków z Wydziału Aktorskiego odgrywa cwanych Jetsów w typie macho. Na korzyść Erin należy jednak powiedzieć, że zdejmuje płytę *West Side Story* i kładzie Sly and the Family.

— Och! Ale kolejna będzie *I Feel Pretty!* — zawodzi z wyraźnym rozczarowaniem jeden z Jetsów.

Widzę, jak Spencer Rekin potrząsa głową i przeczesuje dłonią miejsce, gdzie przedtem miał włosy, a mnie ogarania bezsporne uczucie, że przybyłem na imprezę z odbezpieczonym i załadowanym rewolwerem.

Gdy wracam po śniadaniu z Rebeccą, sprawdzam, czy Spencer nie ukradł części pieniędzy, potem postanawiam zapisać kilka rzeczy w moim notesie z poezją. Na nowej stronie, naprzeciwko „alabastrowych piersi”, piszę:

*para i tłuszcz skraplają się na kawiarnianym talerzyku — szklane okna.
dania śniadaniowe*

...następnie opanowuje mnie zmęczenie i dochodzę do wniosku, że na dzisiaj to wystarczy. Szczerze mówiąc, brak mi sił, więc kładę się na futonie i zaczynam czytać *Pieśń o starym żeglarzu*, dochodzę do „Powstrzymał krok jednego z nich...”, aż ciepło i opary z gazowego grzejnika sprawiają, iż pograżam się w stosownie narkotycznym śnie.

Budzę się w popołudniowym mroku, w ubraniu, spocony i z nieprzyjemnym smakiem w ustach. Spencer siedzi ze stopami opartymi na moim biurku i czyta Coleridge'a.

—Wszystko w porządku, Śpiąca Królowno?

—Która jest godzina?

I znowu się pojawia — ukłucie niewysłowionego żalu, że całkowicie zmarnowałem kolejny, absolutnie idealny dzień. Ogromne kawałki mojego życia uleciały w ten sposób, szczególnie długie szkolne wakacje; moje młodzińcze lata, te podobno idylliczne, długie, gorące wakacje, wszystkie wyparowały w mglistym odrętwieniu kaca i bezsensownych włóczęgach po Woolworth, i przyprawiających o ból głowy popołudniowych drzemkach, i filmach wideo z drastycznymi scenami, oglądanymi po raz piętnasty przy zaciągniętych zasłonach, i pijackich sprzeczkach, i wyzwiskach, i jedzeniu na wynos, i niespokojnym śnie, i kolejnych kacach, i kolejnym powrocie do Woolworths. Czyż nie poczyniłem pewnych postanowień w związku z tym? Czyż nie miało się to skończyć do tej pory? Mam już dziewiętnaście lat; nie mogę sobie pozwolić, żeby życie przeciekło mi w ten sposób między palcami. Więc dlaczego znowu to zrobiłem? Dochodzę do wniosku, że to wina Spencera, i siadam niezadowolony.

—Kto cię wpuścił?

—Jakiś długowłosy dupek w aksamitnej kamizelce.

—Josh?

—„Josh”. Niezbyt przyjacielski.

—A czy ty byłeś przyjacielski?

—Pewnie nie. A co, powinienem?

—Cóż, muszę z nim mieszkać, więc...

Spencer nic nie mówi, rzuca jedynie Coleridge'a z powrotem na moje biurko. Dociera do mnie zapach piwa, papierosów i potu.

—Gdzie w takim razie byłeś?

—Poszedłem do pubu. Przeczytałem gazetę. Chodziłem po sklepach.

—Kupiłeś coś?

—Za co?

Może za to samo, za co kupiłeś piwo i papierosy?, myślę, ale mówię co innego:

—To ładne miasto, prawda?

—O tak, całkiem przyzwoite. — Pociera dłońmi twarz. — Więc co teraz?

—Cóż, jest dzisiaj to przyjęcie, powinno być niezłe, ale szczerze mówiąc, najpierw muszę trochę popracować...

—Nie, nie musisz.

—Spence, muszę...

— Dobrze, w takim razie posiedzę trochę i poczytam. Muszę jednak wydostać się z tego pokoju, jak najszybciej, więc zamiast zgodzić się, proponuję:

— ...a może moglibyśmy pójść do kina?

Idziemy więc do kina i oglądamy ekranizację *Amadeusza*, o 17.15, która wydaje mi się piękną i głęboką analizą istoty geniuszu, a którą Spencer w całości przesyphia.

Sprawy mają się lepiej, jak to zazwyczaj bywa, gdy idziemy do pubu. Kłócimy się o to, co wybrać w maszynie grającej, wyrzucamy pięćdziesiąt pensów na automat do gier, potem siadamy w małym boksie i znowu się śmiejemy. Spencer opowiada mi, że Tone wstąpił do ochotniczej służby obrony kraju.

—Żartujesz...

—Nie żartuję...

—Ale on jest stuknięty.

—To nie ma znaczenia. Oni wolą stukniętych...

—A więc zamierzają mu dać broń?

—Kiedyś.

—Za duuuuże ryzyko — mówimy zgodnie.

Zdaję sobie sprawę, że nie powiedziałem „za duuuuże ryzyko” już od lat. Potem Spencer mówi:

—Na początku, oczywiście, uczą go jedynie, jak usiąść na piersiach przeciwnika i pierdnąć mu w twarz...

—.. .albo podkraść się do niego od tyłu i natrzeć mu głowę knykciami naprawdę mocno.

—...potem jak podwędzać sprzęt stereofoniczny...

—...do cholery — sierżant Tone...

—.. .nieustraszony stróż prawa...

— Cały wolny świat śpi bezpiecznie w swoich łóżkach. — Spence przetyka piwo, a potem dodaje: — Powiem ci, co w tym wszystkim jest naprawdę zabawne, otóż usiłuje mnie namówić, żebym ja też wstąpił. Uważa najwyraźniej, że potrzeba mi trochę porządku i dyscypliny w życiu.

— Pociąga cię to?

— W ogóle. Weekendy spędzone w zasmrodzonym namiocie na Salisbury Plain, ze zgraj ątorsowskich oszołomów, zwariowanych na punkcie broni. To dokładnie ten surowy reżim karny, jakiego potrzebuję.

I dostrzegam swoją szansę, żeby przemycić to niepostrzeżenie, więc nie przestaję się uśmiechać i rzucam:

—A zastanawiałeś się nad powrotem do college'u, może... ? Spencer jednak to zauważa i odcina się:

—Odpieprz się, Bri...

Nie w nieuprzejmy sposób, ale też nie w uprzejmy, jakby ze zmęceniem.

— A poza tym uniwersytet to obowiązkowa służba wojskowa dla klasy średniej.

—To co powiesz o mnie? Nie należę do klasy średniej.

—Należysz...

—Nie, nie należę...

—Ależ tak...

—Moja mama zarabia znacznie mniej niż twoi rodzice...

— W tym nie chodzi jednak o pieniądze, prawda? A o podejście.

—Technicznie rzecz biorąc, chodzi o to, kto znajduje się w posiadaniu środków produkcji...

—Bzdury, chodzi o podejście. Twoja mama mogłaby cię zesłać do kopalni, a ty i tak wróciłbyś jako członek klasy średniej. To wszystko, co mówisz, książki, które czytasz, ten film, przez który musiałem przesiedzieć tyle czasu w kinie, to, jak jeździsz na wycieczki szkolne i wydajesz pieniądze na podręczniki i pocztówki, a nie na papierosy i gry, to sposób, w jaki prosisz o czarny pieprz we frytkami...

—Nigdy czegoś takiego nie zrobiłem...

—Ależ tak, Bri! Byłem wtedy z tobą.

W rzeczywistości, na swoją obronę, pamiętam to zdarzenie tak, że nie poprosiłem o czarny pieprz, wybrałem czarny pieprz, ponieważ go mieli, ale nie chcę drażnić tego tematu.

— Uważasz więc, że tylko dlatego, iż ktoś lubi czytać albo chce się czegoś nauczyć, albo woli czarny pieprz, albo nad piwo czy coś innego przedkłada wino, sprawia, że staje się członkiem klasy średniej?

—Tak, mniej więcej...

—Niektórzy mogliby pomyśleć, że to trochę stereotyp...

—Słuchaj, Bri, rzecz w tym, że nazywałeś się socjalistą ale gdybyś żył w czasach rewolucji w Rosji i Lenin powierzyłby ci zadanie przeprowadzenia egzekucji cara i jego rodziny, nie zrobiłbyś tego. A wiesz dlaczego? Bo byłbyś zbyt zajęty podrywaniem córki cara...

Wszelkie pozostałości porannego kaca znikają po trzecim piwie i po raz kolejny nie mogę wyjść z podziwu nad pocrzepiającą i leczniczą mocą piwa. Bez wątpienia, ta impreza jest dla mnie ogromną szansą na pchnięcie do przodu spraw związanych z Alice, myślałem więc bardzo długo i mozolnie nad tym, jak to rozegrać, i doszedłem do wniosku, że klucz do sukcesu tkwi w tym, żeby być olśniewającym i wyniosłym. Te dwa słowa są moją dewizą na dzisiejszy wieczór. Olśniewający. Wyniosły.

A zatem ważne jest, żebym się za bardzo nie upił. Na kolację każdy z nas je więc trzy opakowania chipsów i trochę prażonych orzeszków ziemnych, ze względu na proteiny, a potem wyruszamy na przyjęcie.

Gdy przybywamy na Dorchester Street, numer 12, jest oczywiste, że impreza znajduje się w tej fazie, którą można nazwać przełomową. Nawet pobieżny rzut oka na kuchnię mówi mi, że lista gości wykazuje mocną przewagę na rzecz środowiska teatralnego — jest tu przeważająca część chóru *Bachantek*, przekrzykująca się wzajemnie, i Neil jakiś tam, gwiazda przedstawienia *Króla Ryszarda III* w nowoczesnych kostiumach, które odniosło duży sukces w poprzednim semestrze, opiera się o lodówkę i gawędzi przyjacielsko z księciem Buckingham, i Antygona, jedna z gospodyń, wysypuje ciasteczka serowe do dużej miski. Jak na razie, niema śladu Alice, i jestem z jakiegoś powodu bardzo zdenerwowany, chociaż nie jestem pewien, czy to dlatego, że obawiam się, jak odbierze ją Spencer, czy też raczej, jak ona odbierze Spencera.

A potem nagle pojawia się znikąd i stoi w drzwiach do kuchni, rozmawiając z Ryszardem III. Nie widziała mnie, opieram się więc, olśniewający i wyniosły, o zlewozmywak w kuchni i przyglądam się jej. Ma włosy zebrane na czubku głowy, tak iż tworzą artystyczny nieład, a na sobie bardzo obcisłą, czarną wieczorową suknię z długimi rękawami, zrobioną z takiego samego materiału jak trykoty, zebraną bardzo nisko z przodu, co tworzy rodzaj olśniewającego dekoltu i przychodzi mi na myśl strój, który Kate Bush zwykła nosić na pierwszych występach estradowych, zanim postanowiła się skoncentrować wyłącznie na nagraniach studyjnych. W rzeczywistości jest jej wiernym sobowtórem, aż po ciemne półksiężycy potu, które zaczynają się pojawiać pod pachami.

— To Alice — szepczę do Spencera.

— Ta z alabastrowymi piersiami? — dopytuje się.

Zanim jestem w stanie cokolwiek powiedzieć, Alice zbliża się pędem do nas, stojących przy zlewozmywaku, krzycząc niecierpliwie:

— Sól! Sól! Sól!...

— Cześć, Alice — witam ją, olśniewający i wyniosły.

— Czy widziałeś gdzieś sól? Ktoś wylał czerwone wino na afgan Cathy...

— To mój najlepszy kumpel Spencer...

—Miło cię poznać, Spencer. Potrzebuję jakąś szmatkę, czy możesz się przesunąć, Brian!... — wyjaśnia, odsuwając mnie od zlewu, a ja nie mogę nie zauważyć kilku milimetrów czarnego koronkowego biustonosza wystającego spod jej trykotu...

—Oto sól! — krzyczy Antygona, a Alice wybiega z kuchni z moką szmatką.

—To była Alice — wyjaśniam.

—Cóż, wyraźnie pomiędzy wami coś iskrzy, Bri...

—Tak myślisz?

— O tak, szczególnie widać to po sposobie, w jaki kazała ci zejść z drogi.

Mówię mu, żeby się odpieprzył, i wychodzimy z kuchni.

W holu spotykamy Patricka i Lucy, którzy przybyli razem, trzymając w rękach identyczne litrowe butelki soku pomarańczowego o wydłużonej trwałości. Wydaje mi się to dziwne, ale kładę to na karb przypadku. Ogarnia mnie przelotne uczucie paniki, ponieważ nie powiedziałem Spencerowi o *Challenge*, przekonuję się jednak, że to mało prawdopodobne, aby temat ten pojawił się w zdawkowej rozmowie, więc przedstawiam ich sobie po bieżnie.

— Skąd się znacie z Bri? — pyta Spencer, popisując się dobrym wychowaniem.

— Jest z nami w drużynie — wyjaśnia Patrick.

—A co to za drużyna? — dopytuje się Spencer, wypijając łyk ze swojej puszki.

—Drużyna *University Challenge* — odpowiada Patrick, następnie cofa się zrećcznie w samą porę, żeby uniknąć prysznicu z piwa...

—Żartujesz — dziwi się Spencer, wycierając usta wierzchem dłoni.

— Nie — odpowiadam ze znużeniem. — Drużyna to nasza trójka i Alice...

— Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

— Nie zdążyłem — rzucam, uśmiechając się przeproszająco do Patricka i Lucy.

—Do licha, Brian Jackson w *University Challenge*... - Tak.

—Chociaż, formalnie rzecz biorąc, Brian był jedynie zawodnikiem rezerwowym... — dodaje Patrick. — Gdyby inny członek drużyny nie zachorował na żółtaczkę...

—I będziesz naprawdę w telewizji... — śmieje się Spencer.

—Aha.

—Kiedy?

—Za trzy tygodnie.

—Z Bamberem Gascoigne'em...?

—Tak, z Bamberem Gascoigne'em.

—Wygląda na to, że cię to bawi — zauważa Patrick, uśmiechając się bardzo delikatnie.

—Nie, nie, przepraszam, wcale mnie to nie bawi, uważam, że to... nie-samowite. Gratuluję, Bri, przyjacielu. Przecież wiesz, jakim jestem fanem tego show... — I zaczyna się znowu śmiać.

Patrick prychnął i stwierdza:

— Szczerze mówiąc, zamierzam wziąć sobie coś do picia... Wpycha karton soku pomarańczowego pod pachę i kieruje się w stronę kuchni, a za nim podąża Lucy, która się uśmiecha, zawstydzona, i gdy już odchodzą mówię:

—Nieźle, Spence...

—Co? Co znowu zrobiłem?

—Właśnie ich wyśmiałeś, to wszystko.

—Nie, nie wyśmiałem.

—Ależ tak.

— No cóż, przykro mi, Brian, ale zawsze zastanawiałem się, co za durny, zbikowany, zapyziały głupek chciałby się znaleźć w tym programie, i okazuje się, że to właśnie ty, Brian. To ty...

I znowu się śmieje, więc ja też się śmieję, i mówię mu, żeby się odpieprzył, i on mi mówi, żebym się odpieprzył, i ja mówię mu, żeby się odpieprzył, i zaczynam się zastanawiać, czy to normalne, żeby dwóch najlepszych przyjaciół mówiło sobie tak często, żeby się odpieprzyć.

Postanawiamy sprawdzić, co się dzieje na górze, i po chwili stoimy przed drzwiami do pokoju, na których ktoś przykleił taśmą klejącą kartkę z

odręcznym napisem „Zakaz wstępu”. Wchodzimy i w środku znajdujemy krąg siedmiu czy ośmiu osób, siedzących na podłodze, przekazujących sobie z rąk do rąk skręta i słuchających Chrisa z brudnymi paznokciami, który kontynuuje swoją epicką podróż „po Pendżabie bez rolki papieru toaletowego”, a to wszystko do akompaniamentu wczesnego Van Morrisona. Obok Chrisa, trzymając go pod ramię, siedzi jego dziewczyna, z dużymi zębami i prostymi włosami, miniaturowa wersja Chrisa, która jestem niemal pewien, ma na imię Ruth.

—Chodź, spływamy stąd — szepczę do Spencera. Ale Chris słyszy mnie i odwraca się:

—W porzo, Bri!

—Hej, Chris! Chris jest ze mną w jednej grupie seminaryjnej. Chris, to jest mój najlepszy przyjaciel Spencer...

—Hej, Spencer! — wita się Chris.

—...a to jest Ruth... — kontynuuje prezentację.

—A ściśle mówiąc, mam na imię Mary — wyjaśnia Mary, odwracając się i poruszając koniuszkami palców Spencera. — Cześć, Spencer, naprawdę miło cię poznać...

Przesuwa się w bok i klepie podłogę, pozwalając nam, wspa-
niałomyślnie, dołączyć do kręgu.

Chris przekazuje skręta wyjątkowo drobnej dziewczynie z zadartym nosem i opaską na zaczesanych do tyłu blond włosach, która siedzi oparta o łóżko, na skromnie podwiniętych stopach. Nie wiem, jak ma na imię, ale rozpoznaję w niej lady Anne, pierwszą żonę Ryszarda III, i zdaję się pamiętać plotkę, że faktycznie ma tytuł lady w prawdziwym życiu, i pewnego dnia odziedziczy dużą część Shropshire. Bierze skręta, zaciąga się po królewsku, następnie podaje go nam.

— Panowie?

— Zdrówko — rzuca Spencer i zaciąga się bardzo głęboko.

Dziwi mnie to, ponieważ zazwyczaj trzyma się żelaznej zasady o ograniczaniu się wyłącznie do alkoholu i papierosów, i ogólnie mą dość pogardliwy stosunek do narkotyków.

—Więc o czym rozmawialiście? — pyta.

—O Indiach! — odpowiadają wszyscy jednogłośnie.

—Byłeś tam, Spence? — dopytuje się Chris.

—Nie, nie, nie mogę się tym pochwalić... — Przytrzymuje oddech.

—Czy wzięłeś sobie w takim razie rok wolnego? — upewnia się Mary/Ruth.

—Nie... dokładnie — odpowiada, a potem wydycha wolno.

—Gdzie w takim razie studiujesz? — ciekawi się Chris.

—Nie studiuje — wyjaśnia Spence.

—Chwilowo! — dodaje błyskotliwie.

Spencer spogląda na mnie w tej chwili i uśmiecha się złowrogo, następnie zaciąga się skrzętem jeszcze raz i jeszcze głębiej i przekazuje go mnie. Biorę go, wsuwam do ust, kaszlę, wyjmuję, przekazuję kolejnej osobie, a potem następuje chwila przerwy, w czasie gdy wszyscy siedzą i słuchają Van Morrisona i mojego kaszlu. Potem lady Anne podnosi się gwałtownie na kolana i mamrocze niewyraźnie:

—Wiem! Zagrajmy w „Gdyby ta osoba była...”!

—A co to takiego? — rzuca Spence, wydychając powoli.

—Cóż, wybieramy osobę, a potem wychodzimy z pokoju, i wtedy ta osoba—nie, to nie tak, nie, my wybieramy osobę, która wychodzi z pokoju, a potem osoby w pokoju wybierają inną osobę, i osoba, która znajduje się na zewnątrz, wraca do środka i musi obejść wszystkich siedzących w kole, osoba po osobie, i zadawać pytania w rodzaju, hm, „gdyby ta osoba była pogodą, jakim rodzajem pogody by była?”, i ta osoba musi odpowiedzieć i powiedzieć coś w rodzaju „ta osoba...” — ta, którą wybraliśmy w tajemnicy — „...byłaby jasnym słonecznym dniem!” albo „gwałtownym piorunem!”, czy coś takiego, muszą przedstawić personifikację tej osoby, w zależności od tego, jak postrzegają tę osobę, i wtedy osoba, która wyszła z pokoju, pyta kolejną osobę: „gdyby ta osoba była rodzajem ryby albo rodzajem bielizny, powiedzmy, jakiego rodzaju rybą albo bielizną byłaby?” i ta osoba...

Wolno i mozolnie dziewczyna wyjaśnia zasady „Gdyby ta osoba była...”, przez może kolejne dwa albo trzy dni, dając mi mnóstwo czasu, żeby przyjrzeć się Spencerowi, który siedzi z lekko opuszczoną szczęką, wygląda na zamroczonego i zdezorientowanego i uśmiecha się cicho sam do sie-

bie. Słyszę chrzęst, spoglądam w dół i zdaję sobie sprawę, że zgniatam puszkę piwa, którą trzymam w ręce. Postanawiam wydostać nas stamtąd...

—Chodź, Spencer, poszukajmy czegoś do picia — polecam, chwytając go za ramię i ciągnąc go, żeby wstał.

—Och, nie chcecie zagrać? — wzdycha Ruth, czy też może Mary.

—Może później. Muszę się czegoś napić — odpowiadam, trzymając w ręce pełną puszkę piwa.

Ciągnę Spencera w stronę drzwi, zamykam je za nami i, dzięki Bogu, oddaliśmy się od pokoju i zmierzamy w stronę schodów.

— Ale ja chciałem grać! — chichocze Spencer. Oglądam się za siebie, a on stara się utrzymać równowagę,

opierając się o ścianę, i uśmiecha się sennie, więc udaję, że muszę skorzystać z toalety, wskazuję na drzwi na półpiętrze i znikam w środku.

W toalecie opieram się o umywalkę, spoglądam w lustro na moją ogromną, głupią, kretyńską twarz i zastanawiam się, dlaczego Spencer musi zawsze wszystko zepsuć. Kocham Spencera, ale nienawidzę go, gdy jest w takim stanie, pijany i podły. Pijany i sentymentalny może być, ale pijany i podły to mnie przeraża. Nie, żeby stawał się niebezpieczny, nie zazwyczaj, nie, jeśli nie zostanie sprowokowany, ale muszę dopilnować, żeby przestał pić, i szczerze mówiąc, nie widzę innego sposobu, jak tylko wyrywanie mu z rąk alkoholu. Wydaje mi się, że moglibyśmy po prostu wyjść, ale jeśli nie zobaczę dzisiaj wieczorem

Alice, to czeka mnie cały tydzień do kolejnego spotkania drużyny, a ja naprawdę nie mogę czekać tak długo. Problem w tym, że niezwykle trudno przychodzi mi być olśniewającym i wyniosłym, gdy jest tu ze mną Spencer.

I co najgorsze, muszę wymyślić jakiś sposób na powiedzenie mu, że jutro musi wracać do domu. Oczywiście, tak długo, jakje-stem tutaj, za zamkniętymi drzwiami, nie muszę martwić się o żadną z tych rzeczy, ale rozlega się niecierpliwe pukanie do drzwi, więc spuszczam wodę w toalecie i zauważam, że osoba, która korzystała z niej przede mną zdołała nasikać obficie na czarną plastikową deskę sedesową. Przez chwilę zastanawiam się, czyjej nie wytrzeć, i nawet trzymam w ręce kulkę papieru toaletowego, ale dochodzę do wniosku, że wycieranie sików innych ludzi jest dokładnie

tym typem służalczego, ponizającego zachowania, które tak bardzo staram się zwalczyć, i naprawdę zupełnie nie moim obowiązkiem. Pamiętaj — olśniewający

Owyniosły. Spuszczam wodę i wychodzę.

Alice jest następna w kolejce.

Stoi w drzwiach i rozmawia ze Spencerem, głośno się śmiejąc.

—Cześć, Brian! — rzuca radośnie.

—To nie ja nasikałem na deskę — informuję, olśniewająco i wyniośle.

—Cóż, Brian... dobrze wiedzieć — odpowiada, wchodzi do środka i zamyka drzwi.

RS

PYTANIE: Jaki tytuł nosi sztuka z 1594 roku, w której dwóch starych przyjaciół, Proteusza i Walentyna, poróżnia miłość do pięknej Sylwii?

ODPOWIEDŹ: *Dwaj Panowie z Werony.*

—Więc rozmawialiście? — pytam Spencera.

—Aha.

—Jest miła, prawda?

— Tak, chyba jest w porządku. Bardzo seksowna... — stwierdza, spoglądając na drzwi do toalety.

— Ale również interesująca?

—Cóż, Bri, rozmawialiśmy tylko przez kilka minut, ale na pewno mi się nie nudziło. Nie przy niej, w tym trykocie...

—O czym, w takim razie, rozmawialiście? To znaczy, czy mówiła coś? O mnie...?

—Bri, rozegraj to rozsądnie. Ona najwyraźniej cię lubi, tylko nie bądź zbyt natarczywy...

—Tak myślisz?

—Jestem pewien.

—Dobrze. Idę do kuchni. Idziesz ze mną...?

— Nie, czekam. — I kiwa głową w stronę drzwi do toalety. Schodzę więc na dół i dopiero w połowie drogi zaczynam się zastanawiać, co miał na myśli, mówiąc „czekam”. „Czekam do toalety?” czy może „czekam na Alice”?

I dosłownie znikąd w głowie rodzi mi się myśl i przybiera postać niezaprzeczalnego faktu: Spencer próbuje ją poderwać. Przyjechał tu po to, żeby ją uwieść. Słyszał, jak o niej opowiadałem, i pomyślał: podoba mi się to, dlaczego nie miałbym spróbować.

Szczerze mówiąc, nie byłby to pierwszy raz — to powtórka z fiaska z Janet Parks. Dziewczynom, które mi się podobają, zawsze podoba się Spencer Lewis, a fakt, że jemu najwyraźniej nie mogłoby to być bardziej obojętne, sprawia, że wydaje się jeszcze bardziej atrakcyjny. Dlaczego? Co on takiego ma, czego ja nie mam? Jest przystojny, nawet jako heteroseksualny mężczyzna jestem to w stanie obiektywnie ocenić i przyznać, że jest przystojny i tajemniczy, i pewny siebie, i nieodpowiedzialny, i niezbyt czysty, i ma też wszystko to, co kobiety udają, że im się nie podoba, ale co najwyraźniej jest im bardzo miłe. I dobrze, może nie jest bardzo elegancki, ale za to ma klasę, a w oczach Alice Harbinson klasa wygrywa z elegancją tak jak nożyczki wygrywają z papierem. Oczywiście, teraz to widzę, jasne jak słońce: gnojek bawi się ze mną w Heathcliffa. Jestem pewien, że dokładnie w tej chwili jego ręka wsuwa się za dekolt jej trykotu...

—Co słyhać, wesołku? Pod schodami stoi Rebecca.

—Ach, cześć, Rebecca. Co tu robisz?

—Nie wtargnęłam tu na siłę. Zostałam zaproszona.

—Kto cię zaprosił?

—Śliczna Alice — mówi i wyjmuję z kieszeni plastikowego płaszcza swoją prywatną butelkę whisky.

—Naprawdę?

—Aha.

Wypija łyk z butelki.

—Między nami mówiąc, wydaje mi się, że mnie polubiła.

—Ale wydawało mi się, że ty jej nie lubisz.

— Ach, jest w porządku, jak się ją bliżej pozna. Chichocząc, przystawia mi do piersi butelkę whisky, i zdaje

sobie sprawę, że jest bardzo pijana. Nie na posepny albo cyniczny, ale na swawolny, wesoły sposób, co jak przypuszczam, jest dobrym znakiem, ale mimo to wydaje mi się trochę dziwne i trochę mnie przeraża, jak widok Stalina na deskorolce.

— A co, uważasz, że postępuję jak hipokrytka? Uważasz, że powinienam wyjść, Brian?

—Nie, ależ skąd, miło cię widzieć, myślałem po prostu, że to nie bardzo w twoim stylu.

—Ach, no cóż, znasz mnie. Nic nie sprawia mi większej przyjemności niż dwustu wstawionych studentów aktorstwa urządzających wspólne śpiewy.

I kiwa głową w stronę holu, gdzie Ryszard III, Neil jakiś tam o wielu twarzach, wyciągnął skądś gitarę akustyczną i zaczyna grać *The Boxer*, Simona i Garfunkela.

Jeszcze czterdzieści pięć minut później nie cichnie wspólnie śpiewany refren, „na-na-na”. Prawdę powiedziawszy, faza powolnego wyciszania już minęła i teraz nastąpił rodzaj nuconej w transie mantry, zgodnego zawożenia, które może potrwać jeszcze przez kilka dni. Rebecce i mnie nie przeszkadza to jednak za bardzo, ponieważ siedzimy ściśnięci na sofie w drugim końcu pokoju, podając sobie butelkę whisky i śmiejąc się.

— Nie mogę w to uwierzyć, do cholery, ten dupek Neil Mac-Intyre znalazł tamburyn...

— Skąd mógł wziąć tamburyn...?

—Musiał go wyciągnąć ze swojego pieprzonego tyłka... — stwierdza i pij e łyk whisky.—Myślisz, że to się kiedyś skończy?

—Wydaje mi się, że jesteśmy bezpieczni, dopóki nie zaczną *Hey Jude*.

—Jeśli to zrobią, podejść do tej pieprzonej gitary z obcęgami, przysięgam.

Przyjęcie osiąga teraz punkt krytyczny. Wszystkie pokoje w domu fałują, a w salonie ludzie przytrzymują się mebli, jakby to była *Tratwa Meduzy*, francuskiego dziewiętnastowiecznego malarza realistycznego, Gericault. Powinienem przynieść jeszcze coś do picia, ale Rebecca i ja zajmujemy pierwszorzędne miejsca, wtłoczeni pomiędzy sześciu innych ludzi na dwuosobowej sofie. Widzę też, że alkohol i tak się skończył, ponieważ ludzie cały czas zaglądają do salonu, szukając butelek i unosząc je do światła albo sprawdzając porzucone puszki piwa, czy na krawędzi nie ma popiołu z papierosów. Nie chcę się też ruszać, ponieważ Rebecca jest pijana i bardzo

zabawna, i wydaje mi się, że trochę ze mną flirtuje, dmuchając mi do ucha, a w jej oddechu wyraźnie czuć whisky. To wszystko pomaga mi przestać myśleć o *The Boxer* oraz Alice i Spencerze, którzy z nieomal stuprocentową pewnością, dokładnie w tej chwili, przeżywają namiętny stosunek na stercie płaszczy.

—...wiesz, gdybym rządziła światem, co zresztą zdecydowanie zamierzam zrobić pewnego dnia, pierwsza rzecz, którą bym zrobiła, to zakazałabym gry na gitarach akustycznych — no dobrze, może nie zakazała, ale przynajmniej ograniczyła ich dostępność, wprowadziła system licencjonowania, żeby było to podobne do posiadania śrutówki albo ciągnika widłowego, i obowiązywałyby naprawdę drakońskie zasady: zakaz gry po zmierzchu, zakaz gry na plażach albo w pobliżu ognisk, zakaz odtwarzania *Scarborough Fair* i *American Pie*, zakaz zgodnego zawodzenia, zakaz wspólnego śpiewu więcej niż dwóch osób jednocześnie...

—Ale czy ustawodawstwo nie sprawi, że zejdą do podziemia?

—I dokładnie tam jest ich miejsce, przyjacielu — dokładnie tam. I zakazałabym również marihuany. Jakby studenci nie byli już wystarczająco głupkowaci i zbzikowani na własnym punkcie. Tak, zdecydowanie zakazałabym marihuany.

—Czy nie jest już zakazana? — powątpiewam.

— Bardzo celna uwaga, przyjacielu. Sprzeciw podtrzymany! Wypija resztkę whisky z butelki.

— Bo jak wiesz, alkohol, alkohol i nikotyna są jedynymi prawdziwymi narkotykami. Czy jest coś w puszcze piwa obok twojej stopy?

—Tylko niedopałki...

—Ach, w takim razie rezygnuję.

I przyłapuje mnie na tym, że się do niej uśmiecham.

—Co cię tak bawi?

—Ty.

—Co jest takiego zabawnego we mnie, proszę pana?

—Twoje poglądy. Wydaje ci się, że złagodniejesz? No wiesz, z wiekiem?

—W żadnym wypadku! Powiem ci jedno, Brianie Jackson. Wiesz, jak to wciskają ci o tym, że niby będziesz lewicowcem do trzydziestego roku życia, a potem nagle zdasz sobie sprawę, że twoje dotychczasowe postępowanie było zupełnie błędne, i zrobisz się nagle prawicowcem? No cóż, to kompletne bzdury. Jeśli nadal będziemy przyjaciółmi w roku 2000, co będzie za ile, czternaście lat — i mam nadzieję, że będziemy, Brian, stary druhu — w każdym razie, jeśli nadal będziemy przyjaciółmi, a ja w jakikolwiek sposób się zmienię albo pójdę na ustępstwa w kwestii moich politycznych, etycznych lub moralnych poglądów na tematy systemu podatkowego, przepisów imigracyjnych albo apartheidu, albo związków zawodowych, albo gdy przestanę chodzić na demonstracje albo uczestniczyć w wiecach, albo jeśli stanę się nawet bardzo prawicowa, wtedy dam ci pozwolenie, żebyś mnie zastrzelił. — I puka się w środek czoła. — Dokładnie. Tutaj.

—Dobrze. Zastrzelę cię.

—Musisz to zrobić koniecznie.

Następnie przymyka oczy bardzo wolno, oblizuje usta i usiłuje wypić jeszcze jeden łyk z pustej butelki, zanim się w końcu odzywa:

—Hej, słuchaj, przepraszam, że cię tak źle potraktowałam dzisiaj rano.

—Co masz na myśli?

—Wiesz, co mam na myśli — że ci wygarnęłam i zaczęłam opowiadać o Sylvii Plath.

—Ach, nie ma sprawy...

—Chciałam powiedzieć, że nadal uważam, że jesteś kompletnym dupkiem i tak dalej, ale przykro mi, że cię tak źle potraktowałam.

—A niby dlaczego jestem kompletnym...?

—Wiesz dlaczego...

—Nie, proszę, powiedz mi...

Uśmiecha się do mnie z ukosa, spod ciężkich czarnych powiek.

—Że nie zrobiłeś tego ze mną, gdy miałeś okazję.

—Ach, no cóż...

I przez chwilę myślę, żeby ją pocałować, ale patrzy zbyt wiele osób, i Alice jest na górze, więc mówię:

— ...może... może... innym razem?

— Och, nie, schrzaniłeś to. To była jednorazowa oferta, przyjacielu...

— I trąca mnie w ramię głową. — Jednorazowa oferta...

I siedzimy tam, nie patrząc się na siebie, aż Rebecca pyta:

—Hej, gdzie jest ten twój przyjaciel?

—Spencer? Nie mam pojęcia. Na górze pewnie.

— Wydawało mi się, że przechodzi rodzaj jakiegoś załamania nerwowego...

—Tak, no cóż, Alice pomaga mu je przezwyciężyć.

—Więc poznam go czy nie?

Rebecca i Spencer to nie jest kombinacja, która przysłałaby mi wcześniej do głowy, i konsekwencje mogą być katastrofalne, ale muszę wiedzieć, gdzie on jest i co robi, i jak głęboko zdołał wsunąć rękę za dekolt Alice, więc mówię:

— Jeśli chcesz.

Podnosimy się z wysiłkiem z głębin sofy i zaczynamy szukać.

Zaglądamy po kolei do każdego z pokoi, aż znajdujemy ich w małym przepelnionym pokoju na tyłach domu, daleko w kącie, w odległości około pięciu centymetrów od siebie. Dookoła nich tańczą ludzie, albo i nie tańczą ponieważ nie ma dość miejsca, ale kiwają głowami w takt *Exodus* Boba Marleya. Alice również porusza ramionami, trochę nie do taktu, przygryzając dolną wargę, i, no dobrze, może się nie całują dosłownie, tylko „rozmawiają”, ale równie dobrze mogliby to robić, zważywszy na to, jak blisko siebie się znajdują. Na twarzy Spencera maluje się ten denerwujący, lekko wykrzywiony grymas czarującego chłopca, Fonziego ze *Szczęśliwych dni*, a Alice przygląda mu się z rozrzewnieniem, maślanymi oczami, całkowicie nim pochłonięta, krzyżując ręce na swoim trykocie, jakby brała udział w przesłuchaniu do roli „wiejskiej dziewczki”, podsuwając mu pod brodę swój rowek pomiędzy piersiami, na wypadek gdyby go nie zauważył.

—To on, tam w rogu — mówię.

—Ten z zamszową głową? — upewnia się Rebecca.

—Nie jest faszystą— prostuję, chociaż nie wiem, dlaczego go bronię, prawdopodobnie jest faszystą, albo co najmniej równie wielkim gnojkiem.

—Przystojny, prawda?

—Ach, no tak, cóż, tak, dobrze, dziękuję ci, Rebecca — odpowiadam.

—Ach, zamknij twarz, ty idioto. Nie masz się czym martwić pod tym względem.

Czy w jej głosie słyszę sarkazm? Nie wiem, a i tak nie mogę się skoncentrować, ponieważ Alice w tej chwili, ni mniej, ni więcej, tylko gładzi dłonią czubek głowy Spencera, chichocze i usiłuje zabrać dłoń tym patetycznym, dziewczęcym gestem, jakby chciała powiedzieć, ale to przyjemne uczucie, a Spencer pochyla się, ujmuje ponownie jej dłoń i kładzie ją z powrotem na czubku swojej głowy, i śmieje się tym głupim, krzywym uśmiechem Fonziego, i zachęcają nie, no proszę, dotknij jeszcze raz, dotknij. Jeszcze chwila, a zacznie jej pokazywać swoje blizny po bójce szkłem, i myślę, co za świnią, ogolić sobie głowę po to, żeby przyjaciele myśleli, że przeżywa jakiś kryzys albo załamanie nerwowe, podczas gdy w rzeczywistości jest to tania sztuczka, żeby piękne kobiety głaskały go po głowie. Zastanawiam się, ile czasu zajmie mi zejście na dół, napełnienie zimną wodą miednicy, powrót tutaj, i wylanie na nich zawartości, gdy — niech go Bóg błogosławi — podchodzi do nich Patrick Watts i robi to za mnie, zaczynając rozmowę.

—Ej, słuchasz mnie, wariacie? — dopytuje się Rebecca.

—Aha.

—Więc zamierzasz mnie przedstawić czy nie?

—Ależ tak, chodźmy. Tylko go nie podrywaj, dobrze?

—A co ciebie to obchodzi?—rzuca w odpowiedzi i ruszamy.

—...a Patrick jest kapitanem naszej drużyny! — Alice obwieszcza dumnie, gdy docieramy.

—Tak, słyszałem — mówi Spencer, unikając wzroku Patricka.

—Ach, hej, Rebecca! — woła Alice i — dość zaskakująco — obejmuje ją.

Rebecca odwzajemnia jej uścisk, ale robi do mnie minę, spoglądając przez jej ramię.

— Spencer, to jest moja dobra znajoma Rebecca — usiłuję przekrzyć muzykę.

Podają sobie dłonie.

— Słynny Spencer. Miło mi cię w końcu poznać — mówi Rebecca. — Brian dużo mi o tobie opowiadał.

— Zgadza się! — wita się Spencer.

Następuje krótka przerwa i nasza piątka stoi przez chwilę, kołysząc się lekko w takt muzyki, a potem zupełnie niespodziewanie słyszę, jak krzyczę:

— Hej, powinieneś porozmawiać z Rebecca o swoim problemie prawnym, Spencer!

Nie jestem pewien, dlaczego to mówię, ale taksie dzieje. Myślę, i prawdę powiedziawszy, jestem niemal pewien, że to dlatego, iż chcę pomóc i zachować się jak przyjaciel, i chcę też podtrzymać rozmowę, moje słowa jednak padają, a po krótkiej chwili, nadal się uśmiechając, Spencer pyta:

— A to dlaczego?

— Ponieważ jest prawnikiem.

— Studiuję prawo, to nie to samo...

— Nie, ale mimo to...

— A na czym polega twój problem prawny? — dopytuje się Patrick, nagle zainteresowany.

— Spencer został oskarżony o bezprawne pobieranie zasiłku dla bezrobotnych... — wyjaśniam.

— Żartujesz! — rzuca Alice, robiąc się nagle bardzo poprawna i lewicowa i ściskając rękę Spencera. — Dranie. Biedactwo...

— Dziękuję, Brian — wymawia bezgłośnie Spencer, uśmiechając się, ale nie naprawdę.

— Cóż, jeśli tego nie zrobiłeś, to jestem pewien, że nic ci nie grozi — ocenia wyniośle Patrick.

—Ale on to zrobił—informuję, żeby wszystko było jasne.

—W takim razie masz pracę? — upewnia się Patrick.

— Tak, gotówka do ręki. Na stacji benzynowej — mamrocze Spencer.

— Tyle że został przyłapany na...

Spencer spogląda jednak na mnie gniewnie, więc przestaję mówić.

— Cóż, w takim razie... — Patrick prycha, wzruszając ramionami —
...muszę ci życzyć powodzenia, przyjacielu.

Spencer nie zdejmuje ze mnie rozgniewanego spojrzenia, a Rebecca zaczyna rozprawiać się z Patrickiem:

—Więc co, jeśli nie ma tam pracy?

—Cóż, jak widać, jest tam praca...

—Nie, nie ma...

—Wydaje mi się, że łatwo się przekonasz, że jest...

—Bezrobocie wynosi cztery, miliony! — woła Rebecca, stając się nastliwa.

—Trzy miliony. A on wyraźnie nie jest jednym z bezrobotnych, prawda? W tym cała rzecz. Jeśli pracował za gotówkę do ręki, mógł oczywiście dostać pracę, wydaje się jednak, że płaca nie była dość dobra, przy jego konkretnym stylu życia, postanowił więc w zamian wziąć pieniądze od państwa.

Czy zamierza go cały czas nazywać „on”, zastanawiam się.

— Trudno winić państwo za to, że chce dostać coś z powrotem, skoro dowiaduje się, że zostało okradzione. To są przecież moje pieniądze...

Bob Marley śpiewa *No Woman, No Cry*, a ja przyglądam się Spence-
rowi, jak zgniata puszkę po piwie, spoglądając gniewnie przez cały czas na
Patricka, spod opuszczonych powiek. Łapię jego wzrok tylko na sekundę,
potem spoglądam szybko na Rebecce, która poczerwieniała na twarzy i
kłuje palcem wojowniczo pierś Patricka, usiłując wyrwać mu wciąż bijące
serce.

—To nie są twoje pieniądze, nie płacisz podatków! — stwierdza Re-
becca.

—Nie, ale będziemy, wszyscy będziemy, bardzo wysokie podatki. I
możesz mnie nazywać nienowoczesnym, ale uważam, że mam prawo wy-

magać, aby nie szły one na „bezrobotnych”, którzy w rzeczywistości wcale nie są bezrobotni...

— Nawet jeśli zarobki są poniżej minimum socjalnego?

— To nie mój problem! Jeśli pracownik chce lepszą pracę, to może bardzo dużo zrobić w tej sprawie: przystąpić do Programu Szans dla Młodych, podnieść swoje kwalifikacje, wsiąść na rower i poszukać... —... a następne słowa z ust Patricka brzmią:

— PROSZĘ-ZABIERZCIE-GO-ODE-MNIE!

Ponieważ Spencer zrobił nagle krok do przodu, wsunął swoje przedramię głęboko pod podbródek Patricka i oparł go wysoko, wysoko o ścianę, i mimo że widziałem, jak Spencer wplątywał się w bójki może siedem albo osiem razy do tej pory, nadal mnie to zaskakuje, tak jakbym nagle odkrył, że umie stepować. W tym przypadku wszystko dzieje się tak szybko i z taką zręcznością, że przez chwilę nikt spoza naszego kręgu nie widzi całego zdarzenia, kiwają się jedynie nadal w takt *No Woman, No Cry*. Ale wtedy Patrick zaczyna wierzgać nogami, robiąc wgniecenia w gipsowej ścianie, i Spencer musi podtrzymać ciało Patricka swoim własnym, i wgniata wolną dłoń w twarz Patricka, ściskając mu usta.

—Daj spokój, na litość boską... — proszę.

—No dobrze, w takim razie pytanie numer jeden, kto to jest „on”? — syczy Spencer, a jego twarz oddalona jest od twarzy Patricka o zaledwie kilka centymetrów.

— O co ci chodzi? — sepleni Patrick.

—Cały czas mówisz o jakimś „nim” — kim jest „on”?

—Ty, oczywiście...

—.. .po prostu go puść — proszę.

—A jak mam na imię?

—Co?

—...daj spokój, proszę, skończcie z tym...

—Jak mam na imię, jak mam na imię, ty zarozumiały, zasrany dupku...? — mówi Spencer.

Dla podkreślenia swych słów Spencer przydusza policzki Patricka, dociskając jego głowę mocno do ściany. Płyta spada z trzaskiem i ludzie za-

czynają się odwracać, żeby się przyglądać. Twarz Patricka jest teraz ciemnoczerwona, a on ma zaciśnięte zęby, palcami stara się dotknąć podłogi, i pluje śliną i sokiem pomarańczowym, mówiąc:

—Nie... mogę... sobie przypomnieć...

—Skończcie z tym, wy dwaj! — krzyczy ktoś spod drzwi, gdzie na półpiętrze zaczął się zbierać tłum.

— Idziemy wezwać policję — krzyczy ktoś inny. Spencer jednak pozostaje niewzruszony i słyszę, jak mówi,

szeptem, dotykając czołem czoła Patricka:

— Cóż, poprawna odpowiedź brzmi: Spencer, Patrick, i jeśli chciałbyś mi udzielić jakichś porad z zakresu ścieżki kariery zawodowej, to zrób to z szacunkiem i zwróć się do mnie, ty nadęty, mały...

Wtedy następuje kolejny wybuch szamotaniny, gdy Patrickowi udaje się uwolnić jedną rękę i uderza nią otwartą dłonią w ucho Spencera. Jest to jednak głośny, nieskuteczny, częściowo chybiony zamach, który wystarcza, żeby Spencer poluzował nieco uścisk, a potem nagle Patrick uwalnia się, młóćąc jak szalony rękami i nogami, sycząc i plując jak chrzczone dziecko. Ludzie krzyczą i wycofują się tłumnie z małego pokoju, a w całym tym chaosie widzę, jak Alice usiłuje schwycić rękę Spencera, próbuje odciągnąć go od Patricka, jak jakaś bohaterka plakatu fdmowego, on jednak odtrącają, a ona wpada plecami na futrynę okna, uderzając w nią głośno głową. Widzę, jak jej usta wykrzywia grymas bólu i jak przykładła dłoń do tyłu głowy, żeby sprawdzić, czy nie krwawi, chcę więc podejść do niej i sprawdzić, czy nic się jej nie stało, ale Patrick nadal wymachuje ramionami ni-

czym szaleniec, okładając Spencera, który teraz kuca, usiłując uniknąć ciosów, aż nagle dostrzega swoją szansę. Wstaje, kładzie jedną dłoń płasko na piersi Patricka, przytrzymując go na bezpieczną odległość, odrzuca drugie ramię do tyłu, a potem całym ciężarem swojego ciała uderza pięścią w bok głowy Patricka, z głośnym, mokrym klaśnięciem, jakby ktoś upuścił na drewnianą podłogę mięso. Patrick zatacza się raz, potem drugi, a następnie upada twarzą na podłogę.

Zapada chwila ciszy, a potem nagle ludzie podbiegają do Patricka, który przewrócił się na bok i dotyka niepewnie dłonią nosa i ust, sprawdzając, czy nie ma krwi, i znajdując ją w dużej ilości.

— O mój Boże — mamrocze — o mój Boże.

I wydaje mi się, że zaraz zacznę płakać, gdy Lucy Chang przeciska się do przodu, podtrzymuje dłonią tył jego głowy, pomaga mu podnieść się do pozycji siedzącej, i potem widzę wyraźnie jedynie trzy osoby.

Rebecca stoi na środku pokoju, zakrywając dłońmi twarz, niepewna, czy ma się roześmiać, czy rozplakać.

Alice opiera się o futrynę okna, patrząc z otwartymi ustami na Spencera, pocierając dłonią tył głowy.

Spencer odwrócił się tyłem do Patricka i podnosi do góry dłoń, przyglądając się kostkom i oddychając ciężko. Spogląda na mnie, wydycha powietrze przez zaciśnięte zęby i mówi:

— Chodźmy w takim razie, dobrze?

Na dole wszyscy śpiewają razem: *With A Little Help From My Friends*.

PYTANIE: Blepharitis, ektropion, ambliopiai, heterofo-ria objawiłyby się jakim stanem?

ODPOWIEDŹ: Trudnością z widzeniem.

Idziemy w ciszy ulicami o szeregowej zabudowie, Spencer gdzieś niedaleko za mną. Słyszę jego kroki, jak niosą się mokrym echem po chodniku, ale jestem zbyt rozgniewany, zbyt zawstydzony, zbyt pijany i wytrącony z równowagi, żeby z nim w tej chwili rozmawiać, idę więc przed siebie z opuszczoną głową.

—Wspaniałe przyjęcie! — rzuca w końcu Spencer. Ignoruję go, krocząc przed siebie.

—Spodobała mi się Alice.

—Tak, zauważyłem! — rzucam, nie oglądając się za siebie. Idziemy jeszcze kawałek w ciszy.

—Wiem, Bri! A co powiesz na grę „Gdyby ta osoba była...”? Zaczynam iść trochę szybciej.

—Słuchaj, Bri, jeśli masz mi coś do powiedzenia, po prostu mi to teraz powiedz, bo to jest normalnie cholernie głupie...

—A co, jeśli ci nie powiem? Też mnie uderzysz?

—To z pewnością bardzo kuszące — szepcze, łapiąc oddech. — No dobrze, przyjacielu — ustępuje — wiem, o ci chodzi, tylko mnie wysłuchaj, dobrze?

Ale ja idę dalej.

— Proszę? — rzuca błagalnie.

To słowo nie przychodzi mu łatwo i wypowiada je jak na-dąsane dziecko, zmuszone wymówić je wbrew własnej woli, ale zatrzymuję się i odwracam, żeby go wysłuchać.

— No dobrze, Brian. Bardzo przepraszam... za to, że uderzyłem... kapitana twojej drużyny w teleturnieju *University Challenge*...

Nie jest jednak w stanie dokończyć zdania i zaczyna chichotać, więc ponownie się odwracam i idę dalej. Po chwili słyszę, jak nadbiega za mną, i być może wzdragam się, ale tuż potem on stoi przede mną z grymasem na twarzy i idzie szybko do tyłu.

— A co chciałeś, żebym zrobił, Bri? Stał tam i znosił to? Traktował mnie jak gówno...

—Więc postanowiłeś go uderzyć?

—Tak...

—Ponieważ nie zgadzałeś się z nim?

—Nie, nie tylko dlatego...

—I nie przyszło ci do głowy, że mógłbyś się z nim spierać, argumentować swój punkt widzenia, w spokojny, racjonalny sposób?

—Co ma z tym wspólnego mój punkt widzenia? Próbowałem zrobić ze mnie kompletnego palanta...

— ...więc postanowiłeś uciec się do przemocy!

— Nie uciekałem się do niej. Od razu postanowiłem jej użyć.

— No tak, świetnie, jesteś bardzo twardy, Spence...

— No cóż, nie starałeś się za bardzo mi pomóc, prawda? A może bałeś się, że wyrzuci cię z drużyny?

— Bronilem cię!

—Nie, nie bronilem mnie, popisywałeś się jedynie swoim wielkim cholernym społecznym sumieniem przed swoimi dziewczynami. Gdybyś nie poruszył tego tematu...

—A co chciałeś, żebym zrobił, założył mu ręce do tyłu? To są moi przyjaciele, Spencer...

—Ten tuman? Twoim przyjacielem? Do cholery, Brian, jest gorzej, niż myślałem. Traktuje cię jak gówno.

— Nieprawda!

— Ależ tak, Bri, sam widziałem. Jest kompletnym zasrań-cem i zasługuje na to, co dostał...

—Cóż... przynajmniej nie próbuje podrywać dziewczyn, które mi się podobają...

—Chwila, chwila, nie tak szybko.

I zatrzymuje mnie, kładąc mi płasko na piersi jedną dłoń, tak jak na piersi Patricka, zanim uderzył go pięścią i zastanawiam się, czy czuje, jak szybko bije mi serce.

—Myślisz, że próbowałem poderwać Alice? Naprawdę myślisz, że to robiłem?

—Cóż, z pewnością tak to wyglądało, Spence... całe to głaskanie po głowie...

I kładę mu na głowie dłoń, ale jego druga ręka unosi się błyskawicznie do góry, łapie mnie za nadgarstek i trzyma mocno.

—Wiesz, Bri, jak na kogoś, kto ma być wykształcony, czasami jesteś dość cholernie głupi...

—Nie mów tak do mnie... — rzucam, wyrrywając z uścisku rękę.

—Jak?

—Właśnie tak. Tak jak zawsze do mnie mówisz! Co z tobą jest, Spence, ta twoja potrzeba... żeby wszystko zniszczyć? Przykro mi, że nie układa ci się chwilowo, jest mi przykro, że nie jesteś szczęśliwy, ale jest mnóstwo rzeczy, które możesz zrobić, żeby to zmienić, Spencer, praktyczne sprawy, a ty wolisz tego nie robić, ponieważ łatwiej jest po prostu nic nie robić, i wszystko schrzanić, i wszystkim gardzić, i wyżywać się na innych, którzy faktycznie próbują coś zrobić ze swoim życiem...

—Niby tak jak ty, chciałeś powiedzieć? — upewnia się, prychnając z pogardą.

—Jesteś po prostu zazdrosny, Spencer, zawsze mi zazdrościłeś, tylko dlatego, że ciężko pracuję, tylko dlatego, że jestem mądry i mam jakieś kwalifi...

—Chwila, nie tak szybko. Mądry? To tak się to nazywa, ty przema-drzały dupku? Gdy cię poznałem, nie umiałeś sobie nawet zawiązać pie-

przonych sznurowadeł! Musiałem cię nauczyć, jak się to robi. Miałeś napisane „lewa” i „prawa” na podeszwach tenisówek do piętnastego roku życia! Nie byłeś nawet w stanie przebrnąć przez mecz piłki nożnej, żeby się nie rozplakać, ty maminsynku. Skoro jesteś taki mądry, to jak to możliwe, że nie wiesz, co mówią o tobie za twoimi plecami, jak bardzo się z ciebie śmieją? Przez całe lata cię broniłem, odkąd zmarł twój tato...

—Co ma z tym wspólnego mój tato?

—Powiedz mi, Brian. Powiedz mi.

—Nie mieszaj do tego mojego taty, dobrze! — krzyczę.

—Bo co? Rozplączesz się?

—Odpieprz się, Spencer, ty cholerny... idioto.

Ale pod powiekami czuję pieczenie, gwałtowne ściśnięcie w żołądku, i nagle zdaję sobie sprawę, że muszę od niego uciec, odwracam się więc i idę z powrotem drogą, którą przyszliśmy.

—Gdzie idziesz? — krzyczy za mną.

—Nie wiem!

—Uciekasz, Brian? Czy tak?

—Tak, jeśli tak wolisz.

—Więc jak mam wrócić do domu?

—Nie wiem, Spence. To nie mój problem, prawda?

A potem słyszę, jak mówi, całkiem cicho, nieomal do siebie:

— Idź w takim razie. Daj mi spokój.

Zatrzymuję się więc i odwracam, oczekując, że zobaczę go, jak spogląda na mnie pogardliwie albo śmieje się, ale myślę się. Spencer stoi całkiem nieruchomo w pewnej odległości, w świetle ulicznej lampy, z głową odrzuconą do tyłu, mocno zaciśniętymi oczami i nasadą dłoni przyciśniętą mocno do czoła, z twardo zaciśniętymi palcami.

Wygląda na mniej więcej dziesięć lat. Ogarnia mnie przekonanie, że powinienem do niego podejść, albo przynajmniej stanąć trochę bliżej, zamiast tego jednak krzyczę w jego stronę:

— Musisz wyjechać, Spence! Jutro rano. Nie możesz zostać już dłużej w domu. To wbrew przepisom.

Otwiera oczy, które są mokre, czerwone i zmęczone, i spogląda na mnie przeciągle.

— I to dlatego chcesz, żebym pojechał, Brian? Ponieważ to wbrew przepisom?

—Tak. Częściowo.

—No dobrze. W takim razie pojedę.

—W porządku.

—I przepraszam, że cię zawstydziłem. W obecności twoich przyjaciół.

—Nie zawstydziłeś mnie. Nie chcę tylko... żebyś się tu kręcił. To wszystko.

Odwracam się i odchodzę szybko, nie oglądając się za siebie, i jestem pewien, jestem przekonany, że powinienem się czuć dobrze i zwycięsko, i pewnie, bo w końcu zdołałem mu się przeciwstawić, ale z jakiegoś powodu tak się nie czuję. Czuję się jedynie zawstydzony, pusty, głupi i smutny i nie mam pojęcia, dokąd powinienem pójść.

Nie jestem pewien, jak długo spaceruję. Mam niejasne uczucie, że znajduję się w posiadaniu jedyne go klucza do domu, i że rozsądnym posunięciem byłby powrót do akademika i wpuszczenie Spencera do środka. Ale on może przecież obudzić Mar-cusa albo Josha; nie jestem jego opiekunką. Dam mu po prostu dość czasu, żeby znalazł drogę do domu i położył się spać, i dam sobie szansę, żeby się trochę przewietrzyć, złagodzić działanie alkoholu i uporządkować chaos w głowie, a potem zakradnę się do domu i zajmę się wszystkim jutro rano. Ale po mniej więcej godzinie mżawka przeradza się w deszcz, i chociaż nie jest to naprawdę moim zamiarem, przynajmniej nie świadomie, staję w końcu przed akademikiem Alice i Rebecki.

Brama wejściowa zamykana jest o pierwszej w nocy, a potem mogą się dostać do środka tylko posiadacze kluczy, muszę więc przeskoczyć przez wysokie stare żeliwne ogrodzenie. Udaje mi się to zrobić, bez uruchomienia jakichkolwiek alarmów i bez nabicia się na ostre elementy, ale potem

nieomal natychmiast tracę równowagę na gładkich podszwach moich półbutów i zjeżdżam na tyłku po błotnistym zalesionym zboczach, zatrzymując się w końcu pod krzewem rododendronu. Wycieram gęste błoto z dłoni na mokrej liściastej ściółce, przykucam pod krzakami i czekam, żeby ktoś pojawił się na żwirowej ścieżce prowadzącej do głównego wejścia.

Lodowata woda kapie z liści i płynie mi cienką strużką po karku, a moje zamszowe półbuty zaczynają nasiąkać gęstą błotnistą wodą, i czuję się tak, jakby moje stopy zawinięte były w zimny, wilgotny karton. Jestem już gotów zrezygnować i pójść do domu, gdy w końcu widzę kogoś nadchodzącego drogą w kierunku budynku. Wychodzę z krzaków i idę za nim w niedużej odległości, i gdy w końcu otwiera drzwi, krzyczę: „proszę poczekać”, a mężczyzna zatrzymuje się i odwraca.

— Proszę nie zamykać drzwi!

Mężczyzna, którego nie rozpoznaję, przygląda mi się podejrzliwie.

— Zapomniałem kluczy! Czy możesz w to uwierzyć! I to w taką noc!

Patrzy na moje buty i spodnie, oblepione błotem z liśćmi.

— Przewróciłem się! O Boże, jestem przemoczony!

On jednak nie odsuwa się, więc wkładam zdrętwiałe i śliskie palce do portmonetki i wyciągam swoją legitymację członkowską zrzeszenia studentów.

— Proszę mi uwierzyć, jestem studentem.

To zdaje się działać, ponieważ mężczyzna otwiera drzwi i wpuszcza mnie do środka.

Człapię ciemnymi korytarzami, zostawiając na parkiecie strużkę kompostu, aż dochodzę do drzwi Alice. Spod drzwi wydobywa się cienka strużka pomarańczowego światła, stąd wiem, że nie śpi. Przykładam ucho do drzwi i słyszę muzykę. To Joni, śpiewająca *Help Me*, z *Court and Spark*, nieomal czuję ciepło i światło przez ciężkie, drewniane drzwi i ogarnia mnie dzikie pragnienie, żeby znaleźć się po drugiej stronie. Pukam delikatnie. Zbyt delikatnie, prawdę powiedziawszy, ponieważ Alice mnie nie słyszy, pukam więc ponownie i wymawiam szeptem jej imię.

— Kto tam?

—Brian — szepczę.

—Brian?

I otwiera drzwi.

— O mój Boże, Brian, jak ty wyglądasz! Bierze mnie za rękę i wciąga do środka.

Prowadzi mnie na środek pokoju i natychmiast przejmuje kontrolę nad sytuacją przybierając postawę surowej, ale serdecznej edwardiańskiej gospodyni:

— Nie siadaj i niczego nie dotykaj, dopóki cię nie osuszymy, młody człowieku!

I zaczyna przeszukiwać szuflady, wyciągając workowaty, zielony, ręcznie robiony sweter, luźne spodnie od dresu i parę narciarskich skarpetek.

— I proszę, to też będzie ci potrzebne.

Rozwiązuje pasek swojego białego szlafroka frotte, zdejmuje go i rzuca mi. Pod spodem ma stary, szary T-shirt, który zbiegł się w praniu, tak że odsłania jej pępek. Przód T-shirtu ozdobiony jest popękany i wypłowiały jak średniowieczny fresk nadrukiem, który przedstawia Snoopy'ego leżącego na budzie. Stroju Alice dopełnia para dużych, stalowoniebieskich bawełnianych majtek i para czarnych męskich skarpetek zrolowanych na wysokości kostek, i przychodzi mi do głowy, że jest to bez wątpienia najbardziej zmysłowy i erotyczny widok, jaki kiedykolwiek miałem okazję oglądać.

— Spójrz tylko, drżą ci ręce.

— Tak? — dopytuję się, i gdy otwieram usta, żeby się odezwać, zdaję sobie sprawę, że szcękają mi zęby.

— No dobrze, zdejmuj ubrania, bo inaczej dostaniesz zapalenia płuc — poleca surowo, wyciągając ręce.

Czuję się trochę nieswojo na myśl, że będę się musiał rozebrać, częściowo dlatego, że hantle nie miały jeszcze szansy zadziałać, i również dlatego, że mam na sobie jeden ze starych szkolnych podkoszulków, więc nie uniknę wyglądu sieroty z czasów wojny. Zdaję się jednak pamiętać, że moje bokserki są w całkiem niezłym stanie, i jest mi bardzo zimno, więc ustę-

puję. Stoi obok mnie, gdy zaczynam się rozbierać, i zauważa, że ręce trzęsą mi się za bardzo, abym był w stanie rozpiąć guziki koszuli.

— Proszę, pozwól, że ja to zrobię — mówi i zaczyna je rozpinąć, z góry na dół. — Dlaczego nie jesteś ze Spencerem?

— Trochę się pokłóciliśmy.

— To gdzie on w takim razie jest? Dlaczego nadal mówi o Spencerze?

— Nie mam pojęcia, wrócił prawdopodobnie do domu. Guziki są już rozpięte, a ona odsuwa się, żebym mógł zdjąć koszulę.

— Przepraszam za to wszystko...

— Za co?

— No wiesz, za Spencera, bójkę...

— Boże, nie martw się tym. Prawdę mówiąc, całkiem mi się to podobało. To znaczy zazwyczaj nigdy nie zaakceptowałabym przemocy fizycznej, ale w przypadku Patricka jestem gotowa zrobić wyjątek. Jejka, twój przyjaciel Spencer naprawdę umie się bić, prawda? — Na wspomnienie bójki jej oczy błyszczą. — Wiem, że nie powinnam tego mówić, ale naprawdę uważam, że jest coś ekscytującego w walce mężczyzn, to bardzo pociągające, no wiesz, jak w starożytnej rzymskiej walce gladiatorów.

Siedzę teraz na brzegu jej biurka, starając się nie pobrudzić go błotem, rozplątując śliskie, pobłocone sznurowadła.

— Chodziłam kiedyś krótko z facetem, który uprawiał amatorsko boks, i uwielbiałam chodzić na jego treningi i oglądać walki. Zawsze potem przeżywaliśmy najcudowniejszy i najbardziej zwierzęcy seks; cała ta krew i siniaki, było w tym coś naprawdę pięknego i zmysłowego. Ślady krwi na poduszce...

I stoi tak przez chwilę, z moimi mokrymi butami w ręce, a na wspomnienie jej ciała przebiega lekki, mimowolny, erotyczny dreszcz. Zaczynam zsuwać ostrożnie moje mokre spodnie.

— Oczywiście, poza sypialnią i ringiem nie mieliśmy ze sobą wiele wspólnego, więc nasza znajomość nie miała faktycznie żadnej przyszłości, od początku. Nie są to dobre podstawy

dla jakiegokolwiek związku, prawda? Jeśli pociągają cię tylko wtedy, gdy sana w pół nadzy i piorą kogoś na kwaśne jabłko. Czy uderzyłeś kiedyś kogoś, Brian?

Stoję w majtkach i podkoszulku, więc myślałbym, że odpowiedź powinna wydawać się jasna.

—Ja? Boże, nie.

—A może ciebie ktoś uderzył...?

—Ach, raz czy dwa — wiesz, jakaś szamotanina na placu zabaw, przepychanka w pubie. Na szczęście mam czarny pas w chowaniu się pod stołem.

Uśmiecha się, bierze moje ubrania, odwracając wzrok, i zaczyna je wytrzeptywać, składając je starannie.

—Nie zranił cię? — pytam.

—Co?

—Spencer, w czasie bójki.

—Kiedy?

—Widziałem, jak odepchnął cię pod ścianę...

—Ach, nic się stało, tylko nieduży guz na głowie. Czy widzisz siniaka?

Odwraca się, rozsuwając włosy na czubku głowy, jedną ręką a ja stoję tuż za nią, przerzucam włosy na jedną stronę i nie patrzę w rzeczywistości, jedynie wdycham. Pachnie czerwonym winem i czystą bawełną ciepłą skórą i szamponem rumiankowym i opanowuje mnie nieprzeparta chęć, żeby pocałować czubek jej głowy, małe wypukłe kółeczko, gdzie widać guz. Mógłbym to spokojnie zrobić. Mógłbym się teraz pochylić do przodu i pocałować je, a potem powiedzieć: „do wesela się zagoi!", coś takiego, mam jednak odrobinę dumy, więc w zamian kładę delikatnie palce na zaczerwienionym miejscu.

—Czujesz coś? — dopytuje się. Och, Alice, żebyś ty wiedziała.

—Maluteńki siniak — odpowiadam. — Nic takiego.

—Dobrze — mówi i zaczyna rozkładać moje ubrania na kaloryferze.

Nadal stoję w podkoszulku i majtkach i szybkie spojrzenie na 306 moje bokserki pokazuje, że wyglądam, jakbym przemycał zabawki dla biznes-

menów, naciągam więc szybko dół dresu i stary sweter, który nadal nią pachnie.

—Mam odrobinę whisky. Chcesz trochę?

—Z przyjemnością — odpowiadam.

Siadam na jej łóżku i przyglądam się, jak myje nad umywalką dwie filiżanki. W świetle lampy na biurku zauważam, że skóra u góry jej ud jest bardzo biała i lekko zmarszczona, jak rosnące drożdżowe ciasto, i gdy odwraca się z powrotem do mnie, stojąc pod światło, widzę, albo wydaje mi się, że widzę, maluteńką kępkę jasnobrązowych włosów wystających u góry bielizny, w miejscu gdzie zaczyna się lekka wypukłość jej brzucha.

—Co zamierzasz z tym zrobić? Wracam do rzeczywistości.

—Z czym?

—Z twoim przyjacielem, Spencerem.

Znowu zaczyna— Spencer, Spencer, Spencer...

—Nie wiem, porozmawiamy rano.

—Więc dlaczego chodziłeś w deszczu?

— Chciałem dać mu po prostu kilka godzin, żeby zasnął. Niedługo będę wracał... — mówię i udaję, że szczękajami zęby.

Wręcza mi filiżankę z dwoma centymetrami whisky.

— Cóż, nie możesz wrócić dzisiaj w nocy. Będziesz tu musiał spać...

To wskazówka dla mnie, żeby udawać opór.

— Ach, naprawdę, nic mi nie jest, powinienem wracać...

Jest mi teraz, prawdę powiedziawszy, dość ciepło, ale próbuję sztucznie sprawić, żeby szczękały mi zęby, co jest w rzeczywistości dużo trudniejsze, niż mogłoby się wydawać, więc nie przesadzam, ale cicho rzucam:

—Wypiję to i już mnie tu nie ma.

—Brian, nie możesz wyjść na tę pogodę, spójrz tylko na swoje buty...!

Moje zniszczone zamszowe buty parują na grzejniku jak gorące bułki i słyszę deszcz i wiatr zacinający w okno.

— Nie zgadzam się, żebyś wyszedł. Będziesz musiał spać tej nocy ze mną.

To pojedyncze łóżko. Bardzo wąskie łóżko. Bardzo wąskie. Bardziej przypomina półkę.

— Ach, no dobrze — zgadzam się. — Skoro nalegasz.

RS

PYTANIE: Wynaleziona przypadkowo przez holenderskiego fizyka, Pietera van Musschenbroeka w 1746 roku, i również przez niemieckiego wynalazcę, Ewalda Georga von Kleista w 1745 roku, butelka lejdejska jest szczelnym, szklanym pojemnikiem używanym do przechowywania czego?

ODPOWIEDŹ: Elektryczności statycznej.

Są rzeczy, które," jak można oczekiwać, dziewiętnastoletni mężczyzna, taki jak ja, powinien już mieć za sobą. Na przykład, uważam, że mógłbym założyć, iż w wieku dziewiętnastu lat powinienem mieć już za sobą lot samolotem albo przejażdżkę motocyklem albo samochodem, albo strzelenie bramki, albo pomyślnie wypalenie papierosa. Zanim skończył dziewiętnaście lat, Mozart skomponował symfonie, opery i grywał dla koronowanych głów Europy. Keats napisał *Endymiona*. Nawet Kate Bush nagrała swoje dwa pierwsze albumy studyjne, a ja nie jadłem jeszcze kukurydzy z puszki.

Muszę jednak przyznać, że tak naprawdę wcale mi to nie przeszkadza, ponieważ dzisiaj w nocy wydarzy się coś wielkiego. Dzisiaj, po raz pierwszy w życiu, spędzę całą noc w łóżku z drugą osobą.

No dobrze, powinienem rzucić na to trochę światła. Ostatniego lata dzieliłem jednoosobowy namiot ze Spencerem i Tone'em na Canvey Island i było dość przytulnie. Spałem razem z mamą w jednym łóżku przez kilka nocy po śmierci taty. A w noc przed jego pogrzebem dzieliłem moje pojedyncze łóżko w domu z irlandzką kuzynką, Tiną, ale oczywiście to ostatnie się nie liczy, ponieważ, pomijając tragiczne okoliczności i kwestię kazi-

rodztwa, kuzynka Tina była, i nadal jest, niezwykle gwałtowną osobą. Wyjaśniając więc, nigdy, przenigdy w swoim życiu nie dzieliłem jako osoba dorosła łóżka przez całą noc z przedstawicielem płci przeciwnej, z którym nie jestem blisko spokrewniony i/albo którego się nie boję. Aż do tej pory.

Nie kładziemy się jeszcze przez jakąś godzinę, pijąc whisky, siedząc obok siebie na łóżku i rozmawiając, słuchając *Tapestry* i nowego albumu *Everything But The Girl*. Ponieważ wiem, że zostanę tu jakiś czas, rozluźniam się trochę i zaczynamy znowu się dobrze bawić, jak należy, przeżywając ponownie imprezę, bójkę, wyraz twarzy Patricka, gdy usiłował przypomnieć sobie imię Spencera. Siedzi tuż obok mnie ze skrzyżowanymi nogami, z T-shirtem naciągniętym na brzuch, dla przyzwoitości, ale gdy nie patrzy, nadal widzę melanzową gładkość bieli i różu wewnętrznej strony jej ud, początek ciemnego wgłębienia u nasady każdej z nóg.

—Przy okazji — rzuca — muszę ci coś powiedzieć.

—Co? — pytam.

Spodziewam się, że coś w rodzaju: zakochałam się w Spencerze.

— Otrzymałam dzisiaj pewną dobrą wiadomość — mówi, delektując się chwilą.

—Mów...

—Jestem... Heddą Gabler!

—Gratuluję! Wspaniała wiadomość!

Szczerze mówiąc, miałem potajemnie nadzieję, że nie dostanie tej roli, częściowo dlatego, że to oznacza, iż cały czas będzie spędzać na próbach, a częściowo dlatego, że potrafi być niewypowiedzianie nudna, rozwodząc się nad tym tematem. Ale nikt nigdy by nie powiedział, że nie mam wielkiego talentu do nieszczerości.

— To cudownie! Tytułowa Hedda! Będziesz wspaniała! Tak się cieszę! — rzucam radośnie, obejmuję ją i całuję w policzek, ponieważ przecież i ja mogę coś na tym skorzystać. — Hej, nie zamierzasz rezygnować z *University Challenge*, prawda?

— Ależ skąd. Sprawdziłam. Daty nie kolidują ze sobą, nawet jeśli znajdziemy się w drugiej rundzie...

—Bo na pewno się znajdziemy.

—Bo na pewno się znajdziemy.

A potem rozmawiamy prawie godzinę o wielu i różnorodnych trudnościach związanych z odtwarzaniem roli Heddy Gabler, co nie jest łatwe, ponieważ szczerze mówiąc, nigdy jej nie czytałem, więc wyłączam się i jedynie przyglądam się jej przez chwilę, a potem Alice mówi:

—.. .i naprawdę cudownie, że Eilerta Lovborga będzie grał Neil MacIntyre...

— Kim jest Neil...?

—Wiesz, był tym wspaniałym Ryszardem III w zeszłym semestrze.

—Ach, on! — rzucam, gdy w rzeczywistości chcę powiedzieć: Ach, to ten dupek z tamburynem!

Neil MacIntyre to aktorski drań, który spędził większość poprzedniego semestru, kuśtykając ostentacyjnie na kulach po barze studenckim, żeby „wczuć się w rolę”. Wiele razy musiałem opierać się pokusie, żeby mu ich nie wykopać, ale Alice najwyraźniej jest dość podekscytowana całym przeżyciem, które ją czeka, ponieważ robi się niewiarygodnie ożywiona i pełna pasji, wymachując w powietrzu rękami, przygryzając wargę i przyciskając do czoła dłoni. Prawdę powiedziawszy, omawia nieomal całe przedstawienie, scena po scenie, usiłuję więc nie zasnąć, mrugając silnie powiekami, gdy nie patrzy, i rzucając od czasu do czasu ukradkowe, dyskretne spojrzenia na wypłówiały nadruk Snoopy'ego na jej T-shircie, unoszący się i opadający, albo na bladą skórę po wewnętrznej stronie jej ud, zapisując w pamięci fotograficzne ujęcia.

W końcu, gdy Hedda wrzuciła rękopis swojego ukochanego Lovborga do ognia i popełniła samobójstwo za kulisami, Alice mówi:

— Boże, dłużej nie wytrzymam.

I człapie do wspólnej toalety na końcu korytarza. Gdy tylko wychodzi, używam ukradkiem jej dezodorantu Cool Biue i zmieniam pozycję znajdującego się przy łóżku radio-budzika, w nadziei że nie zauważy, iż zrobiła się trzecia nad ranem, i nie poczuje się senna. Ale gdy wraca do pokoju, pierwsze, co robi, to ziewa i oznajmia:

— Czas spać.

Idzie następnie do umywalki i zaczyna myć zęby.

— Będziesz musiał pożyczyć moją szczoteczkę do zębów, — mówi przez pianę z pasty. — Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

—Jeśli tobie nie przeszkadza, to mnie też!

—Bardzo proszę.

I podaje mi ją, a ja opłukuję ją pod kranem, ale nie za bardzo. Potem stoimy obok siebie przy umywalce, ja myję zęby, podczas gdy ona zmywa makijaż błękitnym środkiem do demakijażu. Dochodzi do zabawnej sytuacji, gdy przypadkowo wypluwam pastę na jej dłoń, gdy ona sięga nad umywalką po wacik, i nasz wzrok spotyka się w lustrze, i Alice śmieje się swobodnie, splukując z nadgarstka moją miętową ślinę. I przychodzi mi do głowy, że jest w tej chwili coś przytulnie domowego, jakbyśmy właśnie przygotowywali się do snu, po wydaniu uroczego i zakończonego ogromnym sukcesem przyjęcia z kolacją dla naszych najbliższych przyjaciół, ale nie mówię tego na głos, ponieważ nie jestem mimo wszystko zupełnym i całkowitym kretyńcem.

Zdejmuję zielony sweter i dół od dresu w sposób, który nie wydaje się zanadto seksualnie prowokujący, i zastanawiam się przez chwilę nad zdejmowaniem narciarskich skarpetek, dla wygody, ale nie wygląda to za dobrze, majtki i skarpety, więc je też zdejmuję i kładę obok łóżka, na wszelki wypadek.

—Chcesz spać pod ścianą czy...? — proponuje.

—Wszystko mi jedno...

—W takim razie ja położę się pod ścianą, dobrze?

—W porządku!

—Masz szklankę wody?

—Tak.

Alice wsuwa się pod ręcznej roboty patchworkową kołdrę, a ja idę w jej ślady.

Na początku faktycznie prawie w ogóle się nie dotykamy, nie specjalnie, i trochę się szamoczemy, gdy zdajemy sobie sprawę, jak małe jest łóżko. W końcu układamy się, jak się nam wydaje, w sensownej pozycji, co polega na tym, iż leżymy równolegle z podwiniętymi nogami, jak znaki

zapytania. Ja jednak nie śmiem jej dotknąć, jakby była szyną napięciową. Czym, w pewnym sensie, jest.

—Wygodnie? — pyta.

—Aha.

—Nocnej nocki, Brian. Co?

—Nocnej nocki? — pytam.

—Tato tak do mnie mówił, no wiesz, zamiast „dobrej nocy”?

—Nocnej nocki, Alice.

—Wyłącz światło, dobrze?

— Chciałaś powiedzieć, żebym wyłączył „światlane światełko”? — odpowiadam.

Gdybyście chcieli znać moje zdanie, to uważam, że jest to całkiem błyskotliwy komentarz o 3.42 nad ranem, ale ona nic nie mówi ani nie wydaje żadnego dźwięku, wyłączam więc światło. Przez chwilę zastanawiam się, czy nie zadziała to jak jakiś katalizator, który sprawi, że pozbedziemy się naszych obaw, i nie wyzwoli naszych niezwykle silnych, wzajemnych, tajemnych pragnień, ale tak się nie dzieje, sprawia jedynie, że w pokoju zapada zmrok. Leżymy dokładnie tak jak przedtem, w pozycji znaków zapytania, nie dotykając się, i wkrótce staje się jasne, że napięcie mięśniowe niezbędne, żeby zachować stałą pozycję i nie dotykać jej, będzie niemożliwe do utrzymania, podobnie jak trzymanie przed sobą krzesła na wyciągnięcie ręki przez całą noc. Rozluźniam się więc odrobinę i górna część mojego uda dotyka cieplej linii jej lewego pośladka, ale ona najwyraźniej się nie odsuwa ani nie uderza mnie łokciem w żołądek, więc zakładam, że wszystko jest w porządku.

Teraz jednak zdaję sobie sprawę, że nie wiem, co zrobić z ramionami. Prawa ręka, pod torsem, zaczyna mi cierpnąć, wyciągam ją więc spod siebie gwałtownym ruchem, uderzając Alice w nerki.

—Au!

—Przepraszam!

—Nic się nie stało.

Tylko że teraz ręce wiszą jakby bezsensownie przede mną, pod dziwnym kątem, jak rzucona marionetka, i usiłuję sobie przypomnieć, co za-

zwyczaj robię z rękami, gdy nie leżę z kimś w łóżku, to znaczy przez całe swoje życie. Próbuję złożyć te dziwne nowe, dodatkowe kończyny na piersi, co również nie wydaje się dobrym rozwiązaniem, a Alice przesunęła się teraz trochę bliżej ściany, zabierając ze sobą kołdrę, i w rezultacie moje plecy wiszą nad brzegiem łóżka, i czuję strumień zimnego powietrza, jak wędruje pod nogawkę moich bokserek. Mogę więc albo naciągnąć z powrotem kołdrę, co będzie trochę nieuprzejme, albo zaryzykować przysunięcie się bliżej, co czynię, i leżę teraz skulony, przytulony mocno do jej pleców, co jest cudowne, i wydaje mi się, że od strony technicznej nazywa się to kołyską. Czuję falowanie jej oddechu i próbuję zsynchronizować z nim swój własny, w nadziei że to pozwoli mi zasnąć, chociaż wydaje się to mało prawdopodobne, ponieważ moje serce bije wyraźnie, zdecydowanie, zdecydowanie za szybko, jak serce charta.

A teraz do ust wpadają mi jej włosy. Usiłuję je odsunąć, poruszając spazmatycznie mięśniami twarzy, ale to nie przynosi efektu. Odchyłam więc do tyłu głowę, najdalej jak potrafię, lecz jej włosy nadal tam są i wchodzą mi teraz do nozdrzy. Ręce mam nadal skrzyżowane na piersi i oparte o plecy Alice, muszę więc odchylić się do tyłu, uwolnić ramiona i odsunąć włosy, ale teraz moja lewa ręka znalazła się poza kołdrą i jest mi zimno, i nie wiem, gdzie ją położyć, a prawa ręka zaczyna cierpnąć, z powodu skurczu albo zbliżającego się ataku serca, a dezodorant pod pachą zaczyna wydzielać bardzo intensywny zapach Cool Blue, a moje bokserki znowu znalazły się w przeciagu, mam zimne stopy, i zaczynam się zastanawiać, czy nie mógłbym może sięgnąć ręką i wziąć grube skarpety i...

— Ależ się kręcisz? — mamrocze Alice.

— Przepraszam. Nie mam pojęcia, co powinienem zrobić z rękami!

— Proszę...

I robi najcudowniejszą rzecz. Sięga w moją stronę, bierze mnie za rękę i przyciąga ją mocno, opierając na swoich żebrach, pod jej T-shirtem. W rezultacie moja dłoń leży na ciepłej skórze jej brzucha i wydaje mi się, że czuję wypukłość jej piersi, gdy ociera się o moje przedramię.

—Lepiej?

—Dużo lepiej.

— Śpiący? — zadaje mi pytanie, które w rzeczywistości jest całkowicie absurdalne, zważywszy na to, że jej pierś ociera się o mój nadgarstek.

—Raczej... nie — odpowiadam.

—Ja też. Mów do mnie.

—O czym?

—O czymkolwiek.

—Dobrze.

Postanawiam wziąć byka za rogi.

—Co myślisz o Spencerze?

—Spodobał mi się.

—Wydaje ci się, że jest w porządku?

— Tak! Trochę się zgrywa, trochę zbyt pewny siebie... — opowiada, naśladowując akcent cockney z 4 programu radia. — Trochę chojrak, ale uważam, że jest wspaniały. I oczywiście bardzo cię kocha.

—Cóż, nic mi o tym nie wiadomo... — rzucam.

—Ależ tak. Szkoda, że go nie słyszałeś, jak cię wychwalał.

—Wydawało mi się, że cię podrywa...

— Boże, nie! Wręcz przeciwnie... — mówi. A co to ma znaczyć?

— Co masz na myśli? — postanawiam się upewnić. Waha się, odwraca na wół głowę i mówi:

—Cóż... wyglądało na to, że był przekonany, że... troszeczkę ci się podobał.

—Spencer tak powiedział? Tobie, dzisiaj wieczorem?

—Aha.

A więc stało się. Wszystko wyszło na jaw. Nie wiem, co powiedzieć ani gdzie odwrócić wzrok, więc obracam się na plecy i wzdycham.

—No cóż, dzięki, Spencer, tak bardzo ci dziękuję...

—Nie wydaje mi się, żeby chciał ci tym zaszkodzić.

—Dlaczego? Co jeszcze mówił?

—Cóż, był nieźle wstawiony, ale powiedział, że jesteś naprawdę dobrym facetem, i cytując go dosłownie, powiedział, że czasami rzeczywiście zachowujesz się jak dupek, ale że jesteś naprawdę lojalny i uczciwy i że na

tym świecie nie ma zbyt wielu facetów takich jak ty, i jeśli mam chociaż odrobinę rozumu, to powinnam się... z tobą spotykać.

—Spencer powiedział to wszystko?

—Aha.

Staje mi na chwilę przed oczami obraz Spencera stojącego w świetle ulicznej lampy, w mżawce, z zamkniętymi oczami, nasadą dłoni przyciśniętą do czoła, i mnie idącego w drugą stronę.

—O czym myślisz? — pyta Alice, z twarzą zwróconą ponownie w stronę ściany.

—Hm. Nie wiem, szczerze mówiąc.

—Przypuszczam jednak, że to prawda, tak? To znaczy wydawało mi się, że to może być prawda.

—Czy to naprawdę tak widać?

—Cóż, przypuszczam, że kilka razy przyłapałam cię na tym, jak mi się przyglądasz. Była też ta nasza randka na kolacji...

—O Boże, tak mi wstyd...

—Nie ma powodu. To bardzo miłe. Tylko że...

—Co?

Milczy przez chwilę, a potem wzdycha głęboko i ściska mi dłoń, gestem, który zdaje się mówić, że zdechł ci chomik, i przygotowuję się na starą dobrą mowę w rodzaju „zostańmy przyjaciółmi”. Ale potem obraca się nagle i spogląda mi w twarz, i zakłada za uszy włosy, i jestem w stanie dostrzec jej twarz, w pulsującej, pomarańczowej poświacie radio-budzika.

—Nie wiem, Brian. Przynoszę pecha, wiesz.

—Nie, nie przynosisz...

—Ależ tak, naprawdę. Każdy z moich dotychczasowych związków zakończył się cierpieniem jednej strony...

—Nie przeszkadza mi to...

—Przeszkadzałyby ci jednak, gdyby to dotyczyło ciebie. Chcę powiedzieć, wiesz, jaka jestem...

—Wiem, opowiadałaś mi. Ale jak mówiłem, nie przeszkadza mi to, ponieważ czy nie byłoby lepiej spróbować? To znaczy, czy nie byłoby lepiej dać sobie szansę, zobaczyć, jak się nam układa. Wszystko zależałoby

od ciebie, oczywiście, ponieważ mógłbym ci się nie spodobać w takiej roli...

—Cóż, myślałam o tym, oczywiście. Ale to nawet nie chodzi o ciebie. Nie mam, szczerze mówiąc, czasu na całe to chodzenie ze sobą z rolą Heddy, drużyną i tak dalej. Za bardzo cenię sobie niezależność...

—Ja też naprawdę cenię sobie niezależność! — wołam. Jest to oczywiście kłamstwo, absolutnie epickich rozmiarów, ponieważ co miałbym zrobić z tą niezależnością? Wiecie, co to jest „niezależność”? „Niezależność” to wpatrywanie się w sufit w środku nocy i wbijanie paznokci w dłonie. „Niezależność” to nagła świadomość, że jedyna osoba, z którą rozmawiałeś w ciągu dnia, to facet ze sklepu monopolowego. „Niezależność” to posiłek w przystępnej cenie w podziemiach Burger Kinga, w sobotnie popołudnie. Gdy Alice mówi o „niezależności”, ma na myśli coś zupełnie innego. „Niezależność” to luksus, na który mogą sobie pozwolić wszyscy ci ludzie, którzy są zbyt pewni siebie i zajęci, i rozchwytywani, i atrakcyjni, żeby mogli być normalnie i po prostu „samotni”.

I możecie mi uwierzyć, najgorsze, co może się człowiekowi przydarzyć, to bycie samotnym. Powiedz komuś, że masz problemy z piciem albo problemy żołądkowe, albo nawet że twój tato zmarł, gdy byłeś dzieckiem, i nieomal widzisz, jak ich oczy rozbłyskują, w reakcji na sam fascynujący dramat i patos tego wszystkiego, ponieważ wysunąłeś pewną kwestię, coś, w co będą się mogli zaangażować, o czym będą mogli mówić i dyskutować, coś, co będą mogli analizować, i może nawet wyleczyć. Ale powiedz komuś, że jesteś samotny, to oczywiście, wszyscy będą pozornie okazywać ci współczucie, ale przyjrzyj się dokładnie, a zauważysz, jak ich dłoń wędruje za plecy, szukając klamki u drzwi, żeby jak najszybciej uciec, jakby samotność była zaraźliwa. Ponieważ bycie samotnym jest takie banalne, takie wstydlive, takie zwykłe, nudne i brzydkie.

Cóż, byłem sam jak palec przez całe dotychczasowe życie, i mam tego dość. Chcę być częścią zespołu, partnerstwa, chcę wyczuwać ten słyszalny szmer zazdrości, podziwu i ulgi, gdy wchodzimy razem do pokoju — „dzięki Bogu, już nic nam nie grozi, ponieważ oni tu są”, ale również chcę wzbudzać lekką trwogę, trochę onieśmielać, mieć cięty dowcip. Chcę, by

nasza para była jak Dick i Nicole Diver w *Czuła jest noc*, olśniewająca i wzajemnie zafascynowana, jak Burton i Taylor albo jak Arthur Miller i Marilyn Monroe, tyle że zrównowazona, rozsądna i niezmienna, bez tych wszystkich załamaniań nerwowych, niewierności i rozvodu. Nie mogę tego oczywiście powiedzieć na głos, ponieważ w tej chwili nic nie przestraszyłoby jej bardziej, chyba że wyciągnięcie topora, i na pewno nie mogę użyć słowa „samotny”, ponieważ naprawdę zazwyczaj sprawia, że ludzie czują się niezręcznie. Więc co mam powiedzieć? Biorę głęboki oddech, wzdycham i przykładam dłoń do czoła, i w końcu oto, co proponuję:

— Wiem tylko, że uważam, iż jesteś absolutnie wspaniała, Alice, i olśniewająco piękna oczywiście, nie, żeby to miało jakieś znaczenie, i że po prostu uwielbiam być z tobą, spędzać z tobą czas, i uważam, że, cóż, naprawdę uważam, że powinniśmy...

Zapada chwila ciszy, i właśnie wtedy to robię. Całuję Alice Harbinson.

A potem ją całuję, całuję ją tak jak należy, w usta i tak dalej. Jej usta są ciepłe, ale na początku suche i odrobinę spierzchnięte, i wyczuwam lekko twardą ostrą skórę na jej dolnej wardze, którą przez chwilę mam zamiar odgryźć, ale przychodzi mi do głowy, że byłoby to trochę zbyt zuchwałe i zmysłowe, gryzienie, zaledwie po kilku sekundach. Może powinienem usunąć ją pocałunkami, czy to może okazać się możliwe? Czy można usunąć pocałunkiem martwy naskórek? Co to może oznaczać? Już mam spróbować, gdy Alice odsuwa głowę, i myślę, że może wszystko zepsułem, ale ona jedynie uśmiecha się, wyciąga dłoń, odrywa ze swojej wargi maluteńki płatek martwej skóry i wyrzuca go obok łóżka. Potem osusza wargę wierzchem dłoni, spogląda na nią żeby sprawdzić, czy nie krwawi, oblizuje usta i znowu się całujemy, i jest jak w niebie.

Jeśli chodzi o całowanie, nie jestem oczywiście żadnym koneserem, ale jestem całkiem pewien, że to niezłe całowanie. Jest zupełnie inne niż przeżycia z Rebecą Epstein; Rebecca jest wspaniałą osobą bardzo zabawna, i tak dalej, ale całowanie Rebecki Epstein było starciem z ostrymi krawędziami. Usta Alice zdają się nie mieć żadnych krawędzi, są po prostu ciepłe i miękkie, i pomimo ledwie wyczuwalnego, cierpkiego, gorącego, mięciowego i nieprzyjemnego zapachu z ust jednego z nas, prawdopodobnie

moich, wszystko wydaje się po prostu niebiańskie, albo przynajmniej takie by się wydawało, gdybym nagle nie zdał sobie sprawy, że nie wiem, co zrobić z językiem, który nagle stał się ogromny i mięsisty, jak coś, co można zobaczyć zapakowane w folię u rzeźnika. Czy można użyć w tym miejscu języka, zastanawiam się? I wtedy, w odpowiedzi, czuję jej język, jak dotyka pytająco moich zębów, a potem Alice bierze moją dłoń i przesuwając ją na przód swojego T-shirtu, tam gdzie Snoopy leży na budzie, potem wsuwając ją pod T-shirt, i wtedy, gdy to się dzieje, muszę wyznać, że wszystko zaczyna się trochę zamazywać.

RS

32

PYTANIE: Pod jakim nazwiskiem był powszechnie znany syn węgierskiego rabiego, Erie Weisz, który zasłynął ze swojej umiejętności uwalniania się z więzów i uciekania oraz znikania?

ODPOWIEDŹ: Harry Houdini.

Następnego ranka całujemy się jeszcze trochę, ale z mniejszą namiętnością niż poprzedniej nocy. W świetle dnia Alice widzi, z czym ma do czynienia. Ponadto o 9.15 rozpoczyna warsztaty teatralne, więc tuż po ósmej zabieram swoje obłocone buty i śpieszę w kierunku drzwi.

— Jesteś pewna, że nie chcesz, żebym cię odprowadził?

— Nie, nie, wszystko w porządku...

— Jesteś pewna?

— Muszę się przygotować, wziąć prysznic i tak dalej... Bardzo chętnie zostałbym, żeby móc to obserwować, i mam

jakieś nieokreślone uczucie, że na to zasłużyłem, ale to wspólna łazienka, co oczywiście trochę wszystko komplikuje, a poza tym muszę pamiętać: nie mogę być zbyt natarczywy, nie mogę być zbyt natarczywy...

— Cóż, dziękuję, że mnie przygarnęłaś — rzucam.

Usiłuję nadać mojej wypowiedzi lekko pikantny, pewny siebie ton, ale nie do końca mi to wychodzi, potem pochylam się i całuję ją. Odsuwa się odrobinę zbyt szybko i przez chwilę zastanawiam się, czy nie powinienem czuć się urażony, ale ona natychmiast oferuje absolutnie racjonalne wyjaśnienie:

— Przepraszam, przykry zapach z ust!

— Ależ skąd — uspokajam ją, chociaż rzeczywiście zapach dochodzący z jej ust jest naprawdę bardzo, bardzo przykry.

Jest mi to obojętne. Mogłaby ziać ogniem, a i tak by mi to nie przeszkadzało.

— Mogłabyś ziać ogniem, a i tak by mi to nie przeszkadzało — wyjaśniam.

Wydaje sceptyczne mruknięcie, przewraca z rozkoszą oczami i mówi:

— No tak, cóż, lepiej już idź, zanim ktokolwiek cię zobaczy. I Brian?

—Aha?

—Masz nikomu nie mówić. Obiecujesz?

—Oczywiście.

—Nasza tajemnica...?

—Absolutnie.

—Całkowicie?

—Obiecuję.

—W porządku — gotowy?

Otwiera drzwi i wygląda na korytarz, żeby sprawdzić, czy teren jest czysty, potem wypycha mnie delikatnie za drzwi, pełnym czułości gestem, jakby wypychała niechętnego spadochroniarza z samolotu, i odwracam się w samą porę, żeby zobaczyć jej piękną twarz, jak znika za drzwiami, uśmiechnięta, jestem całkiem pewien.

Siadam na kaloryferze w korytarzu, i stukam moimi zniszczonymi butami, sprawiając, że kawałki błota sypią się na drewniany parkiet.

Do domu lecę jak na skrzydłach. Od dwudziestu czterech godzin nie jadłem w zasadzie nic, oprócz chipsów i orzeszków ziemnych, umieram więc z głodu, i zdołałem naciągnąć sobie mięsień w szyi, całując Alice, co musi znaczyć coś dobrego. Czuję się też trochę pijany i lekki, jak po nieprzespanej nocy, i w zasadzie mój organizm funkcjonuje w oparciu o adrenalinę, uniesienie i cudzą ślinę, zatrzymuję się więc na stacji i kupuję puszkę fanty, batonik Mars i Mint Aero na śniadanie, i zaczynam się czuć trochę lepiej.

Jest piękny, rześki zimowy poranek i wokół pełno jest dzieci w wieku szkolnym, trzymających za ręce swoich rodziców i wędrujących do szkoły.

Stojąc na przejściu i jedząc Mint Aero, napotykam wzrok stojącej obok, małej dziewczynki, która przygląda się z zaciekawieniem moim butom i spodniom, które są nadal oblepione błotem, co sprawia, że wyglądam, jakbym został umoczony w czekoladzie. Przychodzi mi do głowy, że jest to rodzaj dziwnego, książkowego obrazka, który przemawia do małych dzieci, uśmiecham się więc do małej dziewczynki, pochylam się i mówię na głos, trochę w stylu J.D. Salingera:

— Prawdę powiedziawszy, zostałem umoczony w czekoladzie!

Coś się jednak dzieje z tymi słowami pomiędzy moim mózgiem a ustami, i nagle brzmią one jak najdziwniejsza i najbardziej niepokojąca rzecz, jaką kiedykolwiek powiedziano do małego dziecka. Jej mama również zdaje się z tym zgadzać, ponieważ obrzuca mnie gniewnym spojrzeniem, jakbym był kid-naperem, bierze swoje dziecko na ręce i przechodzi pośpiesznie na drugą stronę ulicy, zanim jeszcze zmieniają się światła. Postanawiam o tym nie myśleć, ponieważ jestem zdeterminowany, aby nic nie zepsuło tego ranka, ponieważ chcę zatrzymać to uczucie przyprawiającego mnie o lekki zawrót głowy uniesienia, martwi mnie jednak coś innego, coś, czego nie potrafię wyrzucić z pamięci.

Spencer. Co powiem Spencerowi? Przepraszę go na pewno. Ale nie nazbyt poważnie, nie będę robił z tego wielkiej sprawy, powiem coś w rodzaju: hej, przepraszam za ostatnią noc, wydaje mi się, że sytuacja wymknęła się trochę spod kontroli, a potem obrócimy to wszystko w żart. I powiem mu o tym, jak kochałem się z Alice, tyle że nie nazwę tego w ten sposób, powiem, że „przespaliśmy się”, a potem sprawy wrócą do normy. Oczywiście, będzie prawdopodobnie najlepiej, jeśli mimo wszystko wyjedzie dzisiaj, ale postaram się, podaruję sobie wykłady, pogodzę się z nim i odprowadzę go na stację.

Ale gdy wracam do Richmond House, jego tam nie ma. Prawdę powiedziawszy, pokój wydaje mi się dokładnie taki sam, jak gdy wychodziliśmy wczoraj po południu — rama łóżka, płatanina kołder i zimnych, wilgotnych ręczników, zapach amoniaku, Special Brew i butanu. Zastanawiam się, czy nie zostawił tu którejś ze swoich rzeczy, a potem przypominam sobie, że w istocie niczego tu nie przywiózł; jedynie cienką reklamówkę z

„Daily Mirror” sprzed trzech dni i czerstwą bułkę z mięsnym nadzieniem, która nadal leży obok mojego biurka, tam gdzie ją położył. Zaniepokojony, podnoszę plastikową torbę i wychodzę do kuchni, gdzie Josh i Marcus jedzają z wody i sprawdzają ceny swoich akcji w „The Times”.

—Czy któryś z was widział wczoraj w nocy Spencera?

—Nie, obawiam się, że nie — informuje mnie Josh.

—Nie ma go z tobą? — jęczy Marcus.

—Nie, rozdzieliliśmy się po imprezie. Miałem nadzieję, że trafi sam do domu.

—A co się stało? Gdzie ty byłeś? Ładnie to nie wracać do domu na noc? — spogląda na mnie chytrze Josh.

—Zatrzymałem się u znajomej. U mojej przyjaciółki Alice — dodaję, a potem przypominam sobie, że miałem nikomu nie mówić.

— Łuuuuuuuuuu — wołają zgodnie.

— Cóż, wiecie, jak to jest, albo się to ma, albo nie! — odpowiadam, wrzucam rzeczy Spencera do kosza i wychodzę.

Nie mam „tego” oczywiście, nigdy „tego” nie miałem, nigdy „tego” nie będę miał, nie jestem nawet pewien, co „to” jest, ale nie ma powodu, żebym miał wyprowadzać z błędu ludzi, którzy są przekonani, że rzeczywiście „to” mam, jeśli nawet tylko przez chwilę.



Runda czwarta

Rosemary wstała, wychyliła się i powiedziała to, co odczuwała najszczerszej:

— O, jacy z nas aktorzy — oboje nimi jesteśmy*³¹.

F. Scott Fitzgerald, *Czuła jest noc*

RS

³¹ * F. Scott Fitzgerald, *Czuła jest noc*, tłum. Maria Skroczyńska i Zofia Zinserling, Czytelnik, Warszawa 1987.

PYTANIE: W swoim artykule z 1926 roku, opublikowanym w przeglądzie filmowym „LEF” przez poetę Majakowskiego, Siergiej Eisenstein proponuje nową formułę kina, która polega w mniejszym stopniu na statycznym, logicznym, liniowym rozwoju akcji, a bardziej na stylizowanym przeciwstawieniu obrazów. Jak nazwał Eisenstein tę nową formę kinematograficzną?

ODPOWIEDŹ: Montaż atrakcji.

Istnieje pewna ogólna konwencja, rozpoznawalna szczególnie w głównym nurcie filmu amerykańskiego, gdzie bohater i bohaterka zakochują się w sobie podczas wydłużonej, pozbawionej słów sekwencji montażowej, której wymowę nieuchronnie osłabia rodzaj bogatej orkiestrowej ballady, zazwyczaj z solo na saksofonie. Nie bardzo rozumiem, dlaczego zakochywanie się powinno przebiegać bez słów — może dlatego, że zasadnicza kwestia dzielenia się najbardziej intymnymi myślami, sekretami i pragnieniami jest nie lada wyzwaniem dla wszystkich, których to bezpośrednio nie dotyczy. Ale wracając do tematu, ta sekwencja ilustruje wszystkie te zabawne rzeczy, które młodzi kochankowie mają robić —jedzenie popcornu w kinach, noszenie się na barana, całowanie na ławce w parku, przymierzanie śmiesznych kapeluszy, picie wina z kieliszków w kąpieli z bąbelkami, wpadanie do basenów, spacerowanie nocą do domu, trzymając się za ręce i pokazując sobie różne konstelacje itd., itd., itd.

Cóż, w przypadku moim i Alice ostatni tydzień absolutnie tego nie przypominał. Prawdę powiedziawszy, nie miałem od niej żadnych wiado-

mości, co mi nie przeszkadza, ponieważ moje najnowsze motto brzmi: olśniewający i wyniosły, i bardzo się staram, aby nie naruszać jej cennej niezależności, szczególnie że jest tak zajęta *Hedda Gabler*. I nie przeszkadza mi to, że nie miałem od niej żadnych wiadomości. Szczerze mówiąc, dzwoniłem do niej tylko, no ile, pięć, sześć razy przez cały tydzień i nie zostawiałem też wiadomości, więc cały urok polega na tym, że z perspektywy Alice ja też do niej nie dzwoniłem! Muszę przyznać, że raz przeżyłem chwilę grozy, gdy odebrała Rebecca Epstein, i musiałem delikatnie zmienić głos do telefonu, ale wydaje mi się, że mi' się upiekło.

Zamiast tego zajmowałem się notorycznym słuchaniem Bush ze środkowego okresu i przelewaniem wszystkich swoich uczuć na wiersz miłosny, który przygotowuję na walentynki, za trzy dni, dzień przed *Challenge*. Oczywiście uznaję, że walentynki są niczym więcej, jak tylko cynicznym, obliczonym na zysk wymysłem marketingowym, ale pamiętam czasy, gdy Dzień św. Walentego był dla mnie naprawdę wielkim wydarzeniem i łączył się z tą ogromną wysyłką, w stylu „Reader's Digest”. Jestem teraz dużo starszy, bardziej wymagający pod względem emocjonalnym, więc teraz jest to kartka do mamy i Alice, i na tym koniec. Olśniewającym i wyniosłym sposobem na potraktowanie Alice, byłoby oczywiście niewysyłanie jej żadnej kartki, ale nie chcę, żeby myślała, że przestało mi na niej zależeć, albo co gorsza, że to, co się pomiędzy nami wydarzyło, to był jedynie seks.

Jeśli chodzi o wiersz, pisze mi się całkiem nieźle, ale mam problemy ze znalezieniem odpowiedniej formy, i eksperymentowałem już z sonetem Petrarcki, sonetem elżbietańskim, rymowanym dwuwierszem, aleksandrynem, haiku i wierszem białym, i nie jest powiedziane, że nie skończę na limeryku.

Alicja, prześliczna, kapryśna, falliczna, sceniczna...

Okazuje się, że Patrick wcale nie ma złamanego nosa. Chociaż nie można powiedzieć, że nie jest czerwony, zniekształcony, opuchnięty, i z pewnością chwilowo obniża atrakcyjność image'u Action Mana. Patrick ma

też zadrapanie na policzku, całkiem stosownie, co według mnie wygląda elegancko i szarmancko, ale mu tego nie mówię.

—Boli? — pytam.

—Czy wygląda, jakby bolało? — rzuca gniewnie.

—Trochę.

—Cóż, boli. Cholernie boli, szczerze mówiąc. — Jakby na potwierdzenie tezy dotyka nosa, żeby go zabolął, a potem krzywi się z bólu, w teatralnym geście.

Jesteśmy w jego nieskazitelnej, urządzonej w militarnym stylu kuchni, robiąc herbatę, zanim przybędzie reszta drużyny na ostatnią próbę przed naszym wystąpieniem w telewizji.

—Zdajesz sobie sprawę, że w następnym tygodniu będzie to wyglądało tak samo? Gdy będziemy w telewizji? Przed milionami ludzi?

—Tych milionów nie będzie aż tak wiele, Patrick. A poza tym jestem pewien, że w telewizji będą mogli zatuszować to makijażem.

—Cóż, mam taką nadzieję, Brian, ponieważ mniej więcej cała moja rodzina będzie w studio i nie chciałbym musieć im tłumaczyć, że zrobił to jakiś cwany, prymitywny skinhead, tylko dlatego, że przypadkowo nie zgadzałem się z jego poglądami politycznymi.

—To nie był jedyny powód, dla którego to zrobił, prawda?

—Zrobił to, ponieważ jest dzikim zwierzęciem, którego nigdy nie powinno się było spuścić ze smyczy. Ma po prostu dużo szczęścia, że nie zdecydowałem się oddać sprawy do sądu.

—Bez sensu. Nie ma pieniędzy.

—I nic w tym dziwnego. Nie jestem zaskoczony, że nie może znaleźć przyzwoitej pracy...

—Prawdę powiedziawszy, jest bardzo Inteli...

—...nie, jeśli się tak zachowuje...

—Cóż, byłeś trochę...

—Trochę jaki?

Zastanawiam się nad tym, żeby mu powiedzieć — nadęty, płaski, wstrętny, nieuprzejmy, protekcjonalny — ale zmieniam zdanie, ponieważ

koniec końców, mój najlepszy przyjaciel go jednak pobił, więc mówię jedynie:

— Przyniosłem ci to — na zgodę, na przeprosiny, w imieniu Spencera...

I podaję podarunek, ogromną tabliczkę Cadbury's Fruit and Nut, prezent bożonarodzeniowy od babci Jackson. Mam pewne poczucie winy, ponieważ Spencerowi oczywiście przeprosiny nigdy, przenigdy nie przyszłyby do głowy, i przez chwilę myślę o uderzeniu tabliczką Fruit and Nut nasady wyniosłego, prawicowego nosa Patricka, wyobrażam sobie powstały w rezultacie dźwięk, satysfakcjonujący głośny trzask, ale tylko wręczam mu uprzejmie czekoladę, ponieważ mamy być drużyną. Patrick mamrocze lakoniczne „dziękuję bardzo” i kładzie czekoladę na samej górze wiszącej szafki, żeby przypadkiem nie musiał się nią z nikim dzielić.

Słychać dzwonek.

— Jeśli to Lucy, Brian, to powinieneś ją przeprosić. Wydaje mi się, że całe to wydarzenie trochę nią wstrząsnęło.

Zbiegam na dół i otwieram drzwi Lucy i jej pandzie.

—Cześć, Brian! — rzuca radośnie.

—Lucy, chciałem powiedzieć, że naprawdę bardzo, bardzo mi przykro z powodu bójkki tamtego wieczoru...

—Ach, w porządku. Miałam zadzwonić do ciebie w tygodniu, żeby zapytać, czy...

ALICE! Zza ramienia Lucy wyłania się Alice.

—Hej, Alice! — witam ją.

—Cześć, Brian — odpowiada i obdarza mnie niezauważalnym uśmiechem, ponieważ łączy nas przecież sekret.

Reszta spotkania przebiega dość nieciekawie. Nie mamy żadnych wiadomości o tym, kto będzie naszym przeciwnikiem, ponieważ lubią trzymać to w tajemnicy do dnia nagrania, ale Patrick mówi, żebyśmy się nie przestraszyli, jeśli to będzie Oxbridge albo Open University; „Są prereklamowani”, wyjaśnia. Potem dużo czasu zajmują nam techniczne sprawy, takie jak wynajęcie minibusu od drużyny hokeja i rozwieszenie plakatów w stowarzyszeniu studentów, dla wszystkich, którzy chcieliby przyje-

chać i nam kibicować. Jeden z grubokościstych, prawicowych kumpli Patricka z wydziału ekonomicznego obiecał, że przywiezie minibus kibiców do Manchesteru, jeśli tylko uda nam się znaleźć odpowiednio dużą liczbę zainteresowanych.

— Więc jeśli jest ktoś, kogo chcielibyście zaprosić, to powiedzcie im, żeby wpisali się na listę w stowarzyszeniu studentów.

Alice zamierza zaprosić obsadę *Heddy Gabler*, Lucy ma kilku znajomych z medycyny, a jedyna osoba, która mnie przychodzi do głowy, to Rebecca. Nie jestem zupełnie pewien, czy nas nie wygwizdzą albo czy nie będzie kibicować drugiej drużynie, ale postanawiam dać jej przynajmniej wybór.

— Teraz... — zaczyna Patrick, zaglądając do swoich zapisanych drukowanym pismem notatek — ostatni punkt na liście. Musimy zdecydować się na jakąś maskotkę drużyny!

Nie mam, szczerze mówiąc, niczego, co można byłoby nazwać maskotką, a Patrick nie znajduje się w posiadaniu żadnej rzeczy, która chociaż odlegle kojarzyłaby się z czymś miękkim albo zabawnym, więc w końcu pozostaje nam wybór pomiędzy ulubionym starym misiem Alice, Eddiem, i czaszką anatomicznego szkieletu Lucy. Alice bardzo sprytnie proponuje, aby ozdobić go szalikiem z barwami uniwersytetu i nazwać go Yorick.

Decydujemy się na Eddiego.

Gdy kończymy, muszę biec ulicą, żeby dogonić Alice, która idzie prosto na próbę.

—Więc, co robisz jut...?

—Jestem na próbie...

—Ale w ciągu dnia?

—Cóż, muszę oddać esej, więc...

—Masz ochotę na kino?

—Kino?

Zatrzymuje się na ulicy, rozgląda się w obie strony, żeby sprawdzić, czy nikt się nie patrzy, i odpowiada: — W porządku. Kino.

Umawiamy się i biegnę do domu, żeby zabrać się na serio do tego wiersza.

A następnego popołudnia Alice rezygnuje z eseju, żeby być tylko ze mną, i idziemy razem do kina. Kino nie jest oczywiście idealne, ponieważ możliwości, żeby z nią rozmawiać albo chociaż na nią spojrzeć, są ograniczone. Ponadto Alice chce zobaczyć *Powrót do przyszłości* w kinie Odeon, ponieważ, jak twierdzi z przekonaniem, będzie „śmieszny i zabawny”, ale ja mam na myśli coś odrobinę bardziej wymagającego intelektualnie. Więc ostatecznie idziemy i oglądamy wtorkowy podwójny seans pionierskich, wczesnych fdmów niemych w Arts Cinema; olśniewające surrealistyczne arcydzieło Dalego i Bunuela z 1928 roku, *Pies andaluzyjski*, i mistrzowską sowiecką polemikę Eisensteina, *Pancernik Patiomkin* (1925).

Kupujemy całe mnóstwo słodczy w sklepie na rogu, ponieważ, jak wyjaśniam, marza na słodczych w kinie jest absolutnie horrendalna, a potem sadowimy się w środkowym rzędzie. Stanowimy dwoje z sześciu obecnych na całej sali kinowej osób. Światła gasną i atmosfera tłumionego pożądania, niczym delikatny prąd elektryczny przebiegający nasze ciała, jest nieomal wyczuwalna, podobnie jak zapach wilgotnych papierosów, sfermentowanej Ki-ora oraz zimne i niepewne uczucie zagłady. Pierwszy film to *Pies andaluzyjski*. W czasie przerażającej sekwencji przedstawiającej rozcięcie gałki ocznej i rozkładającego się osła na pianinie Alice pochyla się do przodu na siedzeniu i zasłania oczy dłońmi, a ja raczej żałośnie kładę rękę na oparciu jej fotela, jakbym chciał ją obronić przed groteskową analizą funkcjonowania podświadomości Dalego i Bunuela.

Potem rozbłyskują światła i następuje krótka przerwa, w czasie której zjadamy dużą torebkę orzeszków ziemnych w czekoladzie, wypijamy po puszcze lilt i dyskutujemy na temat surrealizmu i jego związku z podświadomością. Alice nie jest jego fanką.

—Nie mam do niego żadnego stosunku emocjonalnego. Jest bardzo brzydki i odpychający. Nie porusza mnie po prostu ani nie przemawia do moich emocji, to wszystko...

—Poruszenie cię czy też osiąganie emocjonalnego zaangażowania nie jest jego zadaniem, przynajmniej nie w sposób, który konwencjonalnie rozumiemy jako współodczuwanie. Surrealizm ma być dziwny, ma wytrącać z równowagi. Dla mnie jest bardzo poruszający, tyle że podstawowe emocje, jakie w nas budzi, to często uczucie niepokoju i odrazy...

I oczywiście cała ironia polega na tym, że wszystko, czego pragnę, to aby Alice była poruszona i zaangażowana emocjonalnie, w sposób, który konwencjonalnie rozumiemy jako współodczuwanie, i żeby nic nie budziło w niej emocji takich jak uczucie niepokoju i odrazy.

Potem światła gasną i sprawy znowu mają się lepiej, w miarę jak rozwija się akcja *Pancernika Patiomkina*. Obrzucam ją ukradkowymi spojrzeniami w czasie słynnej sceny na schodach w Odessie, aż w końcu odwzajemnia się uśmiechem, a ja pochylam się w jej stronę i całuję ją. I dzięki Bogu, odwzajemnia mój pocałunek przez dłuższą chwilę i jest wspaniale. Następuje niewielkie zderzenie cytrynowo-mlecznych smaków, ponieważ ona zaczęła żuć owocowe gumy, podczas gdy ja nadal jem orzeszki ziemne w czekoladzie, i nie jestem naprawdę w stanie pójść na całość, ponieważ kawałek orzeszka utknął mi z tyłu w zębie mądrości, i nie chcę, aby nasz pocałunek zrobił się zbyt płomienny albo szeroko zakrojony, na wypadek gdyby miał go wypchnąć. Okazuje się, że niepotrzebnie się martwiłem, ponieważ Alice wkrótce odsuwa usta i szepcze:

— Powinam lepiej oglądać film. Chcę wiedzieć, co stanie się z marynarzami!

I wracamy do *Pancernika Patiomkina*.

Jest ciemno, gdy wychodzimy z kina, i jest mi trochę mdło po wszystkich słodyczach i pocałunkach, ale ona bierze mnie pod rękę w drodze powrotnej przez centrum miasta i z rewolucyjnym zapalem rozmawiamy o Eisensteinie.

—On naprawdę jest ojcem współczesnej techniki narracyjnej w filmie — stwierdzam i gdy wreszcie kończą mi się te nudne bzdurne refleksje, dodaję: — Kawa i ciacho? Może pub? A może wrócimy do mnie? Albo do ciebie?

—Lepiej nie. Muszę uczyć się roli.

—Mógłbym cię przepytać? — proponuję, chociaż coś mówi mi, że nadużywam jej wyrozumiałości.

—Prawdę powiedziawszy, lepiej idzie mi samej — odpowiada i z przerażeniem zdaje sobie sprawę, że wracamy do jej akademika i że na dzisiaj jest to koniec naszego montażu o zakochiwaniu się.

Potem, na obwodnicy, tuż za dworcem autobusowym National Express, widzę coś i przychodzi mi do głowy pomysł.

—Chodź ze mną na chwilę...

—Co chcesz zrobić?

—Mam pomysł. Będzie wesoło, obiecuję.

Ściskam odrobinę mocniej jej rękę, żeby nie uciekła, i kierujemy się w stronę szarej mgiełki spalin na dworcu autobusowym, a potem do kabiny z ekspresowymi zdjęciami.

—Co będziemy robić?

—Pomyślałem, że moglibyśmy zrobić sobie zdjęcia — wyjaśniam, szukając w kieszeniach drobnych.

—Razem?

—Aha.

— Po co, u licha? — dziwi się i trochę się odsuwa. Ściskam jej ramię jeszcze mocniej.

— To będzie souvenir — odpowiadam, ale to słowo nie brzmi właściwie. „Souvenir”, rzeczownik, od francuskiego czasownika *souvenir*, pamiętać. — No wiesz, dla zabawy!

— Absolutnie nie — odmawia stanowczo.

I zastanawiam się, jak ją tam zaciągnę, bez użycia nasączonej chloroformem chusteczki.

—Ach, nie daj się prosić...

—Nie!

—Dlaczego?

—Bo okropnie wyglądam! — wyjaśnia, chociaż w rzeczywistości chce oczywiście powiedzieć: „Bo okropnie wyglądasz...”

—Bzdury, wyglądasz bardzo ładnie, zgódź się, zobaczysz, że będzie zabawnie — powtarzam.

Ciągnę ją za rękę przez zajezdnię dworca; będzie zabawnie, będzie zabawnie, będzie zabawnie... Odsuwam przesiąkniętą zapachem spalin i nikotyny pomarańczową, nylonową zasłonę i wciskamy się do kabiny, po czym następuje odrobina beztroskiej przepychanki, gdy ustawiamy wysokość siedzenia i decydujemy, jak mamy usiąść. W końcu Alice przysiada na moim kolanie, potem znowu musi wstać, żebym mógł wyjąć pęk kluczy i drobne z kieszeni, i ponownie usadawia mi się na kolanach, tym razem przerzucając przez nie obydwie nogi, i zakłada mi ręce na szyję. Teraz zdaje się też znajdować w tym przyjemność i wygląda na to, że rzeczywiście może to być zabawne, więc pochylam się do przodu i wkładam do automatu 50 pensów.

Pierwsze pstryknięcie aparatu odbywa się w chwili, gdy odsuwam z oczu ogromny wiszący kosmyk włosów.

Przy drugim pstryknięciu zdejmuję okulary, wciągam policzki i nadymam usta, robiąc ironiczną minę męskiego modela, ponieważ będzie to zabawne.

Przy trzecim zdjęciu próbuję swobodnego, beztroskiego śmiechu, z głową odchylną do tyłu i otwartymi ustami.

A przy numerze czwartym całuję Alice w policzek.

Wydaje się, że mija kilka godzin, gdy czekamy, aż automat wyda nam zdjęcia. Stoimy w ciszy na dworcu autobusowym, wdychając spalinę i słuchając komunikatów. Za chwilę odjedzie autobus do Durham o 17.45.

—Byłaś kiedyś w Durham? — pytam.

—Nie — odpowiada. — A ty?

— Nie — rzucam. — Ale chciałbym tam pojechać. Jest tam podobno piękna katedra.

Przejeżdża obok nas autobus, smrodząc spalinami. Przez chwilę mam ochotę rzucić się pod koła. Potem, nareszcie, z warkotem i trzaskiem, automat wypłuka pasek zdjęć, które lepią się od płynu do wywoływania i pachną amoniakiem.

Niektóre prymitywne plemiona wierzą, że fotografowanie się pozbawia części duszy, i patrząc na ten pasek zdjęć, trudno nie pomyśleć, że być może mają trochę racji. Na pierwszym moja dłoń i włosy zasłaniają mi więk-

szość twarzy, i jedyna rzecz, którą widać wyraźnie, to trądzik w kącikach moich ust i ogromny gruby cętkowany język, wystający obscenicznie, jakbym został uderzony. Numer dwa, „komediowe trięcie męskiego modela”, jest prawdopodobnie najbardziej groteskowo ponurą rzeczą, jaką można ujrzeć w życiu, który to efekt dodatkowo potęguje obraz jednego, tylko jednego, uciekającego do tyłu oka Alice. Numer trzy, zatytułowany „Śmiech!”, jest przeraźliwie jasny i prześwietlony. Widać więc wnętrze mojego nosa, matowe włosy w nozdrzach, aż do samego wnętrza czaszki, jak również różowe pręgi mojego podniebienia, za krzywymi, srebrnoszarymi wypełnieniami wszystkich moich zębów trzonowych, aż do mojej nagłośni. Na koniec, na zdjęciu numer cztery, całuję Alice spierzchniętymi, ściągniętymi jak u łupacza ustami, podczas gdy ona ma na twarzy grymas i mocno zaciśnięte oczy.

W takim razie jedno do portfela.

—Ojej — rzucam.

—Cudownie — ocenia Alice, bez przekonania.

—Które dwa wybierasz?

—Ach, nie, dziękuję. Zatrzymaj je jako souvenir.

I znowu pada to słowo, souvenir, rzeczownik, od francuskiego czasownika *souvenir*, pamiętać.

— Przepraszam, Bri, muszę uciekać. I to właśnie robi. Ucieka.

Gdy siedzę w domu tego wieczoru, kończąc wiersz i spoglądając na pasek zdjęć przyklejony do ściany nad moim biurkiem — jak całuję Alice, o ona wykrzywia twarz — dociera do mnie, że nasz wspólny dzień rozrywki był tylko częściowym sukcesem. Powinienem o tym zapomnieć oczywiście, ale martwię się, że nie będę mógł zasnąć, jeśli nie porozmawiam z nią jeszcze raz, nakładam więc płaszcz i śpieszę do studenckiego baru, w nadziei że przypadkowo wpadnę na nią po próbie.

Nie ma jej tam, oczywiście. Gdy przychodzę, jedyną osobą którą znam, jest Rebecca Epstein, otoczona przez jej malutką koterię naprawdę- cholernie-wkurzonych. Wydaje się całkiem zadowolona na mój widok i każe

swoim towarzyszom, aby zrobili trochę miejsca na ławce, i udaje mi się wcisnąć obok niej, stół jednak zastawiony jest pustymi butelkami; piła na przemian piwo i whisky przez cały wieczór i wydaje się dość pijana.

— Widziałas *Pancernik Patiomkin* Eisensteina? — pytam, rozglądając się za Alice.

— Nie mogę powiedzieć, żeby tak było. Dlaczego, powinienam?

— Zdecydowanie tak. Jest fascynujący. Grają go przez cały tydzień w Arts Cinema.

— Dobrze, w takim razie chodźmy, czemu nie. Opuszczę wykłady jutro po południu...

— Szczerze mówiąc, byłem dzisiaj po południu.

— Sam?

— Nie. Z Alice — odpowiadam, starając się, by zabrzmiało to jak najbardziej naturalnie.

Rebecca jednak wyczuwa coś takiego na kilometr i odparowuje:

— Cóż, jesteście obecnie bardzo zaprzyjaźnieni, prawda? Czy jest coś, co powinienam wiedzieć?

— Spędzaliśmy ostatnio ze sobą trochę czasu, to wszystko.

— Doprawdy? — upewnia się sceptycznie Rebecca. Zaczyna zwijać kolejnego papierosa, mimo że jeden ma wciąż

przyklejony do ust, i przypomina to przyglądanie się, jak ktoś ładuje broń.

— Do.. .praw... — (liże Rizla) — ...dy? Cóż, Jackson, bez wątpienia umiesz sprawić, żeby dziewczyna dobrze się bawiła, prawda? Arcydzieło sowieckiej propagandy po południu, potem może do Luigi's na koktajl z krewetek, połowę kurczaka z grilla i dwie szklanki Lambnisco bianco. To naprawdę high life. Mam tylko nadzieję, że po takim magicznym dniu pozwala ci przynajmniej dotknąć swoich cycków...

Rozsądnym posunięciem oczywiście byłoby niepołykanie haczyka.

— Prawdę powiedziawszy, jakby chodzimy ze sobą — wyjaśniam.

Rebecca unosi brwi i uśmiecha się do siebie. Zapala nowego papierosa, zanim ponownie decyduje się odezwać.

—Chodźcie ze sobą teraz? — mówi, cicho, i ściąga tytoń z wargi. —
Więc jak to możliwe, że nie widziałam was razem w naszym akademiku?

—Jesteśmy dyskretni. Nie chcemy się za bardzo śpieszyć — odpowiadam mało przekonująco.

—Tak, tak. A więc czy to ty dzwoniłeś w tygodniu, żeby z nią porozmawiać?

—Nie!

—Jesteś pewien?

—Tak!

—Ponieważ ten głos był bardzo podobny do twojego...

—...cóż...

—...staraleś się go trochę zmienić...

—...to nie byłem...

—Więc czy już się z nią pieprzyłeś? — warczy, a z jej zwiniętych ust zwisa skręt.

—Co?

—Czy odbyliście stosunek? No wiesz — akt seksualny, zbliżenie, współzycie. Daj spokój, musiałeś przecież przynajmniej o tym słyszeć. Wybierasz się przecież na *University Challenge* — co zamierzasz zrobić, gdy ten temat pojawi się jako pytanie? „Pan Jackson, z Southend-on-Sea, studiujący lit. ang., czym faktycznie jest stosunek?” „Hm... Czy mogę naradzić się z resztą drużyny, Bamber? Alice, czym jest stosu...?”

—Wiem, co to jest, Rebecca...

—Więc robiliście to czy może oszczędzasz się na noc poślubną? A może Alice obawia się historii twojego życia seksualnego; nie można tego przecież przecenić w dzisiejszych czasach. Tyle że, o ile sobie przypominam, ty nie masz w rzeczywistości historii życia seksualnego...

I zanim nawet jestem w stanie zdać sobie sprawę, co mówię, odpowiadam:

— No cóż, twoja historia życia seksualnego to też nic, czym można byłoby się chwalić, Rebecca.

Wyjmuje papierosa z ust, opiera dłoń na krawędzi stołu i milczy przez chwilę.

— Masz rację, Jackson. Masz rację. — Wypija resztę piwa, wykrzywia się. — *Touché*, Jackson!

A potem siedzimy w milczeniu.

— Nie chciałem...

— ...nie, nic się nie stało...

— ...nie miałem na myśli...

— Nie, wiem, że nie miałeś. Postanawiam wyjść.

— Wybierasz się na nagranie? — upewniam się, nakładając płaszcz.

— Jakie nagranie?

— *University Cha...*

— Kiedy to będzie?

— Pojutrze.

— Nie mogę. Mam seminaria, więc...

— ...możesz się wpisać na listę na tablicy ogłoszeń na drugim piętrze, jeśli...

— ...wiem...

— ...wpisz się po prostu, jeśli...

— ...zobaczę...

— ..naprawdę, naprawdę chciałbym, żebyś przyjechała...

— Dlaczego?

— ...po prostu bym chciał. W takim razie do zobaczenia, może?

— Tak. Może.

Przechodzę obok akademika Alice, na wszelki wypadek, i zostawiam moją walentynkową kartkę; moja dłoń zawisa na chwilę nad jej skrzynką, następnie biorę głęboki oddech i upuszczam kopertę. Potem kręcę się jeszcze przez chwilę, udając, że czytam ogłoszenia na tablicach, w razie gdyby wróciła. Nie chciałbym jednak ponownie spotkać się dzisiaj wieczorem z Re-beccą, więc ruszam wkrótce z powrotem do domu i przybywam dokładnie w chwili, gdy Josh przypina jakąś wiadomość do moich drzwi.

—Ach, jesteś w końcu, kochasiu. Wiadomość dla ciebie. Od kogoś, o imieniu... — może Alice — ...od kogoś o imieniu... Tone. Mówi, że masz do niego pilnie zadzwonić.

—Naprawdę? — upewniam się.

Czego, u licha, może chcieć Tone? Może on też wybiera się w odwiedziny. Nie mogę go jednak teraz przyjąć, nie, jeśli jutro są walentynki, a potem *Challenge* i tak dalej. Sprawdzam godzinę. Wpół do jedenastej. Idę do płatnego telefonu w holu.

—Cześć, Tone! — wołam wesoło.

—W porządku, Bri...

—Nie obudziłem cię, prawda? Dostałem wiadomość, że mam do ciebie zadzwonić.

—Tak, zgadza się...

—Wybierasz się do mnie, Tone? Bo jeśli tak, to nie jest to najlepszy moment...

—Nie wybieram się do ciebie, Bri. Prawdę powiedziawszy, zastanawiałem się, kiedy ty zamierzasz przyjechać?

—Cóż... nie wcześniej niż na Wielkanoc.

—Nie, chciałem zapytać, kiedy przyjedziesz odwiedzić Spencera.

—A co się stało?

—Nie słyszałeś?

Przyciskam mocniej słuchawkę do ucha, opieram się o ścianę.

— Co miałem słyszeć?

Tone wzdycha do słuchawki i mówi:

— Zdarzył się pewien wypadek.

PYTANIE: Na czym ślubie „Pieczone mięsa ze stypy, na zimno podano zaraz na weselne stoły?”*³².

ODPOWIEDŹ: Na weselu Gertrudy i Claudiusza, w *Hamlecie*.

Spieszę do Southend z samego rana w Dzień św. Walentego, zanim przyniosą pocztę, i docieram do *maisonette* na Archer Road około południa. Nieziemsko chce mi się sikać już od przesiadki na Fenchurch Street, ale toalety w pociągu były zapchane, więc czekałem i teraz odczuwam to bolesne pulsowanie w nerkach. Pokonuję biegiem schody, wpadam do łazienki i krzyczę:

— O MÓJ BOŻE!

W wannie jest mężczyzna i myje w obfitej pianie włosy. Też zaczyna krzyżeć:

— CO, U LICHA...!

A potem mama wychodzi z sypialni, zapinając szlafrok, a przez jej ramię widzę nie pościelone łóżko, w wielkim nieładzie, wiszące na zagłówku czerwono-białe slipy, męskie spodnie rzucone na podłogę, butelkę musującego wina...

— BRIAN, DLACZEGO, U LICHA, WRÓCIŁEŚ! — krzyczy mama.

³² * Fragment dramatu Williama Shakespeare'a *Hamlet*, w przekładzie Romana Brandstaettera, zaczerpnięto z *Hamleta Królewicza duńskiego. Tragedii w pięciu aktach*, PIW, Warszawa 1952.

Odwracam się, ponieważ nie do końca zapięła szlafrok, i widzę, że mężczyzna w wannie stoi teraz, wycierając jedną ręką oko, do którego dostał się szampon, a w drugiej trzyma myjkę do twarzy, zasłaniając krocze.

—Co, u licha, się dzieje! — krzyczę.

—Usiłuję, do licha, się wykapać! — wrzeszczy wujek Des.

—Zaczekaj na dole! — rzuca gniewnie mama.

— Muszę skorzystać z toalety! — krzyczę, bo naprawdę muszę, i to pilnie.

— BRIAN — ZACZEKAJ NA DOLE!

Krzyczy do mnie, w mocno zasuniętym szlafroku, pokazując na schody. Nie słyszałem, żeby tak krzyczała, odkąd byłem dzieckiem, i nagle czuję się jak dziecko, schodzę więc na dół, otwieram tylne drzwi i siusiam w rogu ogrodu.

Jestem w kuchni, czekając, aż zagotuje się woda, gdy słyszę, jak wujek Des i mama schodzą po schodach, potem szepczą ukradkiem w holu, jak para nastolatków. Wydaje mi się, że słyszę: „Zadzwoń do ciebie później”, potem odgłos pocałunku, odgłos mojej mamy całującej wujka Desa, potem zamykają się drzwi wejściowe i słyszę syk pocieranej zapalki, odgłos mamy zaciągającej się, wydychającej wolno, a potem stoi za mną w drzwiach, w jasnoniebieskim dresie, zaciągając się mocno papierosem, trzymając mętną szklankę wina musującego w drugiej ręce.

Czekam, aż zagotuje się woda.

W końcu mama mówi:

— Wydawało mi się, że wybierasz się prosto do szpitala?

— Spóźniłem się na odwiedziny w porze lunchu. Pójdę później.

— Nie spodziewałam się ciebie.

— Nie, cóż, wyraźnie nie. Więc — czy stało się coś z łazienką wujka Desa?

—Nie przybieraj takiego tonu, Brian...

—Jakiego tonu?

—Wiesz jakiego tonu. — I wypija resztę swojego wina. Czajnik w końcu wyłącza się.

—Robisz kawę?

—Na to wygląda.

— Zrób dla mnie też. Potem przyjdź do salonu. Musimy porozmawiać.

O Boże. Czuję ścisk w sercu. Musimy odbyć rozmowę, szczerą dyskusję, bez tajemnic, w cztery oczy. Będziemy rozmawiać ze sobą jak para dorosłych ludzi. Do tej pory udawało mi się tego unikać. Tato zmarł, zanim mógł wykonać numer w rodzaju „gdy mężczyzna i kobieta naprawdę się lubią”, i myślę, że mama musiała zakładać, że albo nigdy mi się to nie przyda albo że sam dowiem się o dziwnej tajemnicy miłości fizycznej, w ten czy inny sposób. Przypuszczam, że w pewnym sensie tak się właśnie stało, do mojego odkrycia doszło przy kontenerze na śmieci, za Littlewoods. Przed tą rozmową się jednak nie wymigam. Zdejmuję dwa kubki ze stojaka, wsypuję kawę rozpuszczalną i usiłuję się zastanowić, co myśleć. Próbuję wyobrazić sobie, że istnieje jakieś niewinne wyjaśnienie, dlaczego wujek Des znalazł się w naszej wannie, w południe, w Dniu św. Walentego, ale nie potrafię. Wszystko, co przychodzi mi do głowy, to oczywiste wyjaśnienie, a oczywiste wyjaśnienie jest... nie do pomyślenia. Wujek Des i mama. Wujek Des, sąsiad z trzeciego domu dalej, i moja mama razem w łóżku w biały dzień, wujek Des i mama...

Zapomniałem o wodzie.

Mama jest w salonie, zaciągając się mocno rothmanem i wyglądając przez firankę. Podaję jej kubek kawy i siadam posepnie na sofie, w ciszy, i zaczynam się zastanawiać, czy tak się właśnie czuje mąż, któremu żona komunikuje, że chce rozwodu.

Zauważam swoją walentynkową kartkę na półce nad kominkiem, pocztówkę z rysunkiem Chagalla.

—Widzę, że dostałaś moją kartkę!

—Co? O tak. Bardzo ci dziękuję, kochanie. Bardzo ładna.

— Skąd wiedziałaś, że to ode mnie? — pytam, usiłując wykrzesać z siebie odrobinę dowcipu.

— No cóż, napisałaś „Dla Mamy”, więc...

Usiłuje się uśmiechnąć, potem odwraca się z powrotem do okna i wypuszcza dym na szybę, dmuchając tak mocno, że poruszają się firanki. W końcu mówi:

—Brian, twojego wujka Desa i mnie łączy... — i już ma powiedzieć „romans”, ale decyduje się na „łączy nas... pewien związek”.

—Od jak dawna?

—Od jakiegoś czasu. Od października ubiegłego roku.

—To znaczy od kiedy wyjechałem?

—Mniej więcej. Przyszedł kiedyś wieczorem na curry, żeby dotrzymać mi towarzystwa, i tak od słowa do słowa, i no cóż, chciałam ci powiedzieć Brian, na Boże Narodzenie, ale byłeś tak krótko, a nie chciałam ci o tym mówić przez telefon...

—Nie. Nie, rozumiem — mamroczę. — A więc czy to poważne?

—Tak mi się wydaje. Cóż... — I znowu zaciąga się papierosem, zaciśka usta, wypuszcza dym i dodaje: — ...Prawdę powiedziawszy, rozmawialiśmy o tym, żeby się pobrać.

—Co?

—Poprosił mnie o rękę.

—Wujek Des?

—Tak.

—O rękę?

—Brian...

—I zgodziłaś się?

—...wiem, że się nie dogadujecie, wiem, że go nie lubisz, ale ja go lubię, bardzo lubię Desa. Jest dobrym człowiekiem, lubi mnie i potrafi mnie rozśmieszyć. A ja mam czterdzieści jeden lat, Brian, wiem, że tobie musi się wydawać, że jestem bardzo stara — Bóg wie, że czasami naprawdę tak się czuję — ale ty też będziesz miał kiedyś czterdzieści jeden lat, prędzej, niż ci się wydaje. W każdym razie jestem nadal, nadal, cóż, nadal czuję się czasami bardzo samotna, Brian, nadal od czasu do czasu lubię spędzić czas w miłym towarzystwie, lubię... — zaciąga się papierosem, spogląda na podłogę — .. .cóż, przykro mi, ale twój tato odszedł tak bardzo dawno,

Brian, a Des i ja nie robimy nic złego. Nie pozwolę na to, abyś mi wmówił, że robimy coś złego...

Ale ja nadal usiłuję pogodzić się z tym, co się dowiedziałem.

—A więc zamierzasz wyjść za niego za mąż?

—Tak mi się wydaje...

—Nie wiesz?

—Tak! Tak, zamierzam wyjść za niego za mąż!

—Kiedy?

—Jeszcze w tym roku. Nie śpieszy się nam.

—A potem co będzie?

—Wprowadzi się tutaj, będziemy mieszkać razem. Zastanawialiśmy się... — przerywa na chwilę, znowu zdenerwowana, i nie mogę sobie wyobrazić, co jeszcze mogłaby chcieć mi powiedzieć. — Zastanawialiśmy się nad przekształceniem domu w pensjonat.

Wydaje mi się, że słysząc to, wybucham śmiechem, nie dlatego, że wydaje mi się to zabawne ani cokolwiek z tego, co usłyszałem, ale dlatego, że nie przychodzi mi do głowy żadna inna właściwa reakcja.

—Żartujesz.

—Nie, nie żartuję.

—Pensjonat?

—Aha.

—Ale tu nie ma miejsca!

—Nie dla całych rodzin — dla osób samotnych albo młodych par, biznesmenów. Des zamierza zaadaptować strych — spogląda na mnie nerwowo, potem z powrotem na firanki — i twój pokój. Myśleliśmy o tym, żeby uprzętnąć twój pokój.

—A co będzie z moimi rzeczami?

—Myśleliśmy, że może... mógłbyś wziąć je ze sobą.

—Wyrzucasz mnie z mojego pokoju!

—Nie wyrzucam cię, proszę cię tylko... żebyś zabrał swoje rzeczy.

—Do akademika?

—Tak! Albo możesz je wyrzucić. To tylko sterta książek, komiksów i modeli samolotów, Bri, to nic, co mogłoby ci się przydać. Jesteś już przecież dorosły...

—A więc mnie wyrzucasz!

—Nie bądź niemądry, oczywiście, że cię nie wyrzucam. Możesz nadal tu mieszkać, jak będziesz miał wolne, jeśli naprawdę będziesz chciał, i przez lato...

—Ale czy to nie będzie szczyt sezonu...?

—Brian...

—Cóż, to bardzo miło z twojej i wujka Desa strony, mamó, ale ile będzie kosztować nocleg?

Słyszę teraz swój własny głos, wysoki i ironiczny.

—Nie bądź taki, Brian, proszę... — mówi mama.

—Cóż, a czego się spodziewałaś? To znaczy wyrzucasz mnie tylko z mojego domu...

Wtedy obraca się gwałtownie na pięcie, zwraca się do mnie i mierząc we mnie końcówką papierosa, krzyczy:

—To już nie jest twój dom, Brian!

—O, naprawdę!

—Nie, przykro mi, ale nie jest! Byłeś tutaj, ile, przez jeden tydzień na Boże Narodzenie? Jeden tydzień i nawet wtedy nie mogłeś się doczekać, żeby wrócić do college'u. Nie przyjeżdżasz na weekendy, nie dzwonisz całymi tygodniami, z pewnością do mnie nie pisziesz, więc, nie, to nie jest twój dom. Jest mój. To dom, w którym mieszkam sama, tylko ja, każdego cholernego dnia, dzień za dniem, odkąd zmarł twój tato, to tutaj spałam każdej nocy zupełnie sama, i tam, o tam, ta cholerna sofa, to właśnie tam siedziałam prawie każdego wieczoru, zupełnie sama, oglądając telewizję albo po prostu wpatrując się w ścianę, w czasie gdy ty jesteś w college'u, a jeśli już zgodzisz się łaskawie tu przyjechać, wychodzisz ze swoimi kolegami albo ukrywasz się w pokoju, ponieważ jesteś w tak cholernie oczywisty sposób znudzony rozmową ze mną, twoją własną matką. Czy masz jakiegokolwiek pojęcie, jakie to uczucie, Brian, być tutaj, zupełnie sama, rok za rokiem, za cholernym, cholernym rokiem...?

Ale wtedy jej głos zaczyna się łamać, zakrywa twarz dłońmi i zaczyna płakać, jej ciałem wstrząsają spazmy i po raz kolejny zdaję sobie sprawę, że nie mam najmniejszego pojęcia, co powinienem zrobić.

—Hej, mamó, daj spokój... — zaczynam, ale ona jedynie macha ręką, dając mi znak, że bym się nie zbliżał.

—Zostaw mnie w spokoju, proszę, Brian — rzuca i mam ochotę zrobić to, o co mnie prosi, ponieważ tak byłoby przecież łatwiej.

—.. .mamó, nie ma potrzeby...

—Zostaw mnie w spokoju. Po prostu wyjdź...

A co, jeśli udam, że tego wszystkiego nie słyszałem? Drzwi do salonu są przecież nadal otwarte. Mógłbym po prostu wyjść, wrócić za jakąś godzinę, pozwolić się jej uspokoić, po prostu wyjść. Przecież o to właśnie mnie poprosiła, tego właśnie chce, prawda?

— Proszę, mamó, proszę, nie płacz. Nie mogę tego znieść, gdy...

Nie mogę dokończyć zdania, ponieważ okazuje się, że ja też płaczę, i podchodzę do niej i otaczam ją ramionami, obejmuję z całych sił.

35

PYTANIE: Krąg stojących kamieni w Lindholm Hoje w pobliżu Alborg w Danii świadczy, że było to miejsce jakiego starożytnego rytuału?

ODPOWIEDŹ: Pochówku wikingów.

Spotykam Tone'a o drugiej piętnaście w Black Prince, na plaży. W środku nie ma nikogo, oprócz pary gruzliczych staruszków, sączących ciepłe resztki swojego piwa i czytających egzemplarze „Sun” z oślimi rogami, ale mimo to zauważam go dopiero po chwili, ponieważ instynktownie rozglądam się za jasnoniebieskim dżinsem, nie antracytowym garniturem zapinanym na pojedynczy guzik, białymi skarpetkami i jasnoszarymi mokasynami, które ma dzisiaj na sobie.

— Do licha, Tone, co się stało z twoimi włosami? Wygląd wikinga zniknął, a w zamian ma zgrabną fryzurę, krótko z tyłu i po bokach, z przedziałkiem odrobinę za bardzo po lewej stronie. Tone, w garniturze, z przedziałkiem.

— Ściałem je, po prostu.

Chcę je zmierzić, ale on odtrąca moją rękę ruchem karate, nie do końca żartobliwie. Chcę utrzymać lekki ton naszego spotkania, więc pytam:

—No i co, używasz żelu?

—Trochę. I co z tego? — odcina się.

Potem wypija łyk małego piwa, które stoi przed nim. Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek widział Tone'a trzymającego małe piwo, i zaburza to proporcje, jakby był jakimś olbrzymem.

—Chcesz jeszcze jedno piwo? — pytam.

—Nie, dziękuję...

—Małe w takim razie...?

—Nie mogę...

—No daj się skusić, ty... — namawiam go żartobliwie.

—Nie mogę. Muszę wracać do pracy — wyjaśnia.

—Przecież na pewno masz czas na...

—Nie chcę małego piwa, jasne? — rzuca gniewnie. Idę, kupuję sobie małe piwo i siadam z powrotem.

—Więc — jak ci leci w pracy?

— W porządku. Pracuję teraz na sklepie, z klientami, i to dlatego... I na wpół przepraszająco pociąga za długą wąską klapę marynarki.

—W jakim dziale?

—Sprzęt hi-fi i audio.

—Wspaniale!

—Tak, no cóż. Może być. I jest prowizja, więc...

—Spencer mówił mi o tobie i ochotniczej służbie obrony kraju.

—Tak? Dobrze się pewnie bawiłeś, prawda?

—Nie, oczywiście, że nie...

— Nie wydaje mi się, żebyś to aprobował.

— Tego nie powiedziałem, prawda? To znaczy jestem zwolennikiem polityki unilateralnej i uważam, że powinniśmy zdecydowanie ograniczyć wydatki na obronność i przeznaczyć jakąś część tych pieniędzy na opiekę społeczną, ale nadal rozumiem potrzebę istnienia jakiejś formy...

Tone jednak spogląda na zegarek, raczej nie zainteresowany.

— Widziałeś Spencera? — pytam.

— Oczywiście, że widziałem Spencera—rzuca gniewnie. Godzę się z faktem, że dzisiaj przynajmniej nie uda mi się powiedzieć niczego, co nie wkurzy drugiej osoby.

—I jak on się ma? — chcę wiedzieć.

—Cóż, zważywszy, że przeleciał przed przednią szybę fordą escorta, to całkiem nieźle.

—Co się stało, Tone?

—Nie wiem dokładnie. Byliśmy w piątek w pubie, jak zwykle, i po zamknięciu chciał pojechać do Londynu, do klubu, żebyśmy mogli dalej pić, a ja powiedziałem nie, bo pracowałem następnego dnia, a on był nieźle wstawiony, ale i tak pojechał, wziął samochód taty. A potem, dwa dni później, zadzwoniła jego mama i powiedziała, że jest w szpitalu.

—Czy ktoś inny został ranny?

—Nie...

—No to dzięki Bogu...

—...tylko nasz kumpel Spencer — dodaje szyderczo.

—Nie chciałem... chciałem tylko... A czy grozi mu coś? To znaczy pod względem prawnym?

—Cóż, przekroczył dozwoloną prędkość, ma tylko tymczasowe prawo jazdy, to nie był jego samochód i nie był ubezpieczony, więc, tak, z prawnego punktu widzenia sprawy nie wyglądają zbyt różowo.

—A jak on się... czuje?

—Nie wiem, Brian, zapytaj go sam, dobrze? Muszę wracać do pracy.

Z irytacją wypija resztę swojego małego piwa, wyjmując paczkę miętusów z kieszeni, wrzuca jednego do ust, nie częstując mnie.

Wychodzimy z pubu i idziemy ulicą z powrotem w kierunku mola. Wiejący wiatr niesie ze sobą krople wody znad ujścia rzeki, i Tone naciąga dwie wąskie klapy marynarki, żeby zasłonić koszulę i krawat, gdy maszerujemy w stronę High Street.

—Zostajesz dzisiaj na noc? — pyta, wyraźnie i tak nie zainteresowany.

—Nie, nie mogę niestety. — Zastanawiam się, czy mam mu powiedzieć, że będę jutro w *University Challenge*, ale postanawiam nic nie mówić. — Mam jutro seminarium, z samego rana, więc wracam później. Ale przyjadę na Wielkanoc, więc... do zobaczenia?

—Tak, no cóż, wszystko jedno.

—Tone, czyja ci coś zrobiłem, no wiesz, wkurzyłem cię?

Prycha.

—Skąd ten pomysł?

—Czy może Spence ci coś powiedział? Brak odpowiedzi.

—Co powiedział, Tone?

Nie patrząc na mnie, Tone mówi:

—Spencer opowiadał mi o tym, jak pojechał cię odwiedzić. Nie wydawało mi się, że przyjąłeś go jak kumpel, Bri. Prawdę powiedziawszy, miałem wrażenie, że zachowałeś się trochę jak zasraniec. To wszystko.

—Dlaczego? Co mówił?

—...nieważne...

—Nie mogłem pozwolić, aby został dłużej, Tone, to było wbrew przepisom.

—Ach, no cóż, jeśli to było wbrew przepisom, Bri...

—To on zaczął bójkę, Tone...

—Słuchaj, mnie to nie interesuje, Bri, to sprawa pomiędzy tobą i Spence'em.

—Więc to moja wina, że postanowił się upić i wjechać w drzewo?

—Tego nie powiedziałem, prawda? Załatw to po prostu, Brian, dobra?

A potem Tone oddała się pośpiesznie ulicą z głową pochyloną przed deszczem, następnie zatrzymuje się na sekundę, na wpół odwrócony.

— I spróbuj nie zachować się przy tym jak straszny dupek. Dobrze?

Potem odwraca się i śpieszy z powrotem do pracy, a ja nagle zaczynam się zastanawiać, czy go kiedykolwiek jeszcze zobaczę.

PYTANIE: Po raz pierwszy wyodrębniony przez F.W.A. Serturnera w 1806 roku. Jak brzmi potoczna nazwa narkotycznego środka przeciwbólowego, uzyskiwanego z niedojrzałych nasion *papaver somniferum*.

ODPOWIEDŹ: Morfina.

Ranek w maju 1979 roku, trzy dni po śmierci taty. Leżę na sofie, przy zaciągniętych zasłonach, oglądając sobotnią poranną telewizję w moim szkolnym stroju. Technicznie rzecz biorąc, oczywiście, nie muszę być w stroju szkolnym, ale najczęściej i tak noszę go przez cały rok, ponieważ tak jest łatwiej, i nie wiem w rzeczywistości, co mógłbym ubrać; moim ukłosem w stronę weekendu jest fakt, iż nie nakładam krawata.

Wszyscy krewni pojechali do domu i została tylko mama i ja. Mama nie jest w najlepszej formie, zaczęła sypiać do późna, potem drepta po domu w szlafroku, zostawiając za sobą sznur brudnych kubków i niedopałków papierosów, albo drzemie skulona na sofie przez całe popołudnie, aż do wieczora. Cały dom wydaje się gorący, szary i szpitalny, ale żadne z nas nie jest w stanie znaleźć dość energii czy motywacji, żeby odsłonić zasłony i otworzyć okno, opróżnić popielniczkę, wyłączyć telewizor, pozmywać naczynia, ugotować coś innego niż makaron. Lodówka jest nadal zapchana pozostałym po stypie ciastem, zawiniętymi w folię przezroczystą bułkami z

parówką i butelkami coli, z której uszedł gaz. Jem na śniadanie chipsy serowo-cebulowe. To chyba najgorszy moment.

Gdy rozlega się dzwonek u drzwi, zakładam, że to jeden z sąsiadów, który zaglądnął sprawdzić, jak radzi sobie mama. Otwiera i słyszę w holu głos, którego nie rozpoznaję, potem mama otwiera drzwi do salonu, mocno naciągając szlafrok, dla przyzwoitości, i przemawiając zabawnym, poprawnym głosem, którego używa przy ważnych gościach.

— Ktoś chce się z tobą zobaczyć, Brian!

Odsuwa się na bok i do środka wchodzi Spencer Lewis.

— W porządku, Bri? Wyprostowuję się na sofie.

— Co u ciebie, Spence?

— Co porabiasz?

— Nic.

— Szklanka coli, Spencer? — proponuje mama.

— Tak, proszę, pani Jackson.

Mama wycofuje się dyskretnie z pokoju, a Spencer podchodzi i siada obok mnie na sofie.

Trudno przecenić wagę wizyty złożonej przez Spencera Lewisa. Nie jesteśmy przecież nawet kumplami; do tej pory prawie w ogóle ze sobą nie rozmawialiśmy — może czasami wymyślaliśmy sobie na boisku, skinęliśmy sobie głową w kolejce do samochodu z lodami. Chyba nie ma sensownego wyjaśnienia, dlaczego ktoś, kto ma taką klasę, jest tak lubiany i twardy jak Spencer Lewis, miałby przyjść mnie odwiedzić, mięczaka, który nosi szkolny strój w sobotę. Ale oto jest, siedzi na sofie.

— Co oglądasz?

— *Swap Shop*.

— Nie cierpię tego — odpowiada.

— Tak, ja też.

Pociągam sardonicznie nosem, mimo że sekretnie lubię ten program. Siedzimy przez chwilę w ciszy, potem on mówi:

— Nazwałem twoją mamę przez przypadek panią Jackson. Myślisz, że sprawiłem jej przykrość?

— Nie, nic się nie stało — uspokajam go.

I poza tym pytaniem nie wspomina ani razu o śmierci taty, nie pyta o pogrzeb albo „jak się czuję”, dzięki Bogu, ponieważ to byłoby po prostu krępujące — jesteśmy przecież dwunastoletnimi chłopcami. Zamiast tego siada i pije colę, z której uszedł gaz, i ogląda ze mną telewizję. Mówi mi, które drużyny są do niczego i które są dobre, i wierzę mu, i zgadzam się ze wszystkim, co mówi. Mam wrażenie, że przyszła mnie odwiedzić gwiazda filmowa albo ktoś jeszcze lepszy niż gwiazda filmowa, ktoś taki jak Han Solo. I wydaje mi się, że to akt absolutnej życzliwości.



Lewa noga Spencera jest złamana w trzech miejscach, prawa w dwóch. Pękł mu obojczyk, co jest szczególnie bolesne, ponieważ niemożliwe jest włożenie obojczyka do gipsu, więc nie jest w stanie poruszać górną częścią ciała. Jego ramiona wydają się w porządku, chociaż ma parę ran na dłoni i przedramieniu od rozbitej szyby. Na szczęście nie doszło do uszkodzenia kręgosłupa ani czaszki, ale ma złamanych sześć żeber, w miejscu, gdzie uderzył o kierownicę. To sprawia, iż odczuwa ból przy oddychaniu i nie jest w stanie spać bez środków farmakologicznych. Ma złamany nos, czerwony i opuchnięty, i fatalnie rozbity łuk brwiowy nad prawym okiem, który zawiera sześć grubych, czarnych szwów. Samo oko otacza głęboki siniak, jest purpurowe i opuchnięte, i cały czas na wpół zamknięte. Czubek jego głowy jest natomiast usiany ciemnoczerwonymi strupami, z rozbitej szyby przedniej, wyraźnie widocznymi spod nadal bardzo krótkich włosów, ma też kolejne szwy w lewym uchu, którego płatek został częściowo naderwany przez rozbity szybę.

— A poza tym?

— Poza tym czuję się bardzo dobrze — odpowiada Spencer i śmiejemy się przez chwilę, zanim znowu zaczynamy milczeć. — Uważasz, że marnie wyglądam! Szkoda, że nie widziałeś drzewa! — wyjaśnia, nie po raz pierwszy, jak przypuszczam.

I znowu się śmiejemy, Spencer prychnął i krzywiąc się z bólu jednocześnie, z powodu obolałych żeber i obojczyka. Jest na środkach znieczu-

lających. Nie jest pewien, co dokładnie, ale to zdecydowanie coś silniejszego niż aspiryna, chyba jakiś rodzaj opium. I wygląda na to, że działa, ponieważ w kącikach jego ust czai się nietypowy, wymuszony uśmiech. Nic niepokojącego, nic, co przypominałoby uśmiech Jacka Nicholsona, pod koniec *Lotu nad kukułczym gniazdem*, jedynie dziwny rodzaj z lekka nie-stosownego rozbawienia. Jego mowa, zazwyczaj tak dobitna i bezpośrednia, jest niewyraźna i odległa, jakby ktoś zakrył mu usta dłonią.

—Dobra wiadomość, to że odłożyli moją rozprawę w sądzie o bezprawne pobieranie zasiłku...

—To dobrze.

—Tak, przynajmniej pod tym względem było warto. Nie masz przypadkiem papierosów?

—Spencer, nie palę.

—Nie mogę już wytrzymać bez papierosa. I piwa.

—To szpital, Spencer...

—Wiem, ale mimo to...

—Jakie jest jedzenie? — pytam.

—Nieszczególnie apetyczne.

—A siostry?

—Nieszczególnie apetyczne.

Uśmiecham się, i robię to tak, żeby było słychać, ponieważ znajduję się poza linią wzroku Spencera, i wygląda na to, że nie może za dobrze poruszać głową.

—A co z tym wszystkim...? — Pokazuję na gips na jego nogach, jego obandażowane dłonie. — Czy będzie to miało jakieś, no wiesz, prawne... reperkusje?

—Nie wiem jeszcze. Prawdopodobnie.

—Do licha, Spencer...

—W porządku, Bri, nie zaczynaj...

—...cóż, musiałeś wiedzieć, że coś...

—Nie przyjechałeś taki szmat drogi, żeby mnie opieprzać, prawda, Bri?

—Nie, oczywiście, że nie, ale musisz przyznać...

—.. .tak, wiem — nie pal, nie bij się, nie pobieraj bezprawnie zasiłku dla bezrobotnych, nie pij, nie prowadź samochodu, zapinaj pasy, pracuj ciężko, chodź do szkoły wieczorowej, zdobądź kwalifikacje, dołącz do programu —jesteś czasami jak pieprzony, chodzący film edukacyjny, Brian...

— ...przepraszam, ja...

— .. .nie wszyscy robimy przez cały czas same mądre rzeczy, Brian...

—...nie, wiem...

—...nie wszyscy możemy być tacy jak ty...

—...hej, ja nie zawsze robię mądre...!

—...ale wiesz, o co mi chodzi, prawda?

...i żadnego z powyższych stwierdzeń nie wypowiada podniesionym głosem, ponieważ nie może mówić podniesionym głosem, wypowiada je, jakby sycząc przez zęby, zanim znowu nie popadnie w milczenie. Wiem, że jest coś, co muszę powiedzieć, a nie znalazłem jeszcze właściwych słów, ale już mam otworzyć usta, żeby to powiedzieć, gdy on mówi:

— Nalej nam trochę wody, dobrze?

Nalewam mu pełen plastikowy kubek, podaję, i gdy z trudem się wyprostowuje do pozycji siedzącej, czuję jego oddech, który jest gorący i metaliczny.

—W każdym razie... — wzdycha, pozwalając, żeby głowa opadła mu na poduszkę — ...co słyhać u Alice?

—Ach, wszystko w porządku. Zostałem wtedy u niej na noc, więc...

—Żartujesz! Naprawdę? — rzuca, uśmiechając się szczerze, odwracając głowę na poduszce, żeby na mnie spojrzeć. — Więc w takim razie rzeczywiście ze sobą chodzicie?

—Cóż, nie śpieszymy się — wyjaśniam, trochę nieśmiało. — Naprawdę, naprawdę się nie śpieszymy, szczerze mówiąc, ale tak jest dobrze.

—Brianie Jackson, ty czarny koniu...

—Tak, cóż, zobaczymy.

Wyczuwam, że właśnie nadeszła dobra chwila, żeby zrobić właściwą, dorosłą rzecz, biorę więc głęboki oddech.

—Alice mówiła, że wstawiłeś się za mną. Na imprezie.

—Naprawdę? — odpowiada, nie patrząc na mnie.

—Zachowałem się trochę jak dupek w stosunku do ciebie, prawda?

—Nie.

—Tak, Spence, zachowałem się jak kompletny dupek...

—Bri, wszystko w porządku...

—Nigdy nie chcę być dupkiem, wiesz, to się po prostu jakoś dzieje...

—...zapomnijmy po prostu o tym, dobrze?

—Tak, ale mimo to...

—No dobrze, jeśli przez to poczujesz się lepiej, Bri, w takim razie tak, zachowałeś się jak kompletny dupek. A teraz czy możemy o tym zapomnieć?

—Ale jak sobie radzisz...?

—Z czym...?

—...no wiesz, ze wszystkim?

—Ogólnie, o to ci chodzi? Nie wiem. Szczerze mówiąc, jestem naprawdę zmęczony. Zmęczony i trochę przestraszony, Bri.

Mówi to bardzo cicho, muszę więc pochylić się na krześle, żeby go usłyszeć, i zauważam, że jego oczy są czerwone i mokre. Wyczuwa, że mu się przyglądam, i przykładą obydwie dłonie pionowo do twarzy, przyciskając mocno oczy koniuszkami palców, wydychając wolno i głęboko, i znowu czuję się, jakbym miał dwanaście lat, smutny, zawstydzony, zupełnie nie wiedząc, co miałbym teraz zrobić — jakiś gest sympatii, przypuszczam, ale jaki? Może powinienem go objąć? Ale czułbym się niezręcznie, wstając z krzesła, świadom, że przyglądają się nam inni ludzie na oddziale, więc zostaję tam, gdzie jestem.

—To ma być przerażające, prawda? — odpowiadam. — No wiesz, życie, ta jego część. Tak wszyscy mówią...

—Tak. Przypuszczam, że tak...

—Będzie lepiej...

—Naprawdę? — dopytuje się, z nadal zakrytymi oczami. — Bo mnie się wydaje, że właśnie wszystko spieprzyłem, Bri...

— Bzdury! Wszystko będzie dobrze, przyjacielu, wszystko będzie idealnie. — Wyciągam rękę, kładę mu na ramieniu i ściskam je.

Ten gest wydaje mi się niezręczny i nienaturalny. Siedzę pochylony, z wyciągniętą ręką, ale pozostaję w tej pozycji jak najdłużej, aż jego ramię przestaje drżeć. W końcu Spencer zdejmuję dłonie z oczu.

— Przepraszam — to te środki przeciwbólowe — wyjaśnia, wycierając oczy mankietem.

Wkrótce potem kończą się nam tematy do rozmowy i mimo że mam jeszcze mnóstwo czasu, wstaję i biorę płaszcz.

—Hej, muszę uciekać, bo spóźnię się na ostatnie połączenie.

—Dziękuję, że przyjechałeś, przyjacielu...

—To dla mnie przyjemność, przyjacielu...

—Cóż, raczej nie jest to przyjemność...

—Nie, ale, no wiesz...

—Hej, nie podpiszesz mojego gipsu?

—Tak, tak, oczywiście.

Idę na koniec łóżka, biorę długopis z jednej z wiszących kart i znajduję puste miejsce na moją dedykację. Jest tam dużo życzeń powrotu do zdrowia i imion, których nie rozpoznaję, i „masz to, na co sobie zasłużyłeś, dupku” i „Zeppelsi są królami!”, od Tone’a. Zastanawiam się przez chwilę i piszę: „Drogi Spence. Przepraszam i dziękuję. Połamania nóg! Ha, ha! Gorące uściski, twój przyjaciel Bri”.

—Co w takim razie napisałeś?

—Ach — połamania nóg...

—„Połamania nóg”...!

— No wiesz — na szczęście. To zwrot używany w teatrze... Spencer spogląda na sufit, śmieje się przez zęby i mówi wolno:

— Wiesz, Brian, naprawdę potrafisz być czasami najbardziej nieprawdopodobnym zasrańcem.

— Tak, Spence, wiem, przyjacielu. Wiem.

PYTANIE: Na cześć którego chrześcijańskiego męczennika z III wieku, uznawanego albo za kapłana rzymskiego i lekarza, który zginął w czasie prześladowań chrześcijan przez cesarza Klaudiusza II Gota, albo za biskupa Terni, który również zginął śmiercią męczeńską w Rzymie, obchodzi się od czternastego wieku 'święto ku jego czci, dedykowane wszystkim zakochanym?

ODPOWIEDŹ: Świętego Walentego.

Zawsze, gdy słyszę Edith Piaf śpiewającą *J'voilà, je ne regrette rien* — co dzieje się dużo częściej, niżbym chciał, teraz gdy jestem na uniwersytecie — nie mogę się oprzeć myśli: „o czym, u licha, ona mówi?” Ja żałuję nieomal wszystkiego. Zdaję sobie sprawę, że przejście w wiek dorosły jest trudne i czasami bolesne. Znajome jest mi pojęcie rytuałów przejścia, wiem, co oznacza termin literacki *bildungsroman*, zdaję sobie sprawę, że jest to nieuchronne, iż spojrzę wstecz, na rzeczy, które wydarzyły się w mojej młodości, i na usta wypłynie mi ironiczny, pełen zrozumienia uśmiech. Nie ma jednak żadnego racjonalnego powodu, dla którego miałbym być zażenowany albo zawstydzony tym, co wydarzyło się trzydzieści sekund wcześniej. Nie ma powodu, dla którego życie miałoby być tą ciągnącą się w nieskończoność panoramą zniszczonych przyjaźni, niewykorzystanych możliwości, głupkowatych rozmów, zmarnowanych dni, idiotycznych uwag i niestosownych, niezabawnych dowcipów, które po prostu leżą na podłodze przede mną, podskakując bezradnie jak zdychająca ryba?

Cóż, koniec z tym. Postanowiłem, że na tym koniec. W pociągu, w drodze powrotnej do domu, rozważając ostatnią rundę niewiarygodnych wpadek, postanawiam, że będę musiał zmienić swoje życie. Ogólnie rzecz biorąc, postanawiam zmienić swoje życie średnio może trzydzieści do czterdziestu razy w tygodniu, zazwyczaj około drugiej nad ranem, pijany, albo wcześniej rano następnego dnia, z kacem, ale tym razem moje postanowienie jest przełomowe, od dzisiaj będę żył tak jak należy. Bycie olśniewającym i wyniosłym najwyraźniej nie zdaje w moim przypadku egzaminu, i prawdopodobnie tak już zostanie, w zamian postanawiam więc skoncentrować się na życiu opierającym się na kluczowych zasadach mądrości, dobroci i odwagi.

Gdy pociąg wjeżdża w końcu na stację, rozpoczynam swoje mądrzejsze, lepsze i bardziej odważne życie. Znajduję budkę telefoniczną na peronie, upewniam się, że mam dość drobnych, i wybieram numer. Odbiera Des; teraz, gdy wszystko jest już jawne, nie ma powodu, żeby tego nie robił.

—Słucham? — mówi.

—Cześć, Des. Tu Brian!

Witam go, rześko jak skowronek, potem zdaję sobie sprawę, że nieświadomie nazwałem go Desem, nie wujkiem Desem, chociaż nie jestem do końca pewien, czy jest to symptom mojego bardziej dojrzałego stosunku do życia, czy też freudowska reakcja na fakt, że sypia z moją mamą.

— Ach. Cześć — wita mnie.

Co dziwne, jego głos brzmi tak, jakby się mnie bał, chociaż Bóg raczy wiedzieć dlaczego. Des waży blisko dziewięćdziesiąt kilogramów, a poza tym i tak nie mógłbym uderzyć go przez telefon. Następuje krótka przerwa, gdy poprawia słuchawkę.

—Przepraszam, że, no wiesz, że nadziałeś się na mojego ptaszka dzisiaj rano. Oczywiście, zamierzaliśmy ci powiedzieć, o mnie i twojej mamie...

—Des, naprawdę, w porządku, wszystko jest w absolutnym porządku — zapewniam go i dostrzegam swoje odbicie w szybie budki. Uśmiecham

się jak klaun cyrkowy. — Czy jest mama? — pytam, co jest dość głupim pytaniem, zważywszy na to, że to jej dom.

— Oczywiście, już ci ją daję.

I słyszę szelest, jak zakrywa dłonią słuchawkę, mamrocze coś, a potem odbiera mama.

— Proszę? — mówi niepewnie, ze słuchawką odsuniętą lekko od ust.

— Cześć, mamó.

— Cześć, Brian. Czy dotarłeś szczęśliwie do domu? — pyta, wymawiając słowa trochę nazbyt dokładnie, co oznacza, że jest pijana.

— Aha — odpowiadam.

Zapada cisza i ogarnia mnie przelotna chęć, żeby odłożyć słuchawkę. Ale potem przypominam sobie swoje nowe motto, mądrość, dobroć, odwaga, przetykam więc i zaczynam mówić.

— Słuchaj, cześć, chciałem powiedzieć... — Co ja chcę powiedzieć...? — Chciałem powiedzieć, że przemyślałem to i że naprawdę, naprawdę bardzo się cieszę z twojego związku z De-sem, i uważam, że to świetnie, iż planujecie się pobrać, naprawdę tak myślę. Szczerze mówiąc, uważam, że to świetny pomysł, i Des jest równym gościem, i przepraszam, jeśli... cóż, byłem bardzo zaskoczony, to wszystko...

— Ach, Brian...

— I nie mam nic przeciwko pensjonatowi. Przyjadę na Wielkanoc i zabiorę z pokoju swoje rzeczy, a potem możecie robić z nim, co chcecie. Jak mówiłaś, to przecież tylko kupa modeli samolotów. Więc, innymi słowy, chciałbym powiedzieć, że uważam, że to naprawdę wspaniale. Cieszę się... że jesteście szczęśliwi.

Z drugiej strony, nie słyhać odpowiedzi, jedynie oddech mamy, przekładającej słuchawkę z jednej ręki do drugiej.

— Jeśli tylko nie każesz mi mówić do niego „tato”! — dodaję, najbardziej beztrosko jak potrafię.

— Oczywiście, że nie, Brian...

Zaczyna coś mówić, ale zmienia zdanie i przestaje.

— Tak, to chyba wszystko. Dalej zamierzasz jutro przyjechać?

— Oczywiście — za nic nie straciłabym takiej okazji.

— I jesteś pewna, że masz pieniądze, na bilet na pociąg i tak dalej?

— Brian, nie martw się tym...

— Bilet będzie do odebrania przy wejściu, na twoje nazwisko. ..

— Ach, Brian? Jest jeszcze coś...

Rozlega się sygnał w słuchawce i mimo że czuję ciężar drobnych w kieszeni, wydaje mi się, że powiedziałem wszystko, co chciałem.

— Muszę iść, mam, kończą mi się monety...

— Brian, muszę cię jeszcze o coś zapytać...

— Pytaj w takim razie, szybko...

— Czy Des też może przyjechać?

I wtedy połączenie zostaje przerwane.

Stoję w budce ze słuchawką w ręce. Szczerze mówiąc, zawsze oczekiwałem, że będzie tam mój tato. Nie dosłownie, oczywiście, to niemożliwe, bo przecież nie żyje, ale w moich myślach to zawsze tato siedział na widowni, obok mamy, uśmiechając się, bijąc brawo, unosząc do góry kciuki, i mama też musiała to wiedzieć, w przeciwnym razie nie byłaby taka zdenerwowana, chcąc mnie zapytać. A teraz to nie będzie tato, ale Des, jakiś facet o imieniu Des, którego za bardzo nie znam i którego za bardzo nie lubię, i...

Wyjmuję drobne z kieszeni, biorę do ręki słuchawkę, wybieram numer, a mama odbiera nieomal natychmiast.

— Mamo?

— Ach, tak, Brian, chciałam zapytać...

— Słyszałam, mam. Oczywiście, możesz przyjechać z Desem.

— Dobrze.

— Jutro zajmę się biletami.

— Ach. W takim razie dobrze, Brian. Jeśli j jesteś pewien...

— Jestem pewien.

— W takim razie cześć.

— Cześć.

I odkładam słuchawkę.

Zostaję potem w budce telefonicznej przez dłuższą chwilę, stojąc, myśląc: cóż, to dopiero początek, ale polityka mądrości, dobroci i odwagi

zdaje się całkiem nieźle działać, na razie. Wydaje mi się, że może nawet udało mi się zrobić coś dobrego, przynajmniej raz. I mimo że powinienem pójść do domu, zastanowić się, co ubrać na nagranie, i dobrze się wyspać, i tak dalej, postanawiam odwiedzić Alice, ponieważ w końcu jest dzisiaj Dzień św. Walentego i na pewno przeczytała już mój wiersz.

RS

PYTANIE: Adam Heyer, Frank Gusenberg, Pete Gusenberg, John May, Al Weinshank i James Clark znaleźli się pośród ofiar jakiego krwawego wydarzenia na North Clark Street, w Chicago, w lutym 1929 roku?

ODPOWIEDŹ: Masakry w Dniu św. Walentego.

„Słuchaj, Alice, myślałem trochę o nas i, no cóż, jest taki wspaniały wiersz poety metafizycznego, Johna Donne'a, *Potrójny błazen*, który brzmi następująco: »Po dwakroć błaznem jestem prawie / Bo kocham i kochankę bawię / Strofa płacziwą«^{*33} i myślę, no cóż, że ja zachowałem się trochę podobnie. Chcę powiedzieć, że byłem trochę zbyt natarczywy, niech wspomnę fakt, że zaciągnąłem cię na siłę do budki fotograficznej, albo ta szalona, niezbyt dobra poezja na kartce walentynkowej i tak dalej, i wiem, jak ważna jest twoja niezależność, i mnie to nie przeszkadza, naprawdę, zupełnie. Kocham cię, oczywiście, strasznie, ale to nie jest ważne, to nie powinno nam przeszkadzać, ponieważ koniec końców uważam, że jest nam ze sobą naprawdę dobrze, że jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, od serca nawet. Z pewnością wolałbym spędzać swój czas z tobą niż z kimkolwiek innym na świecie, naprawdę bym wolał, chociaż wiem, że czasami potrafię się zachowywać jak kompletny dupek. Przez większość czasu, prawdę powiedziawszy, i w porządku, słuchaj,

³³ * Fragment wiersza Johna Donne'a *Potrójny błazen* (*The Triple Fool*), w tłumaczeniu Jarosława Marka Rymkiewicza, zaczerpnięto z tomu *Poeci języka angielskiego*, PIW, Warszawa 1969.

nie jestem doszczętnie głupi, i wiem, że mnie nie kochasz, teraz, ale mogłabyś, prawda, pewnego dnia? To znaczy mogłabyś z czasem mnie pokochać? To możliwe, zdarza się, a ja mam cierpliwość, mnóstwo, mnóstwo cierpliwości, i nie mam nic przeciwko czekaniu. Zmierzam więc do tego — poczekajmy i zobaczmy. Poczekajmy po prostu i zobaczymy, co się stanie. Nie śpieszmy się, spędzajmy po prostu razem czas i dobrze się bawmy. Poczekajmy. I zobaczmy. Dobrze?"

Właśnie to zamierzam powiedzieć Alice, gdy ją zobaczę, mniej więcej. Nie jestem pewien, czy uda mi się przemycić cytaty z Johna Donne'a, ponieważ "martwię się, że może zabrzmieć odrobinę zbyt pretensjonalnie, zobaczę, jak się będzie rozwijała sytuacja. Zamierzam powiedzieć to wszystko, nic więcej, i zobaczę, jak ona to przyjmie, ale nie będę się wdawał w długą, poważną dyskusję, a potem nałożę płaszcz, i pójdę do domu porządnie się wyspać, przez bite osiem godzin. I z pewnością nie będę próbował jej pocałować. Nawet jeśli poprosi mnie, żebym został i się z nią kochał, powiem nie, ponieważ jutro rano jest *Challenge*. Obydwoje musimy być wypoczęci na *Challenge*. Jak bokserzy — zero seksu przed walką.

Stoję przed jej drzwiami. Pukam.

Cisza.

Pukam ponownie. Mądrość, dobroć, odwaga, mądrość, dobroć, odwaga...

—Kto tam? — Brian.

—Brian! Jest już prawie północ!

— Wiem, przepraszam, chciałem tylko powiedzieć cześć!

Słyszę, jak wychodzi z łóżka, szelest naciąganych ubrań, a potem wygląda przez szparę w drzwiach, w T-shircie ze Snoopym i czarnych majtkach.

— Prawdę mówiąc, już spałam, Bri... — tłumaczy, trąc oczy.

— Tak? Boże, przepraszam. Miałem dzień pełen wrażeń i chciałem z kimś o tym porozmawiać.

— Czy to nie może poczekać do...?

— Nie z kimś. Z tobą.

Przygryza wargę i obciąga przód T-shirtu niezajętą ręką.

— Ach, wejdź w takim razie.

I otwiera drzwi. Idę i siadam na brzegu nie pościelonego łóżka, które jest ciepłe w miejscu, gdzie spała.

—Więc jak minął ci Dzień św. Walentego?

—Ach, dobrze, dobrze...

—Dostałaś coś szczególnego? — pytam znacząco. — W poczcie dzisiaj rano? Coś miłego...?

Chciałbym, żeby podeszła i usiadła obok mnie.

— Taaak, dostałam, dziękuję, Brian, to był śliczny, naprawdę śliczny wiersz.

Dlaczego nie podejdzie i nie usiądzie obok mnie?

—Naprawdę tak myślisz? Fju! Ponieważ trochę mi głupio. Pierwszy raz ktoś przeczytał faktycznie coś, co napisałem, więc...

—Nie, uważam, że jest cudowny, naprawdę. Bardzo... szczerzy. I... surowy. Emocjonalnie. Widać w nim zapożyczenia z e.e. cummingsa, wydawało mi się, cóż, nie zapożyczenia, inspirację, przypomniał mi jego poezję, chciałam powiedzieć. Prawdę powiedziawszy, niektóre wersy wydawały mi się znajome...

Chwileczkę, czy ona oskarża mnie o plagiat?

—.. .w każdym razie jest śliczny, naprawdę. Dziękuję. Byłam bardzo... poruszona...

—Chwileczkę, zakładasz, że to ode mnie! — rzucam żartobliwie. — Jaki wiersz! Nie posyłałem żadnej poezji!

Bełkoczę, wiem o tym, ale ona się uśmiecha, drapie się w łokieć i robi namiot ze swojego T-shirtu, obciągając go w dół i naciągając na gołe kolana. Usiłuję sprawić, żeby nasza rozmowa miała żartobliwy ton, ponieważ mój wzrok przykuwa teraz widoczny nad jej ramieniem, stojący na biurku za nią ogromny bukiet perfekcyjnych, czerwonych róż, rozsypujących się na boki w ogromnym, sfatygowanym aluminiowym rondlu z wodą który musiała zabrać ze wspólnej kuchni. Oczywiście nie ma powodu, dla którego nie miałyby dostawać prezentów na walentynki od innych mężczyzn, byłbym głupcem, nie zdając sobie sprawy, że tak będzie, nie jestem naiw-

ny, to nieuniknione, jest przecież piękna, lubiana i w konwencjonalny sposób atrakcyjna seksualnie, ale ten bukiet jest po prostu... wulgarny. Tak wulgarny, że usiłuję nie zwracać na niego uwagi i skupić się w zamian na moim małym, szczerym, napisanym od serca, odręcznie i samodzielnie wierszu. Róże jednak tam są widoczne za jej ramieniem, rozsiewając w pokoju zapach taniego odświeżacza powietrza, ten duży pieprzony bukiet perfekcyjnych pieprzonych czerwonych pieprzonych róż...

—Śliczne róże! — wołam.

—Ach, róże! — woła, oglądając się za siebie przez ramię, jakby dostały się tu niepostrzeżenie jak cholerny Las Birnamski...

—Nie domyślasz się... kto mógłby je przysłać? — dopytuję wesoło.

—Nie mam zielonego pojęcia! — odpowiada.

Jakiś elegancki drań, bez wątpienia. To równowartość mojego semestralnego stypendium, tkwiąca beznamietnie w tym rondlu wody. I oczywiście wie, od kogo są; ponieważ jaki sens miałyby taka hojność, gdyby miała pozostać anonimowa?

—Nie było jakiegoś bilecika...?

—A co to ciebie obchodzi, Brian? — rzuca ostro.

—Ależ nic, nic.

—Przepraszam! Przepraszam, przepraszam, przepraszam... — woła.

Podnosi się z krzesła, otacza mnie ramionami i obejmuje, pochylona. Spoglądam w dół, na jej plecy, w miejscu, gdzie podniósł się do góry jej T-shirt, i kładę jedną dłoń na jej ciepłej, nagiej skórze, tuż nad jej bielizną która przypadkowo zdaje się być wykonana z jakiegoś rodzaju przezroczystej czarnej siatki albo koronki, i zostajemy tak przez chwilę, podczas gdy ja wpatruję się w róże tkwiące w rondlu.

— Przepraszam... — szepcze mi do ucha. — Taka ze mnie świnia, że tak na ciebie skoczyłam, chodzi o to, że mieliśmy naprawdę długą trudną próbę dzisiaj wieczorem, i być może wciąż jeszcze gram... — Następnie siada obok mnie i śmiejąc się, mówi: — Boże, czy ja naprawdę to powiedziałam? To bez wątpienia najbardziej pretensjonalna rzecz, jaką udało mi się powiedzieć w całym swoim życiu...

Znowu się uśmiechamy i zastanawiam się, czy mógłbym spróbować ją pocałować, ale wtedy przypominam sobie swoją nową mantrę. Mądrość, dobroć, odwaga.

—Słuchaj, naprawdę muszę położyć się spać, Brian. Jutro jest przecież wielki dzień.

—Oczywiście, już idę... — I na wpół wstaję, po czym znowu siadam.
— Ale czy mogę najpierw coś powiedzieć...?

—Dobrze — zgadza się ostrożnie, siadając obok mnie.

—Nie martw się, to nic strasznego. Chciałem tylko powiedzieć ... — Ujmuję ją za rękę, biorę głęboki oddech i mówię: — Alice... No dobrze, słuchaj, Alice, myślałem trochę o nas i, no cóż, jest taki wspaniały wiersz poety metafizycznego, Johna Donne'a, *Potrójny błazen*, który brzmi następująco: „Po dwa-kroć błaznem jestem prawie / Bo kocham i kochankę bawię / Strofa płaczliwą” i myślę, no cóż, że ja zachowałem się trochę podobnie. Chcę powiedzieć, że byłem trochę zbyt natarczywy, niech wspomnę fakt, że zaciągnąłem cię na siłę do budki fotograficznej, albo ta szalona, niezbyt dobra poezja na kartce walentynkowej i tak dalej, i wiem, jak ważna jest twoja niezależność, i mnie to nie przeszkadza, naprawdę, zupełnie. Kocham cię, oczywiście, strasznie...

—Brian... — mówi.

—...ale to nie jest ważne, to nie powinno nam przeszkadzać, ponieważ koniec końców...

—Brian... — mówi.

—...poczekaj, Alice, pozwól mi dokończyć...

—...nie, Brian, musisz przestać... — Wstaje i przechodzi na drugi koniec pokoju. — To nie w porządku...

—Ale to nie to, o czym myślisz, Alice...

—Nie, przepraszam, Brian, nie mogę już dłużej tego słuchać. Miejmy to za sobą...

I dziwne, że nie mówi tego do mnie, mówi to do swojej szafy.

— Daj spokój, Neil, to już nie jest śmieszne...

To dziwne, myślę, dlaczego zwraca się do swojej szafy „Neil”. Jak nazywa swoją komodę!, zastanawiam się, w czasie gdy ona puka do drzwi

szafy o imieniu Neil, całą dłonią a drzwi otwierają się wolno same, jak w jakiejś magicznej sztuczce.

W szafie jest mężczyzna.

W ręce trzyma spodnie.

Nie rozumiem.

—Brian, to Neil — mówi Alice. Neil wynurza się z szafy, staje na nogi.

—Neil gra Eilerta Lovborga. W *Heddzie Gabler*.

—Cześć, Neil — mówię.

—Cześć, Brian — odpowiada Neil.

—...ćwiczyliśmy — mówi Alice.

—Ach — mówię, jakby to wszystko wyjaśniało. A potem, wydaje mi się, podaję mu dłoń.

RS

Runda końcowa

—Nic o niej nie mówisz — zauważyła nagle miss Havisham —: ona wymyśla ci brzydkimi słowami, a tyś dotychczas nie powiedział, co też o niej myślisz.

—Nie mam ochoty tego powiedzieć — wyjąkałem.

—Szepnij mi na ucho — zaproponowała miss Havisham, pochylając się ku mnie.

—Zdaje mi się, że jest bardzo dumna — wyszeptałem.

—I nic więcej?

—Myślę, że jest bardzo ładna.

—I co jeszcze?

—Myślę, że chciałbym wrócić do domu...

—...Pójdiesz wkrótce — obiecała miss Havis-ham — a teraz dograj partię*³⁴.

Charles Dickens, *Wielkie nadzieje*

³⁴ * Charles Dickens, *Wielkie nadzieje*, tłum. Karolina Beylin, Książka i Wiedza, Warszawa 1951

PYTANIE: „Było raz czworo dzieci: Piotr, Zuzanna, Edmund i Łucja”³⁵. Tak zaczyna się słynne dzieło uczonego, powieściopisarza i apologety chrześcijaństwa. Jak brzmi tytuł książki?

ODPOWIEDŹ: *Lew, czarownica i stara szafa.*

Często powtarzany banał o spotkaniach ze słynnymi ludźmi na żywo brzmi oczywiście, że okazują się znacznie mniejsi, niż wydają się na ekranie. Ale BamberGascoigne jest w rzeczywistości dużo większy, niż sobie wyobrażałem: bardzo szczupły, uśmiechnięty i zaskakująco przystojny, jak dobrotliwa postać z CS. Lewisa, która właśnie ma cię zabrać na cudowną pełną przygód wyprawę, ale z seksapilem. Nasza czwórka stoi gęsiego w studiu telewizyjnym, czekając nerwowo, a on wita się z każdym z nas po kolei, przesuwając się w moją stronę, jak na dorocznym koncercie charytatywnym z udziałem koronowanych głów, Royal Variety Performance.

Alice unika mnie, jest pierwsza w szeregu, więc nie wiem, co do niego mówi, ale zakładam, że usiłuje go uwieść. Potem Patrick, który jest niemal zgięty wpół z uniżenia i popisuje się tym, że już miał go okazję poznać, rok temu o tej porze, i zachowuje się, jakby byli wielkimi, wielkimi kumplami,

³⁵ * CS. Lewis, *Lew, czarownica i stara szafa, Opowieści z Narnii*, tłum. Andrzej Polkowski, Media Rodzina, Poznań 1996.

jakby byli gdzieś razem na wakacjach. Bamber jest bardzo czarujący, dużo się uśmiecha i mówi: „Tak, tak, oczywiście, że cię pamiętam!”, pod

RS

czas gdy w rzeczywistości myśli prawdopodobnie: „Kim, u licha, jest ten idiota?”

Potem Lucy, która jest niewiarygodnie cicha i miła, jak zwykle, a potem nadchodzi moja kolej. Zastanawiam się, czy mam go nazywać Bambe-rem czy też panem Gascoigne? Podchodzi, ściska mi dłoń, i mówię:

— Miło mi pana poznać.

— Ach, proszę, mów do mnie Bamber — proponuje, uśmiechając się szeroko, biorąc w obydwie ręce moją dłoń. — A jak ty masz na imię?

— Brian, Brian Jackson — mamroczę.

—...i studiujesz?

— Lit. ang. — odpowiadam.

— Przepraszam? — dopytuje się i pochyla w moim kierunku.

— Literaturę angielską — wyjaśniam na głos, tym razem wymawiając słowa zbyt wyraźnie, i zauważam, że Bamber się cofa, prawie niezauważalnie, i zgaduję, że to dlatego, iż czuje alkohol w moim oddechu i zdał sobie sprawę, że ni mniej, ni więcej, jestem zupełnie wstawiony.

Pomimo największych wysiłków władz przyznających koncesję na sprzedaż alkoholu, niezbitym pozostaje fakt, że bez względu na to, jak jest późno, zawsze znajdziesz miejsce, gdzie będziesz mógł się napić, jeśli bardzo ci na tym zależy.

Gdy uciekam z pokoju Alice w Kenwood Mannor, chodzę przez jakiś czas po ulicach, usiłując się uspokoić, usiłując opanować dreszcze, aż znajduję się przed The Taste of The Raj, restauracji serwującej curry, która jednocześnie funkcjonuje jako indyjski nielegalny bar; można tam pić nieomal przez całą noc, pod warunkiem że pozostajesz w bliskim sąsiedztwie z cebulowym *bhaji*.

Dzisiaj, tuż po północy, jest tu zupełnie pusto.

— Stolik dla jednej osoby? — pyta samotny kelner.

— Tak, proszę.

I prowadzi mnie do boksu na tyłach restauracji, w pobliżu kuchni. Otwieram menu i zauważam, że The Taste of The Raj oferuje dzisiaj superspecjalność, gorzko-ironiczne specjalne menu w Dniu św. Walentego, dla par na romantycznej randce, ale dochodzę do wniosku, że choć menu gwarantuje jakość za pieniądze, wątpię, czy byłbym w stanie cokolwiek przełknąć. Poza tym nie przyszedłem tutaj, żeby jeść. Zamawiam piwo, dwa *poppadomy*, cebulowe *bhaji* i gin z tonikiem.

—Bez dania głównego, proszę pana?

—Może później — odpowiadam.

Kelner kiwa smutno głową, jakby rozumiał czasami brutalne mechanizmy rządzące ludzkim sercem, i idzie przynieść mi alkohol. Kończę pić piwo i dżin z tonikiem, zanim dociera do mnie z kuchni za mną dźwięk sygnalizujący koniec pracy kuchenki mikrofalowej. Kelner wsuwa podgrzane cebulowe *bhaji* pomiędzy moje łokcie, a ja podaję mu puste szklanki.

— Jeszcze jedno piwo i jeszcze jeden dżin. Bez toniku tym razem.

Kelner o smutnych oczach kiwa mądrze głową, wzdycha i idzie zrealizować moje zamówienie.

— I, przepraszam? — krzyczę za nim. — Dżin proszę podwójny, dobrze?

Bez entuzjazmu zdejmuję chrupiącą skórkę z cebulowego *bhaji* i zanurzam ją w słodkim, wodnistym miętowym jogurcie, a gdy kelner wraca z moimi drinkami, spijam dwa centymetry piwa i wlewam dżin, mieszam drink uchwytem widelca i analizuję w myślach całą swoją wiedzę.

Wiem, czym różnią się pterozaur, pteranadon, pterodaktyl i pterozaurus. Znam łacińskie nazwy większości pospolitych brytyjskich ptaków domowych. Znam nazwy stolic niemal wszystkich państw na świecie i również większość flag. Wiem, że Magdalen College wymawia się *Maudlin College*. Znam wszystkie sztuki Szekspira, z wyjątkiem *Timon of Athens*, i wszystkie powieści Charlesa Dickensa, z wyjątkiem *Barnaby Rudge*, i wszystkie książki z serii *Opowieści z Narnii*, i kolejność, w jakiej zostały napisane, przybliżoną w przypadku Szekspira. Znam słowa każdej piosenki, jaką kiedykolwiek nagrała Kate Bush, włącznie ze stronami B, jak również najwyższe miejsca na listach przebojów każdego singla, który został

przez nią wydany. Znam wszystkie nieregularne czasowniki francuskie i pochodzenie wyrażenia „równać szereg”, i jaką funkcję pełni woreczek żółciowy, i jak powstają starorzecza, i wszystkich brytyjskich monarchów po kolei, i żony Henryka VIII, i jaki los je spotkał, różnicę pomiędzy skałami magmowymi, osadowymi i metamorficznymi, i daty najważniejszych bitew Wojny Dwóch Róż, znaczenie słów „albedo”, „perypatetyk” i „lito-ta”, i średnią liczbę włosów na ludzkiej głowie, i umiem szydełkować, i wiem, na czym polega różnica pomiędzy rozszczepieniem jądra atomu i fuzją i znam pisownię słowa deoksyrybonukleinowy, i nazwy gwiazdozbiorów, i liczbę mieszkańców Ziemi, i masę Księżyca, i zasadę pracy ludzkiego serca. A mimo to ważne i najbardziej podstawowe rzeczy, takie jak przyjaźń, pogodzenie się ze śmiercią taty albo miłość do kogoś, albo bycie szczęśliwym, po prostu dobre, uczciwe, godne i szczęśliwe życie, zdają się całkowicie i kompletnie mnie przerastać. I przychodzi mi do głowy, że wcale nie jestem mądry, że w rzeczywistości jestem bez wątpienia najbardziej ignorancką kompletnie i beznadziejnie głupią osobą na całym świecie.

Zaczyna mi się robić trochę smutno, więc żeby się pocieszyć, zamawiam jeszcze jedno piwo i jeszcze jeden podwójny dzin, wlewam dzin do piwa, mieszam drink widelcem, zanurzam kawałek *poppadomu* w *chutney mango*, a potem pamiętam już tylko, jak się budzę w ubraniu o 6.30 rano.

— Brian! Brian, obudź się...

— Daj mi spokój... — odpowiadam, naciągając na głowę kołdrę.

— Brian, chodź, jesteśmy spóźnieni...

Ktoś szarpie mnie za ramię. Odpycham rękę.

— Jest jeszcze noc — zostaw mnie.

— Jest 6.30 rano, Brian, mamy być w studio o 9.30, i nie zdążymy.

Chodź, wstawaj...

Patrick podnosi kołdrę.

— Spaleś w ubraniu?

—Nie...! — odpowiadam gniewnie, ale dość nieprzekonująco, ponieważ wyraźnie śpię w ubraniu. — Zrobiło mi się zimno w nocy, to wszystko...

Patrick zdejmuje kołdrę.

—Masz nadal na sobie buty!

—Zrobiło mi się zimno w stopy!

—Brian — ty piłeś?

—Nie...!

—Brian, wydawało mi się, że zawarliśmy umowę — wcześniej spać i żadnego picia przed teleturniejem...

—Nie piłem! — mamroczę.

Podciągam się do siedzącej pozycji i słyszę, jak dżin z piwem i cebulowe *bhaji* opada na dno mojego żołądka.

— Brian, czuję od ciebie alkohol! A tak w ogóle, co twój materac robi na podłodze?

— Mówi, że to futon—wyjaśnia, stojąc w drzwiach, Josh. Drży w samych spodenkach. Zza jego ramienia wygląda Marcus, mrugając.

— Musiałem obudzić twoich współlokatorów, żeby się dostać do środka — wyjaśnia Patrick.

—Ojjjj. Przepraszam Josh, przepraszam Marcus...

—Nie wierzę — nadal jesteś pijany!

—Nie jestem pijany! Pięć minut — daj mi tylko pięć minut.

— Masz trzy minuty. Będę czekał na dole w samochodzie — rzuca gniewnie Patrick.

Potem wybiega, a za nim wychodzą Josh i Marcus. Wzdycham, pocieram dłońmi twarz, siadam na brzegu futonu. Przypominam sobie Alice.

Podchodzę do szafy i wydaję sztruksową marynarkę taty.

Podróż do Manchesteru jest dość ponura. Jedziemy 2CV Alice, a ona obdarza mnie małym, protekcyjnym uśmiechem, zdającym się mówić „bez urazy”. Udaję, że go nie zauważam, gdy zajmuję miejsce z tyłu. Pod stopami słyszę trzask gniecionych opakowań po chipsach i popękanych pudełek na kasety. Zamykam drzwi, pociągając je za sznurek na bieliznę, który pełni funkcję klamki, wysiłek zaś sprawia, że bekam lekko, a powie-

trze wydostaje się ze świstem przez moje zaciśnięte zęby. Doktor Lucy Chang wykrywa to, stawia diagnozę i uśmiecha się do mnie szpitalnym uśmiechem, -którego uczą ją używać w ramach studiów. Podciągam płaszcz pod brodę jak koc, gdy wyruszamy, i usiłuję ignorować szarpanie 2CV, który najwyraźniej w ogóle nie ma resorów, i mam wrażenie, że jadę na karuzeli w wesołym miasteczku.

Nie muszę mówić, że dobry stary Patrick przygotował kilkaset pytań na drogę jako bardzo, bardzo zabawną rozgrzewkę. Wszystkie są starannie wydrukowane na kartkach 10 na 15, a on upiera się, by je odczytywać bardzo głośno, usiłując przekrzyczeć hałas silnika 2CV, który przypomina silnik kosiarki, gdy pędzimy, podskakując, autostradą ze stałą prędkością 100 km na godzinę. Postanawiam nie odpowiadać na żadne z nich, żeby dać im nauczkę. Moim celem jest przeżycie dzisiejszego dnia z godnością. Duma i godność to moje motto. To, i niezwymlotowanie na siebie.

—Trzy pytania premiowe na temat bitew. W którym roku stoczono bitwę pod Blenheim? Czy ktoś wie? Nikt? Lucy?

—W tysiąc siedemset... dwunastym? — rzuca niepewnie Lucy.

— Nie. W tysiąc siedemset czwartym.

—Gdzie dokładnie rozegrała się bitwa o Ardeny? Ktoś wie? Ardeny? Czy komuś się w ogóle z czymś kojarzy? Ardeny. No, zastanówcie się, Ardeny, bitwa o Ardeny...

—W Holandii! — mamrocze spod płaszcza, częściowo, żeby już nie powtarzał słowa „Ardeny”.

— W Ardenach w Belgii — mówi Patrick, mlaskając językiem i potrząsając głową.—Pytanie numer 3. Znana również jako bitwa trzech cesarzy, bitwa pod Austerlitz stoczona została w...

—Patrick, czy mogę zapytać, jaki to wszystko ma sens? — przerywam mu, pochylając się do przodu. — Chciałem powiedzieć, czy naprawdę myślisz, że jakimś cudem któreś z tych pytań pojawi się podczas nagrania? Bo jeśli nie, to jest to trochę bezsensowna strata czasu nas wszystkich, prawda?

—Brian... — uspokaja mnie Lucy, kładąc mi na ramieniu dłoń.

—To rozgrzewka, Brian! — skrzeczy Patrick, odwracając się do mnie i patrząc mi prosto w twarz. — Rozgrzewka dla tych z nas, którzy nie są dzisiaj rano tak rześcy, jak może powinni?

—Nie wiem, dlaczego kierujesz to do mnie! — odpowiadam, teraz krzycząc. — O której ty poszłaś spać, Alice?

A ona spogląda gniewnie we wsteczne lustro, obrzucając mnie swoim zimnym, pogardliwym spojrzeniem uczennicy reprezentującej szkołę.

—Brian, porozmawiamy o tym później, dobrze...?

—O czym porozmawiacie później? — dopytuje się Patrick.

—O niczym — odpowiada Alice — zupełnie o niczym...

—A czy dzisiaj jesteśmy tylko w czwórkę, Alice, czy też może schowałaś kogoś w bagażniku?

—Co? — pyta Patrick.

—Brian, nie-tutaj, dobrze...? — syczy Alice.

—Czy ktoś może mi powiedzieć, o co chodzi...? — warczy Patrick.

—No dobrze, słuchajcie! No dobrze! A może... posłuchalibyśmy muzyki, co? — proponuje Lucy, rzecznik pokoju.

Jedną ręką trzyma mnie za ramię, uprzejmie, ale zdecydowanie, i nieomal oczekuję, że w drugiej dłoni ujrzę strzykawkę do zastrzyków podskórnych, opadam więc z powrotem na siedzenie, ponownie naciągam wysoko na głowę płaszcz, żeby się przespać, i słuchamy w nieskończoność zniszczonej, wibrującej kasyty *The Look of Love*, ABC, przez całą drogę do Manchesteru, aż wydaje mi się, że zaraz zacznę krzyczeć.

*

Wkrótce po tym, jak przez przypadek dmucham alkoholem w twarz Bambara Gascoigne'a, on znika w swoim biurze, żeby przegłądać pytania, i zostajemy pod opieką naszego starego przyjaciela Juliana, miłego młodego redaktora, żeby wreszcie zdradził nam nazwę naszych przeciwników. Dokładnie to, czego się obawialiśmy. Oxbridge. Patrick wymusza duży szeroki uśmiech, a dźwięk jego zgrzytających o siebie zębów niesie się echem po studiu.

Cała czwórka przemierza niespiesznie studio, podążając długim szeregiem w naszą stronę, jak członkowie gangu. Wszyscy zdecydowali się na taki sam strój, złożony z marynarki i krawatu, wszyscy też mają uniwersyteckie chusty i okulary, aby jeszcze bardziej nas onieśmielić. Ich drużyna to sami biali mężczyźni, przypuszczam więc, że możemy sobie pogratulować naszej jakże wymownej postawy solidarności z ruchem na rzecz równości płci, jako że mamy w drużynie dwie kobiety, nawet jeśli jedna z nich jest bezwzględna, kłamliwa, intrygancką, dwuli-cową wiedźmą.

Oczywiście, nasi rywale muszą jeszcze odkryć prawdziwą naturę Alice, wszyscy więc kierują się wprost do niej i gromadzą się wokół niej, jakby chcieli zdobyć jej autograf, podczas gdy Patrick kręci się bezużytecznie na obrzeżach kręgu, desperacko usiłując ucisnąć komuś dłoń, jakąkolwiek dłoń. Ich kapitan, Norton, który studiuje filologię klasyczną — świadomy swojego przystojnego wyglądu typ z szerokimi ramionami i luźno opadającymi włosami, ten rodzaj drania, który wygląda, jakby wszędzie wioślował — potrząsa dłonią Alice i nie chce jej puścić.

— Ty pewnie musisz być maskotką! — zaciąga lubieżnie.

Uderza mnie to jako wysoce wstrętne i szowinistyczne wypowiedź, i ogarnia mnie na chwilę feministyczne oburzenie, w imieniu Alice, ale potem przypominam sobie poprzednią noc, szafę. Poza tym Alice to najwyraźniej nie przeszkadza, ponieważ ona też się śmieje i przygryza wargę, patrząc na niego z zachwytem i odrzucając do tyłu świeżo umyte włosy, Norton też odrzuca do tyłu swoje śliczne, błyszczące włosy, i ona w odpowiedzi odrzuca do tyłu swoje włosy, i on odrzuca swoje, i ona odrzuca swoje, i przypomina to jakiś rytuał godowy z programu przyrodniczego. Muszę ze wstydem przyznać, że do głowy przychodzi mi określenie „cnotliwa zdzira”, ale ponieważ w wyrażeniu tym pobrzmiewa zarówno seksizm, jak i mizoginizm, wyrzucam je z pamięci i w odpowiedzi stoję jedynie poza grupą, nikomu nie podaję dłoni, tylko się przyglądam. Lucy Chang zauważa mnie, podchodzi, bierze mnie za łokieć i przedstawia Partridge'owi, łysiejącemu dziesięcioletniemu chłopcu o brzoskwińowej cerze z Saffron Walden, który studiuje historię współczesną, i uśmiecham się, i uśmiecham, i gawę-

dzę, i uśmiecham się, i zastanawiam się, czy nie mógłbym gdzieś pójść i się położyć.

Nie ma jednak czasu, ponieważ Julian namawia nas, abyśmy zajęli nasze miejsca przed krótką rozgrzewką, tak dla zabawy, a on zastąpi Bambara. Nie muszę dodawać, że Patrick zdecydował o rozsadzeniu, tak że znajduję się na samym, samym końcu, jak najdalej od niego i Lucy, mniej więcej w drugim studiu. Alice siedzi pomiędzy nami, co jeszcze dwadzieścia cztery godziny temu byłoby ogromną przyjemnością, a teraz jest czystą rozpaczą, więc siedzimy tam, wpatrując się pusto i milcząco przed siebie, w czasie gdy Julian przypomina nam, że to tylko zabawa, tylko gra, najważniejsze to dobrze się bawić. Biurka i przyciski wydają się zaskakująco tandetne i prowizoryczne, jakby ktoś sklecił je na zajęciach z obróbki drewna, i widzę na własne oczy gołe żarówki, które oświetlają moje nazwisko na przednim panelu. Mógłbym wykręcić jedną, gdybym chciał, może nawet ukraść po występie i zatrzymać na pamiątkę, jako rodzaj studenckiego, młodzieńczego wygłupu. Myślę, żeby powiedzieć o tym Alice, ale potem przypominam sobie, że mamy ze sobą nie rozmawiać, i znowu robi mi się smutno. Julian tymczasem zaprasza nas, żebyśmy wypróbowali przyciski, żeby się do nich przyzwyczaić. Wszyscy tak robimy, po czym wychylam się do przodu i przechylam przez biurko ze sklejki, żeby zobaczyć, jak moje nazwisko rozbłyśka i gaśnie. Jackson. Jackson. Jackson...

— Nareszcie! Moje nazwisko podświetlone! — krzyczy Alice. Nie patrzę na nią oczywiście, ale słysząc jej głos, wiem, że uśmiecha się szalenie.

—Zawsze myślałam, że jedyny sposób na to, żeby moje nazwisko pojawiło się oświetlone, to gdy zmienię je na Wyjście Awaryjne! — woła.

Ja się jednak nie uśmiecham, wystukuję jedynie przyciskiem kod Morse'a, kropka kropka kropka, kreska kreska kreska...

— Dziwne, prawda? Że wszyscy tu się znaleźliśmy! Po tym wszystkim...!

Ja jednak nadal nie odpowiadam, więc ona sięga w moją stronę, bierze mnie za rękę i ściąga ją z przycisku.

— Brian, odezwij się do mnie, proszę — mówi Alice, nie uśmiechając się tym razem, a potem dodaje szeptem: — Słuchaj, przepraszam cię za ostatnią noc, i przepraszam, jeśli czujesz, że dałam ci fałszywą nadzieję, ale ja nigdy ci niczego nie obiecywałam, Brian. Zawsze byłam wobec ciebie uczciwa, zawsze bardzo, bardzo szczerze mówiłam ci o tym, co czuję. Odezwij się do mnie, Brian, proszę. Nie mogę tego znieść, gdy się do mnie nie odzywasz...

Odwracam się do niej, wygląda smutno i pięknie, a wokół jej oczu maluje się zmęczenie.

— Przepraszam, Alice, ale wydaje mi się, że nie potrafię. Kiwa głową jakby rozumiała, a potem, zanim możemy cokolwiek powiedzieć, Julian odchrząkuje i rozpoczyna się próba.

— Ostateczne rozbitcie chrześcijaństwa na kościół wschodni i zachodni, znane również pod nazwą schizmy wschodniej, miało miejsce w którym roku?

Wydaje mi się, że znam odpowiedź na to pytanie, przyciskam więc dzwonek.

— W tysiąc pięćset siedemnastym?

— Nie, niestety, być może masz na myśli reformację. Obawiam się, że to pięć punktów karnych.

— W tysiąc pięćdziesiątym czwartym? — proponuje Norton, z luźno opadającymi włosami, który studiuje filologię klasyczną.

— Zgadza się — odpowiada Julian.

Norton uśmiecha się i odrzuca zwycięsko do tyłu swoje śliczne włosy.

— Więc, Norton, to dziesięć punktów i twoja drużyna ma teraz szansę odpowiedzieć na trzy premiiowane pytania o rzymskich bogach...

I jak na ironię, oczywiście, znam wszystkie trzy odpowiedzi.

Na koniec piętnastominutowej próby, która jest tylko zabawą, żebyśmy się zrelaksowali, „pamiętajcie, że to tylko gra”, straciliśmy 115 punktów, a nasi przeciwnicy 15. Stojąc w magazynie dekoracji, za planem, Patrick jest

tak zły, że trudno mu wydobyć z siebie głos. Chodzi jedynie, robiąc małe, wąskie kółka, zaciskając i otwierając pięści, i piszcząc. Naprawdę piszczy.

— Są dobrzy, prawda? — rzuca Alice.

— Są w porządku — odpowiada Lucy. — Udało im się, to wszystko. Musimy uważać na Partridge'a...

—...trzy lata na to czekałem, trzy lata... — mamrocze Patrick, robiąc małe, wąskie kółka.

—...jesteśmy trochę zdenerwowani, to wszystko — szuka wyjaśnienia Lucy — musimy tylko podejść do tego na luzie! Zacząć się dobrze bawić, zrelaksować!

Nagle czuję, że muszę się czegoś napić. Zastanawiam się, czy w budynku jest bar.

— Może powinniśmy po prostu pójść wszyscy do baru, wypić jedno czy dwa piwa, trochę się rozluźnić? — proponuję.

Patrick przestaje chodzić.

—Co? — syczy.

—Nie uważasz, że to dobry pomysł?

—Brian, odpowiedziałeś na osiem pytań początkowych w czasie tej próby i sześć z tych odpowiedzi było złych. To minus trzydzieści punktów.

—To nieprawda... — nie ustępuję. — Czy nie?

Spoglądam na Lucy, żeby mnie poparła, ale ona wpatruje się jedynie w swoje buty. Patrick zwraca się do niej:

—*Lucia, dimmi, parli Italiano?* Zawstydzona Lucy odpowiada:

—*Si, un pochino.* Potem do Alice:

—*E tu Alice, dimmi, parli anche tu l'italiano?*

—*Si, parlo l'italiano, ma solo come una turista...* — wzdycha Alice.

—Pyta nas, czy mówimy po włos... — szepcze Lucy.

—Wiem, o co pyta, Lucy! — rzucam gniewnie.

— Więc, czy ty mówisz po włosku? — zwraca się do mnie Patrick.

— Nie! Niezupełnie...

— A Lucy tak, i Alice, i ja, a mimo to to właśnie ty, Brianie Jackson, ty, jedyna osoba w drużynie, która nie zna włoskiego, czułeś się upoważ-

niony do próby odpowiedzi na pytanie początkowe z włoskiej terminologii muzycznej...

— Nikt inny się nie zgłosił, więc pomyślałem, że spróbuję...

— I to jest właśnie twój problem, prawda, Brian? Ty tylko umiesz próbować, próbujesz na oślep i za każdym razem robisz to źle, ale próbujesz, bez końca, i przegrywasz rundę, i ciągniesz nas wszystkich ze sobą na dno.

Jego twarz ma teraz kolor purpurowy, taki sam jak jego uniwersytecka bluza, i znajduje się tylko w odległości kilku centymetrów od mojej...

— Hej, dajcie spokój, to była tylko próba — mówi Lucy, usiłując wcisnąć się pomiędzy nas, podczas gdy Alice stoi trochę dalej, zakrywa dłońmi twarz i patrzy na nas przez palce.

— ...Nie wiem nawet, dlaczego w ogóle przyjąłem cię do tej drużyny! Zjawiasz się wstawiony i śmierdzisz alkoholem, zachowujesz się, jakbyś wiedział wszystko, a w rzeczywistości nie wiesz nic. Jeśli chodzi o tę drużynę, to jesteś absolutną kulą u nogi... — Kładzie dłonie na mojej piersi, z rozstawionymi palcami, i czuję mgiełkę jego śliny na policzku. — Mielibyśmy za-

pewne większe szanse z jakimś przypadkowym facetem z ulicy, nawet tym twoim głupim, cholernym kumplem, Spencerem, obydwaj jesteście tak samo beznadziejnie głupi. Jak to mówią, z butów słoma wychodzi...

Przypuszczam, że musi mówić dalej, ponieważ jego usta cały czas się poruszają, ale nie słyszę, co mówi, ponieważ zdaję sobie jedynie sprawę z tego, że jego dłonie pociągają klapy brązowej, sztruksowej marynarki taty, i podnoszą mnie do góry. To właśnie wtedy podejmuję decyzję, to właśnie wtedy coś pęka — tyle że w rzeczywistości nie pęka, a jedynie zostaje naciągnięte do granic wytrzymałości — i może to wzmianka o Spencerze albo pozostałości alkoholu z poprzedniej nocy, ale w tym momencie postanawiam uderzyć głową Patricka Wattsa. Wyskakuję lekko do góry, nie jest to w żadnym wypadku wyskok koszykarza, jedynie niewysokie odbicie na palcach, i uderzam swoją głową, najmocniej jak potrafię, w sam środek krzyczącej, purpurowej twarzy. I ze wstydem muszę przyznać, że ogarnia

mnie przelotne, ale intensywne uczucie przyjemności, satysfakcji i słusznej zemsty, zanim moją głowę rozsadza ból i zapada ciemność.

RS

PYTANIE: W *Pieśni miłosnej J. Alfreda Prufrocka* T.S. Eliota wieczór „na niebie rozpostarty trwa...”?

ODPOWIEDŹ: „...Jak pacjent odurzony eterem na stole”*³⁶.

—Jako rodowita obywatelka Glasgow uważam, że mogę spokojnie stwierdzić, iż mamy tu do czynienia z absolutnie klasycznym niezrozumieniem istoty ciosu głową — zauważa Re-becca Epstein. — Cała idea ciosu głową polega na uderzeniu twardą częścią czoła z jak największą siłą w miękką część nosa przeciwnika. To, co ty zrobiłeś, Brian, to uderzenie miękką częścią swojego nosa w twardą część jego czoła. Stąd krew i utrata przytomności.

Otwieram oczy i stwierdzam, że leżę na plecach, na dwóch biurkach zsuniętych razem. Lucy Chang stoi nade mną, odgarniając mi z oczu grzywkę, unosząc do góry trzy palce i pytając:

— Ile palców ci pokazuję?

—Jak źle odpowiem, to czy stracimy pięć punktów? Uśmiecha się.

—Nie, tym razem nie.

—W takim razie odpowiedź brzmi: trzy.

—A stolica Wenezueli to...?

—Caracas?

— Brawo, proszę pana — stwierdza Lucy. — Myślę, że nic ci nie będzie.

³⁶ * Fragment *Pieśni miłosnej J. Alfreda Prufrocka* (*The Love Song of J. Alfred Prufrock*) T.S. Eliota, w tłumaczeniu Władysława Dulęby, zaczerpnięto z tomu *T.S. Eliot. Poezje wybrane*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1988.

Mam wrażenie, że jesteśmy kilka pięter wyżej; z widokiem na tyły studia telewizyjnego w biurze produkcji *University Challenge*, wszędzie rozrzucone są encyklopedie, na ścianach zdjęcia poprzednich zwycięzców. Odwracam na bok głowę i widzę Rebeccę. Siedzi na brzegu biurka naprzeciw mnie i wygląda ładnie — nie ładnie, ponieważ słowo „ładnie” jest reakcyjne i sugeruje dyskryminację płci, ale atrakcyjnie — w długiej, prostej, obcisłej, czarnej sukience i czarnej dżinsowej marynarce, i wymachuje w przód i w tył swoimi martensami.

— Przyjechałaś?

— Ach, tak. Za nic w świecie bym tego nie przegapiła. Jechałam sobie tym minibusem z grupką znudzonych, młodych konserwatystów w uniwersyteckich szalikach i z żalnymi misiami, i zapłaciłam trzy funty za benzynę, co jest absolutnym zdzierstwem, jeśli się to przeliczy, i myślałam: Jezu, co ja tu robię? To piekło! A potem przyjeżdżamy i zapraszają nas na tę króciutką wycieczkę po studio, zanim zacznie się program, i wychodzimy z za rogu, w samą porę, żeby cię zobaczyć leżącego na podłodze, w kałuży własnej krwi, i pomyślałam: cóż, proszę bardzo, niech mnie licho, jeśli to nie jest warte trzech funtów!

Spoglądam w dół i widzę, że mam na sobie tylko spodnie i podkoszulek, ten sam od trzydziestu sześciu godzin, który jest poplamiony na przedzie krwią i pachnie lekko dżinem. Prawdę powiedziawszy, zapach jest dużo silniejszy. To odór. Wydzielałam z siebie odór.

— Co się stało z moimi ubraniami?

— Zniewoliłyśmy cię, Lucy i ja, gdy byłeś nieprzytomny. Nie przeszkadza ci to, prawda?

Lucy rumieni się.

— Alice wyprała twoją koszulę w łazience i teraz próbuje wysuszyć ją pod suszarką...

— Czy marynarce nic się nie stało?

— Nie, wszystko w porządku...

— ...to była marynarka mojego taty...

— Naprawdę, nic jej się nie stało...

Usiłuję się podnieść ostrożnie, bokiem, siadam na krawędzi biurka i niemal czuję, jak przemieszcza się również mój mózg, uderzając o krawędzie czaszki. Lucy podsuwa mi lusterko ze swojego zestawu do makijażu, biorę głęboki oddech i patrzę. Mogło być gorzej: mój nos nie wydaje się bardziej kulfoniasty i zniekształcony niż zazwyczaj, chociaż wokół każdego z nozdrzy widać ciemną, woskową krawędź, która wygląda, jakby została zrobiona czerwoną kredką.

—Co z Patrickiem? — pytam Lucy.

—Ani zadraśnięcia — odpowiada.

—Szkoda — stwierdzam.

—Hej, wystarczy — przerywa, ale uśmiecha się konspiracyjnie. Potem dodaje, już na poważnie: — Jest jednak jeden problem.

—Jaki?

— Cóż... wydaje mi się, że nie pozwolą ci wystąpić w programie.

—Co? Żartujesz!

—Obawiam się, że nie.

—Ale dlaczego nie?

—No wiesz, zaatakowałeś naszego kapitana drużyny.

—Nie zaatakowałem go! Uderzyłem go raz! A on mnie sprowokował, widziałaś, podciągał mnie do góry za marynarkę! A poza tym to ja jestem ranny! Jak mogłem go zaatakować, skoro to ja jestem ranny...?

—I to, mój panie, jest sprawa dla obrony—ocenia Rebecca.

—Wiem, Brian, ale mimo to Patrick nie jest szczęśliwy. Ma kolegę, z wydziału ekonomii, który jest gotów zająć twoje miejsce w każdej chwili...

—Żartujesz...

—Naprawdę, nie możesz go winić, Brian. Zjawiasz się, śmierdząc alkoholem, odpowiadasz źle na całą serię pytań, potem próbujesz złamać mu nos...

—Ale jest tutaj moja mama i w ogóle!

—To tylko głupi teleturniej, Brian — rzuca Rebecca, nadal wymachując stopami.

—Ale przyjechała aż z Southend...!

I słyszę, jak mój głos załamuje się lekko, co jest patetyczne u dwiętnastoletniego mężczyzny, wiem, ale tak bardzo chciałem wystąpić w tym programie. Nagle przed oczami staje mi wizja mnie, usiłującego wytłumaczyć mamie, dlaczego wcale mnie tam nie ma. Będę czuł się tak, jakby odesłano mnie wcześniej ze szkoły do domu, to takie żenujące i wstydlive, że nie mogę znieść tej myśli.

—Co mówi Julian?

—Julian mówi, że to zależy od Patricka. Jest z nim w tej chwili, omawiają to...

—A ty co myślisz?

Lucy marszczy na chwilę czoło, potem mówi:

—Myślę, że jeśli obydwaj obiecaliście zachowywać się fair, a nie jak dzieci, i zgodzicie się pracować razem, jak drużyna, i nie będziecie się tak wyrywać do przycisków, to wtedy myślę, że tak, powinieneś wystąpić w programie...

—Czy mogłabyś mu to powiedzieć i wstawić się za mną, Lucy? Proszę?

Lucy wzdycha, spogląda na zegarek, patrzy na drzwi i mówi:

— Zobaczą, co uda mi się zrobić.

Następnie wychodzi, zostawiając mnie i Rebeccę w biurze produkcji, siedzących na krawędzi stojących naprzeciw siebie biurek, w odległości pięciu metrów. Obydwoje machamy nogami i usiłujemy udawać, że nie zauważamy, jak się to mówi, „napięcia” pomiędzy nami. Gdy cisza staje się już nie do wytrzymania, Rebecca kiwa w stronę drzwi:

—Jest miła.

—Kto?

—Lucy.

—Tak. Rzeczywiście. Jest naprawdę bardzo, bardzo miła.

—Więc dlaczego z nią w takim razie nie chodzisz? — pyta Rebecca.

—...Co?

—...myślę po prostu, że wydaje się bardzo miła, to wszystko...

—...bo nie chcę!...

—...ale właśnie powiedziałaś, że jest miła...

—...wiele osób jest miłych...

—...nie dość piękna dla ciebie, tak?...

—...tego nie powiedziałem, prawda?...

—...nie dość seksy?...

—...Rebecca...

—...ponieważ, pozwól że ci powiem, że ty też nie jesteś jak z obrazka, przyjacielu...

—...nie, wiem o tym...

—...jak tam siedzisz, w tym poplamionym krwią podkoszulku...

—...no dobrze...

—...który nie jest zbyt świeży, jeśli mogę dodać, nawet z tego miejsca...

—...dziękuję, Rebecca...

—...więc dlaczego nie, w takim razie?...

—...ponieważ prawdopodobnie ona nawet mnie nie lubi!...

—...skąd wiesz? Jeśli nawet jej nie zapytałeś? Nie widziałeś, jak na ciebie patrzyła, gdy byłeś nieprzytomny...

—...bzdury...

—...odgarniając ci z oczu włosy, to była bardzo wzruszająca scena...

—...bzdury!...

—...czule wsuwając kuleczki z papieru toaletowego do twoich nozdrzy, to było całkiem erotyczne...

—...Rebecca!...

—...to prawda! Gdyby mnie tutaj nie było, ściągnęłyby ci pewnie spodnie, a ty jesteś taki niedomyślny...

—...bzdury!...

—...więc dlaczego się rumienisz?...

—...nie rumienię się!...

—...więc dlaczego jej nie poprosisz?...

—...o co?...

—...żeby się z tobą umówiła...

—...ponieważ, nie...

—...co?...

—...ja...

—...mów dalej...

—...jej... nie kocham...

—...tak jak nie kochasz mnie?

—...co?

—...słyszałeś...

—...Rebecca, czy możemy?...

—...co?

—...porozmawiać o tym potem?

—...dlaczego nie teraz?

—Ponieważ! — I biorę głęboki oddech, po raz pierwszy od dłuższego czasu. — Ponieważ mam inne sprawy na głowie. Dobrze?

—Dobrze — zgadza się. — Dobrze, przyjmuję twoją argumentację.

I zsuwa się z biurka, przytrzymując w dłoniach swoją długą sukienkę, jakby jeszcze nie nauczyła się w niej poruszać, przemierza odległość pomiędzy nami i siada obok mnie, na krawędzi stołu.

—Czy ty masz na sobie suknię? — pytam.

—Odpieprz się. To nie jest suknia, to sukienka. Co z twoją głową?

—Ach, no wiesz. Trochę mnie boli.

Sięga do wewnętrznej kieszeni swojego płaszcza i wyciąga ćwiartkę whisky.

—Miałbyś ochotę na odrobinę lekarstwa?

—Lepiej nie.

—No weź. Trzeba zabić klina klinem.

—To był inny klin. Dżin.

—Ach, to najzwyczajniej w świecie okropne. Wiesz, że dżin działa depresyjnie?

—Wydawało mi się, że właśnie dlatego piłem.

—Hmmmmmmm, uzalanie się nad sobą i pogarda dla siebie — bardzo pociągająca kombinacja. Nic dziwnego, że kobiety nie mogą ci się oprzeć. Jesteś jak Travis Bickle.

Wypija łyk z butelki i ponownie oferuje mi alkohol.

— Zaufaj mi, szkocka to zdecydowanie najlepszy wybór.

— Poczują ją ode mnie — odpowiadam, ale ona sięga głęboko do drugiej kieszeni i wyciąga paczkę ekstramocnych pastylek miętowych.

— W takim razie dobrze — zgadzam się.

Podaje mi butelkę i wypijam duży łyk, następnie wsuwam miętowy cukierek do ust, pozwalając, aby smaki połączyły się, spoglądamy na siebie i uśmiechamy się, i siedzimy tam, jak dzieci w szkole, na biurku, machając w powietrzu nogami.

— Oczywiście, wiesz, że Alice spotykała się z kimś innym? — pytam.

— Aha.

— Ten facet Neil, ten, który grał Ryszarda III w ostatnim se- . mestrze, zawsze kuśtykał w barze studenckim...

— Ten dupek o kulach...

— Właśnie ten. Przypuszczam, że wiedziałaś.

— Cóż, widziałam go kilka razy, jak wychodził ukradkiem z jej pokoju, powiedzmy więc, że miałam pewne podejrzenia...

— Albo przeczucie? Spogląda na mnie pytająco.

— No wiesz, jak u Ryszarda III...? Więc dlaczego mi nie powiedziałaś?

— Bo to nie jest przecież moja sprawa, prawda? Twoje życie uczuciowe.

— Tak, może rzeczywiście.

I muszę przyznać, że nawet po tym wszystkim, co się zdarzyło, i po tej całej aferze z Alice i uderzeniu w głowę, myślę o tym, żeby ją pocałować, przesunąć językiem do tyłu miętusa, pochylić się i pocałować ją w tej chwili, tylko po to, żeby zobaczyć, co się stanie.

Chwila mija, spoglądam więc na zegarek.

— Długo im schodzi.

— Komu?

— Jury.

— Chcesz, żebym poszła i zobaczyła, co się dzieje?

— Tak, byłoby super.

Schodzi z krawędzi biurka i kieruje się w stronę drzwi.

— Rzeknij tam w mojej sprawie jedno dobre słówko — proszę.

—Zobaczę, czy uda mi się coś wymyślić — odpowiada, poprawia sukienkę i wychodzi, a ja zostaję sam.

Zawsze robię się nerwowy, gdy jestem sam i nie mam nic do czytania, szczególnie w podkoszulku, ale na szczęście to biuro jest pełne książek — głównie wydawnictw encyklopedycznych, ale mimo to książek — biorę więc *Oxford Dictionary of Quotations*, którego użyli jako poduszkę, i wtedy właśnie to zauważam.

Na biurku.

Błękitną podkładkę z klipsem.

Na podkładce leży kilka skopiowanych kartek formatu A4. Na górze widnieje imię redaktora, Juliana, zakładam więc, że to jego notatki reżyserskie. Musiał je ze sobą przynieść, gdy mnie tu nieśli, i zostawił je po prostu na biurku. Kartki A4 nie są szczególnie interesujące —jedynie nazwiska członków drużyn, plan rozsadzenia, lista nazwisk organizatorów, tego typu rzeczy. Ale na nich znajduje się szara koperta. Gdy ją podnoszę, mam wrażenie, że w środku znajdują się dwa zestawy kartek. Otwieram klips i wyciągam kopertę.

Koperta nie jest zaklejona. To znaczy jest, ale tylko odrobinę, klej trzyma zamknięcie jedynie na długości kilku milimetrów. Muszę jedynie włożyć i przesunąć palec...

Rzucam kopertę z powrotem na biurko, jakby nagle zaczęła parzyć.

Potem dotykam jej, popychając czubkiem paznokcia po biurku.

Potem dotykam jej jeszcze raz, tak jak dotyka się czegoś, żeby sprawdzić, czy jeszcze żyje.

Potem chwytam za róg i przyciągam do siebie.

Potem biorę ją w obydwie ręce, trzymam ją na kolanach, przyglądam się jej.

Potem znowu odsuwam ją, jak najdalej od siebie.

A potem myślę: „a do licha z tym”, sięgam i otwieram ją.

PYTANIE: James Hong, Święty Augustyn, Jean-Jacques Rousseau i Thomas de Quincey, ich wszystkich łączy jaki wspólny gatunek literacki?

ODPOWIEDŹ: Wszyscy napisali *Wyznania*.

Gdy zdawałem egzaminy pierwszego poziomu w szkole średniej, tuż przed testem wielokrotnego wyboru z chemii, przechodziłem łagodną gripę żołądkową. W każdym razie tak ją wtedy nazywałem, a ponieważ jest zakaźna i miałem gorączkę — no cóż, nie gorączkę, jedynie bardzo niewysoką temperaturę — pozwolono mi podejść do egzaminu bez nadzoru w małym biurze obok pokoju nauczycielskiego, ponieważ właśnie takim byłem uczniem: można mi było absolutnie i całkowicie zaufać.

Oszukałem.

Nie jakoś strasznie, rozumiecie. Sprawdziłem jedynie, czy nikt nie nadchodzi, wyciągnąłem podręcznik i bardzo szybko zaglądnąłem do tablic okresowych, żeby sprawdzić wartościowość potasu czy magnezu, potem go schowałem, i to było wszystko.

Również, przypadkowo, gdy grałem w scrabble przy świetle świec z Alice w Suffolk, tuż po Bożym Narodzeniu, wylosowałem „E” i „S” i wymieniałem je obydwie niezauważenie na „Z” i „Y”, stąd „zdezorientowany” i „zadziwiony”, na potrójnie punktowanych polach.

I to mniej więcej wszystko w kwestii oszukiwania. W żadnym z tych przypadków nie byłem z siebie dumny, ale poza wstydem i jak mi się wydaje, czymś, co Sartre nazwałby towarzyszącą mu „złą wiarą”, najgorsze w tym wszystkim jest dręczące poczucie, że całe to oszukiwanie było niepotrzebne. I tak bym wygrał, a oszukiwanie jedynie zepsuło smak zwycię-

stwa. Jak mama i Sartre powiedzieliby prawdopodobnie: „tylko się oszukujesz”.

Ale to nie scrabble ani egzamin pierwszego poziomu z chemii, to jest dużo ważniejsze. To jest *Challenge* i istnieje co najmniej osiem ważnych powodów, które zdają się w idealnie rozsądny sposób uzasadniać moje oszustwo: 1) Po pierwsze, będzie to w telewizji. Wszyscy, których znam, to zobaczą, Spence i Tone, i Janet Parks, wszyscy moi starzy nauczyciele, i profesor Morrison, i ten drań Neil MacIntyre, a potem jest też oczywiście, 2) publiczność w studio; jest tam mama, i Des, mój przyszły ojczym, i Rebecca, i Chris hippis, i ta krowa Erin. A potem są: 3) moi partnerzy z drużyny, Patrick i Lucy, szczególnie Lucy, którą tyle razy zawiodłem, a która tak bardzo zasługuje na to, żeby wygrać, i 4) Alice oczywiście, która myśli, że jestem idiotą i pijakiem, i strupem na głowie, i głupcem, i którą wydaje mi się, mogę nadal kochać, a poza tym 5) może nawet nie jestem już w drużynie, więc całe te zmagania etyczne mogą być czysto akademickie, i 6) w pewnym sensie, cała ta sytuacja nie jest nawet moją winą, to wina Juliana, bo wystawił mnie na pokusę, i 7) wszyscy zrobiliby to samo w mojej sytuacji, wszyscy, a poza tym 8) jestem tylko człowiekiem. I właśnie dlatego postanawiam zrobić to, co robię, co technicznie jest oszukiwaniem, ale do czego wprowadzam bardzo duży element przypadku; pozwolę sobie spojrzeć na jedną kartkę, i tylko na jedną, to wszystko, przysięgam. Ale będę to musiał zrobić szybko. Podbiegam do drzwi, otwieram je bardzo nieznacznie, rozglądam się na obydwie strony, nie widzę nikogo, biegnę z powrotem do biurka, wydaję kartki z koperty.

Są podzielone gumowymi recepturkami na dwie części, jedna składa się z pytań początkowych, druga z pytań premiowych. Oddzielam część pytań początkowych, około dwie trzecie grubości, kładę dwa pliki kartek ostrożnie na biurku, drukiem do spodu, żebym mógł odłożyć wszystko idealnie w to samo miejsce, zaciskam mocno oczy i biorę z rozłożonego pliku leżącą na wierzchu kartkę, trzymając ją w odległości około jednego metra od moich zamkniętych oczu.

Czuję, jak pod powiekami pulsuje mi krew.

Otwieram oczy i widzę starannie wydrukowane:

PYTANIE: Pod jakim imieniem znany jest lepiej dickensowski bohater, Philip Pirrip?

...i czuję niewielką irytację, ponieważ to wiem, to łatwe, chodzi o Pipa w *Wielkich nadziejach*. Jaki ma sens mocowanie się z tego rodzaju dylematem moralnym, skoro już znam odpowiedź? I mimo że zawarłem pomiędzy sobą a Bogiem, czy kimś tam, bardzo surową umowę, że spojrzę na jedną i tylko jedną kartkę, biorę kolejną, kolejną w pliku i odwracam ją.

No, teraz lepiej...

PYTANIE: Stan Kalifornia graniczy z trzema stanami w USA i jednym stanem meksykańskim. Jak się nazywają?

ODPOWIEDŹ: Oregon, Nevada, Arizona i meksykański stan Baja — Kalifornia Dolna.

Oregon, Nevada, Arizona, Baja Kalifornia. Idealnie — na tyle trudne, żeby robiło wrażenie, ale nie tak trudne, żebym wyszedł na idiotę. *Oregon, Nevada, Arizona, Baja Kalifornia*. Ale czy to się wymawia „Baża” czy „Baya”? Nieważne, to będzie częścią mojej odpowiedzi; poćwiczę mówienie tego na głos, pozorując naturalność: „Oregon, eee... Nevada, hm, Arizona? I Baża...” (niewielki uśmiech, ponieważ z moim hiszpańskim nie jest najlepiej)... „a może to Baya Kalifornia?”

A co, jeśli Lucy też będzie знаła odpowiedź? Na pewno ją zna. Nieważne, jeśli tylko jedno z nas zdąży przed drugą drużyną. Prawdę powiedziawszy, byłoby lepiej, gdyby to Lucy odpowiedziała, ponieważ wtedy miałbym czyste sumienie. *Oregon, Nevada, Arizona, Baja Kalifornia*. Teraz szybko, odkładam je na swoje miejsce w pliku, wyrównuję brzegi, opierając kartki na biurku, zakładam z powrotem gumkę recepturkę na jeden i drugi plik, wkładam obydwie pliki do koperty, zwilżam śliną, ale nie za bardzo, tylko trochę po obydwu stronach, gdzie rozerwałem sklejenie,

przypinam ponownie do podkładki z klipsem, kładę podkładkę dokładnie tam, gdzie ją znalazłem, ćwiczę ponownie, na głos: „Oregon, eee... Nevada, hm, Arizona i może Baja Kalifornia?...”

Podchodzę do okna, spoglądam na dachy i kominy Manchesteru i myślę o tym, co będę musiał teraz zrobić. Przeprosiny dla Patricka najpierw, szczere, pokorne, ale nie płaszczenie się, przyznanie, że obydwu nas trochę poniosło, ale z zachowaniem dumy i godności. Potem muszę zawrzeć jakiś tymczasowy pokój z Alice, pokazać jej, że tak, jestem na nią zły, ale że popełnia straszny błąd, zadając się z tym facetem, Neilem, to jest strata. A potem będę jej musiał po prostu udowodnić, co traci; z klasą, wdziękiem i skromności i z Alice u mojego boku, zamierzam wygrać tę grę. *Oregon, Nevada, Arizona i Baja Kalifornia...*

Rozlega się pukanie do drzwi i wchodzi Patrick, z poważną miną, ale po bokach kroczą za nim Alice i Lucy i obydwie usiłują ukryć uśmiech.

—Patrick.

—Brian.

—Przepraszam za to, co się wydarzyło.

—Przyjmuję przeprosiny.

Potem odchrząkuje, a Lucy popycha go delikatnie łokciem w plecy, dla dodania odwagi.

— Cóż, hm, słuchaj, rozmawiałem z Lucy i Alice i doszliśmy do wniosku, że być może trochę nas poniosło, byliśmy trochę zbyt podekscytowani, wszystkie te światła w studio i tak dalej, i... w każdym razie wszyscy zdecydowaliśmy, że bardzo chcielibyśmy, żebyś został razem z nami w drużynie.

—Dzięki, Patrick—odpowiadam, kiwając poważnie głową.

—Dzięki, Brian — i kiwnięcie w odpowiedzi.

Lucy mruga do mnie i się śmieje, dyskretnie unosząc do góry kciuki na wysokości pasa, a Alice podaje mi moją czystą, świeżo wyprasowaną koszulę i brązową, sztruksową marynarkę taty.

— No dobrze — mówię. — Chodźmy im dokopać.

PYTANIE: W powieści E.M. Forstera *Howards End* jaki nieszczęśliwy koniec spotyka Leonarda Basta?

ODPOWIEDŹ: Spada na niego szafa z książkami i bohater umiera na serce.

Przedtem jednak pijemy herbatę i jemy herbatniki, potem idę do toalety, myję się pod pachami mydłem i zaczynam się czuć trochę lepiej. Potem idziemy do indywidualnych garderób, gdzie mają nam zrobić niewielki makijaż. Gdy ma się taką fatalną cerę jak ja, jest to potencjalnie dość krępujące przeżycie, ale mój makijaż robi miła dziewczyna o imieniu Janet, i naprawdę to tylko kwestia pomniejszenia szkód; odrobina podkładu i wystarczająca ilość pudru, by oleista wydzielina z moich gruczołów łojowych nie świeciła się w świetle lamp w studio. Nasza trójka nie potrzebuje dużo czasu; uniwersytecka bluzka Patricka została wyprasowana, a jego włosy bezpiecznie uformowane pod solidnym, przezroczystym pancerzem lakieru do włosów. Lucy nałożyła bardzo czystą, elegancką, zapiętą wysoko pod szyję bluzkę, pomalowała usta delikatną warstwą szminki i spięła do góry włosy dużą spinką. Stoimy w kółku na korytarzu, gawędząc przyjacielsko, gdy zauważam, jak ładnie wygląda, i zastanawiam się, jak jej to powiedzieć, żeby nie wyjść na idiotę, gdy z garderoby wychodzi Alice.

Ma na sobie długą obcisłą, portfelową sukienkę, sięgającą wysoko pod szyję i zwężaną do dołu, ażurowe rajstopy i czarne paseczki na wysokich obcasach, mimo że jej nogi w ogóle nie będą widoczne pod biurkiem. Wygląda jak gwiazda filmowa, promieniejąc, jaśniejąc, i nagle znowu robi mi się słabo.

—Uważasz, że przesadziłam? — pyta.

—Ależ skąd, Alice. Wyglądasz cudownie — mówi Lucy. Julian przychodzi po nas, ściskając haniebną podkładkę z klipsem, i Alice wyraźnie robi na nim wrażenie.

— No dobrze, panie i panowie, jesteście gotowi? Idziemy za nim korytarzem do studio. Staję za Alice, żebym mógł widzieć, jak idzie.

Druga drużyna zajmuje miejsca, gdy wchodzimy do studio, i słyszymy aplauz i krzyki ich kibiców, stojąc na zapleczu. Wtedy Julian kiwa głową i nadchodzi moment, abyśmy to my weszli na gladiatorską arenę. Idę za Alice, gdy przechodzimy, żeby zająć miejsca, i słyszę, jak cała widownia wstrzymuje oddech, obsługa i kamerzyści zatrzymują się i wpatrują, szepczą do mikrofonów, szmer podziwu, słyszalny pomimo aplauzu, krzyków i wiwatów. Alice unosi lekko sukienkę, wsuwając się za nasze biurko, jakby wślizgiwała się do limuzyny, i ktoś na widowni faktycznie gwizdże na palcach, czego z politycznego punktu widzenia, jak również dyskryminacji płci, nie aprobuję, ale co wywołuje falę śmiechu w studio. Alice śmieje się i unosi na wysokość twarzy naszą maskotkę, misia Eddiego, i jest dokładnie tak, jak zawsze mówiła mama— „piękna i dobrze o tym wie...”

Zajmujemy swoje miejsca i uśmiechamy się do siebie, w czasie gdy ekscytacja opada.

—Pokój? — pyta.

—Pokój — odpowiadam.

I wtedy spoglądamy na widownię. Są tam Rose i Michael Harbinson i Rose macha z dumą.

— Miło widzieć ich w ubraniach! — rzucam.

Alice uderza mnie lekko w nadgarstek, z naganą. Mama, która siedzi w drugim rzędzie, za Rebeccą, macha do mnie, tylko poruszając delikatnie palcami, potem unosi do góry dwa kciuki, a ja macham do niej.

—Czy to twoja mama? — pyta Alice.

—Aha.

—Ładnie wygląda. Chciałabym ją poznać.

—Na pewno. Kiedyś.

—Kim jest ten pan z wąsem Toma Sellecka?

— Wujek Des. Nie jest prawdziwym wujkiem, tak go nazywamy. Prawdę mówiąc, żeni się z mamą.

—Twoja mama wychodzi ponownie za męża?

—Aha.

—To wspaniała wiadomość! Nie mówiłeś mi o tym!

—Cóż, chciałem, wczoraj wieczorem, ale...

— Tak. Och. Tak, oczywiście. Słuchaj, Brian, ta znajomość z Neilem to nic poważnego...

— Alice.

— To była tylko przygoda, to nie znaczy, że ty i ja... Nie kończy jednak, ponieważ teraz wchodzi Bamber. Tłum

bije brawo i wiwatuje, a Alice bierze mnie za rękę i ściskają mocno, i moje serce zaczyna bić szybciej, i nadchodzi czas, żeby z tym skończyć, raz na zawsze.

I oczywiście osiemnaście minut później przegrywamy.

Albo przynajmniej na to wygląda. Mamy 45 punktów do 90, ale Partridge, łysiejące dziecko z pulchną, brzoskwiniową twarzą, jest wyraźnie jakimś niewiarygodnym, genetycznie ulepszonym, zmutowanym dziwakiem, który został stworzony gdzieś w jakimś tajemnym laboratorium, ponieważ cały czas rzuca poprawnymi odpowiedziami na każdy wyobrażalny temat, jedna po drugiej, „... .papież Pius XIII, uskok tektoniczny San Andreas, Herodot, $2n-1(2n-1)$, gdzie zarówno n , jak i $2n-1$ są liczbami pierwszymi, azotan potasowy, chromian potasowy, siarczyn potasowy...” i to wszystko z ust kogoś, kto ma studiować historię współczesną i kto wygląda na mniej więcej sześć lat. Nie byłoby nawet właściwe nazwać to wiedzą ogólną, jest to po prostu wiedza, czyta skondensowana wiedza, i dochodzę do wniosku, że gdzieś z tyłu głowy Partridge'a znajduje się mały guziczek i gdy się go przyciśnie, otwiera mu się głowa, odsłaniając skupiska diod, mikrochipów i świecących diod elektroluminescencyjnych.

W tym czasie ich kapitan, Norton z Canterbury, studiujący filologię klasyczną, nie musi robić prawie nic, jedynie podawać poprawne odpowiedzi Bamberowi, swoim ślicznym, niskim, przyjemnie modulowanym głosem, potem opierać się wygodnie i bawić się swoimi ślicznymi, olśniewającymi włosami, i rzucać w stronę Alice znaczące, zdające się mówić „do zobaczenia potem” spojrzenia.

Patrick zaczyna panikować. Na szyi wokół ściągacza jego bluzy w kolorze burgunda zaczyna się pojawiać obwódka potu, a on zaczyna zbyt nerwowo obchodzić się z przyciskiem i popełnia błędy, straszne błędy, uderzając drżącymi palcami w dzwonek, w desperackiej próbie odzyskania czegoś.

Bzyk.

—George Stephenson? — mówi Patrick.

—Nie, przykro mi, minus pięć punktów.

—Brunei? — mówi Partridge.

—Zgadza się! To dziesięć punktów... Bzyk.

—*The Rights of Man* Thomasa Paine'a? — rzuca błagalnie Patrick.

—Nie, przykro mi, minus pięć punktów...

—*The Age of Reason* Paine'a? — mówi Partridge.

—Zgadza, się! To kolejne dziesięć punktów...

I tak dalej. Alice i ja jesteśmy kompletnie bezużyteczni. Ona odpowiada na jedno pytanie źle, podając Dame Margot Fonteyn, podczas gdy chodziło o Dame Alicie Markova, a ja prawie w ogóle nie otwieram ust, kiwam jedynie szaleńczo głową na wszystko, co w czasie konsultacji zaproponuje Lucy. Prawdę powiedziawszy, gdyby nie niesamowita doktor Lucy Chang, mielibyśmy teraz ujemną punktację, ponieważ na każdą jedną złą odpowiedź Patricka ona podaje jedną poprawną, cicho i skromnie.

—Studia pszczoł?

—Zgadza się.

—Myślę, więc jestem?

—Zgadza się.

—*Zadok kapłan* Haendla?

—Zgadza się.

I w pewnym momencie przyłapuję się na tym, że wychylam się za Alice i przyglądam się Lucy, jak zakłada swoje błyszczące włosy za ucho, spoglądając skromnie na podłogę, w czasie gdy tłum bije jej brawo, i myślę o tym, co mówiła Rebecca: może powinienem był się z nią umówić? Dlaczego o tym nie pomyślałem? Może to jest rozwiązanie. Może, jeśli z mojej znajomości z Alice nic nie wyjdzie...

Ale o czym ja myślę? Przegrywamy teraz 65 punktów do 100, i idiotyczny chłopiec Partridge odpowiada na trzy pytania z rzędu, o teoriach matematycznych Evaristy Galois czy czymś kompletnie niepojętym, a ja siedzę tam, wpatrując się kretyńsko w tył głowy naszej maskotki, i przegrywamy, przegrywamy, przegrywamy, i zdaję sobie sprawę, że nawet z moim asem w rękawie pod postacią Oregonu, Nevady, Arizony i Baja Kalifornii, jedynym sposobem na to, abyśmy wygrali, byłoby, gdyby ktoś z widowni, powiedzmy Rebecca Epstein, wyeliminowała Partridge'a za pomocą karabinu snajperskiego o dużym zasięgu.

I wtedy dzieje się coś niesamowitego; pytanie, na które znam odpowiedź.

— *Porphyria's Lover*, w którym główna bohaterka dusi ukochanego swoim warkoczem, to poemat narracyjny jakiego poety wiktoriańskiego?

Nikt nie przyciska dzwonka. Nikt, z wyjątkiem mnie. Dzwonię, potem usiłuję otworzyć usta, które wydają się zlepione klaj strem, i w końcu wydobywam z siebie słowa.

—Roberta Browninga?

—Zgadza się!

Rozlegają się brawa, prawdziwe brawa, zaczyna moja mama, niemniej jednak są to brawa, i zyskujemy szansę odpowiedzi na pytania premiowe...

— ...które tworzą strukturę tkanek roślinnych!

Alice i ja wydajemy z siebie słyszalny jęk i opadamy na krzesła, bezużyteczni. Ale to nie ma znaczenia, ponieważ doktor

Lucy Chang jest tutaj, a doktor Lucy Chang wie o strukturze komórek roślinnych wszystko, co wiedzieć warto. Wymienia je wszystkie bez zająknięcia.

— .. parenchyma... kolenchyma... czy to sklerenchyma? Ależ tak, to właśnie sklerenchyma, i tłum znowu wiwatuje,

ponieważ znowu jesteśmy w grze, teraz mamy 90 do 115, i znowu wróciłem do świata żywych, ponieważ teraz wiem, że mogę — nie, nie ja, ale że my, drużyna — możemy mimo wszystko wygrać.

— Kolejne pytanie początkowe, dickensowski bohater Philip Pirrip jest...

Wiem. Bzyk.

—Pip w *Wielkich nadziejach* — odpowiadam, wyraźnie i pewnie.

—Bardzo dobrze przewidziane pytanie — ocenia Bamber.

Znowu słyhać brawa z widowni i nawet jeden gwizd, wydaje mi się, że z ust Rebecki, którą widzę w pierwszym rzędzie, jak promienieje, i wyobrażam sobie, że mniej więcej tak czuje się piłkarz po strzeleniu gola. Staram się jednak nie uśmiechać. Wyglądam po prostu poważnie i pewnie, a moje myśli biegną jak szalone, ponieważ wiem, co będzie wkrótce. „Oregon, eee... Nevada i Baza — a może Baya? — Kalifornia?” Nie trać jednak głowy, nie trać głowy, najpierw pytania premiowe, potencjalne piętnaście punktów, plus dziesięć, które właśnie zdobyłem, wystarczająco, byśmy wyrównali do naszych przeciwników, razem 115, ale wszystko zależy od tego, na jaki temat będą pytania premiowe...

— A wasze pytania premiowe dotyczą sekwencji rozpoczynających i kończących ze sztuk Williama Szekspira.

Taaak!, myślę, ale nic nie mówię ani nie daję poznać po sobie, potrafię na nie odpowiedzieć, jestem pewien, że będę znał odpowiedzi. Przeciwnicy wydają z siebie oczywiście okrzyk zawodu i opadają na krzesła, ponieważ wiedzą, że oni też mogliby odpowiedzieć na nie poprawnie, i Norton, studiujący filologię klasyczną, odrzuca z przygnębieniem włosy, ale trudno chłopcy, ponieważ te pytania należą teraz do nas. Alice też na pewno czuje się pewnie, ponieważ spogląda na mnie, kiwa głową i uśmiecha się, jakby chciała powiedzieć: „Śmiało, Bamber, pokaż, co potrafisz, to i tak nie ma

znaczenia, ponieważ ja i Brian jesteśmy pokrewnymi duszami i razem poradzimy sobie ze wszystkim, o co zapytasz", i oto jest, pierwsze pytanie premiowe...

— Która sztuka zaczyna się od słów: „Rozejść się! Wracać do domów, nieroby! / A cóż to, święto?"*³⁷

Wiem.

—*Juliusz Cezar* — szepczę do Patricka.

—Jesteś pewien? — pyta Patrick.

—Absolutnie. Przerabiałem to do egzaminu w szkole średniej.

—*Juliusz Cezar* — mówi Patrick, zdecydowanie.

—Zgadza się! — woła Bamber i rozlegają się delikatne brawa, niezbyt długie, które ucichają w momencie, gdy pojawia się kolejne pytanie.

—Która sztuka kończy się słowami: „Ja zaś na pokład, ojczyźnie zdać sprawę / Choć krwawią serce te uczynki krwawe"*³⁸.

Wiem. *Otello*.

—To *Hamlet*! — szepcze Alice do Patricka.

—Nie, wydaje mi się, że to *Otello* — mówię stanowczo, ale uprzejmie.

—Lucy? — pyta Patrick.

—Przykro mi. Nie mam pojęcia.

—Naprawdę jestem na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewna, że to *Hamlet* — twierdzi ponownie Alice.

—Brian?

—Wydaje mi się, że *Hamlet* kończy się czymś o wynoszeniu zwłok i biciu armat. „Uczynki krwawe" to śmierć Desdemony i Otella, jestem więc całkiem pewien, że to *Otello*, ale jeśli chcesz powiedzieć *Hamlet*, Patrick, to w takim razie, oczywiście, odpowiedz *Hamlet*.

Patrick spogląda na nas, Alice i mnie, dokonuje wyboru, odwraca się do mikrofonu i mówi:

³⁷ * William Shakespeare, *Juliusz Cezar*, tłum. Stanisław Barańczak, W drodze, Poznań 1993.

³⁸ * William Shakespeare, *Otello*, tłum. Maciej Słomczyński, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 1998.

—Czy to... *Otello*?

—Tak, to *Otello*!

I tłum szaleje. Patrick wyciąga do mnie rękę i pociera moje ramię po przyjacielsku, Lucy do mnie mruga, a Alice spogląda na mnie błyszczącymi oczami, z wdzięcznością i pokorą i szczerą sympatią. Nigdy wcześniej nie widziałem w jej oczach tego spojrzenia. Wyciąga dłoń pod biurkiem, w moją stronę, głaszcze mnie po udzie, potem znajduje moją dłoń i ściskają pocierając moją gorącą wilgotną dłoń swoim kciukiem, a teraz wsuwa swój czarny but z cienkich pasków pomiędzy moje dwie, ogromne, szerokie, grube stopy, pociera moją kostkę i patrzymy na siebie przez nie dłużej niż sekundę, ale mnie wydaje się to wiecznością, a brawa nie ustają i uśmiecham się, wbrew sobie, ale Bamber znowu zadaje pytanie, mówiąc:

— Wasze ostatnie premiowe pytanie: Która sztuka kończy się odśpiewaniem następującej kwestii: „Cóż stąd? Kończymy rzecz zabawną / Lecz pragniemy was bawić, co dnia”*³⁹?

Wiem.

Nadal trzymając się za ręce pod stołem, jak jedność, i w idealnej harmonii, Alice i ja szepczemy:

—*Wieczór Trzech Królil*

—*Wieczór Trzech Króli!* — odpowiada Patrick.

— *Wieczór Trzech Króli* to poprawna odpowiedź! — woła Bamber.

Tłum wiwatuje, a ja nadal sekretnie trzymając Alice za rękę pod stołem, spoglądam na Rebeccę na widowni, a ona siedzi na swoim miejscu, wiwatując i gwizdząc na palcach, i bijąc brawo wysoko nad głową. Mama siedzi w rzędzie za nią, unosząc do góry dwa kciuki, i Des też bije brawo, pochylając się w jej stronę i szepcząc do jej ucha: „Skąd, u licha, twój syn wie to wszystko? Musisz być taka dumna!", lub coś takiego, wyobrażam sobie, i wydaje mi się, że przez huk aplauzu słyszę Alice, która mówi coś w rodzaju Jesteś absolutnie niesamowity", a potem Bamber woła:

³⁹ * William Shakespeare, *Wieczór Trzech Króli*, tłum. Maciej Słomczyński, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1983.

— Doskonale! To daje remis, a zgodnie z zegarem zostało, nam jeszcze cztery minuty, więc mamy nadal mnóstwo czasu dla obydwu drużyn. No to proszę, palce na przyciskach i wasze następne pytanie początkowe, za dziesięć punktów. Stan...

Wiem.

I nadal trzymając mocno dłoń Alice pod biurkiem, sięgam prawą dłonią przycisku, naciskam dzwonek i mówię, bardzo wyraźnie:

— Oregon, Nevada, Arizona i Baża, a może prawidłowa wymowa brzmi Baya?

— Kalifornia?

A potem opieram się wygodnie na krześle i czekam na brawa.

Ale się nie rozlegają.

Nic.

Żadnych braw, jedynie ta straszna cisza. Ja.

Ja nie.

Ja nie rozumiem.

Spoglądam na Alice, w poszukiwaniu jakiejś odpowiedzi, ale ona jedynie wpatruje się we mnie, z tym dziwnym, zmieszonym półuśmiechem, który na początku odczytuję jako podziw, szczerzy podziw dla mojej błyskotliwości, który jednak zmienia się na moich oczach i w końcu zmienia się w coś dużo, dużo gorszego. Spoglądam na drugą stronę biurka, i znowu jest to samo spojrzenie, z oczu Lucy i Patricka, rodzaj przerażonej... pogardy. Spoglądam na widownię i widzę, że stanowi zwarty szereg niemych czarnych dziur, otwartych ust, pod zdumionymi, zmarszczonymi czołami, z wyjątkiem Rebecki, która siedzi pochylona na krześle i trzyma głowę w dłoniach. Z widowni zaczyna dochodzić narastający gwar, a potem ktoś zaczyna się śmiać, głośno i histerycznie, i z towarzyszącym, nagłym atakiem bólu i żalu, który przypomina skok w przepaść, zdaję sobie sprawę, co zrobiłem.

Odpowiedziałem poprawnie na pytanie, zanim zostało zadane.

Bamber Gascoine pierwszy przerywa ciszę.

— Cóż, dość wyjątkowo, to jest rzeczywiście właściwa odpowiedź, więc... — jedno ucho zatyka palcem, konsultuje się z reżysernią a potem

mówi: — .. .więc myślę, że może powinniśmy... przerwać... na chwilę...
nagranie?

Pod biurkiem Alice puszcza moją dłoń.

RS

Epilog

„Mędrak niedokończony śmieszne jest stworzenie. Pij obficie lub nie mając wody w Hipokrenie. Gdy jej z wierzchu skosztujesz, w głowie ci zakręci, Wytrzeźwiejesz, nie tracąc w popijaniu chęci”.

Alexander Pope, *Wiersz o krytyce*^{*40}

Och, po prostu wiem,
Że zdarzy się coś dobrego.
I nie wiem kiedy,
Ale wierzę, że będzie dobrze.

Kate Bush, *Oberwanie chmury, Psy miłości*^{41*}

⁴⁰ * Alexander Pope, *Wiersz o krytyce*, tłum. Ludwik Kamiński, Universitas, Kraków 2002.

⁴¹ * Tekst utworu *Cloudbusting*, z płyty *Hounds of Love* w tłumaczeniu Tomasza Drozdowskiego. Tomasz Drozdowski. Polska strona Kate Bush. Copyright © 2002-2005 by T. Drozdowski, 01.04.05, 02.04.05 <www.katebush.pl>

PYTANIE: Długa na 260 kilometrów wzdłuż swojej wschodnio - zachodniej osi, największa z wysp greckich z centrum administracyjnym w Iraklio-nie, która z wysp na Morzu Śródziemnym była kolebką pierwszej prawdziwie europejskiej cywilizacji, minojskiej?

ODPOWIEDŹ: Kreta.

12 sierpnia 1986

Jak się masz, piękna nieznajoma! (* się-masz? Spec.!?)

Jak leci? Jestem pewien, że jesteś zdziwiona, po tylu miesiącach! Tak, stempel na kopercie to nie jest pomyłka — po raz pierwszy w życiu jestem za granicą. W miejscu, gdzie jest ciepło! Mam nawet opaleniznę, w pewnym sensie, albo będę miał, gdy zejdzie mi skóra. Jak można było raczej przewidzieć, „przesadziłem trochę pierwszego dnia” i bolało mnie to przez pewien czas, i musiałem jeść na stojąco, ale teraz jest już lepiej. (Ustał też w końcu mój trądzik, ale tego pewno nie chcesz wiedzieć!!!). Nauczyłem się też nurkować z rurką chyba że mam nagły atak paniki. Jedzenie jest wspaniałe — dużo spalonego mięsa, żadnych warzyw. Dzisiaj zjadłem po raz pierwszy kawałek sera feta. Hmmm — przypominał trochę słony materiał pakunkowy. Czy pamiętasz nasze wyjście do Luigi's, wtedy gdy miałaś na sobie tę suknię balową?

W każdym razie.

Twoja pocztówka przyszła tuż przed naszym wyjazdem i była miłą niespodzianką, przyniosła też odrobinę ulgi. Po naszej małej, hm, przygodzie, myślałem, że może nadal jesteś na mnie zła. Czy widzisz Patricka? Czy doszedł już do siebie, czy moje nazwisko jest nadal zakazane? Pozdrów go ode mnie, odsuń się na bezpieczną odległość i patrz, jak jego twarz zmienia kolor.

Uważam, że to naprawdę wspaniała wiadomość, że w następnym semestrze będziesz grała Helen Keller. Wyobrażam sobie, że to będzie naprawdę duże wyzwanie. Mimo to przynajmniej nie będziesz się musiała uczyć roli na pamięć! Czy Noel Coward nie powiedział przypadkiem czegoś o tym, że gra aktorska polega głównie na wpadaniu na meble? Ha, ha! Przepraszam! To wcale nie jest śmieszne. Teraz już poważnie, naprawdę, naprawdę gratuluję. Będziesz wspaniałą Helen. Może przyjadę i obejrzę cię w tej roli, szczególnie że przegapiłem twoją Heddę (jak powiedział kiedyś targany wyrzutami sumienia bramkarz! Rozumiesz? Dowcip piłkarski! Ha, ha!) Byłoby dobrze znowu cię zobaczyć, po tak długiej przerwie. Mam ci mnóstwo do powiedzenia...

...i w tym momencie muszę przerwać pisanie, ponieważ słyszę, jak wchodzi po schodach, po swoim pływaniu wczesnym wieczorem, wsuwam więc szybko list lotniczy do książki, rzucam się na łóżko i udaję, że czytam *Sto lat samotności*.

W końcu najbardziej było mi żal Juliana, młodego redaktora. Żeby moja historia miała sens, musiałem go do niej włączyć.

Zasadniczo brzmiała tak: gdy leżałem na biurku, przypadkowo straciłem podkładkę z klipssem, jego podkładkę, tę, którą zostawił, gdy przynieśli mnie na górę, na podłogę, i spadając, koperta się otworzyła, a kartki z pytaniami rozsypały się na podłodze. Naturalnie, jak tylko zdałem sobie sprawę, co to za kartki, od razu włożyłem je z powrotem do koperty, ale oczy-

wiecie musiałem zauważyć, co było napisane na jednej z nich, zanim zdążyłem ją schować. No wiecie, jakby podprogowo.

Byli dość mili, zważywszy na to, że musieli skasować nagranie i odeśłać wszystkich do domu. Chcę powiedzieć, że nie zachowywali się jak gestapo ani nic takiego, nie świecili mi lampą w oczy ani nie atakowali mnie, ponieważ, technicznie rzecz biorąc, nie zrobiłem nic złego. Nic, za co mogliby mnie podać do sądu.

Oczywiście, musieli zdyskwalifikować całą drużynę, ponieważ mimo iż przekonywałem ich, że tylko ja byłem w to zaangażowany, i wszystko było moją winą nie mogli ponieść takiego ryzyka. To o wszystkim przesądziło. To był koniec *Challenge*. Dla wszystkich.

Muszę przyznać, że cała ta sprawa była dość krepująca. Na tyle, że wydawało mi się, iż nie będę w stanie wracać razem z resztą drużyny, ponieważ nie byłem pewien, czy wpuściliby mnie do samochodu, i byłem nieomal pewien, że nie byłbym mile widziany w minibusie naszych kibiców. Pojechałem więc do Southend, z mamą i Desem, w jego półciężarówce, ściśnięty na przednim siedzeniu. Przypominacie sobie te relacje w wiadomościach o przestępcach wywożonych pośpiesznie z posterunku policji, ukrytych pod szarym kocem? Cóż, ze mną było podobnie. Gdy wyjeżdżaliśmy z parkingu, widziałem pozostałych, jak stali wokół żółtego 2CV Alice, i Patrick wyglądał tak, jakby krzyczał i kopał opony samochodu, Lucy próbowała go uspokoić, a Alice opierała się o samochód, nadal w tej cudownej czarnej sukience z misiem Eddie, zwisającym z jednej jej dłoni, i wyglądała tak smutno i pięknie. Napotkałem jej wzrok, gdy nasza półciężarówka przejeżdżała obok, i musiała powiedzieć coś w rodzaju: „Patrzcie, tam jest!” albo coś podobnego, ponieważ wszyscy się odwrócili, i, cóż, nie istnieje żaden oczywisty sposób na właściwe zachowanie w takiej sytuacji, nie ma żadnego wyrazu twarzy, który można przyjąć, wymówiłem więc samymi ustami słowo „przepraszam”, przez szybę.

Nie jestem pewien, czy to widzieli.

Patrick zaczął krzyczeć coś, czego nie mogłem zrozumieć, i rozglądać się za czymś, co mógłby rzucić, a Alice potrząsała jedynie wolno głową.

Ale zauważyłem, że Lucy do mnie pomachała, i wydawało mi się, że był to bardzo miły gest.

Gdy już śpi, w porze swej zwykłej popołudniowej drzemki, wychodzę na werandę, z widokiem na morze, siadam przy drewnianym stole i kontynuuję pisanie.

Przepraszam. Coś mi przeszkodziło. Na czym to stanąłem? Tak, może mógłbym przyjechać i zobaczyć cię w roli Helen Keller, chociaż odległość jest dość duża. Przenoszę się do Dundee, widzisz. Mam tam miejsce, poczynając od października. Lit. ang. Ponownie, chociaż tam nazywają ją po prostu „Literaturą”, ponieważ wydaje mi się, że to dla nich dość ważne. To całkiem przyjem-i ne uczucie, zaczynać wszystko od początku. Spoglądam z nadzieją w przyszłość i mam nadzieję, że tym razem skoncentruję się bardziej na moich studiach...

Opowiedziałem mamie tę samą historię, którą opowiedziałem organizatorom, i wydaje mi się, że mi uwierzyła, chociaż nie mówiła wtedy na ten temat zbyt dużo. Ale wcześniej rano następnego dnia, gdy przyjechaliśmy w końcu do Southend i wszedłem po schodach do swojego starego pokoju, powiedziała, że to nie ma znaczenia i że i tak jest ze mnie dumna, a jej słowa sprawiły mi dużą przyjemność, nawet jeśli nie byłem do końca pewien, czy to prawda.

Potem, następnego dnia po południu, zadzwoniłem na wydział anglistyki i powiedziałem, że nie będzie mnie około tygodnia, ponieważ nagle zachorowałem. Ale plotki już musiały tam dotrzeć, ponieważ profesor Morrison nawet nie pytał mnie, co mi jest. Powiedział tylko, że zupełnie mnie rozumie, że wydaje mu się, iż to dobry pomysł, i żebym odpoczywał tak długo, jak zechcę. Spędziłem więc większość tego tygodnia w łóżku, głównie śpiąc, czytając, nie pijąc, czekając, aż sprawa przycichnie.

Ale pewne sprawy nigdy nie przycichną. Gdy minęły dwa tygodnie i ja nadal nie wychodziłem z sypialni, doszedłem do wniosku, że może najle-

piej będzie, jeśli w ogóle nie wrócę. Więc jednego popołudnia Des zawiózł mnie swoją półciężarówką zabrałem wszystkie swoje rzeczy, w czasie gdy Marcus i Josh byli poza domem, i tego samego dnia wróciliśmy do domu. Potem znowu położyłem się do łóżka i prawie z niego nie wychodziłem, aż mama kazała mi pójść do lekarza, i potem sprawy zaczęły wyglądać odrobinę lepiej.

Resztę roku spędziłem w swojej dawnej pracy w Ashworth Electricals, fabryce tosterów. Wydaje mi się, że ucieszyli się z mojego powrotu. Mama i Des musieli przesunąć wielkie otwarcie swojego pensjonatu o sześć miesięcy, ale nie robili mi z tego powodu żadnych wymówek, i Des wydaje mi się zupełnie w porządku. Spencer był już zupełnie sprawny w kwietniu, dostał wyrok w zawieszeniu i dość wysoką karę. Ale udało mi się znaleźć dla niego pracę w Ashworth Electricals, razem ze mną, i w ten sposób spędzaliśmy ze sobą więcej czasu, co było bardzo dobre. Nie opowiedziałem mu całej historii o tym, co się wydarzyło, a on mnie nie pytał, i chyba tak jest lepiej. Widywałem też To-ne'a, ale nie za często, ponieważ wydaje się, że zawsze jest zaangażowany w jakieś sekretne manewry na Salisbury Plain.

Co jeszcze? Dużo czytam. Napisałem też trochę poezji, raczej niezbyt dobrej, kilka opowiadań i słuchowisko radiowe: monolog wewnętrzny, strumień świadomości, w pierwszej osobie, oparty na *Robinsonie Crusoe*, ale wersja współczesna, z perspektywy Piętaszka. Słuchałem na okrągło *The Hounds of Love* i doszedłem do wniosku, że jest to nieomal na pewno najlepszy album Kate.

A potem w czerwcu, zupełnie niespodziewanie, ktoś do mnie zadzwonił.

Muszę jednak już kończyć. Czuję zapach palonego mięsa, co oznacza, że już nieomal czas na kolację!!!

Spoglądając wstecz, to był zabawny czas, prawda, Alice? Chciałem powiedzieć: dziwny. Metafora (a może chciałem powiedzieć „porównanie”???!), które przychodzi mi do głowy, to jak gdy byłem dzieckiem i tato kupował mi zestaw do składania samolotów Airfix. Siadałem wtedy przy kuchennym stole i zanim nawet zdążyłem otworzyć pudełko, gromadziłem wszystkie niezbędne narzędzia, odpowiedni rodzaj kleju i wszystkie nie-

zbędne farby, matowe i z połyskiem, i naprawdę, naprawdę ostry nóż do cięcia, i obiecywałem sobie, że będę postępował dokładnie zgodnie z instrukcjami, i że naprawdę nie będę się śpieszył, gnał do przodu, nie będę niczego polepszał, będę postępował ostrożnie, skoncentruję się, naprawdę, naprawdę się skoncentruję, żebym na koniec miał ten idealny model samolotu, platoniczny ideał tego, czym powinien być model samolotu. Ale gdzieś po drodze rzeczy zawsze zaczynały się psuć — gdzieś pod stół wpadała mi jedna część albo rozmazywała mi się farba, albo śmigło, które miało się obracać, pobrudziło się klejem i było unieruchomione, albo pomalowałem farbą przezroczystą kabinę pilota, albo naklejki mi się rozdzierały, gdy przenosiłem je na samolot — więc gdy pokazywałem tacie produkt końcowy, zawsze w jakiś sposób... nie był tak doskonały, jak miałem nadzieję.

Usiłowałem wykorzystać tę rozwiniętą metaforę jako kanwę do wiersza, ale jeszcze nie do końca mi się to udało.

W każdym razie wszystkiego najlepszego na nowy rok akademicki. Napiszę do ciebie, jak tylko się zaaklimatyzuję, i wtedy może będziemy mogli...

— Do kogo piszesz? — pyta, mrugając sennie oczami w wieczornym słońcu.

—Do mamy — odpowiadam. — Jak ci się pływało?

—Bardzo przyjemnie. Tyle że mam coś we włosach.

—Chcesz, żebym spróbował to wyciągnąć?

—Tak, proszę.

Nie nakładając bluzki, wychodzi na werandę i siada na podłodze pomiędzy moimi kolanami.

— Może chciałabyś najpierw coś na siebie nałożyć? — proponuję.

—Może chciałbyś dostać w zęby...?

—Ktoś cię może zobaczyć...!

— I co! Boże, Jackson, przysięgam, jakbym była na wakacjach z cholerną Mary Poppins...

- Wiesz, naprawdę za dużo przeklinasz.
—Zamknij po prostu twarz i zobacz, dobrze? Widzisz coś?
—Aha. Wygląda jak olej albo smoła.
—Schodzi?
—Nie bardzo.
—Myślisz, że może łatwiej będzie pod prysznicem?
—Tak, może
—Więc — idziesz ze mną?
—Tak. Dobrze.

A więc jesteśmy razem. To oczywiście początki. Początkowo, gdy rozmawialiśmy przez telefon, uzgodniliśmy, że podróżując, zdecydowanie będziemy mieszkać w osobnych pokojach, albo przynajmniej pokoju z dwoma pojedynczymi łózkami, ale ten plan okazał się zbyt drogi i jakby zupełnie się rozsypał w trzecią noc, po bardzo długiej, szczerzej rozmowie i wypiciu całej butelki metaxy.

W każdym razie, tak jak mówiłem, jesteśmy razem. Nie jestem naprawdę tam, gdzie się spodziewałem, albo nawet niekoniecznie tam, gdzie chciałem być, ale z drugiej strony, kto jest? I nie spodziewałem się, że ona tu ze mną będzie, szczerze. Nadal przeklina za dużo, oczywiście, ale też mnie rozśmiesza.

Nie wydaje się to jakimś specjalnym osiągnięciem, ale kilka miesięcy temu nie wydawało mi się to nawet możliwe. A więc, jest dobrze.

Prawdę powiedziawszy, jest całkiem dobrze.

Wszyscy młodzi ludzie martwią się różnymi rzeczami, jest to naturalny i nieunikniony element procesu dorastania, i w wieku szesnastu lat najbardziej martwiłem się tym, że już nigdy w życiu nie uda mi się osiągnąć niczego tak dobrego, czystego, szlachetnego czy też prawdziwego, jak moje wyniki z egzaminów pierwszego poziomu w szkole średniej. I przypuszczam, że jak na razie, mi się nie udało. Ale to wszystko było dawno, bardzo

dawno temu. Mam teraz dziewiętnaście lat i lubię myśleć, że jestem dużo mądrzejszy i podchodzę do tych rzeczy z dużo większym dystansem.

RS